



ELIZABETH GILBERT

AUTORKA „JEDZ, MÓDL SIĘ, KOCHAJ”

OSTATNI

TAKI

AMERYKANIN



ELIZABETH GILBERT

OSTATNI
TAKI
AMERYKANIN

PRZEKŁAD
MARTA JABŁOŃSKA-MAJCHRZAK



DOM WYDAWNICZY REBIS
POZNAN 2011

Tytuł oryginału *The Last American Man*

Copyright © 2002, Elizabeth Gilbert

All rights reserved

Copyright © for the Polish edition by REBIS Publishing House Ltd.,

Poznań 2011

Redaktor Katarzyna Raźniewska

Ilustracja i projekt okładki © 2011 Leszek Szurkowski

www.szurkowski.com

Wydanie I

ISBN 978-83-7510-712-8

Dom Wydawniczy

REBIS Sp, z o.o.

ul. Żmigrodzka 41/49,

60-171 Poznań

tel. 61-867-47-08, 61-867-81-40; fax 61-867-37-74

e-mail: rebis@rebis.com.pl

www, rebis.com, pi

Skład **ZAELS**

Gdańsk, tel. 58-347-64-44

*Dwóm najbliższym znanym mi kobietom -
mojej starszej siostrze Catherine Murdock
i mojej drogiej przyjaciółce Deborah Luepnitz.
Wasz wpływ jest niewyobrażalny.*

W rezultacie to właśnie pogramniczu amerykańska umysłowość zawdzięcza swoje niezwykle cechy. Surowość i siła w połączeniu ze spostrzegawczością i dociekliwością; pomysłowość i rzutkość, pozwalające błyskawicznie znaleźć doraźne rozwiązanie; tak znakomite rozeznanie w dobrach materialnych, by nie mając zapędów artystycznych, okazać niezwykłą skuteczność i dokonać rzeczy wielkich; niepokojna, gorączkowa energia; dominujący indywidualizm, sprzyjający zarówno dobru, jak i złu - to są właśnie cechy pogramnicza.

Frederick Jackson Turner

ROZDZIAŁ I

Cóż za szalone życie!
Jaka świeżość istnienia!

*Henry Wadsworth Longfellow,
rozważając możliwość napisania
epickiego poematu o amerykańskim odkrywcy, Johnie
Frémencie*

Zanim skończył siedem lat, Eustace Conway tak celnie rzucał nożem, że mógł przyszpilić nim pręgowca amerykańskiego do pnia drzewa. Nim skończył dziesięć, z odległości pięćdziesięciu stóp strzałą wypuszczoną z łuku trafił biegnącą wiewiórkę. Kiedy skończył dwanaście, wybrał się do lasu, gołymi rękoma wybudował sobie szałas i przeżył tam tydzień, odżywiając się tym, co było wokół. Kiedy skończył siedemnaście lat, wyprowadził się ostatecznie z domu rodzinnego i ruszył w góry, gdzie zamieszkał w skonstruowanym przez siebie tipi, rozpałał ogień, pocierając o siebie dwa patyki, kąpał się w lodowatych strumieniach i ubierał w skóry zwierząt, które upolował i zjadł.

A tak na marginesie - było to w 1977 roku, tym samym, w którym odbyła się premiera *Gwiezdnych wojen*.

Mając osiemnaście lat, Eustace Conway popłynął w dół Missisipi własnoręcznie zrobionym kanoe, walcząc z wirami tak potężnymi, że mogły wessać pod wodę długie na pięćdziesiąt stóp drzewo i uwolnić je dopiero milę dalej. Następnego roku pokonał ciągnący się ponad dwa tysiące mil Szlak Appalachów, wędrując z Maine do Georgii, odżywiając się niemal wyłącznie tym, co upolował i zebrał po drodze. W kolejnych latach przemierzył Alpy

Niemieckie (w tenisówkach), przebył kajakiem Alaskę, wspinał się na skały w Nowej Zelandii i mieszkał w Nowym Meksyku z Indianami Nawaho. Kiedy miał dwadzieścia kilka lat, postanowił zbadać dokładniej którąś z kultur pierwotnych, by nabyć jeszcze więcej najstarszych ludzkich umiejętności. Poleciał zatem do Gwatemali, wysiadł z samolotu i zaczął zadawać pytania w stylu: „Gdzie są ci ludzie pierwotni?” Wskazano mu dżunglę, przez którą wędrował wiele dni, aż dotarł do najbardziej odległej wioski Majów; wielu jej mieszkańców nigdy nie widziało człowieka o białej skórze. Spędził z nimi około pięciu miesięcy, ucząc się języka, badając religię, doskonaląc umiejętności tkackie.

Jednak najbardziej odlotową przygodę przeżył prawdopodobnie w roku 1995, kiedy to wpadło mu do głowy, by przejechać konno w poprzek Ameryki. Towarzyszyli mu młodszy brat Judson oraz bliski przyjaciel rodziny. Było to szalone, podjęte pod wpływem kaprysu przedsięwzięcie. Eustace nie miał nawet pewności, czy można, czy w ogóle wolno tak sobie jechać konno przez Amerykę. Zjadł z rodziną solidny bożonarodzeniowy obiad, przypiął broń, włożył koniowi na grzbiet osiemdziesięcioletnie siodło, które należało niegdyś do kawalerii Stanów Zjednoczonych (miejscami tak wytarte, że w czasie jazdy czuł przez nie ciepło zwierzęcia), dosiadł wierzchowca i wyruszył w drogę. Uważał, że on i jego towarzysze dotrą do Pacyfiku na Wielkanoc, choć wszyscy, którym to mówił, śmiali mu się w twarz.

Trzej jeźdźcy galopując, pokonywali dziennie około pięćdziesięciu mil. Jedli mięso zabitej przez samochody zwierzyny płowej i zupę z wiewiórek. Sypiali w stodołach i w domach pełnych podziwu miejscowych, ale kiedy zbliżali się do suchych, otwartych

przestrzeni Zachodu, wieczorami zsuwali się wycieńczeni z koni i zasypiali na ziemi. Pewnego dnia omal nie rozjechał ich osiemnastokółowiec, płosząc wierzchowce na ruchliwym wiadukcie autostrady międzystanowej. W Missisipi ledwie uniknęli aresztowania za to, że nieobyczajnie świecili nagimi torsami. W San Diego uwiązali konie na trawniku pomiędzy centrum handlowym a ośmiopasmową autostradą. Tam też przenocowali, by następnego dnia po południu dotrzeć do Pacyfiku. Eustace Conway wjechał koniem wprost do wody. Do Wielkanocy zostało dziesięć godzin. Przejechał kraj w 103 dni, ustanawiając przy okazji rekord świata.

Amerykanie z wszelkich możliwych środowisk od wybrzeża do wybrzeża kraju podziwiali Eustace'a Conwaya jadącego na koniu i powtarzali smętnie: „Szkoda, że nie mogę robić tego, co ty”.

I każdemu z nich Eustace odpowiadał: „Możesz”.

Ale wybiegam tu z moją opowieścią w przyszłość.

Eustace urodził się w Karolinie Południowej w 1961 roku. Conwayowie mieszkali w wygodnym podmiejskim domu, w nowej dzielnicy podobnych domów. Tuż za ich terenem ciągnął się las, niewykarczowany jeszcze pod zabudowę. Tak naprawdę był to dziki, nienaruszony, pierwotny las - człowiek nie wydeptał tam nawet jednej ścieżki, ale wciąż jeszcze żyły w nim niedźwiedzie. Właśnie do tego lasu ojciec - który również nosił imię Eustace - zabierał syna, by uczyć go rozpoznawać rośliny, ptaki i ssaki amerykańskiego Południa. Omijając grząski teren, wędrowali po kniei godzinami, wpatrywali się w korony drzew i rozmawiali o kształtach liści. Takie są właśnie pierwsze wspomnienia Eustace'a: ogrom lasu; promienie słońca przesączające się przez naturalny

baldachim zieleni; objaśniający głos ojca; urok takich słów, jak robinia, brzoza i tulipanowiec; nowo poznana intelektualna przyjemność uczenia się, wzmocniona wyraźnym fizycznym odczuciem, że w końcu się przewróci, jeśli będzie tak długo trzymała odchyloną do tyłu głowę, przyglądając się z zapartym tchem kolejnym drzewom.

Całej reszty uczyła go matka. Nauczyła go, w jaki sposób rozbijać obóz, jak zakładać przynętę na haczyk, rozpałać ognisko, obłaskawiać przyrodę, wyplatać z trawy powróż i znajdować glinę na dnie rzeki. Nauczyła go czytać książki o cudownych tytułach, takich jak *Davy Crockett: Young Adventurer* i *Wildwood Wisdom*. Nauczyła go zszywać skóry. Nauczyła go wykonywać każde zadanie z zapałem i dążyć do doskonałości. Jego matka nie przypominała innych matek z tamtych lat. Była nieco odważniejsza od przeciętnej mamy z amerykańskiego Południa w początkach lat sześćdziesiątych. Wychowano ją jak chłopca, w obozie letnim, który jej rodzina prowadziła w Karolinie Północnej, niedaleko miejscowości Asheville położonej w Paśmie Błękitnym Appalachów. Była niezłomną chłopczycą, znakomitym jeźdźcem i świetnie radziła sobie w lesie. W wieku dwudziestu dwóch lat sprzedała swój srebrny flet, by mieć pieniądze na podróż na Alaskę, gdzie mieszkała w namiocie nad rzeką, ze strzelbą i psem.

Zanim Eustace ukończył pięć lat, deweloperzy wycięli las za jego domem, jednak w niedługim czasie rodzina przeprowadziła się do większego domu na innym podmiejskim osiedlu. To było w Gastonii w Karolinie Północnej - tam też rósł gęsty las. Kiedy tylko dzieci nauczyły się chodzić, pani Conway pozwalała im biegać po lesie - boso, półnago i bez nadzoru - od świtu do zmierzchu, ile dusza zapragnie, poza kilkoma przerwami na

obowiązkową szkołę i kościół (bo przecież nie wychowywała d z i k u s ó w). „Pewnie byłam złą matką”, mówi dziś pani Conway, niezbyt przekonująco.

Inne matki z Gastonii były oburzone takim sposobem wychowywania dzieci. Niektóre, bardzo zaniepokojone, dzwoniły do niej i mówiły: „Nie możesz puszczać dzieci do lasu. Przecież tam są jadowite węże!”

Trzydzieści lat później panią Conway bawi i rozczuła troska tamtych kobiet. „Na miłość boską! - rzuca. - Moje dzieci zawsze potrafiły odróżnić węże jadowite od niejadowitych! Nic im tam nie groziło”.

Krótko mówiąc, historia Ameryki jest taka: było pogranicze, potem go już nie było. Wszystko to stało się dość szybko. Byli Indianie, nagle przyszli odkrywcy, po nich zjawili się osadnicy, wyrosły miasteczka, potem miasta. Nikt tak naprawdę nie zwracał uwagi na dziką przyrodę, dopóki nie została ujarzmiona, a wtedy wszyscy zapragnęli jej powrotu. Wraz z ogólnym przypiływem nostalgii (Buffalo Bill's Wild West Show, obrazy z kowbojami pędzła Frederika Remingtona) pojawiła się bardzo konkretna, kulturowa kwestia zawarta w podszytym niepokojem pytaniu: C o się stanie z naszymi chłopcami?

Problem tkwił w tym, że o ile klasyczna europejska opowieść o dorastaniu przedstawiała chłopca z prowincji, który przeprowadza się do miasta i staje wytwornym dżentelmenem, o tyle tradycja amerykańska ewoluowała w kierunku przeciwnym. Chłopiec amerykański dorastał, o p u s z c z a j ą c cywilizację i ruszając w góry. Tam zrzucał z siebie kosmopolityczne obyczaje i stawał się silnym i sprawnym mężczyzną. Zważcie tylko, nie dżentelmenem, ale mężczyzną.

Był to szczególnie gatunek mężczyzny, ten wychowany w głę-
szy Amerykanin. Nie był intelektualistą. Nie interesowała go na-
uka ani głębsze przemyślenia. Charakteryzowała go, jak zauważył
Tocqueville, „swego rodzaju odraza do tego, co dawne”. Można
go postrzegać stereotypowo, tak jak odkrywca John Fremont wi-
dział superpioniera Kita Carsona, „gnającego przez prerię z gołą
głową na pięknym koniu bez siodła”. Albo jest to mężczyzna,
który potężnym toporem, od niechcenia „powala na ziemię cedry i
dęby”, jak zauważył pewien będący pod wrażeniem dziewiętna-
stowieczny podróżnik z obcego kraju.

Rzeczywiście dla przybywających zza oceanu w osiemnastym i
dziewiętnastym stuleciu sama postać Amerykanina stanowiła
prawdziwą atrakcję turystyczną, niemal równie fascynującą jak
wodosпад Niagara lub ambitny nowy system dróg żelaznych, lub
egzotyczni Indianie. Oczywiście nie wszyscy wpadali w zachwyt.
(„Nie ma zapewne ludzi, łącznie z Francuzami, którzy byliby tak
próżni jak Amerykanie”, biadolili pewien brytyjski obserwator w
roku 1818. „Amerykanie uważają, że żaden obcokrajowiec nie
może ich niczego nauczyć i że są chodzącymi encyklopediami”).
Pomijając także uwagi, niemal wszyscy byli zgodni, że Ameryka-
nin to nowy gatunek istoty ludzkiej i że charakteryzuje go wyjąt-
kowa zaradność, dzięki której zdołał wyrwać Nowy Świat ze stanu
pierwotnej dzikości. Nieskrępowani klasowymi ograniczeniami,
biurokracją i nędzą miast, Amerykanie po prostu robili w jeden
dzień więcej, niż można było sobie wyobrazić. W tym właśnie
rzecz: ci faceci pracowali niewiarygodnie szybko.

Urodzony w Niemczech Gottfried Duden, który podróżował na
Zachód w 1824 roku, by tam szukać odpowiednich terenów dla
niemieckich rodzin zainteresowanych emigracją do Ameryki,

zdumiony napisał do kraju: „W Ameryce Północnej budowy, które w krajach europejskich ciągną się przez stulecia, trwają kilka lat, dzięki dobrowolnej współpracy pojedynczych obywateli”. Na przykład podczas pobytu Dudena farmerzy z Ohio budowali długi na 230 mil kanał, bez pomocy jednego choćby inżyniera. Duden widział „piękne miasta” kwitnące w miejscach, gdzie dwa lata wcześniej nie było nawet osady. Widział nowe drogi, nowe mosty, „Tysiące nowych gospodarstw” i „kolejne sto parowców”... wszystko nowiutkie, ręcznie wykonane, pomysłowo zaprojektowane i idealnie działające. Jeśli Amerykanin czegoś potrzebował, po prostu doprowadzał do powstania tego.

Pojęcie śmiałego i kompetentnego obywatela Nowego Świata było niezwykle atrakcyjne. Angielska podróżniczka, dziennikarka i pisarka Isabel Bird, znana z chłodnej i bezstronnej narracji, nie mogła się powstrzymać od okrzyku zachwytu, kiedy podczas swojej podróży w latach pięćdziesiątych dziewiętnastego wieku obejrzała sobie amerykańskich szorstkich twardzieli:

„Nie sposób dać wyobrażenie «mężczyzn Zachodu» komuś, kto nie widział przynajmniej jednego z nich (...) wysocy, przystojni, z szeroką klatką piersiową, wysportowani, z orlimi nosami, przenikliwym spojrzeniem szarych oczu, falującymi brązowymi włosami i brodami. Ubrani w skórzane kurtki, skórzane spodnie, wysokie buty ze zdobionymi cholewkami, srebrne ostrogi, a na głowach szkarłatne chustki, przesyte nieco zmatowiałą złotą nitką, bez wątplenia dary jakichś ślicznotek oczarowanych tymi przystojniakami o beztróskim sposobie bycia myśliwych. Swoją obecnością przeganiali nudę; potrafili opowiadać różne historie, wygwizdywać melodie i śpiewać (...). Pogodni, weseli ludzie,

opowiadający barwne historie z życia Zachodu, rycerscy w sposobie bycia i wolni jak wiatr”.

Słuchajcie, mnie tam nie było. Trudno orzec, ile z tej opowieści opiera się na prawdzie, a ile jest wytworem nieprzepartej chęci przedstawienia cudzoziemskiej prasie kolejnej rewelacji. Wiem natomiast, że my, Amerykanie, kupiliśmy tę błagę. Kupiliśmy i dodawaliśmy do bogatego w składniki gulaszu uwarzonej przez nas samych mitologii, aż upichciliśmy doskonale uniwersalną koncepcję tego, kto jest amerykańskim mężczyzną i skąd się wziął. Amerykaninem był Pecos Bill. Zmieniał bieg rzek z pomocą swojego potężnego siwego wołu, ujeżdżał dzikie konie, używając grzechotników jako wodzy, był wszechmocnym bohaterem stworzonym przez odkrywczą łączność z pograniczem. Wszyscy o tym wiedzieli.

Frederic Jackson Turner nie był więc jedyną osobą, która się zaniepokoiła, kiedy w roku 1890 Biuro do Spraw Spisu Ludności oficjalnie ogłosiło, że amerykańskie pogranicze zostało zlikwidowane. Był natomiast pierwszą osobą, która zapytała, co ta likwidacja będzie oznaczać dla przyszłych pokoleń. Jego niepokój rozprzestrzenił się, stawiano co coraz więcej pytań. Jeśli zabraknie tego poligonu - Dzikiego Zachodu, to co będzie z naszymi chłopcami?

Mogą się przecież stać zniewieściałymi, rozgrymaszonymi dekadentami.

A nawet, nie daj Boże, mogą się stać Europejczykami.

Wyobraźcie sobie, że pierwszy raz spotkałam Eustace'a w Nowym Jorku. Był rok 1993.

Poznałam go dzięki jego bratu Judsonowi, który jest kowbojem.

Pracowałam kiedyś z Judsonem na ranchu położonym w Górach Skalistych stanu Wyoming. Miałam wtedy dwadzieścia dwa lata i zachowywałam się, jakbym była zaganiaczką bydła... co wymagało niezłego udawania, zważywszy na krępujący fakt, że w rzeczywistości wcześniej należałam do drużyny hokeja na trawie w Connecticut. Znalazłam się jednak w Wyomingu, bo poszukiwałam wiedzy i autentyzmu, których moim zdaniem nie można było znaleźć nigdzie indziej, jak tylko na amerykańskim pograniczu, a w każdym razie na tym, co jeszcze z niego pozostało. Szukałam tego amerykańskiego pogranicza równie gorliwie jak dwadzieścia lat wcześniej szukali go moi rodzice, kiedy kupili trzy akry ziemi w Nowej Anglii i udawali, że są pionierami... trzymali kury i kozy i mieli pasiekę, sami wytwarzali całą żywność, szyli nasze ubrania, myli nam włosy w beczce z deszczówką i ogrzewali dom (a raczej tylko jego dwa pokoje) własnoręcznie rąbanym drewnem. Moi rodzice dali mnie i mojej siostrze tak surowe dziewiętnastowieczne wychowanie, na jakie tylko było ich stać, choć przecież żyliśmy w czasach Reagana, w jednej z najzamożniejszych społeczności Connecticut i nasz mały farmerski dom żywcem wyjęty z pogranicza stał przy jednej z głównych autostrad, ledwie milę od eleganckich terenów rekreacyjnych z polem golfowym. No i co z tego? Moją siostrę i mnie zachęcano do ignorowania tej rzeczywistości. Zbierałyśmy jagody w rowach przy autostradzie, ubrane w ręcznie uszyte sukienki, podczas gdy obok pędziły samochody osobowe, a osiemnastokołowe ciężarówki wstrząsały ziemią. Szłyśmy do szkoły z mlekiem zaschniętym na rękawach, bo rano doiłyśmy kozy. Nauczono nas, żebyśmy nie zwracały uwagi na wartości otaczającej nas kultury, a koncentrowały się na

uświęconej starszej amerykańskiej zasadzie: Miejsce zaradności jest tuż obok pobożności.

Nie ma się zatem czemu dziwić, że kiedy miałam dwadzieścia dwa lata, doszłam do wniosku, że nie usatysfakcjonuje mnie pójście na studia ani zdobywanie jakiegoś szacownego zawodu. Miałam inne aspiracje. Chciałam poznać granice własnej zaradności, a tego, jak sądziłam, mogłam dokonać tylko w Wyomingu. Zainspirował mnie przykład własnych rodziców oraz poruszająca rada Walta Whitmana dla amerykańskich chłopców z dziewiętnastego stulecia: „Nie pniј się już dłużej po podręcznikach! Wstąp do własnego kraju! Rusz na Zachód i na Południe! Idź pomiędzy mężczyzn, zgodnie z męskim duchem! Ujeżdżaj konie, zostań dobrym strzelcem i silnym wioślarzem”.

Udałam się do Wyomingu, innymi słowy, postanowiłam zrobić z siebie mężczyznę.

Uwielbiałam pracę na ranchu. Bywałam kucharką na szlaku. Jeździłam konno w głąsę, przesiadywałam przy ogniskach, piłam i opowiadałam przeróżne historie, przeklinałam i nabrałam odpowiedniego akcentu - po prostu wykonywałam klasyczny popis fałszywej autentyczności. Kiedy ludzie z Wyomingu pytali mnie, skąd pochodzę, mówiłam: „Z Lubbock w Teksasie”. Dopóki nikt nie zadał bardziej szczegółowego pytania, mogłam spokojnie uchodzić za najprawdziwszą kowbojkę. Inni pracownicy rancha nadali mi przywilej godny kowbojki - nazywali mnie Strzałką - od białej strzałki na końskim łbie.

Ale tylko dlatego, że ich o to poprosiłam...

Byłam skończoną i skrupulatną mistyfikatorką. Uważam jednak, że ta mistyfikacja była moim prawem i przywilejem jako młodej amerykańskiej obywatelki. Postępowałam zgodnie z narodowym rytuałem. Byłam nie większą podróbką niż Teddy

Roosevelt stulecie wcześniej, kiedy opuścił Nowy Jork jako rozpieszczony dandys i ruszył na Zachód, by stać się krzepkim mężczyzną. Słał do domu listy, z których aż bije samozadowolenie i chęć wywarcia wrażenia, kiedy chełpi się swoimi doświadczeniami i garderobą prawdziwego macho. („Ubawiłbyś się, widząc mnie - napisał do przyjaciela na Wschodzie - w sombrero z szerokim rondem, w skórkowej koszuli z frędzlami i paciorkami, skórzanymi *chaparajos*, czyli spodniami bez siedzenia do końskiej jazdy, butami z krowiej skóry, z plecioną uzdą i srebrnymi ostrogami”). Znam ten list. Sama taki napisałam, dziesiątki razy, do dziesiątków różnych ludzi. („W zeszłym tygodniu kupiłam sobie buty ze skóry grzechotnika - pochwaliłam się w 1991 roku, w liście z rancza do rodziców - i zeszmaciłam je kompletnie przy pracach w zagrodzie, ale co tam, po to one przecież są”).

Spotkałam Judsona Conwaya tego samego dnia, którego przyjechałam na ranczo. Był pierwszą osobą, na którą padł mój wzrok po długiej jeździe samochodem na tę wielką górę Wyoming, i w pewnym sensie się w nim zakochałam. To nie było uczucie w stylu: „Pobierzmy się!”, tylko: „Litości!” Ponieważ w tym momencie on tam po prostu był: smukły, przystojny, nieco ukryty pod kowbojskim kapeluszem i ponętnie zakurzony. Wystarczyło, że przeszedł obok mnie tym seksownym zawadiackim krokiem (wykonanym w klasyczny hollywoodzki sposób: „Pani wybacz, ale dopiero co wróciłem z długiej przejażdżki”) i już byłam jego wyznawczynią.

Judson pociągał mnie, ponieważ byłam dziewczyną, a on był piękny, a ja, do cholery, miałam bystre oczy, no i od razu wyczułam, że wiele nas łączy. Podobnie jak ja miał dwadzieścia dwa lata i był skończonym i skrupulatnym mistyfikatorem. Był równie

autentycznym człowiekiem Zachodu jak jego nowa przyjaciółka Strzałka. Oboje byliśmy pod tym względem równie autentyczni jak Frank Brown, inny dwudziestodwuletni kowboj pracujący na ranczu, student z Massachusetts, wtedy akurat noszącym ksywkę Byczek. Komenderujący nami główny kowboj Hank, który nieodmiennie wyrzaskiwał: „Wszyscy tłuc siodła!”, kiedy należało ruszać w drogę, był synem zastępcy prokuratora generalnego stanu Utah. Wszyscy braliśmy udział w tym samym przedstawieniu.

Jednak moim ulubieńcem był Judson, bo on bawił się tym wszystkim lepiej niż inni. No i miał tę minimalną kulturową przewagę, bo przynajmniej pochodził z Południa i potrafił charakterystycznie przeciągać samogłoski. Był cholernie świetny. Walt Whitman zachwyciłby się jego stylem życia. Doskonalił umiejętności strzeleckie i wiosłowanie, ale zdążył też przemierzyć Amerykę w wagonach towarowych i wrócić do domu autostopem, całował dziewczęta ze wszystkich stron kraju, opanował gawędziarstwo i był znakomitym myśliwym. A do tego wyśmienitym jeźdźcem! Nauczył się różnych sztuczek, takich jak wskakiwanie na grzbiet biegnącego konia i zeskakiwanie w biegu oraz wielu innych, nieszczęśliwie przydatnych na ranczu, ale za to bardzo efektownych.

Przez dwa lata mieliśmy razem dobry ubaw, tam, w Wyomingu, po czym każde poszło w swoją stronę. Jednak utrzymywaliśmy kontakty. Jak porządny żołnierz z czasów wojny secesyjnej Judson wiernie pisał długie listy. Nigdy nie dzwonił; zawsze pisał. A miał mnóstwo do opisywania, bo stworzył sobie wspaniałe życie; wiosnę spędzał, polując na gołębie w rodzinnej Karolinie Północnej, latem zatrudniał się jako przewodnik wędkarzy na Alasce, jesienią prowadził myśliwych polujących na wapiti w

Wyomingu, a zimą pomagał turystom łowić okazałe morskie ryby w pobliżu Florida Keys.

„Pilnie się uczyć łowienia w słonych wodach, w nadziei, że trafi mi się robota na którejs z tych czarterowanych łodzi - napisał do mnie, kiedy pierwszy raz pojechał na Florydę. - Zatrzymałem się u małżeństwa, które kiedyś w Wyomingu zabrałem na wyprawę jeździecką. Zgadaliśmy się i oto tu jestem... Spędzam mnóstwo czasu w Everglades National Park, na obserwowaniu ptaków i siłowaniu się z aligatorami”.

„Nie zarabiam na życie - napisał z pierwszego wyjazdu na Alaskę - po prostu żyję”.

Judson ciągle obiecywał, że kiedyś odwiedzi mnie w Nowym Jorku, dokąd się przeprowadziłam. („Czy w rzece Hudson są ryby?”) Ale mijały lata, a on się nie pojawiał, zresztą specjalnie się tego nie spodziewałam. („Wychodzisz za męża, tak? - napisał po otrzymaniu ode mnie długiego listu. - Chyba za długo zwlekałem z tą wizytą...”) A potem, pewnego dnia, całe lata od naszej ostatniej rozmowy, zadzwonił. To było zadziwiające. Judson nie używa telefonów, skoro można kupić całkiem przyzwoite znaczki. Tym razem miał jednak pilną informację. Powiedział, że przylatuje nazajutrz do Nowego Jorku. Taki kaprys, powiedział. Chciał zobaczyć, jak wygląda duże miasto. A potem dodał, że jego starszy brat Eustace też przylatuje.

I rzeczywiście, bracia Conwayowie przybyli następnego ranka. Wysiedli z żółtej taksówki przed domem, w którym mieszkałam, i był to niesamowity, absurdalny wręcz obrazek. Przystojny Judson, wyglądający niczym młody amant z *Bonanzy*, a obok niego brat, cholerny Davy Crockett.

Wiedziałam, że to cholerny Davy Crockett, bo nowojorczycy od razu zaczęli go tak nazywać.

- Hej, człowieku! lo cholerny Davy Crockett!
- Popatrzcie na cholernego Davy'ego Crocketta!
- Król pieprzonego pogranicza!

Oczywiście niektórzy nowojorczycy brali go za cholernego Daniela Boone'a, ale każdy miał coś do powiedzenia o tym dziwnym gościu, który skradał się ulicami Manhattanu w ubraniu z jeleniej skóry i z imponującym myśliwskim nożem za pasem.

Cholerny Davy Crockett.

I w taki właśnie sposób poznałam Eustace'a Conwaya.

W ciągu następnych dwóch dni w zadziwiająco niepasującej scenerii Nowego Jorku wysłuchałam całej historii życia Eustace'a Conwaya. Pewnego wieczoru Judson, Eustace i ja poszliśmy sobie popić do podłego baru w East Village i kiedy Judson zajęty był obtańcowywaniem wszystkich ładnych dziewcząt i opowiadaniem im ekscytujących historii z życia na górskich pastwiskach, Eustace siedział ze mną w kącie i spokojnym głosem wyjaśniał, jak żył przez ostatnie siedemnaście lat, w tipi, ukryty w Appalalach Południowych na terenie Karoliny Północnej. Nazwał tamto miejsce Żółwią Wyspą, odwołując się do indiańskiej legendy o stworzeniu świata, w której krzepki żółw dźwiga na grzbiecie cały ciężar Ziemi. Powiedział, że jest właścicielem tysiąca akrów dziewiczych lasów... w idealnie położonej nieskażonej kotlinie, z czystym bezpiecznym zlewiskiem.

Wydało mi się dziwne, że ktoś, kto zjada opopy i podciera się liśćmi, mógł kupić tysiąc akrów nieskażonej leśnej głuszy. Ale później odkryłam, że Eustace Conway jest bardzo sprytnym

człowiekiem. Gromadził swoją własność powoli, wykorzystując pieniądze zarobione na pogadankach o jedzeniu oposów i podcieraniu się liśćmi dla zafascynowanych uczniów miejscowych szkół. Ziemia, oświadczył, stanowi jego jedyny poważny zakup w życiu. Wszystko inne potrafił zrobić, wybudować, wyhodować albo zabić. Polował, by zdobyć jedzenie, pił wodę ze źródeł i strumieni, szył sobie odzież...

Eustace powiedział mi, że ludzie mają skłonność do postrzegania jego stylu życia w sposób romantyczny. Kiedy pytają go, jak zarabia na życie, odpowiada im niezmiennie: „Żyję w lesie”. Wtedy się rozmarzają i mówią: „Ach! Las! Las! Uwielbiam las!”, jakby Eustace spędzał czas na spijaniu rosy z kwiatków koniczyny. Dla niego jednak życie w lesie to coś zupełnie innego.

Na przykład kilka lat wcześniej, kiedy chciał upolować jelenia na zimę, natknął się na pasącego się w zaroślach wspaniałego samca o czterech odnogach na każdej tyce. Strzelił i zwierzę padło. Nie wiedząc, czy je zabił, czy tylko ranił, czekał i czekał, ale nic nie usłyszał. W końcu powoli podkraść się bliżej i zobaczył, że ogromne zwierzę leży na boku, a z jego nozdrzy wydobywa się mgiełka zaróżowionego krwią powietrza. Jeleń poruszał oczami, żył. „Wstań, bracie! - zawołał Eustace. - Wstań, żebym mógł z tobą skończyć!”

Zwierzę ani drgnęło. Eustace nie mógł znieść widoku rannego zwierzęcia, ale nie potrafił też strzelić mu z bliska w ten piękny łeb, wobec czego wyjął z za pasa nóż i wbił mu w żyłę szyjną. Jeleń zerwał się na równe nogi, wymachując ogromnym rozgałęzionym porożem. Eustace uczeplił się rogów, wciąż z nożem w rękę, i rozpoczęły się zapasy, przepychanie przez krzaki, stacanie ze wzgórze. Byk szedł jak taran, Eustace starał się kierować jego

ciężkie poroże w pnie drzew i w głazy. W końcu puścił jedną rękę i ciał przez szyję zwierzęcia, otwierając żyły, tętnice i tchawicę. Jednak jeleni nie zaprzestał walki, aż Eustace wbił mu nozdrza w ziemię, ukląkł na łbie i udusił. Potem włożył dłonie w jego szyję i wysmarował sobie twarz krwią, płacząc i śmiejąc się jednocześnie i w ekstatycznej modlitwie dziękując wszechświatowi za wspaniałość i niezwykłość tego stworzenia, które musiało poświęcić życie, żeby on mógł przeżyć.

Dla Eustace'a Conwaya życie w lesie oznaczało właśnie coś takiego.

Nazajutrz po rozmowie w barze zabrałam braci Conwayów na spacer do Tompkins Square Park. I tam Eustace się zgubił. Nie mogłam go nigdzie znaleźć i zaczęłam się martwić, że wyrwany ze swojego środowiska jest bezbronny i zagrożony. Kiedy go wreszcie odnalazłam, okazało się, że wdał się w sympatyczną pogawędkę z grupą dilerów narkotykowych, których każdy normalny człowiek omijałby wielkim łukiem. Zaoferowali mu krak, którego przyjęcia uprzejmie, ale stanowczo odmówił, natomiast w innych sprawach był ujmujący.

- Hej, koleś - pytali go dilerzy, kiedy się tam zjawiłam - gdzie kupiłeś taką cudaczną koszulę?

Eustace wyjaśnił im, że tak naprawdę to on tej koszuli nie kupił; zrobił ją sam. Z jeleniej skóry. Opisał dokładnie, jak zastrzelił zwierzę z muszkietu na czarny proch, jak je oparował („Tym nożem!”), jak wygarbował skórę mózgiem wyjętym z jego czaszki, a potem uszył koszulę, używając w tym celu ścięgien z okolic jeleniego kręgosłupa. Powiedział im, że nie jest to taki trudny proces i że oni też potrafiliby to zrobić. I jeśli odwiedzą go w górskim

domu zwanym Żółwią Wyspą, to nauczy ich różnych wspaniałych rzeczy i będą mogli żywić się tym, co daje przyroda.

- Eustace, musimy już iść - powiedziałam.

Faceci ściskali mu dłoń i mówili:

- A niech to, Hustice, jesteś niesamowity, człowieku. W taki właśnie sposób Eustace porozumiewa się przez cały czas ze światem... wykorzystuje każdą okazję, by nauczyć ludzi czegoś o przyrodzie. Innymi słowy, nie jest jakimś hipisem czy pustelnikiem ani nawet mistrzem sztuki przetrwania. Nie dlatego mieszka w lesie, że chce uciec przed nami lub że uprawia tam wyśmienitej jakości trawkę, albo dlatego, że magazynuje broń na jakąś zbliżającą się wojnę. Żyje w lesie, bo tam jest jego miejsce. Co więcej, próbuje namówić innych, by jak on zamieszkali w lesie, wierzy bowiem w swoje szczególne powołanie... którym jest uratowanie naszej zbiorowej duszy poprzez powtórne zapoznanie Amerykanów z ideą niosącego objawienie obcowania z pograniczem. Mówiąc inaczej, Eustace Conway wierzy, że jest mężem opatrnościowym.

Eustace stworzył Żółwią „Wyspę - tysiącakrowy kosmos własnego projektu - jako najlepszą szkołę, uniwersytet samego życia, klasztor funkcjonujący w naturalnym środowisku. Po latach studiowania społeczności pierwotnych i po niezliczonych doświadczeniach przeżywania osobistej przemiany w dziewiczej głuszy wypracował bowiem śmiałą teorię: jest przekonany, że jedyny sposób, dzięki któremu nowoczesna Ameryka może pokonać swoje nieodłączne zepsucie, zachłanność i zwyrodnienie, to odczuwanie zachwytu towarzyszące obcowaniu ze „sztuką wysoką i świętością przyrody”.

Uważa, że my, Amerykanie, w nieustannym poszukiwaniu wygody wymazujemy naturalne, dające moralny fundament piękno

naszego prawdziwego środowiska, zastępując je bezpiecznym, lecz całkowicie sztucznym „środowiskiem”. Jako społeczeństwo stopniowo sami doprowadzamy się do zguby przez własną nadmierną przedsiębiorczość. Bystrzy, ambitni i wciąż poszukujący większej skuteczności, my, Amerykanie, w ciągu dwóch krótkich stuleci stworzyliśmy świat, który za naciśnięciem guzika przez całą dobę zapewnia nam dobre samopoczucie. Już nie musimy się starać o pożywienie, odzienie, dach nad głową, rozrywkę, transport ani nawet seksualne przyjemności, nie musimy już odprawiać rytuałów związanych z tymi potrzebami ani ich rozumieć. Wszystko to jest dostępne za gotówkę. Albo na kredyt. A to oznacza, że nikt nie musi umieć nic robić, poza jedną wąską specjalnością, dzięki której zdobędzie dość pieniędzy, żeby opłacić to, czego potrzebuje, by żyć jak nowoczesny człowiek.

Wydaje się jednak, że zastępując każde wyzwanie skrótami, coś tracimy i Eustace nie jest jedyną osobą, która tę stratę odczuwa. Pograżamy się w depresji i coraz większym niepokojem... i nie bez powodu. Te wszystkie nowoczesne udogodnienia miały rzekomo oszczędzić nam czas. Ale czas na co? Stworzywszy system, który zadba o każdą naszą potrzebę, nie wymagając od nas nadmiernego starania czy wysiłku, możemy wypełnić te wolne godziny...

Cóż, po pierwsze telewizją... mnóstwem telewizji, całymi godzinami, dniami, tygodniami, miesiącami telewizji w życiu każdego Amerykanina. A także pracą. Każdego roku Amerykanie spędzają coraz więcej czasu w pracy; prawie w każdej rodzinie dwoje rodziców (jeśli jest dwoje rodziców) musi pracować na pełen etat, żeby zapłacić za wszystkie te dobra i usługi. To oznacza mnóstwo czasu poświęconego na dojeżdżanie. To oznacza ogromny stres.

Słabsze więzy z rodziną i lokalną społecznością. Posiłki z fast-foodów zjadane w samochodach w drodze do pracy i z pracy. Coraz słabsze zdrowie. (Współcześni Amerykanie są bez wątpienia najbardziej otyłym i najbardziej nieruchawym społeczeństwem w historii; z roku na rok nasza tusza jest coraz bardziej okazała. Zaczęliśmy lekceważyć swoje ciało, tak jak lekceważymy zasoby naturalne; wierzymy, że jeśli wysiądzie nam jakiś istotny organ, będziemy mogli kupić sobie nowy. Ktoś inny się tym zajmie. Tak samo wierzymy, że ktoś posadzi kiedyś las, jeśli ten zniszczymy. To znaczy, jeśli w ogóle zauważymy, że go niszczymy).

W takim podejściu jest sporo arogancji, ale jest jeszcze coś: głęboka alienacja. Wypadliśmy z rytmu. To takie proste. Skoro nie wytwarzamy już dla siebie żywności, to czy musimy zwracać uwagę na, powiedzmy, pory roku? Czy jest jakaś różnica pomiędzy zimą a latem, skoro możemy codziennie jeść truskawki? Skoro przez cały rok możemy utrzymywać w domu przyjemną temperaturę, to czy musimy zwracać uwagę na to, że nadchodzi jesień? Czy mamy się do niej jakoś przygotowywać? Odnosić do tego procesu z szacunkiem? I po co rozmyślać nad własną śmiertelnością tylko dlatego, że każdej jesieni w przyrodzie coś umiera? A kiedy przychodzi wiosna, czy warto zauważać to odrodzenie? Czy nam się chce poświęcić chwilę i być może komuś za to w duchu podziękować? Uczcić to? Jeśli opuszczamy dom jedynie po to, by pojechać do pracy, to po co nam świadomość istnienia potężnej, pouczającej, nadzwyczajnej i wiecznej siły życiowej, która nieustannie nas opływa?

Najwyraźniej obywamy się bez tego wszystkiego, chyba przestaliśmy zwracać na to uwagę. W każdym razie tak to widzi Eustace Conway, kiedy rozgląda się po Ameryce. Widzi ludzi,

którzy przestali iść równym rytmem z naturalnymi cyklami, które przez tysiąclecia decydowały o życiu i kulturze naszego gatunku. Utraciwszy tę żywotną więź z przyrodą, nasz naród stanął przed niebezpieczeństwem utraty człowieczeństwa. W końcu nie jesteśmy na tej planecie gośćmi z kosmosu, tylko jej naturalnymi mieszkańcami oraz krewnymi wszystkich żyjących na niej istot. Z tej ziemi pochodzimy i tu spoczniemy po śmierci, przez jakiś czas ona jest naszym domem. I w żaden sposób nie zrozumiemy samych siebie, jeśli choć odrobinę nie zrozumiemy naszego domu. Musimy to pojąć, by umieścić nasze istnienie w jakimś szerszym metafizycznym kontekście.

Eustace dostrzega jednak coś, co mrozi krew w żyłach: ogół obywateli tak bardzo oddalonych od rytmu przyrody, że idą przez życie jak lunacy, ślepi, głusi i bezmyślni. Egzystują niczym roboty w sterylnym środowisku, które otępią umysł, osłabia ciało i zabija duszę. Jednak Eustace wierzy, że możemy odzyskać nasze człowieczeństwo. Odzyskujemy je, kiedy kontemplujemy widok prastarej góry; kiedy obserwujemy doskonałość wody i światła; kiedy doświadczamy w sposób bezpośredni bezlitosnej poezji łańcucha pokarmowego. Kiedy zauważamy wszystkie odcienie świata przyrody, zauważamy wreszcie i rozumiemy, o co chodzi: że każdemu z nas dana jest tutaj na ziemi jedna oszałamiająca chwila i musimy odczuwać zarówno pokorę, jak i radość, poddani wszystkim prawom wszechświata i wdzięczni za to, że choć przez krótki moment, to jednak w sposób naturalny jesteśmy z nim związani.

Zgoda, nie jest to żadna radykalna koncepcja. Każdy ekolog na świecie działa zgodnie z filozofią opartą na takich samych założeniach. Natomiast tym, co różni Eustace'a Conwaya od wszystkich innych działaczy na rzecz ochrony środowiska, jest szczególne

przekonanie, jakie ma od dzieciństwa, że jego powołaniem jest wyrwać swoich rodaków z lunatycznego transu. Zawsze wierzył, że tylko on posiada taką moc oraz poczucie odpowiedzialności i że to on ma być instrumentem zmiany. Jeden człowiek, jedna wizja.

A ta wizja była taka: Amerykanie, jeden za drugim, przyjdą do jego mistycznej utopii wśród lasów. Tam, korzystając z jego rad, pozbędą się słabości, odrzucą ignorancję i małostkowość, które są skutkiem współczesnego wychowania. Przyciągnie ich swoją charyzmą i poprowadzi w głuszę, zdejmie im opaski z oczu, wskaże oszałamiającą perspektywę dziewiczego pogranicza i powie: „Patrzcie!” Potem stanie z boku i będzie obserwował, jak się na nowo budzą do życia.

Eustace zawsze wyobrażał sobie grupy dzieci biorących udział w prymitywnych letnich obozach, ale chętnie też widział dorosłych - praktykantów - którzy przez dłuższy czas, na serio, pod jego przewodnictwem uczyliby się naturalnego sposobu życia. Oczywiście wie, że niemożliwe jest ściągnięcie do lasu każdego Amerykanina, i dlatego idzie w świat ze swoim przesłaniem i sam przynosi ludziom las... w zapachu, jakim przesiąknięte są jego włosy i skóra, i w wypowiedzianych słowach. Był gotów przekazywać swoją doktrynę niczym kaznodzieja i nauczyciel, w każdej szkole, na każdym targu, w każdym centrum handlowym i na każdym parkingu, na każdej stacji benzynowej. Z pasją przemawiał do każdego amerykańskiego biznesmena, do każdej niani, gospodyni domowej, prostytutki, każdego milionera i wariata.

Był przekonany, że jego energia i przykład stopniowo przeobrażą Amerykanów, którzy będą się rozwijać i nauczać się

znowu być silni i zaradni. Potem od niego odejdą i podziela się nowo zdobytą wiedzą ze swoimi braćmi. W taki ewangeliczny sposób wizja Conwaya, idealnej zgody z naturą, rozprzestrzeni się na rodziny, miasta, okręgi i stany, aż wszyscy będziemy żyli jak on... wytwarzali żywność, szyli ubrania, rozpalali ogień dwoma patykami, i w ten sposób odzyskamy nasze błogosławione człowieczeństwo, a dzięki temu ocalimy nasz wspaniały naród i naszą świętą planetę.

Przynajmniej taki był jego plan.

Zuchwały? Jasne. Ale jest coś takiego w tym gościeniu...

Niełatwo jest machnąć na Eustace'a ręką. Jak stwierdził jego pełen podziwu brat Judson, a czego później sama byłam świadkiem, Eustace posiadał niezliczone, potrzebne do przeżycia w głuszy umiejętności. Jest we wszystkim niewiarygodnie sprawny. Pod każdym względem wręcz stworzony do osiągnięcia doskonałości. Ma doskonały wzrok, idealny słuch, świetne wycucie równowagi, znakomity refleks i zdolność skupienia. Jego długie mięśnie przyłączone są do lekkiego, ale mocnego szkieletu, jakby był urodzonym średniodystansowcem. Jego ciało może zrobić wszystko, czego od niego zażąda. Podobnie mózg. Wystarczy mu raz przedstawić jakąś koncepcję albo pokazać jakiś proces, by wszystko pojął, zapamiętał i z miejsca zaczął usprawniać. Zwraca większą uwagę na swoje otoczenie niż ktokolwiek inny ze znanych mi ludzi. Jego umysł działa „niczym tnące narzędzie, praktyczne, oszczędne, ostre i bezpośrednie”, jak to ujął Henry Adams, pisząc o pierwszych osadnikach.

Taka umysłowość sprzyja prawdziwej szczerości. Kiedy spytałam go pewnego razu: „Czy jest coś, czego n i e u m i e s z z r o b i ć?”, odparł: „Cóż, nie natrafiłem jeszcze na nic, co byłoby jakoś szczególnie trudne”. Innymi słowy, Eustace posiada pewność

siebie, która pozwala mu żywić przekonanie, że potrafi zmienić świat. To przekonanie jest u niego dodatkiem do nieugiętej woli i niepodważalnego światopoglądu urodzonego reformatora. Ma również charyzmę, którą bezwstydnie wykorzystuje w kontaktach ze wszystkimi ludźmi.

Pierwszy raz odwiedziłam Eustace'a na Żółtwej Wyspie w 1995 roku. W połowie mojego pobytu Eustace musiał opuścić swój azyl, a ja mu towarzyszyłam. Musiał wyjść z lasu, aby uczyć ludzi o lesie, co robi często - zarabia wtedy pieniądze i propaguje swoje idee. Pojechaliśmy więc przez Karolinę Północną do małego letniego obozu, który specjalizował się w edukacji ekologicznej. Grupa nastolatków zebrała się w jadalni na wieczorne spotkanie; wszyscy ci młodzi ludzie zrobili na mnie wrażenie hałaśliwych palantów... zachowywali się nieznośnie, poszturchiwali, wrzeszczeli, zaśmiewali. Mój towarzysz miał spowodować, że przejmą się przyrodą.

To nie skończy się dobrze, pomyślałam.

Eustace, ubrany w dzinsy i kraciatą koszulę, nie w tę z jeleniej skóry, podszedł do stojącego na scenie mikrofonu. Na szyi dyndały mu dwa duże zęby kojota. Przy pasie wisiał nóż.

Poszturchiwanie, wrzask i śmiech wciąż trwały.

Szczupły młody człowiek, z poważnym wyrazem twarzy i rękoma w kieszeniach tkwił spokojnie przy mikrofonie. Po dłuższej chwili milczenia powiedział:

- Mam zwyczaj mówić cicho, więc i dzisiaj będę mówił cicho.

Poszturchiwanie, wrzask i śmiech ustały. Wszyscy oniemieli i wytrzeszczyli oczy. Tak po prostu... zrobiło się cicho jak makiem

zasiał. Przysięgam. Jak w tym cholernym *Nauczycielu z przedmieścia*.

- Przeprowadziłem się do lasu, kiedy miałem siedemnaście lat - zaczął Eustace. - Byłem niewiele starszy od was... - I rozgadał się o swoim życiu.

Dzieciaki siedziały jak zahipnotyzowane, można by je kroić nożem bez znieczulenia. Eustace mówił im o tym, jak przeżyć w głuszy, i o swoich przygodach, ale wygłosił także pogadankę o różnicy pomiędzy światem pudełek a światem kręgów.

- Żyję - powiedział - wśród przyrody, gdzie wszystko jest ze sobą powiązane i tworzy kręgi. Pory roku zataczają koło. Nasza planeta jest kulista i po okręgu biegnie jej droga wokół Słońca. Droga wody na Ziemi ma zamknięty, zataczający krąg charakter; spada z nieba i krąży po świecie, by nieść życie, po czym znów unosi się, parując.

Mieszkam w okrągłym tipi, w kręgu rozpalam ognisko, a kiedy odwiedzają mnie kochane osoby, zasiadamy w kręgu i rozmawiamy. Cykle życiowe roślin i zwierząt tworzą zamknięty krąg. Ponieważ żyję na dworze, mogę to wszystko obserwować. Dawni ludzie rozumieli, że nasz świat to krąg, ale my, ludzie współcześni, przestaliśmy to dostrzegać. Nie mieszkam w żadnym budynku, ponieważ budynki to martwe miejsca, gdzie nic nie rośnie, gdzie nie przepływa woda i gdzie życie zamiera. Nie chcę żyć w martwym miejscu. Ludzie twierdzą, że nie mieszkam w prawdziwym świecie, ale to współcześni Amerykanie żyją w sztucznym świecie, ponieważ wyszli poza naturalny krąg życia.

Zobaczyłem jasno i wyraźnie ten krąg życia - mówił - kiedy jadąc konno przez Amerykę, natknąłem się na ciało kojota. Żar pustyni zmumifikował ciało, ale otaczał je zielony krąg, pasek

bujnej, świeżo wyrosłej trawy. Ziemia pobierała składniki pokarmowe z niezżyjącego kojota i regenerowała się. Uświadomiłem sobie wtedy, że nie chodziło tam o śmierć; chodziło o wieczne życie. Wziąłem zęby kojota i zrobiłem sobie ten naszyjnik, który zawsze noszę, by nigdy nie zapomnieć tamtej lekcji.

Czy dzisiaj również ludzie żyją w kręgach? - ciągnął Eustace. - Nie, żyją w pudełkach. Budzą się co rano w pudełku swojej sypialni, bo pudełko obok nich zaczęło hałasować, by im powiedzieć, że czas wstawać. Jedzą śniadanie z pudełka, po czym wrzucają to pudełko do innego pudełka. Potem wychodzą z pudełka, w którym mieszkają, i wsiadają do pudełka z kołami, by pojechać do miejsca pracy, które jest kolejnym pudełkiem, zawierającym mnóstwo małych pudełek, w których ludzie spędzają cały dzień, siedząc i wpatrując się w stojące przed nimi pudełka komputerów. Pod koniec dnia wszyscy znowu wsiadają do pudełek na kółkach i spędzają wieczór, dla rozrywki wpatrując się w pudełka telewizorów. Muzyki słuchają z pudełka, z pudełka wyjmują jedzenie, w pudełku trzymają ubrania, przeżywają swoje życie w pudełku! Czy to wam kogoś przypomina?

Teraz już słuchacze śmiali się i klaskali.

- Wyrwicie się z tego pudełka! - powiedział Eustace. - Nie musicie tak żyć tylko dlatego, że inni uważają to za jedyny sposób na życie. Nie jesteście przykuci kajdankami do swojej kultury! Nie tak żyła ludzkość przez wiele tysięcy lat i obecnie to też nie jest jedyny sposób na życie!

Jeszcze jedna godzina podobnych argumentów, a potem burza oklasków, jak na spotkaniu ruchu odnowy religijnej. Po swoim wystąpieniu Eustace usiadł na skraju sceny i popijał ze szklanego dzbanka napełnionego świeżą wodą z Żółwiej Wyspy, którą zawsze

nosi ze sobą. Młodzi ludzie podchodzili z szacunkiem i podziwem, a kierownik obozu ścisnął entuzjastycznie rękę Eustace'a, przy tej okazji wręczając mu schowany dyskretnie w kopercie czek. Chłopcy ścieśnili się wokół prelegenta. Ten najtwardszy, najgorszy spośród nich, typ w stylu gangsta, stanął najbliżej. Przyłożył sobie pięść do serca i oświadczył uroczyście:

- Rządzisz, stary. Jesteś s u p e r .

Eustace odchylił głowę do tyłu i roześmiał się. Pozostali obozowicze ustawili się w kolejce, żeby ucisnąć mu rękę, po czym zarzucili go pytaniami:

- Czy potrafiłbyś rozpaść ogień, tutaj, od ręki, gdybyś musiał?

- Tak.

- Gdyby porzucono cię gołego pośrodku Alaski, potrafiłbyś przeżyć?

- Pewnie tak. Ale byłoby o wiele łatwiej, gdybym miał nóż.

- Czy czuleś strach, kiedy przeniosłeś się do lasu?

- Nie. Cywilizowany świat jest o wiele groźniejszy niż las.

- Czy rodzice bardzo się na ciebie gniewali, kiedy wyniosłeś się do lasu?

- Ojciec nie rozumiał, dlaczego chcę opuścić wygodny dom, matka jednak rozumiała.

- Czy zdarza ci się chorować?

- Rzadko.

- Czy chodzisz czasem do lekarza?

- Nigdy.

- Umiesz prowadzić samochód?

- A jak według ciebie tutaj dotarłem?

- Czy używasz jakichś nowoczesnych narzędzi?

- Korzystam z piły łańcuchowej, żeby dbać o swój las. Korzystam z telefonu. I z plastikowych wiader. Boże, te wiadra są wspaniałe! Zrobiłem sam wiele koszy i pojemników z kory drzewnej i trawy... to znaczy, umiem je zrobić i wiele razy używałem tych prymitywnych wyrobów do noszenia wody... ale mówię wam, nie ma to jak plastikowe wiadro, kiedy chce się szybko nanieść wody. Ojej! Plastikowe wiadra! Cudowne! Uwielbiam je!

- Masz szczoteczkę do zębów?

- Nie przy sobie.

- Masz szczotkę do włosów?

- Miałem kiedyś, jeżozwierzową. Ale już jej nie mam.

- Co to jest jeżozwierzową szczotka?

- Zrobiona z kolców jeżozwierza.

- Skąd coś takiego miałeś'?

- Kiedyś, kiedy wędrowałem Szlakiem Appalachów, jeżozwierz uratował mi życie, więc zrobiłem z jego kolców szczotkę, żeby go w ten sposób uhonorować.

- Jak jeżozwierz mógł uratować ci życie?

- Dał mi coś do jedzenia, kiedy umierałem z głodu.

W tym miejscu nastąpiła dłuższa chwila milczenia, kiedy małolaty usiłowały rozgryźć tę informację. Po czym rozległo się zbiorowe „Ooo...” i posypały kolejne pytania.

- Dlaczego umierałeś z głodu?

- Bo nie było nic do jedzenia.

- Ale dlaczego nie było nic do jedzenia?

- Bo była zima.

- A najdłużej to ile dni musiałeś się obejść bez jedzenia?

- Pewnie ze dwa tygodnie, zanim zabiłem tego jeżozwierza.

- Możesz nam pokazać taką szczotkę?

- Już jej nie mam. Przyniosłem ją kiedyś na takie spotkanie

jak to, żeby pokazać chłopcom w waszym wieku, i ktoś ją ukraść. Wyobrażacie sobie, jak mnie to zasmuciło?

- Masz broń?
 - Mam kilka strzelb.
 - Czy zabiłeś kiedyś człowieka?
 - Nie.
 - Jesteś żonaty?
 - Nie.
 - Dlaczego nie?
 - Chyba nie znalazłem jeszcze właściwej kobiety.
 - A chciałbyś mieć żonę?
 - Najbardziej na świecie.
 - Zdarza się, że czujesz się samotny tam, w lesie?
- Eustace zawahał się, uśmiechnął smętnie i odparł:
- Tylko wieczorami.

Później tego samego wieczoru, gdy byliśmy sami, Eustace powiedział mi, jaki się czuje załamany, kiedy przebywa ze współczesnymi amerykańskimi nastolatkami. Owszem, potrafi się z nimi porozumieć, ale ludzie nie są w stanie pojąć, że rozdziera go wewnętrzny ból, kiedy widzi dzieci tak nieokrzesane, niezdyscyplinowane w obcowaniu z innymi, lekceważące wobec starszych, zżerane pożądaniem rzeczy materialnych i zupełnie bezradne w porównaniu z dziećmi, powiedzmy, takich amiszów.

Nie słuchałam jednak ze szczególną uwagą lamentów Eustace'a, bo nurtowało mnie zupełnie co innego.

- Hej, jeśli chodzi o to, co działo się tam dzisiaj wieczorem. Czy wszędzie spotykasz się z taką reakcją?
- Tak.
- Niezależnie od wieku słuchaczy, niezależnie od ich pochodzenia?

- Tak.

Zastanowiłam się nad tym.

- Odpowiedz mi zatem konkretnie. Jak sądzisz, dlaczego te nastolatki dzisiaj były tak tobą zahipnotyzowane?

Odpowiedź Eustace'a była tak szybka, tak bezkompromisowa i tak chłodno rzucona, że przyprawiła mnie o dreszcz.

- Dlatego że - odparł - od razu zobaczyły we mnie prawdziwą osobę. A prawdopodobnie nigdy wcześniej takiej nie spotkały.

ROZDZIAŁ II

Mój synu, mój kacie,
Biorę w ramiona twoje ciałko małe,
Ciche i ledwie rozbudzone,
I własnym ogrzewam je ciałem.

Mój synu, mój kacie, *Donald Hall*

Zimą 1975 roku, kiedy Eustace Conway miał czternaście lat, zaczął pisać swój nowy dziennik i jako wstęp zamieścił w nim następujące oświadczenie:

„Ja, Eustace Conway, mieszkam w dość przestronnym domu w miejscowości Gastonia, w stanie Karolina Północna. Moi rodzice żyją, mam też dwóch braci (Walton i Judson) oraz siostrę (Martha). Najbardziej interesuje mnie sztuka i tradycje Indian. Zorganizowałem czteroosobowy (razem ze mną) zespół tańców indiańskich. Należą do niego: ja, mój brat Walton, który jest starszym z moich dwóch braci, Tommy Morris, bliski przyjaciel, mieszkający dwie przecznice od nas, a także Pete Morris, jego brat. Ich ojciec zabił się jakieś dwa lata temu, ale ich matka wkrótce ponownie wyjdzie za mąż. Kiedy tylko mam okazję, chodzę do Schiele Museum of Natural History, ponieważ uwielbiam to miejsce i uwielbiam pracujących tam ludzi. Prawie należę do personelu... Mój pokój to też muzeum. Zapełniłem go indiańskimi malowidłami i obrazkami, niedźwiedzimi skórami od wuja z Alaski i wieloma wyrobami, które wykonałem własnoręcznie. Nie ma w moim pokoju miejsca na nic więcej i jest naprawdę zapchany, a jeszcze tyle rzeczy chciałbym tu umieścić”.

Był niezwykłym dzieckiem, nieustannie czymś zajęтым. Oczywiście chodził codziennie do szkoły, ale tylko dlatego, że mu kazano. Po szkole jechał rowerem do tego niewielkiego muzeum przyrodniczego, wypełnionego pochodzącymi sprzed pierwszej wojny światowej zakurzonymi dioramami ukazującymi florę i faunę Karoliny Północnej. Tam rozpoczęła się dla Eustace'a prawdziwa edukacja; pan Alan Stout, dyrektor placówki, polubił chłopca i zawsze chętnie go widział w cudownym azylu muzeum.

Eustace'owi trudno było się oprzeć. Miał wspaniały szeroki uśmiech, kiedy już zdecydował się kogoś nim obdarzyć. Cóż za niespotykane skupiony chłopiec! Miał silną motywację i interesował się geologią, antropologią, historią, biologią... wszystkim, co mu zaproponowano. Dyrektor pozwalał mu codziennie spędzać wiele godzin w pomieszczeniach na zapleczu muzeum, ku ogromnemu zadowoleniu chłopca. („Pan Stout wie o Indianach więcej niż wszyscy inni znani mi ludzie - pisał entuzjastycznie w swoim dzienniku. - I jest bardzo dobrym akwarelistą, maluje krajobrazy Tennessee, gdzie się urodził i wychował”). Pan Stout nigdy wcześniej nie spotkał takiego dziecka jak Eustace i nigdy więcej nie miał już podobnego spotkać. Jeśli dawało mu się książkę do obejrzenia, studiował ją, zadawał mnóstwo pytań i następnego popołudnia prosił o kolejną książkę. Jeśli pan Warren Kimsey, pracujący w muzeum na etacie preparatora zwierząt, pokazał Eustace'owi jak spreparować królika, chłopiec sam się do tego zabierał, wykazując fanatyczną wręcz dokładność, po czym prosił o kolejnego królika, by doskonalić tę umiejętność.

„Warren jest tutaj nowy - zwierzał się swojemu dziennikowi

- ale szybko stał mi się najbliższy. Prawdę mówiąc, lubię go najbardziej ze wszystkich na świecie”.

Eustace był niesamowicie pomocny. Prawdziwy gorliwiec. Zawsze gotowy pozamiatać magazyny lub wykonać coś, na co nikt inny nie miał ochoty. Pan Stout pozwolił nawet jego zespołowi ćwiczyć indiańskie tańce na terenie muzeum. Eustace był kierownikiem zespołu, a pan Stout instruktorem - woził chłopców na konkursy, pokazywał, jak szyć i ozdabiać paciorkami tradycyjne indiańskie kostiumy. Kiedy Eustace był trochę starszy, dyrektor muzeum zabierał go na wyprawy kanoe. Płynęli Catawba South Fork River i pobierali próbki wody w ramach rządowego programu ochrony środowiska. Zabierał go na biwaki, czasami tylko dwuosobowe, i z podziwem patrzył, jak chłopak chwytą, odziera ze skóry, przyrządza i zjada grzechotniki.

Pan Stout nie tylko lubił Eustace'a; on go szanował. Uważał, że jest wybitny. Bacznie obserwował jego rozwój, tak jak kiedyś Thomas Jefferson obserwował rozwój młodego sąsiada, niejakiego Meriwethera Lewisa (chłopca, którego zawsze wspominał jako „wyjątkowego, nawet we wczesnym dzieciństwie, jeśli chodzi o pomysłowość, śmiałość i rozwagę”). Pan Stout wyczuwał, że Eustace rozpaczliwie potrzebuje miejsca, w którym mógłby przesiadywać popołudniami. Nie znał szczegółów dotyczących jego sytuacji rodzinnej, poznał jednak ojca chłopca, a nie trzeba było geniusza, by się zorientować, że życie w tym sporym domu przy Deerwood Drive nie jest łatwe.

Tak więc Eustace spędzał popołudnia w muzeum, a potem wyruszał do lasu za swoim domem. Sprawdzał pułapki, szukał zółwi, wytaczał szlaki. Robił notatki na temat tego, co zobaczył podczas swoich wypraw. Latami pisał dziennik, jednak nie chodziło w tym o osobiste wynurzenia, ale o zaspokojenie wewnętrznej

potrzeby zapisania wszystkiego, co danego dnia osiągnął (czy to w związku z dziką przyrodą, czy czymś bardziej przyziemnym), wraz z długą listą tego, co zamierzał osiągnąć dnia następnego.

„Dzisiaj karmiłem robakami mojego młodziutkiego żółwia jaszczurowatego. Oglądałem film o chłopcu i o gołębiu pocztowym, ćwiczyłem taniec hoop i zacząłem szykować pióra do mojego indiańskiego kija. Potem doskonaliłem umiejętność gry w tenisa stołowego. Jestem w tym całkiem dobry. Zamierzam co wieczór czytać Biblię, aż ją skończę. Może zrobię pióropusz z prawdziwymi piórami z ogona indyka”.

„Dzisiaj odkryłem trzydniowy trop kuguara. Schwyciłem długiego na ponad pięć stóp węża zbożowego. Nastawiłem też wnyki na szopa, kiedy zobaczyłem jego ślady sprzed trzech dni. Mam nadzieję, że go złapię, bo liczę na jego skórę”.

„Zacząłem czytać książkę *Fighting Indians of the West*. Po krótkiej lekturze złożyłem eksponaty z dwóch wypreparowanych jelenich nóg... Martha powiedziała, że na Gardner Park Drive przejechali wiewiórkę. Zdjąłem z niej skórę, ale resztę zamroziłem, by zająć się nią później”.

Cała strona jednego z jego dziecięcych dzienników zatytułowana była ŻABY i zawierała informacje oraz uwagi wynikające z obserwacji tych płazów. („Dzisiaj złapałem trzy rzekotki i włożyłem do dziesięciogalonowego terrarium. Następnego dnia w miseczce na wodę znalazłem grona jajeczek. Schwyciłem też salamandrę i umieściłem ją razem z żabami. Jedna z żab chyba nie żyje, bo już od jakiegoś czasu nie widziałem wszystkich trzech razem”).

Zupełnie jakby Eustace był małym Henrym Davidem Thoreau. A może nie. Bo choć bardzo uważnie obserwował środowisko

naturalne, to ani wtedy, ani zresztą nigdy potem nie popadał w nastrój, jaki towarzyszył obcującemu z przyrodą Thoreau. (Na przykład: „Bywały takie letnie dni, gdy wzięwszy jak zwykle kąpiel - pisał Thoreau - cały poranek - od wschodu do południa - spędzałem, siedząc w słońcu na progu, zatopiony w myślach, pośród sosen, hikor i sumaków, w niezmaconej samotności i spokoju”^{*}). Eustace Conway nie byłby w stanie znieść takiego dekadentckiego relaksu.

^{*} Cytat za: H.D. Thoreau, *Walden, czyli życie w lesie*, przeł. H. Ciepłińska, Dom Wydawniczy REBIS, Poznań 1999, s. 128-129.

Już jako dziecko nie potrafił wysiadywać tygodniami na miejscu, by obserwować, jak zmienia się światło. Pragnął działać. Można by powiedzieć, że przypominał raczej Teddy'ego Roosevelta, innego energicznego i zdecydowanego chłopca, który również pobierał nauki u mistrza preparatora i z wielką gorliwością tworzył w swoim pokoju muzeum przyrodnicze oraz zapisywał sumiennie akademickie spostrzeżenia w swoich dziecięcych dziennikach. Podobnie jak Teddy'ego Roosevelta, Eustace'a Conwaya można nazwać człowiekiem czynu.

Eustace nie miał wielu przyjaciół. Nie przypominał innych ludzi i już w wieku dziesięciu lat zdawał sobie z tego sprawę. Kiedy spoglądał na swoich rówieśników, widział dzieci, które spędzają długie godziny przed telewizorem, rozmawiają o tym, co zobaczyły w telewizji, i naśladują telewizyjne postaci. Nie widział w tym żadnego sensu.

Pasje innych chłopców też były dziwaczne. W stołówce grali w „łamanie ołówków”. Ta wyszukana gra polegała na tym, że wykradali sobie wzajemnie ołówki, po czym łamali je na pół, prowadząc przy tym dokładne zapiski, ile ołówków każdy z nich złamał. Było to dla Eustace'a zdumiewające i irytujące. Jak można

z takim lekceważeniem traktować czyjąś własność? Ołówki na dodatek robiono z drzew i miały one pewną wartość. Obserwował też, jak koledzy w jego klasie marnują całe miesiące szkoły na rysowanie w zeszytach niezliczonych obrazków samochodów wyścigowych... co gorsza, używając do tego tylko jednej strony kartki! Już wtedy Eustace myślał sobie: Co za marnotrawstwo czasu... i co za marnotrawstwo papieru. Ci chłopcy wydawali się tak cholernie znudzeni. Jedyne, o czym myśleli, to bójki i dewastowanie tego, co było pod ręką. On sam natomiast zawsze umiał pomyśleć o czymś pożytecznym; wciąż brakowało mu czasu na to wszystko, co chciał zrobić i czego pragnął się nauczyć.

Wiele dzieci z okolicy znało Eustace'a i brało w jakiś sposób udział w jego życiu, ale nie były one jego przyjaciółmi w typowy dla ich wieku sposób; przypominały raczej dawnych czeladników. Eustace'owi zdarzało się na przykład wędrować ulicą z potężnym czarnym wężem smugowym na szyi, co oczywiście przyciągało uwagę. Dzieciaki zbiegały się i zadawały pytania, a on opowiadał im o zwyczajach i zachowaniu węża, zachęcał je do zbierania pożywienia dla gada albo - jeśli okazywały się większe zainteresowanie - zabierał je do lasu i pokazywał, w jaki sposób mogą same schwytać węża. Nawet dzieci starsze od niego podążały za nim, by budować pod jego nadzorem forty albo brodzić po moczarach w poszukiwaniu pożywienia dla jego żółwi.

A w szkole? Tam Eustace nie miał przyjaciół. Bez węża jako przedmiotu rozmowy, bez otoczenia lasu świadczącego o jego fachowości Eustace'owi trudno było nawiązywać kontakty z rówieśnikami. W stołówce siedział razem z innymi odmieńcami... z dziećmi opóźnionymi umysłowo, dziećmi z aparatami

ortopedycznymi na nogach i ze smutnymi dziećmi z najbiedniejszych rodzin Gastonii. Nie przyjaźnił się z nimi. Nawet nie znali swoich imion. Jedli razem codziennie, po czym odwracali z ulgą wzrok, kiedy to nie ich, tylko kogoś innego wybierano sobie jako cel do znęcania.

Chociaż, owszem, był taki jeden chłopiec. Randy Cable, nowy w Gastonii. Jego rodzice pochodzili z gór, z wiejskich terenów w Appalachach i przenieśli się stamtąd do zamożnego miasteczka, żeby szukać pracy w którymś z miejscowych zakładów. Randy nie znał tu nikogo. Pewnego dnia, w siódmej klasie, chłopiec jak zwykle bawił się sam na skraju boiska, tam, gdzie kończył się chodnik i zaczynał las. Pozostali chłopcy zajęci byli hałaśliwą grą w baseball, ale Randy nie wiedział, jak się w to gra. Kręcił się więc na skraju lasu i znalazł żółwia. Zabawiał się nim, szturchał go, kiedy podszedł do niego Eustace Conway, chudy, ciemnowłosa, poważny chłopak.

- Lubisz żółwie? - zapytał.
- Jasne - odparł Randy.
- Wiem o żółwiach wszystko. Mam ich ponad sto - powiedział Eustace.
- Niemożliwe.
- A właśnie, że możliwe. Jak do mnie przyjdiesz, to ci pokażę.

Taa, akurat, pomyślał sobie jego kolega.

Jednak przyjechał do Eustace'a po południu na rowerze i odkrył, że to prawda. W ogrodzie za domem Conwayów mieszkała ogromna zorganizowana żółwia społeczność. Nawodniony i ocieniony teren z siecią klatek i skrzynek zajęty był przez ponad setkę żółwi różnych gatunków, a Eustace, odkąd skończył sześć lat,

karmił je i zajmował się nimi zgodnie ze starannie zaplanowanym systemem rotacyjnym.

Eustace przepadał za żółwiami. Uwielbiał ich charakter, spokój, ich idealną harmonię ze światem i krzepiącą aurę długowieczności. Potrafił znaleźć żółwie wszędzie. Dostrzegał żółwia w gęstym kamuflażu zieleni, choć widać było jedynie kawałek jego skorupy wielkości paznokcia. Kilkakrotnie już w swoim krótkim życiu s ł y s z a ł żółwie. Idąc cicho przez las, był w stanie usłyszeć niemal bezgłośny świst powietrza, jaki powstaje, kiedy żółw wciąga szybko łapy i głowę pod pancerz. Wtedy zatrzymywał się, nieruchomił i rozglądał wokół, aż dostrzegł zwierzę. I rzeczywiście, parę kroków dalej, w leśnej ściółce, tkwiła mała terapia karolińska, cała schowana w skorupie.

Już jako chłopiec opracował metodę chwytania w stawach i jeziorach płochliwych żółwi malowanych. Zaczynał się w lesie na skraju zbiornika wodnego z wędką, która miała żyłkę na kołowrotku, i przyczepiał kawałek tłustego boczku. Rzucił przynętę do wody niedaleko wygrzewającego się w słońcu żółwia, po czym przeciągał nią powoli, aż zwierzę poczuło zapach boczku i zeszło do wody, by za nim podążyć. Powolutku, ostrożnie Eustace wabił żółwia do brzegu przed sobą, potem wyskakiwał spomiędzy drzew i chwycił zwierzę w siatkę, zanim przestraszone zdążyło zanurkować.

Po powrocie do domu umieszczał nowy nabytek w jednej z klatek ze sklejki, zaprojektowanych i zbudowanych przez siebie tak, by zapewnić odpowiednią dla danego gatunku ilość cienia, wody i trawy. Trzymał tam żółwie błotne, żółwie wonne, terapieny karolińskie, żółwie malowane. Karmił je skorupiakami, warzywami i robakami (wydobywanymi spod dziesiątków pni ułożonych

porządnie na tyłach ogrodu), a żółwiom było tak dobrze, że rozmnażały się mimo życia w niewoli. Trzymał też tam węże, a nawet osieroconego liska o imieniu Sputnik. (Ktoś go znalazł i przyniósł do Schiele Museum, a pan Stout dał zwierzę chłopcu). To uporządkowane królestwo pokazał owego popołudnia swojemu nowemu koledze, zwykłemu wiejskiemu chłopcu, który uznał, że to prawdziwy raj. I tak Eustace i Randy zostali kumplami.

„Dzisiaj pierwszy raz poszedłem do domu Randy'ego Cable'a - napisał Eustace w swoim dzienniku, niedługo potem. - Pokazał mi swój las i strumień, gdzie zobaczyliśmy tropy piżmaka, szopa, ptaka i kota. Pokazał mi jamę piżmaka w gliniastym brzegu. Z koszyka zbudowaliśmy pułapkę na ptaki i wrzucaliśmy do niej okruchy chleba. Użyliśmy długiego sznurka i drewnianej zapadki. Wokół spacerowało mnóstwo kosów, ale nie złapaliśmy żadnego, bo ani jeden nie wszedł do środka. Przygotowaliśmy patyki na pułapkę. Zdjąłem skórę z królika florydzkiego, żeby uszyć sobie z niej kamizelkę”.

I tak mijały miesiące i lata. Randy pamięta Eustace'a jako dziwnego i fascynującego chłopca o ogromnej wiedzy, niezwykle wrażliwego na zewnętrzny świat, w sposób zupełnie nietypowy dla dwunastolatków. Umiał się skupić na najdrobniejszych szczegółach. Na przykład spytał kiedyś Randy'ego: „Lubisz czekoladę? A chcesz wiedzieć, jak najlepiej ją jeść? Po prostu włóż kawałek pod język i niech się rozpuszcza. Dzięki temu przez długi czas czujesz jej prawdziwy smak i możesz go należycie docenić”.

Eustace miał bzik na punkcie Randy'ego i jego ojca, wychowanego w górach mężczyzny, który wiedział wszystko o polowaniu i łowieniu ryb, i o tym, jakie nadające się do jedzenia dzikie zielsko można zbierać na brzegu rzeki. Chodził do domu

Randy'ego tak często, jak tylko mógł. Randy rzadziej odwiedzał dom Conwayów. Nie było tam tak swobodnie. Pani Conway była sympatyczna, ale pana Conwaya można się było przestraszyć. Szczególnie przerażającym wydarzeniem były kolacje. Dzieci rzadko się odzywały podczas posiłku, ich mama też. Pan Conway, siedzący u szczytu stołu, był surowy i sarkastyczny, bardzo łatwo wpadał w gniew. Wydawało się, że całą uwagę skupia na Eustasie. Jeśli chłopiec zaczynał coś mówić, pan Conway wykpiwał jego gramatykę. Jeśli chłopiec wspomniał jakieś wydarzenie mijającego dnia, ojciec wyśmiewał je jako „niedorzeczną dziecinadę.” Jeśli pan Conway spytał syna, jak poszedł mu ostatni sprawdzian z matematyki, i uzyskał niezadowalającą odpowiedź, wyrzucał z siebie strumień obelg i drwin.

„Jesteś głupi - przypomina sobie Eustace słowa ojca. - Nie spotkałem jeszcze durniejszego dziecka. Nie mam pojęcia, jak mogłem spłodzić takiego durnego syna. Jaki stąd wniosek? Uważam, że jesteś nieudacznikiem i nigdy się niczego nie nauczysz”.

A potem pan Conway zachęcał młodsze dzieci, by natrzęsały się razem z nim z żalosnej głupoty swojego nic niewartego starszego brata. Co chętnie czyniły, tak jak tamci odmieniecy ze szkolnej stołówki z aparatami na nogach, którzy zawsze odczuwają ulgę, kiedy znęcają się nad kimś innym, a nie nad nimi.

Randy'ego krępowało też nieustanne zwracanie uwagi na zachowanie się przy stole. Nigdy wcześniej nie był w „porządnym” domu i nie miał okazji zetknąć się z tak sztywnymi manierami. Jeśli Eustace jadł zbyt szybko albo użył niewłaściwego sztućca, ojciec napadał na niego brutalnie za „bezsensowne i prymitywne” zachowanie przy stole. Randy denerwował się,

podnosząc widelec; w domu nigdy nie miał kłopotów z podobnych powodów. Trzydzieści lat później Randy'ego wciąż zadziwia ten nacisk, jaki pan Conway kładł na obowiązującą przy stole etykietę. „Przy naszym stole - wspomina Randy - każdy myślał tylko o sobie”.

Tak, no cóż, przy stole Eustace'a było w pewnym sensie podobnie.

Sądzę, że za decyzją, by dać swojemu pierworodnemu własne imię, kryje się wiele powodów. Z tego, co wiem, uważa się to na ogół za zwykły zwyczaj (szczególnie na amerykańskim Południu), mnie wydaje się to jednak bardziej znaczące. Niektórzy odbierają to jako próżność, a ja zastanawiam się, czy nie wyraża czegoś przeciwnego, mianowicie niepewności. Dla mnie jest to raczej wzruszające i pełne nadziei życzenie, jakby ojciec - przerażony ważnością nowego życia, nowego człowieka, nowego rywala - odmawiał krótką modlitwę, by nazwanie dziecka własnym imieniem stworzyło pomiędzy nimi pewnego rodzaju bliźniaczą więź. Nosząc to najbardziej znane ojcu imię, dziecko przestaje być kimś obcym, potencjalnym uzurpatorem. To jest tak, jakby ojciec spoglądał na nowo narodzonego syna bez lęku i oświadczał: Ty jesteś mną; ja jestem tobą.

A przecież on nie jest tobą, a ty nie jesteś nim. I dlatego w tym zwyczaju kryje się takie samo zagrożenie jak pokrzepienie.

Pełne imiona i nazwisko ojca Eustace'a brzmią: Eustace Robinson Conway III. Swojego syna nazwał Eustace Robinson Conway IV. Od samego początku używano przymiotników: Duży i Mały. Wyglądali nawet podobnie, ten Duży i Mały Eustace, z szeroko

rozstawionymi, inteligentnymi, lekko zmrużonymi brązowymi oczyma. Z początku Duży Eustace nie posiadał się z radości, że ma w domu Małego Eustace'a. Wspaniale zajmował się dzieckiem, był nim oczarowany, był dumny, był troskliwy, cierpliwy, czuły, chełpił się nim. Wciąż chciał się z nim bawić. A kiedy chłopczyk troszkę podrósł, zabierał go do lasu za rodzinnym domem i wskazując na drzewa, mówił: „Popatrz...”

Mały Eustace był bystry i pojętny, co nikogo nie dziwiło, jako że Dużego Eustace'a uznawano za geniusza. Duma starej zamożnej rodziny właścicieli ziemskich i biznesmenów z Południa, Duży Eustace był inżynierem chemikiem z doktoratem w MIT. (W szkole przeskakiwał klasy, podobnie było w college'u, tak że opuścił MIT ze stopniem doktora krótko po ukończeniu dwudziestu lat). Miał prawdziwy dar, jeśli chodzi o liczby i nauki ścisłe. Więcej niż dar, to była miłość. Przed Dużym Eustace'em analiza matematyczna odkrywała swoje tajemnice z taką samą łatwością, jak harmonia ukazuje zasady budowania akordów tym, których natura obdarzyła muzykalnością. Fizyka? Coś cudownego. Trygonometria? Sama przyjemność. Chemia? Ależ to sama lekkość, fascynacja, ekscytacja. Żył dla rozwiązywania zagadek, dla liczb, tabel i równań. Był, jak sam to z lubością określał, człowiekiem, którego „istnienie sterowane jest czystą logiką”. Czy był próżny? Być może. Jeśli tak, to tylko dlatego, że logika nakazywała być próżnym w świecie, w którym inni ludzie są istotami zabawnie beztroskimi, dokonującymi wyborów na podstawie kaprysu i emocji, zamiast na podstawie precyzyjnego rozumowania.

Eustace Robinson Conway III pomiędzy dwudziestym a

trzydziestym rokiem życia wykładał na University of South California i na North Carolina State University inżynierię chemiczną studentom niewiele od siebie młodszych. Było to dobre zajęcie, ale jemu nie podobał się ten upolityczniony świat akademicki. Praca z ludźmi zawsze sprawiała mu kłopoty. Ostatecznie porzucił nauczanie i znalazł zatrudnienie w sektorze prywatnym, w zakładach chemicznych. Tam też nie nawiązał z nikim bliższych kontaktów, ale szanowano jego intelekt i nieco się go nawet obawiano. Był współpracownik, który pamięta Dużego Eustace'a jako doktora Conwaya, przypomina sobie, jak kiedyś zadał mu pytanie dotyczące jakiegoś konkretnego wzoru chemicznego. Chcąc udzielić jasnej i dokładnej odpowiedzi, dr Conway zaczął pisać na tablicy równanie i nie przestawał pisać, tylko wciąż dodawał nowe dane. W końcu równanie zajęło całą tablicę, rozwinęło się w nowe warianty chemiczne, aż rozgorączkowanemu Conwayowi zabrakło miejsca do pisania. Zresztą w międzyczasie zdążył już zapomnieć o swoim współpracowniku.

Mówiąc szczerze, był zakochany we własnym umyśle, musiał więc z zachwytem obserwować ewolucję umysłu syna. Na pewno ekscytował go widok imiennika rozplątującego w inteligentny sposób te cudowne dylematy, jakie napotyka na swojej drodze ludzkie niemowlę. Widzicie, w jaki sposób uczy się odróżniać światło słoneczne od cienia? Widzicie, jak się stara rozróżniać twarze i przedmioty? Widzicie, jak próbuje stanąć? Jak usiłuje powiedzieć zdanie? Jak potrafi podać nazwę drzewa, kiedy pokażecie mu liść? Co za geniusz! Już niedługo będzie gotów dla rozrywki porozwiązywać zadania matematyczne!

I wtedy Mały Eustace skończył dwa lata.

Przy śniadaniu w dzień urodzin Duży Eustace dał synowi,

który wciąż jeszcze siedział w wysokim dziecięcym foteliku, prezent. Z niecierpliwością czekał, że chłopiec zacznie się nim bawić. Była to układanka. Tyle że zbyt skomplikowana dla dwulatka i Mały Eustace szybko się zniechęcił i stracił zainteresowanie. Pani Conway pamięta, że jej mąż dostał szału: „Zaczął wrzeszczeć i wymyślać synowi”. Chłopczyk, przerażony i dezorientowany, darł się na całe gardło, a kiedy jego matka próbowała interweniować, mąż ją zwymyślał, twierdząc, że rozpieszcza małego i zachęca do tego, by był tchórzem i imbecylem. Jezu Chryste! Układanka była prosta! Była oczywista! Co to za niedorozwinięte dziecko, że nie potrafi ułożyć prostej układanki?

Nie trzeba chyba mówić, że z czasem było już tylko gorzej. Dużo gorzej. Pan Conway doszedł do wniosku, że syn go prowokuje i zachowuje się jak dureń z powodu „uporu” i że tak naprawdę wymaga większej dyscypliny. W rezultacie, jak pamięta to Eustace - a matka i rodzeństwo potwierdzają - wychowanie przypominało bardziej stosunki panujące w obozie jenieckim niż prawdziwe dzieciństwo. Jeśli Mały Eustace ośmielił się dotknąć młotka z szopy z narzędziami bez pytania o pozwolenie, Duży Eustace odsyłał go do jego pokoju i trzymał tam godzinami bez jedzenia i picia. Jeśli Mały Eustace nie zdążył zjeść posiłku w wyznaczonym czasie, Duży Eustace zostawiał go przy stole w jadalni na całą noc, co oznaczało, że dziecko będzie spało na siedząco. Jeśli Mały Eustace w trakcie zabawy wyrwał kępkę trawy z ojcowskiego trawnika, dostawał lanie drewnianym wiosłem. Jeśli Mały Eustace ośmielił się kosić trawę w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara, zamiast odwrotnie, jak nakazał ojciec, czekała go kolejna awantura i kara.

Kiedy spogląda na to z perspektywy - a co zaskakujące, chętnie to teraz robi - pan Conway przyznaje, że być może popełnił błędy. Może był zbyt surowy dla syna. Jednak chodziło mu wtedy tylko o ukształtowanie doskonałego dziecka i jego gniew wynikał z gorzkich rozczarowań, jakie przeżywał z powodu niespodziewanych słabości syna.

- To ludzka rzecz - powiedział mi - uważać, że da się sterować dziećmi, ale obecnie uświadamiam sobie, że jest to zadanie niewykonalne. Najlepszym planem jest brak jakiegokolwiek planu; po prostu pozwolić im się rozwijać i stać się takimi ludźmi, jakimi mieli się stać. Nie zdawałem sobie z tego sprawy, kiedy byłem młodym ojcem. Emocjonowałem się tym, że mam syna, i wymyśliłem sobie, że potrafię pokierować Eustace'em, by był taki, jak chciałem. Okazało się jednak, że on ma te wszystkie problemy osobowościowe. A chciałem, żeby był taki jak ja!

- To znaczy? - spytałam.

- Chciałem, żeby był przynajmniej dobrym uczniem, jak ja sam kiedyś. Byłem przekonany, że co jak co, ale liczyć to już mój syn potrafi! Pracowałem z nim godzinami, usiłując nauczyć go, jak przeliczyć stos jednocentówek, ale nie mógł się tego nauczyć. Był odwrotnością tego, czego oczekiwałem. Chciałem pracować z nim nad różnymi przedsięwzięciami, ale z nim nie dało się pracować. Zawsze był dzieckiem trudnym. W ogóle go nie rozumiem. Nie rozumiemy się nawzajem.

- Czy chciałbyś czasem, żeby pomiędzy tobą a Eustace'em ułożyło się inaczej? - spytałam go przy innej okazji.

Natychmiast odparł, że czekał na to właśnie pytanie.

- Ta nieudana relacja z synem była dla mnie prawdziwym rozczarowaniem. Wciąż jest największym rozczarowaniem mojego życia. I nie wiem, co mógłbym z tym zrobić. Nie sądzę, by

istniała jakakolwiek nadzieja na dobre stosunki pomiędzy nami.

- Żadnej nadziei? Absolutnie żadnej?

- Nie wiem, czy zgodzić się z teorią, że nie dość kochałem swojego syna. Być może ludzie powiedzą, że tak było. Jednak sądzę, że bardzo go kochałem. Tak się emocjonowałem tym, że mam syna. Mówiłem ci? Nie mogłem się d o c z e k a ć jego narodzin.

Trzeba tutaj wspomnieć, że Eustace Conway także pamięta te stopy jednocentówek. Przez wiele wieczorów, godzina po godzinie, na podłodze salonu ojciec układał i rozkładał stopy monet i żądał od Eustace'a odpowiedzi dotyczących dzielenia, dodawania i mnożenia. Pamięta tę przerażającą pustkę, w którą uciekał jego umysł, oraz to, że ojciec nie pozwalał mu pójść spać i kazał siedzieć do późnej nocy z tymi koszmarnymi monetami. Pamiętał swój płacz i wrzask ojca. Upokorzenie i ustawiczne drwiny.

W reakcjach pana Conwaya na zachowanie najstarszego syna było coś dojmującego i osobistego. Jakby kiedyś wcześniej postanowił sobie nie uznać tego dziecka i doprowadził to do granicy czystego dziwactwa. Kiedy w gazecie zaczęły się ukazywać zdjęcia Eustace'a w związku z jego sukcesami na konkursach tańców indiańskich, ojciec omijał te artykuły. („Niedorzeczność, w mojej opinii - mówił - ale mnie nikt nie słucha”). Kiedy Eustace otrzymał od Smithsonian Institution narodową nagrodę przyznawaną młodym ludziom za wybitne osiągnięcia, jego ojciec nie pojawił się na uroczystości.

Pewnego roku, przed Gwiazdką, Mały Eustace za wszystkie swoje oszczędności kupił ojcu orzeszki ziemne i gumę do żucia, bo wiedział, że ojciec za tym przepada. Rano, w dzień Bożego

Narodzenia, nerwowy i przejęty wręczył ojcu prezent. Duży Eustace przyjął paczuszkę, powiedział: „Dziękuję”, po czym odłożył ją na bok i nie rozpakował.

Na domiar złego Eustace nie był dobrym uczniem. W przedszkolu radził sobie nieźle (z jego świadectwa wynika, że potrafił podskakiwać na jednej nodze, wiązać sznurowadła, zgodnie bawił się z kolegami, chętnie wykonywał polecenia i pamiętał numer telefonu do domu), ale już w pierwszej klasie szkoły otrzymywał oceny ledwie dostateczne, nie robił wielkich postępów i potrzebował, jak sugerowała nauczycielka, „więcej pomocy w domu przy odrabianiu lekcji”.

„Eustace nie wkłada dość wysiłku w pracę - informowała nauczycielka w trzeciej klasie - powinien nauczyć się na pamięć zasad dodawania”.

Cóż za zalecenie! Siedmiolatek już siedział przykuty do kuchennego stołu przez cztery wieczorne godziny, a jego ojciec zamykał drzwi, opuszczał rolety (w ten sposób oddzielając Dużego i Małego Eustace'a od reszty rodziny) i w tej prywatności wrzeszczał na syna, kiedy ten odrabiał lekcje z arytmetyki. Więcej pomocy w domu? Eustace już był dostatecznie przejęty samą szkołą, śmiertelnie przerażony zadaniami domowymi, doprowadzony do paniki cowieczornym cyklem wysiłku, niepowodzenia i kary. Nie był to ten rodzaj maltretowania dziecka, o jakich czyta się w gazetach; Eustace owi nikt nie przypalał rąk papierosem. Nie dajcie się jednak zwieść: doznał urazu psychicznego. Był tak udręczony, że jego lęk przejawiał się w konkretnej fizycznej przypadłości; przez całe dzieciństwo cierpiał na zaparcie, „zbyt przerażony, by się wysrać”.

„Dzień za dniem - wspomina Eustace - tydzień za tygodniem,

miesiąc za miesiącem, rok za rokiem było tak, jakby ojciec odcinał mi nogi. A potem odcinał te kikuty. Potem obcinał ramiona. A potem przebijał mnie mieczem”.

W domu było jeszcze troje dzieci... Walton, Martha i słodkie maleństwo, Judson. Każde z nich wyniosło inne doświadczenia, co ma sens, jeśli uznaje się teorię, że każde dziecko w rodzinie wychowuje się w innym kraju, skoro wydarzenia na przestrzeni lat tak bardzo się od siebie różnią. Młodsze dzieci nie musiały doświadczać takiej presji ze strony ojca, jaka dotknęła Eustace'a.

Wydaje się, że Judsona rozgrywający się w rodzinie dramat dotknął w najmniejszym stopniu, jak to się często zdarza w przypadku najmłodszego dziecka. Ojciec był „uparty i samolubny”, ale Judsona nie przerażał. Judson był uroczym dzieckiem, które ojciec kochał i nazywał Małym Robaczkiem. W każdym razie urodził się, kiedy ojciec już w zasadzie zrezygnował z pomysłu wychowania doskonałych dzieci, przekazał je matce i jak sam to określił, „abdykował, wycofując się do sutereny”, by tam rozpamiętywać sytuację w pełnym urazy milczeniu. Tak więc najmłodsze dziecko nie miało okazji oglądać tego najgorszego.

W rezultacie dzieciństwo Judsona było nieustannym obozem letnim, ponieważ najstarszy brat zabierał go do lasu, chodził z nim po górach i uczył go świetnych rzeczy o przyrodzie. Judson od urodzenia był specjalnym projektem Eustace'a. Brat wyciągał go z domu do lasu, gdzie było bezpieczniej. Próbował trzymać Judsona z dala od radaru Dużego Eustace'a. Była to zamierzona decyzja i Eustace pamięta, jak ją podjął. Wiedział, że jest już za późno na ratowanie Waltona i Marthy (miał uczucie, że oboje przeszli już

zafundowane im przez ojca „pranie mózgu”), ale kiedy urodził się Judson, Eustace spojrzął na niego raz i powiedział sobie: „Ten jest mój. Uratuję mu życie”. W zamian Judson uwielbiał Eustace'a, choć przyznaje: „Nigdy nie osiągnąłem tyle, ile chciał brat. Byłem leniwy. On mówił, na przykład: «Wyprawimy jelenią skórę!», a ja chciałem zostać w swoim pokoju i bawić się figurkami w Gwiezdne Wojny. Robiłem jednak wszystko, żeby tylko z nim być”.

Martha, jedyna córka, była poważną i odpowiedzialną dziewczynką. Pamięta, że jej dzieciństwo było zupełnie inne niż koleżanek... wypełnione węzami i małymi liskami, które trzeba było karmić żywymi ptakami, i długimi wyprawami z Eustace'em („hersztem”) do lasu, gdzie czekały ich niezwykle przygody. Pamięta niebezpieczeństwa, jakie zagrażały jej i braciom. Te wszystkie popołudnia spędzone nad pędzącymi jak szalone rzekami, tuż obok jadowitych pajaków i w domkach budowanych na drzewach! Obecnie ta świetnie zorganizowana i zdecydowanie opiekuńcza matka z podmiejskiego osiedla nie może pojąć, dlaczego jej i braciom pozwalano zbierać tego rodzaju doświadczenia bez najmniejszego nadzoru. Owszem, pamięta surowego ojca, ale pamięta również niekonsekwentną, wyrozumiałą matkę i kłótnie pomiędzy rodzicami na temat wychowania dzieci. („Zdecydujcie się na coś!”, miała wtedy zawsze ochotę wrzasnąć). I pamięta swojego brata Eustace'a, który zawsze „wpadał w tarapaty”, bo nie radził sobie w szkole tak, jak oczekiwał ojciec, i był „uparty”.

Walton Conway natomiast niewiele pamięta z dzieciństwa. Widzi je „niewyraźne, jak kilka maźnięć ciemną farbą”. Tylko tyle i powracający dziecięcy koszmarny sen, w którym ojciec chce zabrać go do piwnicy, przywiązać do stołu i piłą odciąć mu kończyny. I jeszcze jeden konkretny epizod, kiedy w środku nocy

rodzice się kłócą i ojciec krzyczy, że „przebije matce serce szpi- kulcem do lodu”. A także widok ojca górującego nad jego dziesię- cioletnim bratem Eustace'em, grożącego mu, że „stłucze go na kwaśne jabłko”.

Jednak zdaniem Waltona nie było tak źle, jak twierdzi Eustace. Ojciec był zdolny do czułych gestów, takich jak ocieranie łez mał- cowi ze zdartą z kolana skórą. To co w takim razie powie na tamtą straszną noc, kiedy zagroził, że ucieknie z domu, i ojciec wyłamał drzwi do jego pokoju, schwycił syna pokonującego już parapet, a potem sam wypchnął go przez okno. No cóż, trudno to nazwać w y p c h n i ę c i e m. Pan Conway nie wyrzucił z rozmysłem swo- jego małego syna z okna na pierwszym piętrze; on „tak tylko lek- ko mnie popchnął”, mówi Walton.

Nieważne. Walton zupełnie nie pamięta, żeby jego ojciec był głównym źródłem złej atmosfery i innych problemów w domu. Nie, to Eustace nim był. Eustace był stałym problemem. Nawet kiedy był mały, przez niego wszystko stawało się trudniejsze. Był nadąsany, niezadowolony, uparty i... „nie odrabiał lekcji”. Owszem, tata był humorzasty i surowy, ale można go było udo- bruchać posłuszeństwem. Dla Waltona i Marthy, którzy zawsze byli najlepszymi uczniami w klasie, rozwiązanie rodzinnych kłó- potów było całkiem oczywiste: gdyby Eustace wyróżniał się w nauce, ojciec byłby szczęśliwy. Gdyby Eustace przestał być taki uparty, tata przestałby krzyczeć na matkę i na wszystkich innych.

„Dlaczego nie uznawałeś jego autorytetu? - pytał Walton Eus- tace'a po latach. - Dlaczego się nie ugiąłeś? Dlaczego musiałeś robić wszystko po swojemu, nawet jako brzdąc, tylko po to, żeby zagrać mu na nosie? Dlaczego musiałeś mu się przeciwstawiać

i doprowadzać go do wściekłości?”

Pytany jednak o przykłady, Walton nie potrafi sobie przypomnieć ani jednej sytuacji, w której Eustace przeciwstawił się ojcu. Mimo to jest przekonany, że tak właśnie musiało być. Prawdę mówiąc, jego wizerunek Eustace'a jako uparcie rzucającego wyzwania ojcu jak równy równemu („nawet jako brzdąc”) jest tym samym obrazem, jaki maluje pan Conway, a który całe rodzeństwo Conwayów lojalnie przyjęło za własny. Koncepcja bojowego Małego Eustace'a zupełnie jednak nie pasuje do tego, co mówią ludzie, którzy w tamtych latach odwiedzili dom Conwayów. Pan Stout z Schiele Museum pamięta, że kiedy zapraszano go tam na kolacje, widział, jak mały Eustace je struchlały, w milczeniu, jak jest uległy i nerwowy i starannie unika „kontaktu wzrokowego z ojcem”.

Jedna z ciotek Eustace'a pamięta, jak pan Conway obudził czteroletniego chłopca w środku nocy i sprowadził na dół, żeby przywitał się z gośćmi, po czym zaczął maglować malca, zadając trudne pytania z matematyki. Za każdym razem, kiedy Mały Eustace się pomylił, Duży Eustace drwił z niego i upokarzał go, bo, zważcie tylko, ta słowna chłosta miała gości zabawić. I trwało to bez końca, aż chłopiec tonął w łzach, a ciotka wyszła z pokoju. Stwierdziła, że nigdy nie była świadkiem takiego sadystycznego znęcania się nad dzieckiem, i przyrzekła sobie wtedy, że więcej nie przekroczy progu domu Conwayów.

Podobnie jak pan Stout, ciotka również nie zauważyła, by Mały Eustace w którymś momencie tego koszmaru odezwał się do ojca słowami w stylu: „Wypchaj się, tato”.

Mimo to, kiedy Walton wspomina teraz, jak ojciec groził, że sflucze jego brata na kwaśne jabłko, zadaje sobie pytanie: Co

wtedy zrobił Eustace, że aż tak rozzłościł ojca? Kiedy przywołuje tamtą awanturę, podczas której ojciec groził, że przebije serce matki szpikulcem do lodu, natychmiast zakłada: Musieli znowu kłócić się o Eustace'a. A kiedy przypomina sobie, jak Eustace musiał spędzać w swoim pokoju długie godziny bez jedzenia i picia, myśli: Cóż, musiał nieźle narozrabiać.

W całej tej historii zapewne trudniej jest zrozumieć, gdzie przez cały ten czas udręki podziwiała się matka. Jak to możliwe, że Karen Conway - dawna Karen Johnson, niezłomna chłopczyca, mistrzyni konnej jazdy, świetnie radząca sobie w lesie, która w wieku dwudziestu dwóch lat sprzedała swój srebrny flet, żeby opłacić podróż na Alaskę - zmieniła się w kobietę, która nie potrafiła chronić własnego syna? Dlaczego nigdy nie osłaniała Małego Eustace'a przed Dużym?

Ona sama nie umie tego dzisiaj wyjaśnić. Przypuszczam, że takie bywają tajemnice małżeństwa i takie bywają rodzinne tragedie. Obecnie pani Conway mówi, że bała się męża. Nią też ponieważ. (Jej mąż chyba świetnie się bawił, zachęcając dzieci do drwin z matki, nazywając ją „wielkim tłustym hipopotamem”). Przyjaciele i rodzina namawiali ją do rozwodu, ale nigdy nie znalazła w sobie dość odwagi, by odejść na dłużej. Częściowo wynikało to zapewne z jej głębokiej chrześcijańskiej wiary i strachu przed grzechem śmiertelnym. A częściowo... kto wie? Kto wie, dlaczego kobiety zostają? Pamięta natomiast, że kiedy próbowała bronić syna, jeszcze bardziej rozwścieczała męża, który w rezultacie karał Małego Eustace'a jeszcze ostrzej. Zatem dość wcześnie doszła do wniosku, że lepiej będzie się nie wtrącać.

Zamiast interweniować, wymyśliła sposoby, by cichaczem synowi pomagać. Zupełnie jakby Eustace był dysydem, uwięzionym w karcerze totalitarnego więzienia, a ona sekretnie dodawała mu otuchy, przez szparę pod drzwiami lub szczeliny w murach. Czasami całkiem dosłownie przekazywała mu karteczki („Uściski od kogoś, kto w Ciebie wierzy i kto troszczy się o Twoje dobro”), a także na osobności, kiedy nikt nie widział, okazywała mu czułość. To ona dała mu swobodę eksplorowania lasów oraz podstawowe umiejętności do tego, a on nie tylko je doskonalił aż do perfekcji, ale też dzięki temu schodził z drogi tornada, jakie przecaczało się przez rodzinny dom. Dała poza tym swojemu synowi coś, co było w tym wszystkim najważniejsze: skrytą, ale nieugiętą pewność, że niezależnie od tego, co zrobi czy powie ojciec, Eustace Robinson Conway IV wyrośnie na męża opatrnościowego.

Teoria męża opatrnościowego nie była wynalazkiem Karen Conway. Przejęła ją po ojcu, C. Waltonie Johnsonie, wyjątkowym idealście. Dziadek Eustace'a po kądzieli był człowiekiem prawnym, weteranem pierwszej wojny światowej, nazywanym przez wszystkich Wodzem. Natychmiast po powrocie z wojny Wódz Johnson utworzył w Karolinie Północnej oddział amerykańskich skautów. Pragnął pracować z chłopcami ze względu na silne przekonanie - albo nie, nazwijmy to raczej sztywnym, dydaktycznym dogmatem - że dzięki odpowiednim działaniom słabi, mali chłopcy mogą się przeistoczyć w potężnych mężów opatrnościowych. Wierzył, że najlepsze warunki do takiej przemiany panują w pełnym wyzwaniu środowisku przypominającym dawne pogranicze, dawny Dzik Zachód. Jak wielu Amerykanów przed nim i po nim, niepokoiło go to, w jaki sposób zanikanie dziewiczych terenów

wpłyne na rozwój amerykańskich mężczyzn. Wódz Johnson nie zamierzał stać bezczynnie i pozwolić, by amerykańscy chłopcy niewieściami, popadali w dekadenski nastrój, rozpieszczani „zmiękczającym i ograniczającym widzeniem wpływem miasta”.

W żadnym wypadku. Nie wtedy, kiedy on jest na służbie.

Początki drużyny skautów w Karolinie Północnej były udane, jednak Wódz bardzo szybko rozczarował się programem działania, odnosząc wrażenie, że rozpłaszcza on chłopców. Dlatego w 1924 roku założył wyjątkowo rygorystyczny prywatny obóz letni na 125 akrach górskiego terenu w pobliżu Asheville. Nazwał go tak: Obóz Sekwoja dla Chłopców, Gdzie Słabi Stają się Silni, a Silni Stają się Wielcy. (Niestety, nigdzie nie zapisano, czy Słabi stali się kiedykolwiek Wielcy, ale głowę daję, że na pewno się starali). Prosił obozowiczów i kadrę instruktorską tylko o jedno: żeby nieustannie starali się uzyskać fizyczną, moralną i intelektualną doskonałość, w każdym aspekcie życia. Wtedy i tylko wtedy staną się mężczyznami opatrnościowymi.

„Każda epoka potrzebuje mężów opatrnościowych - pisał Wódz w jednym z wielu opublikowanych traktatów na ten temat - i w każdej epoce niektórzy ludzie zareagują na tę potrzebę, tak jak uczynili to Arystoteles, Galileusz i Wilson. Ludzie ci wierzyli, że są mężczyznami opatrnościowymi i przygotowywali się do podjęcia stojących przed nimi zadań. Ogarnięci byli potrzebą działania, której nie potrafili się oprzeć. Nikt nie zostanie mężem opatrnościowym, jeśli nie jest całkowicie przekonany o tym, że posiada coś, co może wnieść do współczesnego mu społeczeństwa. Zarozumiałość? Nie! Po prostu poczucie misji i odwaga, by ją wypełnić. Ten, którego wewnętrzny głos p r z e k o n u j e o tym, że ma

przed sobą misję, którą musi wypełnić, że dla tego celu się urodził, że musi i będzie działać, ten człowiek zostanie mężem opatrznosciowym”.

Wódz uważał, że najlepszym sposobem na uformowanie takich bohaterskich postaci jest zacząć od bardzo młodych ludzi, na dodatek pośród głuszy. Ostatecznie to on napisał: „Prawdziwy amerykański chłopiec odziedziczył zbyt dużo ducha pionierskości, by czuć się w mieście jak w domu”. Radził więc, by rodzice zabierali synów spod działania „emocjonalnego stresu życia” i przenosili ich do „Obozu z Celem”, gdzie „wspaniałość gór”, w połączeniu z przewodnictwem instruktorów wybranych przez dyrektora ze względu na ich „dojrzałe, zdrowe, inteligentne, odpowiedzialne podejście do przywództwa”, pomoże chłopcom wyrosnąć „zgodnie z boskimi zamierzeniami, na prawdziwych mężczyzn”.

Obóz Sekwoja nie przypominał niemieckich obozów Hitlerjugend. Wódz uważał, że żaden chłopiec w Ameryce, niezależnie jak słaby czy niedoskonały (i, co wydaje się wręcz niewiarygodne, zważywszy na epokę, niezależnie od rasy i religii), nie może być pozbawiony możliwości stania się mężem opatrznosciowym dzięki uczestnictwu w Obozie Sekwoja. Czy twój syn jest „zwykłym, zdrowym chłopcem”, już obdarzonym „doskonałą kondycją fizyczną?” To świetnie, bo wróci z Obozu Sekwoja „ze spotęgowanymi siłami”. Czy twój syn jest „nadąsanym, a czasami wrogo nastawionym bystrzakiem?” Nie wahaj się i zapisz go do Sekwoi; świeże powietrze nauczy go „konieczności popracowania nad ciałem, by dorównywało umysłowi”. Czy syn jest „potulny, nieśmiały i nie umie się zaprzyjaźniać?” Sekwoja nauczy go współżycia z innymi. Znęca się nad słabszymi? Instruktorzy nauczą go,

że wyżywanie się na innych jest „tchórzliwym i godnym pogardy zachowaniem”. Nawet jeśli twój syn jest „otyły i stanowi obiekt kpin”, powinien udać się do Obozu Sekwoja, jeśli nie po to, by uzyskać doskonałą kondycję fizyczną, to przynajmniej po to, by nauczyć się, „jak ze spokojem reagować na żarty i kpiny”.

Matka Eustace'a Conwaya była jedyną córką Wodza Johnsona. (Jest taka wspomniała fotografia Sekwoi z lat czterdziestych, gdzie wszyscy uczestnicy obozu ustawieni są w rzędach stosownie do swojego wieku. Do aparatu uśmiechają się sami prości jak świeca mężczyźni i ostrzyżeni na jeża chłopcy, z jednym wyjątkiem - pośrodku grupy siedzi mała blondyneczka w białej sukience - córka Wodza, matka Eustace'a, wówczas pięcioletnia). Karen dorastała w Obozie Sekwoja, otoczona nie tylko przez lasy i chłopców, ale także przez ideały. Kochała ojca i bardziej posłusznie niż jej dwaj bracia przyjmowała jego dogmaty. Wybrała na męża jednego z ulubionych instruktorów ojca. Zakochała się w wybitnym człowieku, młodym Eustasie Conwayu III, który z tym swoim osobistym zdyscyplinowaniem, elegancją ruchów, doktoratem z MIT i miłością do wolnego powietrza musiał się jej wydawać wcieleniem najdroższych zasad Wodza.

I choć mąż zrezygnował z marzeń o nauczaniu przyrody, kiedy wszedł do świata korporacji, ona nigdy nie utraciła swojej wiary w leśną głuszę. Zatem, kiedy urodził się jej pierwszy syn, nie miała wątpliwości, jak go wychowywać. Potrzebował swobody, wyzwań i zachęty do bohaterских czynów i miał jak najwięcej przebywać na świeżym powietrzu. To dzięki matce w wieku siedmiu lat potrafił tak celnie rzucać nożem, że przybijał pręgowca amerykańskiego do drzewa. A kiedy miał dziesięć lat, z

odległości pięćdziesięciu stóp trafiał strzałą z łuku biegnącą wie-
wiórkę. A kiedy miał dwanaście, wyprawił się do lasu, samotnie, z
gołymi rękoma, żywił tym, co dawała natura, i sklecił sobie szałas.

Podczas gdy pan Conway wyjaśniał cierpliwie małemu Eustace
owi, jaki to z niego żaloszny idiota, jego żona szła codziennie do
biblioteki i przynosiła synowi do czytania coraz większe stopy
inspirujących biografii sławnych Amerykanów. George Washing-
ton, Davy Crockett, Daniel Boone, Abraham Lincoln, Kit Carson,
John Fremont, Andrew Jackson, Geronimo, Czerwona Chmura,
Siedzący Byk... odważne, pisane bez ironii opowieści o bohater-
stwie, dzikich obszarach i o wytrwałości. To są ludzie i żywoty do
naśladowania, mówiła synowi, kiedy Duży Eustace nie słyszał.
Takim człowiekiem możesz być: mężem opatrnościowym.

Eustace brał wszystko dosłownie, nawet jako dziecko (szcze-
gólnie jako dziecko) i wchłaniał nauki płynące z tych opowieści w
tak bezpośredni sposób, jakby matka przyłożyła mu do ucha lejek
i wlewała je wprost do mózgu. Kiedy przeczytał, że młodzi in-
diańscy wojownicy sprawdzali swoją psychiczną i fizyczną wy-
trzymałość, biegnąc wiele mil przez pustynię, cały czas trzymając
w ustach wodę, ale jej nie połykając, spróbował przebiec wiele mil
przez las, robiąc to samo. Kiedy przeczytał, że ludzie pogranicza
nosili jedną parę spodni ze skóry jelenia przez całe lata, postano-
wił uszyć sobie takie i tylko w nich chodzić. Kiedy przeczytał, że
Lewis i Clark zabrali na wyprawę do wybrzeży Pacyfiku tyle sa-
mo papieru i atramentu co prowiantu i nabożów, zaczął pisać
dziennik. Kiedy przeczytał o wojowniku indiańskim z przestrzelo-
nym podczas bitwy z osadnikami kolanem, który został za nie-
przyjacielską linią i przetrwał całą zimę ukryty w rowie, przykryty

liśćmi, zjadając oblażące go gryzonie... co prawda nie dało się postąpić ściśle według takiego scenariusza, jednak Eustace odtworzył ducha opowieści, prosząc rodzinnego dentystę, by borował mu zęby bez znieczulenia. Pragnął nauczyć się znosić ból.

W szkole podstawowej przynosił codziennie do klasy kilka takich biografii bohaterów i powieści przygodowych. Czytał książkę, dopóki nauczycielka mu jej nie zabrała, wtedy brał kolejną. Kiedy i tę zabierała, zaczynał następną, a potem jeszcze jedną. Kiedy nie miał już żadnej, wyglądał przez okno i planował zainspirowane lekturą działania. Na przykład już w drugiej klasie zaczął budować sobie pięciokondygnacyjny domek na drzewie (z piwnicą i z pomostami sięgającymi do gałęzi sąsiednich drzew), wzorowany na opisie zamieszczonym w *Szwajcarskiej rodzinie Robinsonów*.

Nauczyciele nie mieli pojęcia, co robić z tym dziwnym chłopcem, który nie uważał na lekcjach. Kiedy był w piątej klasie, nauczycielka wezwała na rozmowę panią Conway. „Uważam, że Eustace nie jest w stanie się niczego nauczyć”, oświadczyła.

Było jednak za późno; chłopiec przyswoił sobie wiedzę, tyle że związaną z umiejętnościami i zasadami, które przekazała mu matka. I jeśli jej koncepcja wychowania syna stała w sprzeczności z koncepcją jej męża, to sztuka polegała na tym, by nie łączyć ich we wspólną teorię wychowawczą, ale stosować każdą oddzielnie... jedną głośno i otwarcie, drugą sekretnie i konsekwentnie. Upokorzeń doznawał od ojca tylko wieczorami i w czasie weekendów; dopieszczające wyzwania matki pojawiały się w długie swobodne dni spędzane przez chłopca w lesie. Każde z rodziców umieszczało Eustace a w centrum swojej uwagi, gdzie albo otrzymywał

najwyższe pochwały, albo doznawał poniżenia. Matka mówiła mu, że jest mężem opatrnościowym i że nie istnieją na ziemi cele zbyt wzniosłe dla niego; ojciec mówił mu, że jest do niczego.

Ponieważ był istotą biorącą wszystko dosłownie, biedak wierzył obojgu. Trudno powiedzieć, jak to możliwe, że nie pękła mu głowa od takich sprzeczności. Nie należy się jednak dziwić, że zastanawiał się, czy przypadkiem nie jest poddawany jakiemuś sadystycznemu eksperymentowi naukowemu. Może całe jego życie toczy się w jakimś wielkim laboratorium, a naukowcy, których ani nie widzi, ani nie rozumie, analizują jego reakcje. Bo jak inaczej można to wytłumaczyć? Fakt, że jednego popołudnia otrzymywał od matki przekazany ukradkiem list, w którym czytał, że jest „przystojnym, śmiałym, nieustraszonym, interesującym, kochającym synem, z którego może być dumna i za którego winna być wdzięczna”, a później, może nawet tego samego dnia, zapisywał w swoim dzienniku słowa ojca, że „nie jest bystrzejszy «od czarnucha ze slumsów». Miałem ochotę go zabić. Nie wiem, czym to się dla mnie skończy”.

Sypiał tylko po kilka godzin na dobę. Kiedy reszta rodziny kładła się spać, on siedział do drugiej, trzeciej czy czwartej nad ranem. Kończył odrabiać lekcje, co zawsze było dla niego mordęgą, poza rzadkimi przypadkami, kiedy miał okazję pisać wypracowanie na temat taki jak np. „Tipi kiedyś i teraz”. Potem drobnym maczkiem robił wpisy do swojego dziennika.

„Dzisiaj pierwszy raz w tym roku poszedłem nad jezioro Robinwood i schwytałem wielką samicę żółwia malowanego, którą zostawiłem tam w ubiegłym roku na przezimowanie”.

„Dzisiaj zobaczyłem wreszcie w terrarium wszystkie moje trzy żaby jednocześnie”.

„Dzisiaj Randy Cable złapał salamandrę albinoskę i umieścił ją w naczyniu z alkoholem”.

„Wąż zbożowy jest zadowolony ze swojej nowej klatki”.

Przeglądał dziennik, starając się obserwować własne postępy w stawaniu się wytrawnym człowiekiem lasu. Codziennie rzucał sobie trudniejsze wyzwania dotyczące życia w leśnej gęstozie, bo, jak powiedział później, „wyrosłem w kulturze i w rodzinie, które nie miały dla mnie rytuałów przejścia do dorosłości, więc musiałem sam je dla siebie wymyślać”.

Po zapiskach w dzienniku siedział jeszcze długo, obsesyjnie doskonaląc umiejętności zdobienia paciorkami i wyplatania. Czasami spędzał kilka miesięcy nad jedną parą mokasynów z jeleniej skóry i odrywał umysł od otaczającej go rzeczywistości, siedząc w przyćmionym świetle, z rozłożoną na łóżku starą książką o wyrobach Indian Prerii, odtwarzając skomplikowane wzory widoczne na obrazkach przedstawiających dawne indiańskie stroje.

Jego nieszczęsny świat dwóch skrajności wyrobił w nim szaleńczy perfekcjonizm. Należało przeżyć każdą chwilę życia bez popełniania błędów, zarówno po to, by dać ojcu mniej okazji do drwin, jak i udowodnić matce, że zasłużył na jej pochwały. Ustawił sobie niewiarygodnie wysoko poprzeczkę. (Po latach narzekał w swoim dzienniku, że nigdy nie odczuwał „bezczasowej swobody młodości”, wręcz przeciwnie, gnębiła go „wisząca nad nim nieustanna groźba niezupełności”). Nawet kiedy był sam, nawet w środku nocy, kiedy pracował skrycie nad ukochanymi indiańskimi wzorami z paciorków, musiał wykonać je doskonale, w przeciwnym razie praca nie przynosiła mu radości. Rozpruwając ściegi,

kiedy nie były idealne, i dokonując kolejnej próby, Eustace doprowadzał do doskonałości każdy rząd paciorek na mokasy-nach, aż wzorki były idealnie takie same jak u dawnych mistrzów plemienia Czejenów. W swoim pokoju przy Deerwood Drive tworzył sztukę, do której dziecko się w ogóle nie powinno zabierać. Kiedy w końcu był tym wszystkim wyczerpany, gasił światło i próbował zasnąć. Czasami, leżąc w ciemności, słuchał kłótni rodziców. Często płakał. Równie często zasypiał, przyciskając do gardła swój myśliwski nóż. To ostrze na szyi niosło ze sobą dziwne uczucie pociechy. Poczyszająca była bowiem świadomość, że jeśli sprawy potoczą się gorzej, w jednej chwili może się zabić. Ta możliwość przynosiła mu spokój niezbędny, by zapaść w sen.

ROZDZIAŁ III

Uważam, że w takim miejscu, odległym o setki mil od naszych rodzin, w dzikiej głuszy, niewielu by doświadczyło szczęścia, jakie było naszym udziałem. Często mówiłem do brata: Widzisz, jak niewiele nam trzeba, by czuć zadowolenie? Szczęście, towarzysza ukontentowania, znajdujemy raczej w sobie niż w radości czerpanej z zewnątrz.

Daniel Boone

Davy Crockett uciekł z domu, kiedy miał trzynaście lat, by zejść z oczu rozsierdzonemu ojcu. Ojciec Daniela Boone'a miał zwyczaj bić synów tak długo, aż błagali go o litość, jednak Daniel nigdy nie dał się złamać. („Nie umiesz błagać?”, pytał go ojciec). Chłopiec spędzał całe dnie samotnie w lesie, by uciec spod władzy ojca, i już w wieku piętnastu lat zasłużył na opinię jednego z najlepszych myśliwych w głuszy Pensylwanii. Odkrywca John Fremont miał pięć lat, kiedy stracił ojca. Kit Carson stracił ojca (który zginął uderzony konarem płonącego drzewa, zostawiając żonę z ośmiorgiem dzieci) i uciekł z domu, kiedy miał szesnaście lat. Traper Jim Bridger był samodzielny w wielu czternastu lat.

W tamtych czasach nie było to nic nadzwyczajnego. Szlaki jadących na Zachód krytych wozów pełne były chłopców, którzy opuszczali dom rodzinny z przeróżnych powodów... nie mniejsza ich liczba udawała się na pogranicze w przekonaniu, że najgroźniejsze nieznane jest atrakcyjniejsze od tego, co się dzieje w małej chatce gdzieś w Nowej Anglii, Wirginii czy Tennessee. W naszych książkach historycznych wiele się mówi o tym, co przyciągało młodych ludzi na pogranicze, nie byłabym jednak

zaskoczona, gdyby się okazało, że jednym z głównych czynników, który ich tam wypychał, były fatalne relacje ze stosującymi rządy twardej ręki ojcami.

Tak się już dzieje, że w każdym pokoleniu cała fala chłopców wyrwa się z domu, skłonna udać się gdziekolwiek, byle dalej od taty. Na pewno jest to dobry sposób, żeby dość szybko zaludnić jakieś puste tereny, ale nie najlepszy dla emocjonalnego życia rodzin. Eustace Conway próbował zrobić to samo... próbował uciec. Jako nastolatek przeżywał nieustanną traumę i nieustannie marzył o ucieczce.

„Tuż przed pójściem spać - napisał w swoim dzienniku, mając czternaście lat - przyszedł tata i wygłosił wykład o tym, jak powinienem się zachowywać w stosunku do innych ludzi i że dbam jedynie o siebie. Powiedział, że nikt mnie nie polubi, że dyryguję ludźmi i nic dla nikogo nie robię. Choć ucieczka jest głupotą, myślę, że w lesie byłbym szczęśliwszy. Jeśli odejdę, zrobię wszystko, by nie wrócić, nawet gdybym miał przymierać głodem. Wszystko jest lepsze od tego”.

Jednak został. Wytrzymał kolejne trzy lata. Odszedł dopiero po ukończeniu szkoły średniej. Wziął wykonane własnoręcznie tipi (starsza Indianka, która знаła wtedy Eustace'a, opisała je jako „najśliczniejszą rzecz, jaką w życiu widziała”), zabrał swój nóż, kilka książek i już go nie było.

„Mam nadzieję, że postępuję słusznie - zwierzył się swojemu dziennikowi, kiedy wyniósł się z domu rodziców - i że podążam ścieżką, która naprawdę jest dla mnie dobra”.

Lata, które nastąpiły potem, były zapewne najszczęśliwszymi w życiu Eustace'a. I najbardziej swobodnymi. Miał swoje tipi, miał motocykl i to już prawie wszystko. Żył w górach i wokół nich,

w pobliżu Gastonii. Przerobił swój motocykl, by poznać działanie silnika. Szył sobie ubrania. Jadł pokrzywy i polował na drobne zwierzęta za pomocą dmuchawy Czirokezów, używając strzałek wykonanych z patyków, puchu ostu i jelenich ścięgien. Robił miski i talerze z drewna polerowanego bobrowym tłuszczem. Robił dzbanki na wodę z gliny wykopywanej z dna strumieni, w których się kąpał. Sypiał na ziemi, na zwierzęcych skórkach. Wyplatał powrozy z kory i własnych włosów. Ciął na paski drewno dębu i wyplatał z nich kosze. Gotował na ognisku, grzał się przy nim i przez trzy lata nie dotknął zapałki.

„Moja siedziba wygląda całkiem znośnie - zapisał w dzienniku, kiedy zaprowadził porządek w swoim nowym domu. - I mam nadzieję, że poznam ją i siebie samego lepiej za sprawą stylu życia, jaki teraz przyjąłem”. Rzeczywiście, to nowe życie wymagało od niego przystosowania („W środku nocy zaczęło padać, więc niechętnie wstałem z łóżka i zamknąłem dymnik, co należało zrobić wcześniej”), niemniej Eustace Conway od razu poczuł, że żyje na tej ziemi w sposób, który był jego przeznaczeniem. „Spałem do siódmej rano - napisał po jednej z pierwszych nocy spędzonych w tipi - kiedy to słońce rozświetlające bury brezent przywołało mnie do rzeczywistości. Wstałem i umyłem twarz w źródlanej wodzie. Och, jakże moje ciało mnie kocha! Szczęśliwego dnia wam wszystkim!”

Jego tipi było znakomite... fort i świątynia, dom tak sympatycznie lekki i tymczasowy, że nie miał w sobie nic z przesadnej stabilności zwykłego domu. W kilka minut mógł je rozstawić lub złożyć. Mógł je zapakować, załadować na dach samochodu przyjaciela, podjechać do jakiejś szkoły podstawowej, złożyć ponownie na boisku, ku radości uczniów, którym miał przybliżyć tego

dnia przyrodę. Mógł zawieźć swoje tipi *na powwow*, indiański zjazd w innym stanie, na weekend tańców i bratania się z rdzennymi Amerykanami, z którymi przez te lata się zaprzyjaźnił. Mógł zostawić je w magazynie, kiedy pod wpływem kaprysu wybierał się na pieszą wędrówkę, albo mógł siedzieć w swoim tipi, ukrytym w głębi lasu, upojony świadomością, że nikt go tam nie odnajdzie.

Przez jakiś czas miał stałą pracę, ale nie trwało to długo. Udał się do Tennessee, by uczyć przyrody dzieci niepełnosprawne i z problemami, w instytucji zwanej Bodine School. Miał wspaniały kontakt z uczniami, choć sam był niewiele od nich starszy. Doskonale się z nimi porozumiewał, gorzej mu jednak szło z przełożonymi. Trzeba tutaj powiedzieć, że Eustace Conway nie przepada za pracą pod nadzorem innych. Źle to na niego wpływa. Dość szybko doszło do nieporozumień z dyrektorem, który wcześniej obiecał mu, że może mieszkać w swoim tipi na terenie kampusu, ale tę obietnicę złamał. A Eustace Conway nie przepada za ludźmi, którzy łamią obietnice.

I tak, niespokojny i poirytowany, wybrał się z wizytą do swojego znajomego, Franka, również miłośnika lasu, który chodził do college'u w Alabamie. Spędzili razem weekend. Włóczyli się po lesie, strzelali do różnych rzeczy ze staroświeckiej strzelby na czarny proch i żartowali sobie. Jednak Eustace wyczuwał, że przyjaciela coś niepokoi, i rzeczywiście, Frank przyznał, że zerwał ze swoją dziewczyną i zupełnie się pogubił... rzucił sport, naukę, a potem pracę. Nie miał najmniejszego pojęcia, co ze sobą począć. Kiedy skończył się żalić, Eustace oświadczył („a słowa po prostu wyskoczyły mi z ust jak żaba z gorącej patelni”): „Wobec tego ruszajmy na Szlak Appalachów”.

Nie miał pojęcia, co mu nagle strzeliło do głowy. Ale Frank nie miał nic przeciwko temu pomysłowi.

Eustace zadzwonił więc do dyrektora Bodine School i zrezygnował z pracy (nic wielkiego; tamten facet był palantem, który złamał dane słowo, a poza tym komu potrzebna jest posada?). Cztery dni później dwaj młodzi ludzie stali na dworcu autobusowym w Montgomery, w Alabamie, czekając na autobus, który miał ich zabrać do Bangor w Maine. Ta nagła i lekkomyślna decyzja zaskoczyła nawet jego matkę, która na ogół zachęcała go do wszelkich śmiałych przedsięwzięć.

„Twój telefon był wielkim zaskoczeniem - napisała mu w krótkim liściku, próbując złapać go jeszcze przed wyjazdem. - Mam mieszane uczucia, jeśli chodzi o zaplanowaną przez Ciebie pieszą wędrówkę. Doskonale rozumiem, dlaczego pragniesz się na nią wybrać, i zgadzam się z pozytywnymi jej aspektami, jednak z drugiej strony decyzja ta ukazuje Twoją nieumiejętność dotrzymywania danego słowa oraz nieumiejętność stawiania spraw ważnych na pierwszym miejscu”. To, co dodała potem, było nieco prowokujące (oprócz tego, że było oczywiste), ale dorzuciła te słowa zapewne dla podkreślenia własnych obaw: „Twój ojciec uważa, że jesteś playboyem i że nigdy się nie ustatkujesz, jeśli nie zaczniesz traktować życia poważnie i myśleć o swojej przyszłości. Mówi, że powinieneś więcej pracować i nie łamać zobowiązań. Nie pochwała tego zachowania!”

Cóż, trudno. Po to właśnie ludzie kończą dziewiętnaście lat.

Ich przygoda zaczęła się przygodą. Eustace i Frank kupili bilety, ale nie mogli wsiąść do autobusu, dopóki nie został rozwiązany ostatni problem. Czekali na dziewczynę, znajomą Franka, która miała przywieźć jego śpiwór, najważniejszą część ekwipunku,

a ona się spóźniała. Błagali kierowcę autobusu, żeby poczekał, ale musiał w końcu ruszyć, by trzymać się jakoś rozkładu jazdy. Chłopcy byli zrozpaczeni. I wtedy, chwilę po tym, jak autobus ruszył, pojawiła się dziewczyna ze spiworem. Frank i Eustace wskoczyli do jej samochodu i autostradą międzystanową ruszyli w pościg za autobusem. Kiedy go dogonili, Eustace powiedział dziewczynie, żeby się z nim zrównała. Trąbili i machali, ale choć pasażerowie nie mogli oderwać od nich wzroku, kierowca udawał, że ich nie widzi. Eustace Conway nie mógł pozwolić, by go ignorowano, i nie miał najmniejszego zamiaru zrezygnować ze złapania autobusu do Maine. Kazał więc dziewczynie podjechać samochodem - przy szybkości siedemdziesięciu pięciu mil na godzinę - pod okno kierowcy. Opuścił szybę, wydostał się z auta i stanął na jego dachu, jedną ręką uchwycił się relingu, drugą wymachiwał biletami i wrzeszczał na wiatr: „Wpuść nas!”

„W tym momencie - wspomina Eustace - gość doszedł do wniosku, że może lepiej będzie się zatrzymać i nas zabrać. Pasażerowie wiwatowali, a kiedy przechodziliśmy między fotelami, pewna otyła pani zawołała: «Boże! To było jak w filmie!»,,

Z Maine pojechali autostopem do Bangor, gdzie okazało się, że o tej porze roku jest za wcześnie na wędrowkę szlakiem. Strażnicy leśni ostrzegli ich, żeby nawet nie myśleli o wyprawie powyżej linii drzew, kiedy ziemia pokryta jest głębokim śniegiem i mocno skuta lodem. Oczywiście zignorowali to ostrzeżenie i następnego dnia przed świtem wyruszyli, a po południu zobaczyli bielika amerykańskiego szybującego w zimnym rozrzedzonym powietrzu. Byli w drodze na miesiąc przed wszystkimi innymi.

Nie przewidzieli tylko, że na szlaku nie znajdą jedzenia. Żadnego. Byli głodni jak wilki. Pokonywali dwadzieścia pięć do trzydziestu mil dziennie, niemal nic nie jedząc. Mieli ze sobą trochę płatków owsianych i to wszystko. Codziennie rano każdy zjadał kubek owsianki. Frank natychmiast połykał swoją porcję, po czym patrzył żałośnie na Eustace'a, który smakował każdy płatek, jakby był bezcennym kawałeczkiem czekolady. Na pierwszym etapie wędrówki właściwie nie spotkali zwierząt, na które można by zapolować; pora roku była zbyt wczesna i zwierzęta nie wspięły się jeszcze tak wysoko, co więcej, ziemia wciąż była skuta lodem i nigdzie nie rosły żadne jadalne rośliny.

Kiedy dotarli do New Hampshire, na wpół oszalali z głodu, Eustace zauważył w krzakach kilka przepiórów wirginijskich. Wyciągnął z kieszeni sznurek, zrobił pętlę, owinął sznurek wokół długiego kija i podkraść się do jednego z ptaków. Zarzucił mu pętlę na szyję, zaciągnął, błyskawicznym ruchem chwycił ptaka za głowę i ukręcił ją. Frank wrzeszczał i tańczył, wykrzykiwał, ścisnął i całował Eustace'a, podczas gdy wciąż trzepoczący skrzydłami przepiór spryskiwał krwią ubity biały śnieg. „Boże - wspomina Eustace - pożarliśmy tego ptaka w całości”. Zjedli jego mięso, zjedli mózdzek, zjedli łapy i wciąż wygłodniali schrupali wszystkie kosteczki.

Pod wpływem głodu stali się znakomitymi myśliwymi. Eustace nauczył Franka chwycić ptaki na pętlę (był wdzięczny losowi za tę umiejętność, którą wyćwiczył podczas zabaw z Randym Cable'em) i podążając na południe, wspólnie wykorzystywali możliwości, jakie dawał im szlak. Zaczęli też jeść raki i pstrągi, i jagody, pokrzywy, wszystko. Zabijali grzechotniki, rozpruwali je, żeby zobaczyć, czy nie ma w ich wnętrzu młodziutkich króliczków lub czegoś równie smakowitego; zjadali węża i to, co wąż

właśnie pożarł. Jednego dnia Eustace zabił nawet kamieniem boro-
rowiaka kanadyjskiego. Zobaczył ptaka, pomyślał sobie. Muszę
go zjeść, chwycił kamień, trafił ptaka, a potem zjadł całego,
oprócz piór.

Postanowili zostać myśliwymi i zbieraczami. Trasa była trudna
i nie najlepiej nadawała się do ćwiczenia takich umiejętności; ten
uczęszczany korytarz, Szlak Appalachów, został już tak oskubany
ze wszystkiego przez ludzi, że o jedzenie było tu trudniej niż w
jakimkolwiek innym lesie. Eustace doskonale wiedział, że z punk-
tu widzenia ekologii to bezsens, żeby każdy kolejny wędrowiec na
tym szlaku ogołacał go tak, jak on sam to teraz robił. Świadomy
tego wszystkiego i być może mając poczucie winy związane z
eksploatowaniem już i tak bardzo wyeksploatowanych terenów,
kontynuował jednak swój eksperyment. Wiedział, że w minionych
tysiącleciach ludy pierwotne pokonywały ogromne odległości,
żywiąc się jedynie tym, co znajdowały po drodze, i był przekona-
ny, że jemu i Frankowi też to się uda. Nie zmieniało to jednak
faktu, że przymierali głodem.

Jedli to, co mogli upolować, zerwać, wygrzebać, a czasami
ukraść. Kiedy dotarli do Bear Mountain Park w stanie Nowy Jork,
był akurat Czwarty Lipca i obchodzące to święto setki Portory-
kańczyków i Dominikańczyków urządziły tam sobie piknik. Eu-
stace i Frank niespodziewanie znaleźli się w eldorado. Dostali
zawrotów głowy, kiedy odkryli, że każdy pojemnik na odpadki w
parku przepełniony jest takimi wspaniałościami, jak puszki z ry-
żem i fasolą, w połowie tylko zjedzone kurczaki, popcorn i ciasta.
Przypominali szczura Templetona ze sceny na jarmarku w filmie
Pajęczyna Cbarlotty. Dwójka wszystkożerców w raj, przekrzy-
kując gorące rytmy karaibskiej muzyki, wywrzaskiwała znad

porozstawianych pojemników na śmieci: „Znalazłem całą szynkę! O, mój Boże! Bataty!”

Jednak najdziwaczniejsze pod tym względem przeżycie czekało ich w Maine, kiedy na kilka dni zeszli ze szlaku i zamieszkali w miasteczku u rodziny, która trzymała na swoim podwórku należącego do miejscowej społeczności wieprza. System działał w taki sposób, że wszyscy karmili zwierzę resztkami, a potem dzielili się jego mięsem, robiąc zapasy na zimę. Frank i Eustace dowiedzieli się o tym ciekawym zwyczaju, kiedy pani domu piekła szarlotki i poprosiła ich, żeby zanieśli łupiny jabłek wieprzowi. Na dworze Frank i Eustace popatrzyli na siebie, popatrzyli na zawartość wiadra i powiedzieli: „Pieprzyć”. Schowali się za stodołę i pochłonęli skórki. Potem ofiarowali się, że będą nosić resztki zwierzęciu. Do dzisiaj, wspominając tę przygodę, podkreślają, że mieszkańcy miasteczka w Maine wyrzucali mnóstwo dobrego jedzenia i że ten ich wspólny, dorodny wieprz na pewno nie przybrał na wadze w czasie, kiedy przebywali tam Eustace Conway i Frank Chambless.

Ich podróż okazała się pod każdym względem sukcesem. Wędrówka, radość, nowości, wyzwania i świętowanie... dzień za dniem. Frank i Eustace odkryli, że wszystko to wspomaga wzajemne zrozumienie, silne poczucie braterstwa. Mieli takie same poglądy na przyrodę i na to, co jest nie tak z Ameryką, i obaj pasjonowali się kulturą i wiedzą rdzennych Amerykanów. Eustace mógł rozmawiać z Frankiem o swoich problemach z ojcem, a Frank z Eustace'em o problemach ze swoim ojcem i o uczuciach do swojej dziewczyny, Lori. Obu młodych mężczyzn charakteryzowała powaga i szczerść, nie było w nich cynizmu, obojętności ani chłodu, tak częstych w ich pokoleniu. Obaj byli bezwstydnie wręcz szczerzy wobec siebie.

Nie krępowali się nawet rozmawiać o Bogu. Wychowali się w domach baptystów z Południa, dla których pobożność i prawowierność były wartościami oczywistymi. Dziadek Eustace a, Wódz Johnson, był nieugiętym chrześcijaninem, człowiekiem ślepo posłusznym zasadom moralnym, a matka Eustace'a starała się przekazać te przekonania swojemu pierworodnemu. Eustace jako dziecko wyróżniał się w kościele. Wyróżniał się w szkółce niedzielnej... bystry, dociekliwy, uważny. Zawsze był wielkim fanem Jezusa Chrystusa. Ogromne wrażenie robiła na nim scena, w której Jezus przepędza ze świątyni przekupniów i tych, co wymieniali pieniądze, i „wywraca te wszystkie pieprzone stoliki”, a szczególnie podobał mu się kawałek, w którym Zbawca udaje się na pustynię, by tam szukać odpowiedzi na ważne pytania.

Dorastając, był coraz bardziej rozczarowany zgromadzeniem i duchowym przewodnictwem swojego Kościoła. Wszędzie wyczuwał nieszczerłość i oszustwo. Każdej niedzieli siedział pomiędzy rodzicami, kiedy ci z opuszczonymi głowami słuchali kazania. Z każdym tygodniem ze smutkiem odkrywał, że to tylko poza i że istnieje ogromny rozdział pomiędzy publicznym wizerunkiem świętości rodziny a rzeczywistością rodzinnej niezgody... szalony rozdźwięk, który w każdą niedzielę odkładany jest do tajemnego schowka, żeby nie niepokoić sąsiadów. Wkrótce zaczął spoglądać na inne siedzące w ławkach i pozornie święte rodziny, wszystkich elegancko odzianych, z pochylonymi głowami, i zastanawiał się, jakie okropności kryją się za wyśpiewywanymi przez nich hymnami.

Coraz bardziej nie zgadzał się z chrześcijańskim cyklem módl się-grzesz-żałuj za grzechy-módl się-grzesz-żałuj za grzechy-módl się-grzesz-żałuj za grzechy. Wydawało mu się oczywiste, że to nic

innego jak moralny wykręt, i to do potęgi. Grzeszysz; natychmiast jest ci to wybaczone; idziesz i grzeszysz jeszcze więcej, uzbrojony w wiedzę, że znowu zostanie ci odpuszczone. Stwierdził, że to głupie, nieprzekonujące i tandetne. A tak w ogóle, skąd założenie, że ludzie muszą grzeszyć? Skoro tak bardzo kochają Biblię, myślał sobie Eustace, dlaczego po prostu nie posłuchają jasnych i klarownych poleceń w niej zawartych i nie przestaną kłamać, oszukiwać, kraść, mordować i się łajdaczyć? Ile razy trzeba przeczytać te cholerne Dziesięć Przykazań, nim się je pojmie? Przestańcie grzeszyć! Żyćcie tak, jak uczono was żyć! Wtedy nie będziecie musieli co niedziela biegać do kościoła, klękać i płakać, i żałować za grzechy. I będziecie mieli o wiele więcej czasu, który możecie spędzić w lesie, gdzie, jak wierzył, „można znaleźć wyłącznie prawdę... gdzie nie ma żadnych kłamstw, żadnych oszustw, złudzeń, hipokryzji. To jedyne prawdziwe miejsce, gdzie wszystkie żywe istoty podlegają idealnym prawom, które nigdy się nie zmieniły i nigdy nie zmienią”.

Oczywiście, zważywszy na jego skłonności i siłę woli, nie trwało długo, nim odmówił chodzenia do kościoła i zaczął szukać odpowiedzi na własną rękę. Jako nastolatek przestudiował wszystkie religie, zatrzymując te nauki wynikające z chrześcijaństwa, które mu odpowiadały, i dodając fragmenty innych wiar. Inspirowało go ekstatyczne wysławianie miłości przez starożytnych sufickich mistyków, a uważny perfekcjonista w jego wnętrzu reagował instynktownie na podstawową zasadę buddyzmu... że oświecenie można uzyskać jedynie poprzez nieustanną uwagę. Podobała mu się taoistyczna koncepcja, zgodnie z którą ludzie powinni być niczym woda i opływać twarde powierzchnie, zmieniając kształty, by dopasować je do kształtów przyrody, i cierpliwie drążyć kamień. Podobały mu się duchowe nauki wschodnich

sztuk walki, te o uginaniu się wobec agresji innych i pozwalaniu, by robili sobie krzywdę, nie krzywdząc nas.

Niemal w każdej religii znalazł coś wartego zachowania dla siebie i potrafił rozmawiać o Bogu z każdym (z mormonami, świadkami Jehowy, z przedstawicielami Hare Kriszna na dworcach lotniczych). Jednak najmocniej reagował na duchowość Indian, rdzennych mieszkańców Ameryki. Miał z nią do czynienia dzięki ich lokalnym indiańskim przywódcom, których spotykał w Schiele Museum, i dzięki studiowaniu antropologii. W całości akceptował koncepcję, że Boga - to znaczy, boskość - można znaleźć w każdej żyjącej na Ziemi istocie i że na ziemi wszystko jest żyjącymi istotami. Nie tylko zwierzęta, ale również drzewa i powietrze, a nawet twarde kamienie, wszystko to jest odwieczne i niezbędne.

W tym właśnie miejscu był punkt styczny wiary Eustace'a i wiary jego towarzysza ze Szlaku Appalachów: że Boga można odnaleźć jedynie w przyrodzie. To oczywiście był powód, dla którego w ogóle znaleźli się na tym szlaku - by łatwiej odnaleźć boskość w samych sobie i w świecie. I w ogóle nie krępowała ich cowieczorna rozmowa o boskości. Ani palenie ręcznie wykonanych indiańskich fajek i modlitwa, połączona z przekonaniem, że fajka jest nośnikiem modlitwy, a dym jedynie świętym wizerunkiem tego, co oferują wszechświatowi. Wiedzieli, że ktoś mógłby postrzegać dwóch białych facetów modlących się za pomocą indiańskiej fajki jako coś durnego czy nawet obraźliwego, jednak Eustace i Frank nie bawili się w Indian... obaj znajdowali się na krawędzi dorosłości, żyli w najbardziej szczerzy sposób, w jaki tylko umieli, wspólnie stawiając czoło codziennym odkryciom i wyzwaniom.

I wtedy, w Pensylwanii Eustace Conway spotkał dziewczynę.

Nazywała się Donna Henry, była dziewiętnastoletnią studentką z Pittsburgha. Trafili na siebie z Eustace'em podczas pokonywania ostatniego odcinka szlaku. Donna wędrowała z ciotką i kuzynką. Weekendowa wyprawa się nie udała, ponieważ jej obie towarzyszki mało, że okazały się zupełnie bez formy, to jeszcze nie miały siły, by dźwigać przeładowane plecaki. Tak więc w momencie spotkania Donna wcale nie wędrowała, tylko siedziała na skraju szlaku, bo jej krewne zażądały odpoczynku. Tkwiła bezczynnie, starając się nie słyszeć, jak ciotka i kuzynka narzekają na bolące stopy i plecy. I wtedy pojawił się Eustace Conway.

Na tym etapie zaczął się już pozbywać wszystkiego, co uznał za bezużyteczne. Kiedy tak sunął na południe i był coraz bliżej Georgii, w końcu zmęczyło go noszenie różnych rzeczy, wobec czego - działając zgodnie ze starą, ulubioną zasadą, „im więcej wiesz, tym mniej potrzebujesz” - powoli pozbył się wszystkiego poza śpiworem, nożem, kawałkiem sznura i małym garnkiem. Zrzucił nawet kolejne części odzienia. Pokonywał ostatnie mile, nosząc jedynie dwie związane ze sobą bandany zakrywające przyrodzenie. Nie zachował nawet kurtki dla ochrony przed zimnem. Póki maszerował, nie odczuwał chłodu; kiedy nie maszerował, spał. Kiedy padał deszcz, okrywał się workiem na śmieci. Kiedy znużył go marsz (nawet taki, który pozwalał pokonać trzydzieści mil dziennie), ruszał biegiem.

Taka właśnie zjawa wyrosła tamtego dnia na szlaku przed Donną Henry; szczupłe, opalone, zarośnięte, półdzikie stworzenie, niemal nagie, w tenisówkach, pędzące przez las niczym kojot.

Był chudy, bez wątpienia, ale muskularny. I miał niesamowitą twarz. Przestał biec, kiedy zobaczył Donnę. Powiedziała: „Cześć”. Eustace powiedział: „Cześć”. Potem obdarzył ją tym swoim pięknym uśmiechem, a Donna poczuła, jak ciotka, kuzynka i ciężki plecak roztapiają się i znikają w blasku tego uśmiechu, zastąpione pewnością, że od tej chwili jej życie nie będzie już takie samo.

Mam taki zwyczaj, że zastanawiam się nad życiem seksualnym każdej osoby, którą napotkam. Nazwijcie to hobby, nazwijcie zboczeniem... nie zamierzam się bronić. Po prostu stwierdzam fakt. Muszę przyznać, że spędziłam wiele miesięcy, przyglądając się Eustace'owi Conwayowi, nim dopuściłam do siebie myśl, że on także może być istotą cielesną. Szczególnie w porównaniu z bratem, Judsonem, który jest wyłącznie istotą cielesną, Eustace w jakiś sposób zdawał się wznosić ponad takie przyziemne bzdury. Jakby zupełnie nie były mu potrzebne.

Kiedy pierwszy raz zobaczyłam obydwu braci razem, dostrzegłam między nimi ogromny kontrast. W barze East Village Judson flirtował i tańczył z każdą dziewczyną, która pojawiała się w zasięgu jego wzroku, Eustace natomiast siedział wyprostowany w kącie i opowiadał mi z powagą o przyjemności, jaką jest picie wody wprost z ziemi, i o tym, jak promienie słońca przesączające się przez zielone listowie Appalachów zmieniają chemię naszego ciała, i o tym, że tylko ci, którzy żyją w takiej głuszy, potrafią rozpoznać zasadniczą prawdę istnienia: że śmierć żyje obok nas przez cały czas, tak bliska i istotna jak samo życie i że tej rzeczywistości nie trzeba się lękać, ale traktować ją jako świętą prawdę, którą należy wysławiać.

Jestem nauczycielem wszystkich ludzi - zdawał się mówić, kiedy wynurzał się powoli ze swojego świata i unosił nad naszym - trzeba mi ufać i należy mnie naśladować, ale nie trzeba mi obciążać...

I na dokładkę kąpie się w lodowatych strumieniach, zatem cały ten problem związany z libido trudno sobie wyobrazić. Niemniej - i to właśnie mnie poruszyło - Eustace Conway prezentował się jako epicki amerykański bohater, a koncepcja romantycznej czy cielesnej miłości jest czymś, co w ogóle nie istnieje w klasycznej amerykańskiej męskiej epice.

Jak zauważył Leslie Fielder w swojej wpływowej pracy *Love and Death in the American Novel*, tylko w naszej amerykańskiej kulturze, jako jedynej w znanym świecie, nigdy nie uważało się romantycznej miłości za święty nakaz. Reszta świata ma Don Juana; my mamy Paula Bunyana. W *Moby Dicku* nie ma historii miłosnej; Huckleberry Finn nie łąduje na końcu z dziewczyną; Johnowi Wayne'owi nie przyszłoby do głowy zrezygnować z konia na rzecz ograniczeń, jakie niesie ze sobą małżeństwo; a Cholerny Davy Crockett nie chodzi na randki.

Niezależnie od tego, jakie konflikty ci mężczyźni przeżywają i jakiej ewolucji podlegają, dzieje się to w towarzystwie ich jedynej prawdziwej miłości, przyrody, i robią to samodzielnie albo z zaufanym pomagierem, mężczyzną. Kobiety są po to, by je ratować z opresji i pozdrawiać dotknięciem róna kapelusza, kiedy odjeżdża się, bez nich, w stronę zachodzącego słońca. Czasami prowadzi to do czegoś dziwnego: otóż w większości literatury światowej przedstawia się kobiety jako istoty strzegące swojego świętego dziewictwa, w amerykańskich heroicznym opowieściach natomiast mężczyźni równie często i równie uparcie zachowują czystość.

Rozważcie tylko jako podręcznikowy przykład *Pogromcę Zwierząt* Jamesa Fenimore'a Coopera. Przystojny, mądry, dzielny i do wzięcia Natty Bumppo nie żeni się, bo gdyby to uczynił, musiałby opuścić swój świat doskonałej samotności na skraju pogranicza, gdzie zawsze jest wolny. Pogromca Zwierząt nie tylko się nie żeni; wydaje się, że w ogóle nie lubi dziewcząt. Kiedy oszałamiająco piękna i pełna wigoru brunetka, Judith Hutter, praktycznie sama wpada mu w ramiona, on uprzejmie odrzuca jej awanse, chociaż bardzo długo przebywał w górach pozbawiony towarzystwa kobiet. Owszem, oświadczając, że zawsze będzie ją szanował i zawsze, jeśli zajdzie taka potrzeba, zgłosi się, by ją ratować.

Oczywiście Judith zupełnie tego nie pojmuje. Jakim nieodgadnionym człowiekiem jest ten dziki, odziany w jelenie skóry bohater! Zupełnie niepodobny do urodzonych w dużym mieście, pełnych fantazji kapitanów gwardii, którzy mieszkają w pobliskich koszarach i którzy uwielbiają taniec i flirty! Proponuje nawet, że na zawsze zamieszka z Nattym w lesie, z dala od wygod cywilizacji, mimo to on wciąż ją odrzuca. Czy Pogromca Zwierząt nigdy nie zaznał miłości? „Gdzie zatem jest t w o j a ukochana, Pogromco Zwierząt?”, pyta Judith, chcąc zrozumieć sytuację. „Jest w tym lesie, Judith - odpowiada Pogromca Zwierząt (w mowie, która stanowi przykład nie tylko stosunku epickiego Amerykanina do kobiet i środowiska, ale również przykład kiepskiej literatury) - zwiesza się z konarów drzew, jest w łagodnym deszczu - w rosie na źdźbłach falujących traw - w chmurach, które płyną po błękitnym niebie - w ptakach, które śpiewają w lasach - w słodkich źródłach, gdzie gaszę pragnienie - i we wszystkich innych wspaniałych darach boskiej opatrności!” „Chcesz powiedzieć, że nie

kochałeś dotąd żadnej przedstawicielki mojej płci, a kochasz tylko swoje ulubione miejsca i własny sposób życia?”, pyta Judith. (Kobiety w tych powieściach bywają może nieco tępe, ale za to bardzo pomocne, jeśli chodzi o wyjaśnianie spraw). „Tak jest... tak jest. Właśnie tak... właśnie tak”, odpowiada Pogromca Zwierząt.

I tak oto odsyła piękną Judith, by ugasiła swoje pragnienie u słodkiego źródła jakiegoś innego faceta.

No tak. Jestem nieźle odczytana i ogromnie podatna na wpływy. Kto więc mógłby mnie winić, że na pierwszy rzut oka Eustace Conway wydał mi się takim samym mężczyzną jak Natty Bumppo, Pogromca Zwierząt? Nawet podobnie wyglądają („około sześciu stóp wzrostu, w mokasynach, o stosunkowo drobnej posturze, jednak wyraźnie umięśniony, co wskazuje na niezwykłą zwinność”) i podobnie się ubierają. I pamiętajmy, że Eustace pisywał do mnie listy pełne takich seksownych - acz niewinnych - wiadomości jak: „Świt zastał mnie, gdy z obsypanego dojrzałymi wiśniami drzewa spoglądałem w dół, na swojego osiodłanego wierzchowca - usta i ręce pełne owoców - a jeszcze tyle ich zostało”. Tak, łono przyrody na pewno jest jedyną miłością Eustace'a, a boska Opatrzność jego jedyną potrzebą.

Cóż, myliłam się.

Zatem w 1981 roku drogi Eustace'a Conwaya i Donny Henry przecięły się na Szlaku Appalachów. Donna, zdrowa, przyjacielska i w najwyższym stopniu słodka, wpadła Eustace'owi w oko i vice versa. Najpierw było pozdrowienie, potem uśmiech. Donna nie wiedziała, dlaczego on jest ubrany w dwie chusty, jednak zafascynowana z punktu zaoferowała mu żywność. Motywem nakarmienia młodego człowieka była po części chęć zatrzymania go

nieco dłużej, jako że od razu wzbudził jej zainteresowanie, po części natomiast chęć zmniejszenia ciężaru plecaków mazgajowej ciotki i jęczącej kuzynki. Wszystko, co tylko mu dała, Eustace zjadł. Jego możliwości wydawały się pod tym względem nieograniczone, zupełnie jakby przymierał głodem. Co akurat było prawdą.

Kiedy powiedział, że musi napełnić wodą manierkę, Donna rzuciła: „Ja też!”, i pomaszerowali razem do pobliskiego strumienia, a w drodze on opowiadał jej o swoich przygodach podczas wędrówki. Przejęta Donna Henry zaprosiła go, by został z nią i z jej towarzyszkami na kolacji. I znowu objadł je solidnie, przez cały czas opowiadając o swoich śmiałych eskapadach, o swoim tipi i o prymitywnym stylu życia.

Donna powiedziała, że może tej nocy zostać na biwak razem z nimi. Przyjął zaproszenie, a kiedy zrobiło się całkiem ciemno i ognisko przygasło, Eustace wślizgnął się do namiotu Donny i przytulił swoje długie, szczupłe ciało do jej ciała. I dziewczyna była stracona.

Nazajutrz, już oficjalnie zakochana, Donna posłała ciotkę i kuzynkę z całym sprzętem w dół szlaku, a sama pokonała następne dwadzieścia pięć mil razem z Eustace'em. Była w świetnej kondycji - całe poprzednie lato przewędrowała z kolegami z college'u - więc nie sprawiało jej kłopotu dotrzymanie mu kroku. Rozmawiali i maszerowali, i jedli jagody prosto z krzaków, a Eustace uczył ją czegoś o każdej napotkanej roślinie i skale, i gałązce.

Na końcu tego wędrowania Donna musiała wracać do swojego prawdziwego życia w Pittsburghu, ale wcale nie miała ochoty odejść. Eustace powiedział jej, że tworzą dobry zespół, i ona się z tym zgodziła... jeszcze jaki! I moment okazał się odpowiedni, jako

że Eustace właśnie miał stracić swojego partnera ze szlaku. Frank Chambless wycofywał się, bo bardzo tęsknił za swoją dziewczyną i czuł, że teraz ich miłość ma szansę, jeśli tylko uda mu się wyrwać z tej wędrówki i poświęcić całą energię pojednaniu z nią. Eustace rozumiał przyjaciela i przyjął jego szczerze przeprosiny za to, że się wycofuje. Bardzo jednak żałował, że traci towarzysza podróży, kiedy do końca wędrówki pozostało jeszcze 1000 mil. Kiedy zatem zobaczył, jakim dobrym piechurem (by już nie wspomnieć, jak czarującą towarzyszką w namiocie) jest Donna, Eustace miał moment natchnienia. Zapytał ją, czy nie zechciałaby spotkać się z nim za kilka tygodni w Wirginii i podjąć wspólnej wędrówki. Była zachwycona. W tamtym momencie Donna Henry z chęcią zgodziłaby się powędrować do Islamabadu, żeby znowu zobaczyć Eustace'a Conwaya.

Kilka tygodni później w środku nocy wsiadła do autobusu z plecakiem i śpiworem i wyruszyła na południe, żeby się z nim spotkać. Matka była na nią tak wściekła za to, że pod wpływem kaprysu ucieka z jakimś chudzielcem odzianym w chusty, że nawet nie chciała się z nią pożegnać.

No cóż, mówi się trudno. Po to ludzie mają dziewiętnaście lat.

A oto, jak Donna wyobrażała sobie wędrówkę Szlakiem Appalachów z Eustace'em Conwayem: jeszcze więcej rozmów i marszu, i zbierania jagód, i obserwacji przyrody, i tak dalej, przez resztę czasu. I rzeczywiście pierwszego dnia wędrówki Eustace trzymał się jej boku i nauczył ją wielu rzeczy o drzewach i kwiatkach. Jednak już drugiego ranka wspólnej wędrówki obudził się wcześniej i oświadczył: „Dzisiaj ruszam przed tobą. Muszę pokonać trzydzieści mil. Spotkamy się w miejscu biwakowania na kolacji”. I to był koniec wspólnej wędrówki. Nie widziała go w ogóle

na szlaku. On wyruszał o świcie, a ona jakiś czas po nim. Kontaktował się z nią za pomocą karteczek z uwagami, które zostawiał na ścieżce: „Donna - 20 stóp w dół, po lewej stronie jest woda. To dobre miejsce na odpoczynek.” Albo: „Wiem, że to trudne podejście - idzie ci świetnie!”

Codziennie późnym wieczorem doganiała go na biwaku, który już dla nich obojga przygotował. Zjadali to, co udało się wygrzebać, zebrać lub upolować, i zasypiali. Czasami Eustace przesiadywał do późnej nocy, opowiadając o swoich marzeniach przemiany świata, czego ona uwielbiała słuchać. Donna była najszcześliwsza w tych właśnie chwilach i jeszcze wtedy, kiedy Eustace oświadczał z dumą, że jest jego „małą, nieugiętą Włoszką”.

Wszystkie te sprawy związane z przyrodą były dla Donny zupełnie nowe (kiedyś, gdy mijali stado bydła na górskim pastwisku, spytała: „To są krowy czy konie?”), ale była otwarta na wizję i chętna. Pewnego dnia po przejściu dwudziestu pięciu mil, kiedy jedli kolację, słońce właśnie zachodziło i niebo wyglądało pięknie. Donna powiedziała: „Hej, Eustace, pobiegnijmy na tamten szczyt i popatrzmy na zachód słońca!” Po przejściu dwudziestu pięciu mil! Dziewczyna miała, jak zresztą on sam często jej mówił, „mięśnie jak wyrzeźbione w kamieniu” i była niezawodną towarzyszką, gotową zrobić wszystko, by dotrzymać kroku swojemu mężczyźnie. Co więcej, Donna wierzyła w każde marzenie Conwaya i pragnęła mu pomóc w ich osiągnięciu. Inspirował ją i dodawał jej sił. Kiedy przychodził ranek, on wyruszał na szlak, a ona znowu szła za nim, bez wahania i bez pytań... i to, jak mówi obecnie Donna, „było dla tego związku symboliczne”.

„Po prostu natychmiast zaskoczyłam - wspomina. - Ciągnęła mnie jakaś magnetyczna siła, kiedy tak szłam za nim dwadzieścia

pięć, trzydzieści mil dziennie. Byłam szczupłą, sprawna i zawzięta, by pokazać, że potrafię dotrzymać mu kroku. Byłam po uszy zakochana. Poszłabym za nim na koniec świata”.

Kiedy Eustace Conway myśli o wędrownicy Szlakiem Appalachów, to oczyma wyobraźni nie widzi ani Donny Henry, ani Franka Chamblessa. Choć bez wahania przyznaje, że oboje świetnie marszerowali i nigdy nie narzekali, to jednak te cudowne miesiące w lesie kojarzą mu się głównie z nim samym. Wreszcie... sam. Z dała od rodzinnego domu i z dała od ojcowskiej kurateli, ostatecznie nie pan samego siebie.

Pamięta, jak podczas marszu stopy bolały go tak bardzo, że łzy spływały mu po twarzy, ale nie przerywał wędrownicy, bo już jako dziecko, niczym indiański wojownik, nauczył się znosić ból fizyczny. Pamięta chwile, kiedy był tak odwodniony, że miał mroczki przed oczyma. Pamięta, jak dotarł do miasteczka Pearisburg w Wirginii. Leży tuż przy samym szlaku i jest tam schronisko i sklep wielobranżowy. Od tak dawna cierpiał nieznośny głód, że postanowił - a co tam - zafundować sobie posiłek. Prawdziwy posiłek, za który płaci się amerykańską walutą, a nie jakiś posiłek adepta sztuki przetrwania złożony z przetrawionego w połowie króliczka wyciągniętego z żołądka grzechotnika. A oto, co zrobił:

„Kupiłem najbardziej dojrzały, największy i najpiękniejszy melon, jaki sobie można wyobrazić. Paletę jajek, to znaczy, trzydzieści sztuk. To nie były małe jajka. Nie były średnie. Nie były duże. Były b a r d z o duże. Bochenek najbardziej pożywnego chleba pszennego, jaki mogłem znaleźć. Galon mleka i pojemnik jogurtu. Kupiłem paczkę margaryny, kostkę sera i jedną wielką

cebulę. Potem poszedłem do kuchni w schronisku, usmażyłem cebulę na margarynie i zrobiłem z jajek jeden ogromny omlet, który wypełniłem połową sera. Zjadłem to. Potem z każdej kromki chleba zrobiłem grzankę i posypałem każdą grzankę startym serem. Wypiłem galon mleka. Na końcu zjadłem jogurt. A na końcu zjadłem ten piękny dojrzały melon. Kiedy nic nie zostało, wcale nie czułem się obżarty. Tylko po raz pierwszy od miesiący usatysfakcjonowany. Czułem, że owszem, teraz mam wreszcie dość jedzenia”.

Pamięta inny długi dzień w Wirginii, kiedy szedł do późnej nocy, żeby pokonać wyznaczoną przez siebie odległość, i wędrował ciemną wiejską drogą w typowo wiejskiej okolicy. Był piątek wieczór, więc miejscowi jeździli swoimi pick-upami, słuchali muzyki, pili i wybierali się na imprezy. Zatrzymywali się, żeby sprawdzić, co takiego Eustace szykuje.

- Podwieźć cię, synu? - pytali poczciwi starsi faceci.
- Nie, dzięki - odpowiadał Eustace.
- Skąd idziesz?
- Z Maine.

Nie zrobiło to na nich większego wrażenia.

- A dokąd?
- Do Georgii - odpowiedział Eustace i wtedy dopiero ich zatkąło.

- Ten cholerny dureń idzie na piechotę aż do samej Georgii!

Najwyraźniej o Maine nigdy w życiu nie słyszeli.

Potem, pełni współczucia, dali mu piwo i odjechali. Eustace szedł po ciemku dalej, popijał piwo, nucił sobie pod nosem i słuchał śpiewu nocnych wirginijskich owadów. Mniej więcej w tym czasie, kiedy skończył piwo, nadjechał kolejny pick-up.

- Podwieźć cię, synu?

I nastąpiła powtórka rozmowy, słowo w słowo, aż do końcowej odzywki. „Ten cholerny dureń idzie na piechotę aż do samej Georgii!”

Eustace zakończył wędrówkę szlakiem we wrześniu 1981 roku, w okolicach swoich dwudziestych urodzin. Cała droga zabrała mu cztery i pół miesiąca. Napisał sam do siebie list gratulacyjny... - dramatyczny list, jaki mężczyzna może napisać wyłącznie z okazji swoich dwudziestych urodzin, jest tam duma, powaga i zdumienie wielkością własnego wyczynu.

Słońce zaszło za górskie grzbiety i cienie w lesie rozpoczynają swoją grę. To ostatni wieczór na Szlaku Appalachów, „długiej podróży od zawsze i w wieczność”. Wyruszyłem tak dawno temu, że wydaje mi się to niewyraźnym snem. Zmienił się mój sposób bycia. Stałem się mężczyzną. Jak Indianin przyjąłem nowe imię... Ścigający Orły. Aspiruję bowiem do najwyższych celów i zasad tego króla skrzydlatych istot. Mogę opowiedzieć wiele historii. Widziałem wiele miejsc. Widziałem wielu ludzi, wszyscy byli różni od siebie, ale w większości dobrzy. Nauczyłem się często modlić i przyjąłem wiele darów od Najświętszego Ofiarodawcy. Wierzę, że Bóg pomógł mi zaplanować tę podróż, zanim jeszcze o niej pomyślałem... Mój powód, by pokonać ten szlak, był na początku dość prosty, ale wraz z upływem czasu i moim rosnącym doświadczeniem nabierał głębi. Pierwotnie pragnąłem się znaleźć blisko natury w porządnym całościowym sposobie, a potem dowiedzieć się więcej o samym sobie. Uważam, że osiągnąłem oba te cele. Jestem bardzo zadowolony. Chciałbym, by światło dnia pozwoliło mi zapisać więcej myśli, ale nadchodzi pełna noc i cienie przestają być

widoczne. Zwierzęta nocne wyszły z ukrycia, a ja muszę podążać naprzód cyklem mojego wyboru.

Eustace R. Conway

I rzeczywiście podążał cyklem swojego wyboru. Każda inna wyprawa i wszelkie inne osiągnięcia w jego życiu wyrosły z tej właśnie wędrówki. Na przykład kiedy kilka miesięcy później Eustace siedział przy piknikowym stole w Karolinie Północnej, zajęty oprawianiem szopa, podszedł do niego jakiś mężczyzna.

- Eustace Conway, prawda? - zapytał. - Ostatni raz widziałem cię na Szlaku Appalachów, kiedy ściągałeś skórę zwęża. Pamiętam, że rozmawialiśmy o przygodach pośród dzikiej przyrody.

Mężczyzna przedstawił się jako Alan York, a potem chwilę porozmawiali.

- Hej - powiedział w którymś momencie Alan - wybierzmy się na wspólną wędrówkę przez Alaskę.

- Nie sądzę, by dało się przewędrować pieszo Alaskę - odparł Eustace - ale jestem pewien, że można ją przepłynąć kajakiem.

I tak zrobili. Eustace i Alan przemierzali ten stan, walcząc z lodowatymi, gwałtownymi falami, unosząc się tuż nad śledziami, łososiami, wodorostami i wielorybami.

A potem, dlaczego nie dotrzeć do meksykańskiej wsi, żeby nauczyć się tamtejszego garncarstwa i taktwa? I ta udana wyprawa do Meksyku dała przedsiębiorczemu młodzieńcowi pewność siebie, która pozwoliła mu polecieć do Gwatemali, wysiąść z samolotu i zapytać: „Gdzie są ci ludzie pierwotni?” Jednak wszystko zaczęło się od Szlaku Appalachów. Kiedy Eustace myśli o tym,

jak mając dziewiętnaście lat, szedł tamtym szlakiem, to w szczególności przywołuje jedną chwilę, którą zawsze będzie uważał za najszcześniejszą w swoim życiu.

Jest w New Hampshire. Wydostał się z Maine, nie umierając z głodu i nie zamarzając na śmierć. Wychodzi na górski grzbiet. Gdziekolwiek spojrzy, wszędzie widzi śnieg, lód i granit skąpane w cudownym różowym świetle poranka. To wszystko. Typowy obrazek Gór Białych późną zimą. Wraz z mijającymi latami Eustace odwiedzi mnóstwo bardziej interesujących miejsc i obejrzy niektóre z najbardziej malowniczych krajobrazów świata, od Alaski, przez Australię, do Arizony, więc możliwe, że nie był to najpiękniejszy widok, jaki oglądał. Nie jest to też tak heroiczna, godna uczczenia chwila jak ta, którą przeżyje, kończąc wędrówkę kilka miesięcy później, w Georgii, gdzie może sobie pozwolić na retorykę w stylu „mnóstwo mógłbym o tym opowiadać”. A jednak to jest lepsze. Bo ów widok to tło dla chwili, w której do Eustace'a Conwaya wreszcie dociera, że jest wolny. Jest mężczyzną i jest dokładnie tam, gdzie chce być, osiągając to, co zawsze uważał, że potrafi osiągnąć, jeśli tylko sam będzie podejmował za siebie decyzje. Odczuwa pokorę i szczęście, czuje się nieskomplikowany, oczyszczony i ocalony przez tę chwilę, ponieważ przynosi ona ze sobą świadomość, że - na tej wysokości, na szczycie tej pięknej góry - jego ojca nie ma nigdzie w zasięgu wzroku. Jego ojciec nie jest już w stanie go dosięgnąć. Nikt nie jest w stanie go dosięgnąć. Już nigdy nikt nie będzie nim kierować ani go karać.

Eustace stoi tam bez ruchu, sparaliżowany radością, poklepuje się zadziwiony. Czuje się jak człowiek, który uniknął plutonu egzekucyjnego, bo żołnierzom zacięły się karabiny, a teraz

sprawdza, czy nie został trafiony... i rzeczywiście dziur po pociskach nie ma. Powietrze pachnie słodko, a on czuje bicie własnego serca i zaśmiewa się, kiedy uświadamia sobie, że pozostał nietknięty.

Jest to najlepsza chwila jego życia, ponieważ wtedy właśnie Eustace zrozumiał, że przetrwał.

ROZDZIAŁ IV

Nieco przesadzamy z tymi niezliczonymi projektami reformy społecznej. Ledwie czyta, ale nosi w kieszeni kamizelki kolejny szkic nowej społeczności.

Ralph Waldo Emerson

Kiedy jesienią 1981 roku Eustace Conway wrócił do Karoliny Północnej, zaczął się rozglądać za nowym miejscem do ustawienia swojego tipi. Wiedział, że jeśli dłużej poszuka, to znajdzie jakiś wspianały punkt. Podczas tych pierwszych lat dorosłości za każdym razem, kiedy decydował się osiąść gdzieś na dłużej, odkrywał, że łatwo mu mieszkać na ziemi (i żywić się z ziemi) ludzi, którzy życzliwie mu na to pozwalają.

„Jestem wyjątkowy, bo mieszkam w indiańskim tipi - napisał w liście do właściciela pięknego kawałka gruntu, który właśnie zauważył w Karolinie Północnej. - Szukając miejsca, w którym chciałyby się zatrzymać nadchodzącej jesieni, natknąłem się na pańską posiadłość i chciałyby się dowiedzieć, czy pozwoliłby mi pan obozować nad płynącym przez nią strumieniem. Nie mam dużo pieniędzy, ale mógłbym płacić niewielką dzierżawę. Mógłbym dbać o pańską posiadłość jak dozorca. Rozumiałbym i szanował pańskie życzenia. Załączam zaadresowaną do siebie kopertę ze znaczkiem. Dołączam też artykuł prasowy, w którym jest więcej informacji o moim stylu życia”.

Na pewno nieźle się nabiedził, nim zdecydował, który z artykułów wybrać; w tamtym czasie wiele o nim pisano. Przyciągał

uwagę i stał się ulubieńcem reporterów z Karoliny Północnej, którzy chętnie odwiedzali tego „spokojnego, bezpretensjonalnego, bardzo skromnego młodego człowieka”, żyjącego „w warunkach surowszych od Spartanina, który nie pozwala sobie nawet na luksus posiadania zapalek”.

Prasa go pokochała, bo był doskonały. Eloquentny, inteligentny, uprzejmy, intrygujący i cudownie fotogeniczny, młody Eustace Conway w swoim typi spełniał marzenie każdego redaktora artykułów i programów o prawdziwych ludziach. Żył z tego, co dawała przyroda, jak dawni traperzy, a jednocześnie nie nawoływał do niepłacenia podatków i nie wieszczył nadchodzącej zagłady białego człowieka. Miał w sobie łagodność, idealistycznie podchodził do przyrody, nie był jednak mięczakowatym hipisem, zachęcającym ludzi do zdejmowania ubrań i pieszczot z drzewami. Trzymał się z dala od społeczeństwa, ale nie był umykającym przed nim pustelnikiem, co przejawiało się w uprzejmości, z jaką zawsze przyjmował przedstawicieli prasy. Owszem, zachęcał swoich rówieśników do kwestionowania zasad życia współczesnych Amerykanów, ale był taktowny i wyrażał się poprawnie, zachowując status piątkowego studenta, by dać dowód, że jest osobą godną szacunku.

Tak jest... piątkowego studenta. Ciekawe, że Eustace postanowił pójść na studia, kiedy zakończył wędrowkę Szlakiem Appalchów. Dziwny wybór dla kogoś, kto tak jak on nienawidził szkoły. Zawsze jednak uważał, że mógłby całkiem dobrze się uczyć, gdyby tylko ojciec go tak strasznie nie gnębił, i rzeczywiście, od samego początku studiów zdobywał znakomite oceny, nawet z matematyki. Można bezpiecznie założyć, że nie było w Gaston

Community College takich studentów jak Eustace. Był w kampusie celebrytą, choćby z racji swojego tipi i stroju pioniera, spokojnego głosu, opowieści o przygodach w górach i na Missisipi. Koledzy zaczęli traktować go w sposób, jakiego mógł się spodziewać już przez resztę życia. Dziewczyny, nie wiem, jak ująć to inaczej, miały bzika na jego punkcie; faceci po prostu chcieli być tacy jak on. W tym czasie jego wygląd, coraz bardziej niezwykły i porywający, nabrał pewnej stałości - wyraźnie zarysowane kości policzkowe i mocne szczęki, szeroko rozstawione, przymrużone oczy i wydatny, orli nos. Ciało w idealnej kondycji - przyjaciel, który widział go po zejściu ze Szlaku Appalachów, powiedział, że Eustace wyglądał jak „wysoka, twarda skała”. Włosy miał bardziej czarne niż brązowe, cerę śniadą, zęby białe. W jego twarzy nie było żadnej dwuznaczności; same skosy, cienie i płaszczyzny. Tryskał energią, a wyglądał, jakby wyrzeźbiono go z kawałka twardego drewna. Pachniał jak zwierzę, ale czyste zwierzę. Ludzie oglądali się za nim. Był lubiany i interesujący.

Scott Taylor, który z nim w tamtych latach studiował, pamięta z kampusu „szeroki uśmiech i skórzane spodnie oraz to, że Eustace wydawał się najświetniejszym gościem na świecie. Strasznie chciałem zobaczyć jego tipi, ale nikt się sam nie wprasza do czyjegoś tipi”. Z czasem udało mu się jednak wydębic takie zaproszenie i pewnego „pięknego, dżdżystego, jesiennego dnia” Eustace ze Scottem siedzieli nad strumieniem i kroili warzywa na gulasz. Scott robił to po raz pierwszy w życiu i cała sytuacja go elektryzowała. Ten chłopiec z podmiejskiego osiedla ożenił się dość wcześnie i studiował chemię. Wszystko, co Eustace mówił i robił, było niezwykle i miało na niego duży wpływ.

Scott wspomina: „Mieliśmy z żoną po dwadzieścia lat i

staraliśmy się urządzić nasze małe mieszkanie tak, by wyglądało jak typowe mieszkanie małżeństwa z klasy średniej. Naśladowaliśmy rodziców, nie zastanawiając się szczególnie nad naszym życiem. Potem, pewnego dnia, zaprosiłem Eustace'a Conwaya, a on obszedł spokojnie całe mieszkanie, przyjrzał się wszystkiemu i oświadczył: «Stary, macie tu mnóstwo rzeczy materialnych». Nigdy wcześniej nie przyszło mi do głowy, że mogłoby być inaczej. «Wyobraźcie sobie - powiedział - że wzięlibyście te wszystkie pieniądze, jakie na to wydaliście, i udali się w podróż dookoła świata albo kupili za nie książki i je przeczytali. Pomyślcie, ile byście się dowiedzieli o życiu». Mówię wam, nigdy wcześniej nie słyszałem czegoś podobnego. Pożyczył mi książki o ciesiołce, wyprawianiu skór, stolarstwie, żeby pokazać, jak wiele umiejętności można osiągnąć i samemu robić różne przedmioty. «Wiesz, Scott - mawiał - poza tą pracą w biurze są jeszcze inne rzeczy, które możesz robić podczas letnich wakacji. Możesz przejechać autostopem Amerykę albo możesz pojechać do Europy». Europa! Autostop! To były najbardziej egzotyczne słowa, jakie w życiu słyszałem!”

Podczas dwóch lat w Gaston Community College Eustace otrzymywał bardzo dobre oceny i w rezultacie mógł się przenieść na czteroletnie studia na Appalachian State University w górskim miasteczku Boone. Na początku denerwował się, czy sobie poradzi, wiedząc, że ta uczelnia będzie bardziej wymagająca intelektualnie od lokalnego college'u. Wciąż był trochę niepewny po tych wszystkich latach, kiedy ojciec niemiłosiernie z niego drwił, a także nieco przestraszony perspektywą dużej liczby kolegów na roku.

Pierwszego dnia zajęć nie włożył nawet swoich spodni z jeleniej

skóry; nie chciał zwracać na siebie uwagi. Ubrał się zwyczajnie, wskoczył na motocykl i wyjechał z tipi na tyle wcześnie, by mieć czas na obejrzenie kampusu i zorientowanie się, gdzie co jest. Jednak kiedy dojeżdżał do Boone, zauważył leżącego na poboczu przejechanego królika i z przyzwyczajenia zatrzymał się, żeby go zabrać ze sobą. (Eustace już dużo wcześniej umieścił w swoim jadłospisie zwierzęta, które ginęły na szosach. Kierował się zasadą, że jeśli pchły żyją i skaczą po futerku, mięso jest wystarczająco świeże). Wcisnął królika do plecaka, pojechał dalej i zjawił się na zajęciach z archeologii jako pierwszy z grupy. Ściśle biorąc, przyjechał o całą godzinę wcześniej, bo tak bardzo zależało mu na tym, by mieć dość czasu na zorientowanie się w terenie. Teraz, myśląc z niechęcią o bezczynności, zaczął się zastanawiać, czy nie oprawić królika.

I wtedy miał moment natchnienia. Przypomniał sobie, jak matka powtarzała mu często, że „szkoła jest tym, czym ją zrobisz”. Postanowił więc coś z niej zrobić. Popytał tu i ówdzie, wytropił panią profesor, na której zajęcia się właśnie wybierał, i przedstawił się jej. Musiał ją niezłe wystraszyć. Pani profesor Clawson przybyła wprost z Harvard University i był to jej pierwszy w życiu dzień zajęć ze studentami.

„Proszę posłuchać - powiedział Eustace - wiem, że to pani zajęcia, ale mam pewien pomysł. Tak sobie pomyślałem, że być może moglibyśmy dzisiaj wspólnie nauczyć studentów czegoś interesującego z archeologii, gdybym ja im wyjaśnił, że prowadzę pierwotny, tradycyjny sposób życia. Mam ze sobą królika, którego znalazłem na poboczu drogi i z którego trzeba ściągnąć skórę, żebym miał co jeść na kolację. Może pozwoli pani, że w ramach

zająć oprawię go przed grupą? Użyję narzędzi, które wykonałem z kamieni, tak jak używali ich dawni ludzie. To byłaby świetna lekcja archeologii, nie sądzi pani?”

Bardzo długo wpatrywała się w niego bez słowa. Potem doszła do siebie i oświadczyła: „Zgoda. Zróbmy tak”.

Udali się do laboratorium geologii, znaleźli tam kilka sporych kawałków krzemienia i zabrali je do sali. Kiedy zjawili się studenci, profesor Clawson przedstawiła się, rozdała trochę materiałów i powiedziała: „A teraz przekazuję prowadzenie zajęć jednemu z waszych kolegów, który pokaże wam, jak zdjąć skórę z królika”.

Eustace wyskoczył ze swojego miejsca, gestem wprawnego magika wyciągnął królika z plecaka i zaczął opowiadać z entuzjazmem, jednocześnie uderzając jednym kamieniem o drugi, żeby uformować narzędzia. Ostrzegł grupę, by uważała na odpryski, i wyjaśnił, w jaki sposób człowiek pierwotny obrabiał kamienie, by uzyskać takie ostre krawędzie, że dwoma małymi kamieniami mógł oprawić i podzielić dorosłego jelenia; sam Eustace robił to wielokrotnie. Prawdę mówiąc, powiedział kolegom, Aztekowie robili tak ostre i precyzyjne kamienne narzędzia, że mogli nimi przeprowadzać operacje mózgu... „Udane operacje mózgu!” Dla archeologów, powiedział Eustace, badania tych kamiennych narzędzi mają wielkie znaczenie, nie tylko ze względu na same narzędzia, ale także dlatego, że na kościach zabitych zwierząt widoczne są pozostawione przez nie charakterystyczne ślady, a to pomaga badaczom określić, czy tamte stworzenia zmarły śmiercią naturalną, czy też zostały zabite i zjedzone przez istoty ludzkie.

Potem Eustace przyczepił królika do jednego ze sznurów starych beżowych żaluzji. Szybko go wypatroszył, mówiąc, że jelito grube tego zwierzęcia jest na ogół całkiem czyste, ponieważ

zawiera jedynie czarne bobki odchodów, ale przy jelicie cienkim i żołądku należy zachować ostrożność, bo te organy mają płynną i nieprzyjemną zawartość. Jeśli ktoś przypadkowo je rozetnie, „to paskudztwo wyleje się na mięso, co będzie naprawdę obrzydliwe”.

Nie przerywając pracy, Eustace mówił o fizjologii dzikiego królika, o tym, że ma on skórę delikatną jak bibułka i że trzeba bardzo uważać, by jej nie uszkodzić przy ściąganiu. Nie przypomina skóry jeleniej, wyjaśniał, robiąc eleganckie cięcie od tylnej łapy do odbytu, a stamtąd do drugiej łapy. Jelenia skóra jest mocna i elastyczna i dlatego nadaje się do wielu celów, powiedział, ale nie królicza. Nie da się zdjąć skóry z królika w jednym kawałku, a potem złożyć i zrobić z niej rękawicy. Zdejmując ostrożnie kruchą skórę z królika, wyjaśnił, że sztuka polega na tym, by zdjąć ją w postaci jednego długiego paska, jakby obierało się jabłko. W ten sposób z jednego królika można uzyskać długi na osiem stóp pas futerka, o w ł a ś n i e tak!

Eustace puścił futerko w obieg, żeby każdy mógł wziąć je do rąk. Studenci zapytali, co można zrobić z takim paskiem futerka. Naturalnie znał odpowiedź. Indianie brali taki pasek i owijali go mocno wokół sznura skręconego z trawy, trawa i tkanka mięsna doskonale się ze sobą stapiały i w rezultacie otrzymywali długi, mocny powróż. Jeśli połączyć ze sobą kilkadziesiąt takich powróżów, można zrobić koc, który będzie nie tylko miękki, ale także wyjątkowo ciepły. A jeśli przeszuka się pradawne jaskinie mieszkalne w Nowym Meksyku, co Eustace robił wielokrotnie, to gdzieś w ciemnym kącie można znaleźć taki koc, który przetrwał tysiąc lat w suchym pustynnym klimacie.

Po tym występie Eustace Conway znowu był sławny.

ili

Odzyskał pewność siebie i zaczął nawet nosić swoje spodnie z jeleniej skóry na terenie kampusu. Co więcej, tamtego pierwszego wieczoru profesor Clawson udała się do tipi Eustace'a i zjadła z nim dużą miskę gulaszu z zabitego na drodze królika.

„A do tamtej chwili była ścisłą wegetarianką! - wspomina Eustace. - Ale królik naprawdę jej smakował”.

Witamy na Południu, pani profesor.

Eustace mieszkał w tipi przez całe studia, stając się coraz większym znawcą sztuki życia na wolnym powietrzu, choć jednocześnie zdobywał coraz większą wiedzę na zajęciach uniwersyteckich. Większość umiejętności potrzebnych do wygodnego życia na pustkowiu opanował już w dzieciństwie i wczesnej młodości. Opłaciły się te godziny spędzone w lasach za kolejnymi domami Conwayów, podobnie jak doświadczenia nabyte na Szlaku Appalachów. To, co sam Eustace nazywa swoją wrodzoną „wzmożoną uwagą”, bardzo wcześnie uczyniło z niego eksperta.

W tamtych latach poświęcał też dużo czasu na opanowanie umiejętności myśliwskich. Badał zachowanie jeleni i doszedł do wniosku, że im więcej wie o tych zwierzętach, tym łatwiej przychodzi mu ich odnajdywanie. Kiedy wiele lat później, będąc już sprawnym myśliwym, spoglądał wstecz na tamte studenckie czasy, uświadomił sobie, że musiał przegapić dziesiątki jeleni; że na pewno wiele razy znajdował się zaledwie kilka kroków od zwierzęcia i go nie zauważył. Eustace musiał się nauczyć nie przepatrywać lasu w poszukiwaniu „wielkiego poroża i potężnego zwierzęcia na polance, gdzie stoi wielka tablica z napisem EUSTACE, TU JEST JELEŃ!” Nauczył się dostrzegać jelenie tak, jak kiedyś dostrzegał żółwie... szukając drobnych zmian w kolorze,

rejestrując najmniejszy ruch w leśnym poszyciu. Nauczył się, jak wychwycić drgnięcie czubka jeleniego ucha; jak dostrzec i rozpoznać niewielkie blade plamy białego brzucha na tle jesiennego kamuflażu. Niczym muzyczny geniusz, który potrafi wychwycić każdy odcień każdego instrumentu w orkiestrze, doszedł do takiej wprawy, że słyszał łamiącą się w lesie gałązkę i na podstawie dźwięku rozpoznawał jej grubość, dzięki czemu wiedział, czy nadepnął na nią ciężki jeleni czy wiewiórka, czy też może trzask był tylko dźwiękiem, jaki wywołuje sucha gałązka, zdmuchnięta z drzewa przez poranny wietrzyk. Eustace nauczył się rozpoznawać takie właśnie różnice.

Podczas lat spędzonych w tipi nauczył się szanować i doceniać każdą pogodę, jaką obdarzała go natura. Jeśli padało przez trzy tygodnie, buntowanie się przeciwko temu nie miało sensu; najwyraźniej właśnie to było w tej chwili przyrodzie potrzebne. Eustace starał się wtedy przystosować i wykorzystywał ten czas na szycie ubrania, lekturę, modlitwę lub na doskonalenie umiejętności układania wzorów z paciorków. Zrozumiał, że zima jest tak samo ważną i tak samo piękną porą roku jak wiosna; że burze lodowe są konieczne jak słońce latem. Na uczelni słyszał, jak jego rówieśnicy narzekają na pogodę, po czym wracał do swojego tipi i w dzienniku zapisywał refleksje na temat dokonanego przez siebie odkrycia, że „w przyrodzie nie istnieje nic takiego jak «brzydki» dzień. Nie można osądzać przyrody, bo ona robi zawsze to, co musi”.

„Dzisiejszego wieczoru dobrze podsyciłem ogień - pisał mroźnego grudniowego dnia w swoim dzienniku student Eustace Conway - i teraz zbieram bogaty plon CIEPŁA. Przepadam za tym. Dla wielu współczesnych ludzi mój sposób życia byłby nie do

zniesienia. Na przykład wczoraj, kiedy zapadał zmierzch, rozпалиłem ogień, zacząłem grzać wodę i przygotowywać kolację. Kiedy woda była ciepła, rozebrałem się do pasa (w przenikliwym zimnie) i umyłem ciało i włosy. Moi koledzy ze studiów na pewno by tego nie znieśli!”

Zapewne tak było. Choć, żeby być sprawiedliwym, trzeba powiedzieć, że zdarzali się tacy młodzi ludzie, którzy pasowaliby do tego opisu. Na przykład Donna Henry. Choć jej imię nie pojawia się zbyt często w dziennikach, dziewczyna, która spędzała u boku Eustace'a w jego tipi mnóstwo czasu, też rozbierała się do pasa i myła włosy w takim zimnie.

Donna trzymała się Eustace'a od czasu, kiedy razem podbijali Szlak Appalachów. Następnego lata przewędrowali przez parki narodowe Zachodu, znowu pędząc na złamanie karku (on prowadził; ona podążała za nim) i po całym tym spędzonym wspólnie w głuszy czasie Donna bardzo zapragnęła poślubić tego mężczyznę. Szczerze mu to wyznała. Powiedziała bez owijania w bawełnę: „Rozumiemy się, jesteśmy bratnimi duszami, partnerami. Jest to taki związek, który zdarza się tylko raz w życiu”. Jednak Eustace uważał, że jest zbyt niedojrzały, by w ogóle rozważać małżeństwo. Dla niego, kiedy miał dwadzieścia lat, gorsza od małżeństwa mogła być jedynie konieczność powrotu do domu taty. Cała ta droga złożona z uczenia się i podróżowania, i mieszkania w tipi, była dla niego czymś całkowicie przeciwnym małżeństwu; chodziło przecież o osiągnięcie pełni wolności.

To jednak nie przeszkadzało mu kochać Donny i doceniać jej towarzystwa, zatem pozwalał jej być przy sobie. Wprowadziła się na jakiś czas do tipi, kiedy studiował, i jego sprawy stały się jej sprawami. Nauczyła się szyc odzież z jeleniej skóry, zaczęła

studiować kulturę amerykańskich Indian. Jeździła z nim na *powwow*, poznawała jego przyjaciół, pełniła rolę gospodyni w jego tipi.

Donna Henry przeobrażała się w Donnę Reed, aktorkę grającą serialową, idealną gospodynię domową. Czuła się w tej roli samotna i zdezorientowana. Prawdę mówiąc, niezbyt często widywała Eustace'a. Pracował nad magisterium z dwóch dziedzin, antropologii i filologii angielskiej, i kiedy nie był na zajęciach, to zajmował się działalnością proekologiczną i nauczaniem, coraz mocniej bowiem odczuwał, że to jest jego przeznaczeniem. Eustace Conway po dwudziestce był mężem opatrnościowym na praktyce, a to nie zostawiało mu wiele czasu dla przyjaciółki. Zaczął podróżować po całym Południu, nauczać w szkołach publicznych, doskonaląc to, co później nazywał „pokazem z psem i koniem” - interaktywny program edukacyjny rozwijający wrażliwość na przyrodę. Wykazywał się w tej dziedzinie wyjątkową błyskotliwością. Potrafił spowodować, że sala najbardziej zblazowanych biznesmenów urządziła mu owację na stojąco. A dzieci? Uwielbiały go, jakby był leśnym Świętym Mikołajem. „Panie Conway, jest pan bardzo miłym człowiekiem... Dzięki za obecność na naszym święcie dziedzictwa narodowego... Bardzo mi się podobało to, czego się dowiedziałem o Indianach. Szczególnie o tym, jak żyli i co jedli... To było bardzo ciekawe, obserwować, jak pan sam szyje sobie ubranie... Kiedy dorosnę, spróbuję być taki jak pan... Uważam, że nauczył mnie pan więcej w jeden dzień, niż nauczyłem się przez osiem lat chodzenia do szkoły”.

Eustace wkładał również duży wysiłek w składanie w całość szczegółów osobistej filozofii. Wiedział, że jego posłannictwem jest nauczać świat, ale czego dokładnie powinny dotyczyć jego

lekcje? Chciał uczulić ludzi na godne pożałowania traktowanie ziemi przez napędzający konsumpcję styl życia. Nauczyć ich, jak osiągnąć wolność od tego, co jego dziadek nazwał kiedyś „rozmiękczać i ograniczać horyzonty wpływem miasta”. Wyćwiczyć w zwracaniu uwagi na to, jakich dokonują wyborów. („Ograniczanie, wielokrotne używanie i odzyskiwanie to dobre koncepcje – powtarzał - ale wszystkie trzy powinny być naszą ostateczną ucieczką. Bo tak naprawdę należy się skupić na dwóch innych... na ponownym rozważeniu i odrzuceniu. Zanim kupicie jakiś artykuł jednorazowego użytku, zadajcie sobie pytanie, dlaczego w ogóle ten produkt jest wam potrzebny. A potem z niego zrezygnujcie. Nie bierzcie go. Uda się wam”). Wszystko sprowadzało się do idei, że ludzie muszą się zmienić. Muszą powrócić do życia w zgodzie z przyrodą, bo inaczej świat zginie. Eustace Conway wierzył, że potrafi im pokazać, jak mają to zrobić. Lata spędzone w college'u poświęcił też pracy nad rękopisem książki, którą, nie mając lepszego określenia, można by nazwać poradnikiem w stylu „Jak...”, zatytułowanej *Walk in Beauty: Living Outside*. („Stąpać pośród piękna: życie na wolnym powietrzu”). Był to przeznaczony dla Amerykanów szczegółowy plan postępowania przy przechodzeniu z bezbarwnej współczesnej kultury do bogatszego naturalnego sposobu życia, tak by oni i ich dzieci mogli rozkwiatać z dala od „smogu, plastiku i niekończącej się bzdurnej paplaniny, od której mózg się gotuje, rośnie ciśnienie, tworzą się wrzody i atakują nas choroby serca”. Rozumiał, że nagłe przeniesienie się na łono przyrody byłoby dla większości Amerykanów przerażającym doświadczeniem, uważał jednak, że gdyby potrafił napisać jasny przewodnik, ukazujący ten proces krok po kroku,

nawet najbardziej rozpieszczonym rodzinom byłby w stanie pomóc spokojnie i bezpiecznie przenieść się do lasu. *Walk in Beauty* ma w sobie cudowny ton optymizmu, przekonanie „dasz radę to zrobić”. Każde zawarte w niej słowo pokazuje, iż w wieku dwudziestu jeden lat Eustace był przekonany, że nie tylko posiada odpowiedź na każde pytanie, ale że inni uważnie go wysłuchają.

Książka jest podzielona na tematy, Ogrzewanie, Oświelenie, Zdrowie, Posłanie („Dobrze jest zacząć od zrozumienia zasad izolacji”), Czystość, Odzież, Narzędzia, Gotowanie, Dzieci, Woda, Zwierzęta, Społeczność, Ogień, Samotność, Poszukiwanie pożywienia, Poglądy na sprawy duchowe i na świat. Autor pisze zrozumiałym językiem, z przekonaniem, że wie, o czym mówi. Jego niezmiennym przesłaniem jest to, że im lepiej poznaje się przyrodę, tym mniej się jej „szkodzi” i w rezultacie wygodniej się żyje. Nie ma powodu, zapewnia czytelników, by w lesie cierpieć, kiedy już się wie, co i jak robić.

„Mało zabawnie jest czuć się w głuszy nieszczęśliwym! Stąpienie pośród piękna oznacza przecież harmonijne wpasowanie się w naturalną scenerię, przeżywanie szczęśliwych, dających zadowolenie, wartych wspomnień chwil. Wartych zapamiętania nie dlatego, że od ogniska spaliły się nam buty lub że dostaliśmy dyzenterii, pijąc brudną wodę! Wartych zapamiętania ze względu na obławianie głuszy i czynienie jej miłą, dobrą, spokojną, dobroczynną i przytulną... taką, jaki powinien być dom”.

Nie trzeba się wyrywać, zapewnia nas Eustace. Trzeba postępować krok po kroku. „Wykorzystajcie ogród na tyłach swojego domu, by rozwinąć podstawowe umiejętności.” Ucząc się robić sobie ciepłe posłanie z materiałów naturalnych, „spróbujcie najpierw przespać zimną noc na ganku, skąd w razie potrzeby

będziecie mogli wycofać się do sypialni i tam pomyśleć, co poszło nie tak”. Jesteście już gotowi szukać jedzenia i warzyć strawę na otwartym ogniu? Spróbujcie tego w miejscowym parku, zanim ruszycie w australijską głuszę. „Zawsze możecie zamówić pizzę, jeśli spalicie obiad. Albo możecie zacząć od nowa i zrobić wszystko jak trzeba za drugim razem, albo za trzecim, radząc sobie coraz lepiej”. Zwracając uwagę na każdy nawet najdrobniejszy szczegół: „B ą d ź c i e u w a ż n i ! Trzy i pół roku życia w lesie zabrało mi uświadomienie sobie, jak bardzo ważne może być naprawdę czyste szkło lampy naftowej. Nie znaczy to, że wcześniej go nie czyściłem... po prostu nie dość się do tego przykładałem. Teraz, kiedy utrzymuję je w nieskazitelnej czystości, nocą widzę przy lampie znacznie lepiej”.

Potrzebne są nam do tego, zapewnia Eustace, jedynie praktyka, rozsądek i nieco podstawowej amerykańskiej chęci, by spróbować czegoś nowego. Należy się tego trzymać, wierzyć w siebie, a nawet nie zauważycie, kiedy wraz z rodziną będziecie mogli zamieszkać w „ukrytym w lesie domu, [równie] cudownie spokojnym” jak dom Eustace'a Conwaya.

Problem jednak polegał na tym, że studia, cała działalność i pisanie przez długi czas nie pozwalały temu najbardziej naturalnemu spośród ludzi lasu wracać do lasu. Bo przecież możliwości robienia tych wszystkich rzeczy z wnętrza tipi są bardzo ograniczone. Jeśli bardzo ci zależy na zmienianiu świata, musisz wyjść do tego świata. Nie możesz pominąć żadnej okazji do prowadzenia kampanii. Eustace dostrzegał takie okazje we wszystkim, niemal do granic wariactwa. Pewnego styczniowego dnia napisał w swoim dzienniku: „Ucieszyłem się, kiedy dzisiejszego ranka przez

drgający dymnik zobaczyłem gwiazdę poranną”. Natychmiast jednak dodał: „Zabieram się do napisania tekstu o życiu w tipi dla pewnego czasopisma”.

Przyjmował na siebie tyle zobowiązań i wybierał się na tyle spotkań, że często przez wiele dni przebywał z dala od swojego ukrytego w lesie domu. Co oznaczało pozostawianie dziewczyny, z którą tyle przewędrował, samej w tipi przez większość czasu. To ona siedziała tam i obserwowała przyrodę, podczas gdy jej mężczyzna zajęty był nauczaniem albo studiowaniem, albo tańcem na jakimś *powwow*, albo przebywał pośród wielbicieli, a ona czerpała z tego układu coraz mniej cudownego spokoju. Donnie (która obecnie przyznaje, że tylko siebie może winić za to, że nie zbudowała sobie życia niezależnego od uwielbianego mężczyzny) pozostawało jedynie starać się zadowalać Eustace'a i opiekować się tipi pod jego nieobecność.

Z czasami, kiedy Eustace widział się z Donną, bywał nieprzyjemny. Nie ograniczał perfekcjonizmu do siebie samego. Potrafiła go zirytować, ponieważ nie dokończyła jakiejś pracy lub nie udało jej się dobrze usmażyć na ognisku naleśników, albo nie wyczyściła szkła lampy naftowej jak należy. Był zbyt zajęty wypełnianiem własnych zobowiązań i nie miał kiedy jej pokazać, jak co robić. Przecież sama mogła się tego nauczyć. Powinna wykazać się inicjatywą!

Miesiące mijały i Donna miała coraz silniejsze poczucie, że ciągle coś partaczy i że mimo ogromnych starań nigdy go nie zadowolili. Codziennie niepokoiła się, za co ją zruga. I wtedy, pewnego zimnego styczniowego popołudnia, Eustace wszedł do tipi z martwymi wiewiórkami, które znalazł przy drodze. Rzucił je na ziemię i kazał jej zrobić kolację. I wyszedł, bo już był spóźniony na kolejne spotkanie.

„Musisz pamiętać - mówi dzisiaj Donna - że takie życie było jego marzeniem, a ja szłam za nim i mieszkałam w jego tipi, ponieważ go kochałam. Ale nie wiedziałam jak się robi zupę z wiewiórek. Przecież jestem z Pittsburgha, prawda? Powiedział mi tylko, żebym zostawiła głowy, bo ani trochę mięsa nie może się zmarnować. Próbowалам więc oddzielić mięso od kości, nie wiedząc, że należy ugotować wiewiórki w całości, by mięso samo odeszło od kości. Oczywiście niewiele mięsa udało mi się zdjąć nożem. Zrobiłam, co mogłam, zostawiłam głowy w zupie, a kości zakopałam w lesie za tipi. Kiedy Eustace wrócił do domu i popatrzył na zupę z pływającymi głowami, zapytał: «A gdzie jest mięso? I gdzie reszta kości?» Powiedziałam mu, co zrobiłam, a on się wściekł. Tak się wściekł, że w połowie stycznia, w środku nocy, kazał mi wyjść na dwór i wykopać te cholerne kości wiewiórek, żeby mógł mi pokazać, ile mięsa chciałam zmarnować. Potem kazał mi umyć i ugotować te resztki. Cztery dni później odeszłam od niego”.

Minęło sześć lat, zanim Donna i Eustace ponownie się spotkali. Donna zakopała się w badaniach kultury rdzennych Amerykanów. Przeniosła się do rezerwatu Indian i poślubiła Siuksa z grupy Lakota, głównie dlatego, że uważała go za substytut Eustace'a. Jednak nie było to udane małżeństwo. Ze względu na dobro swojego syna, Tony'ego, wzięła się w garść i zaczęła samodzielne życie. Ostatecznie wyszła ponownie za mąż - tym razem za porządnego mężczyznę - założyła dobrze prosperujące wydawnictwo i urodziła drugie dziecko.

Choć minęło dwadzieścia lat, Donna nie przestała kochać Eustace'a. Uważa, że pod pewnym względem są dla siebie stworzeni i że on był głupcem, nie żeniąc się z nią. Mimo „znaczącej więzi

emocjonalnej”, jaka łączy ją i jej porządnego drugiego męża (który taktownie zaakceptował nieprzemijające uczucia żony do dawnego ukochanego jako część pakietu o nazwie Donna Henry), i mimo jej obaw, że Eustace „nie wie, jak kochać, a tylko jak rozkazywać”, uważa, że znalazła się na tej ziemi, aby być jego „najdoskonalszą partnerką”. I że, być może, ich wspólna historia nie dobiegła jeszcze końca. Sądzi, że może jeszcze kiedyś znowu zamieszka z nim na tamtej górze. Na razie co roku wysyła swojego syna na letni obóz Eustace'a na Żółtwej Wyspie, żeby nauczył się, jak być mężczyzną.

„Eustace Conway jest bohaterem mojego syna - mówi. - Nie wiem, czy Eustace będzie miał kiedyś własne dzieci, ale jeśli ma jakies dzieci w sercu, to Tony jest jednym z nich”.

Jeśli chodzi o Eustace'a, to wiąże on jak najlepsze wspomnienia z Donną, która była „najbardziej niezwykłą urodzoną sportsmenką, jaką w życiu spotkałem... taką silną i pełną zapału towarzyszką”. Była wspaniała, mówi, i byłaby zapewne świetną żoną, ale on sam był za młody na małżeństwo. Kiedy spytałam, czy pamięta incydent z kośćmi wiewiórek (właściwie nie było to pytanie, tylko prośba: „Powiedz, że tego nie zrobiłeś, Eustace!”), westchnął i oświadczył, że jest to nie tylko historia prawdziwa, ale powtarzający się fakt w jego życiu, „wciąż od nowa, z wieloma różnymi ludźmi”. W tonie jego głosu słychać było wyrzuty sumienia, że ma takie wysokie wymagania wobec wszystkich, a jego bezkompromisowa osobowość powoduje, że ludzie czują się nieswojo. Potem zmieniliśmy temat i skończyliśmy rozmowę.

Kiedy jednak tego wieczoru wróciłam do domu, znalazłam na automatycznej sekretarce wiadomość od Eustace'a. Zastanawiał się nad tamtymi wiewiórkami i „za nic nie chciał”, bym źle

zrozumiała tę sytuację. Dokładnie ją sobie przypomniał. I teraz pamięta, że powodem, dla którego kazał Donnie wykopać kostki w środku nocy, było pojawienie się wysmienitej okazji, by nauczyć ją, jak przyrządzać wiewiórcze mięso.

„Zresztą po co marnować doskonałe mięso? - tłumaczył. - Fakt, że działo się to w styczniu, tak naprawdę był dla nas korzystny, bo temperatura była niska. To oznaczało, że mięso dobrze się przechowało w zamrożonej ziemi. Gdyby to było w środku lata, dałbym spokój, bo mięso mogłoby już zacząć się psuć. Najwyraźniej wziąłem to wszystko pod uwagę i doszedłem do wniosku, że mięso jest wciąż dobre i że pojawiła się okazja do nauki. To byłoby marnotrawstwo, tak po prostu je wyrzucić, rozumiesz? Więc kiedy poprosiłem ją, żeby przyniosła te kości, to moje postępowanie było całkowicie logiczne”.

Na koniec wyraził nadzieję, że teraz to wszystko jest dla mnie bardziej zrozumiałe, życzył mi miłego wieczoru i się wyłączył.

„Cóż takiego usiłuje udowodnić ten współczesny traper?”, zapytał jeden z wielu dziennikarzy, którzy odwiedzali jego tipi w latach, kiedy studiował. A potem zacytował odpowiedź Eustace'a: „Nic. Większość ludzi lubi mieszkać w domach, oglądać telewizję i chodzić do kina. Ja lubię mieszkać w tipi i obserwować padający deszcz lub śnieg, i słuchać języka przyrody. Jeśli oni czują, że pieniądze i materializm to najwyższe cnoty w życiu, to nie mnie ich osądzać. Proszę jedynie, by taki sam szacunek okazano mojemu stylowi życia”.

Nie było to jednak takie proste. Eustace prosił o znacznie więcej niż tylko niezbywalne prawo do świętego spokoju, by mógł

żyć z dala od osądającego oka społeczeństwa. Jeśli człowiek chce, by pozostawiono go samemu sobie, recepta jest prosta: nie rozmawiaj z nikim, nie pokazuj się ludziom, nie zapraszaj do siebie dziennikarzy, nie mów światu, jak uspokajający jest szum padającego deszczu, i nie pisz artykułów informujących ludzi, w jaki sposób mogą przeobrazić swoje życie. Jeśli chcesz, żeby zostawiono cię w spokoju, przenieś się do lasu i siedź w nim cicho i spokojnie - to się nazywa zostać pustelnikiem; jeśli nie zaczniesz wysyłać pocztą bomb, jest to bardzo skuteczny sposób, by nie zwracano na ciebie uwagi. Jeśli rzeczywiście ci na tym zależy.

Nie tego jednak chciał Eustace. Chciał czegoś przeciwnego do tego, co mówił reporterom: chciał, by ludzie go oceniali, ponieważ wierzył, że zna lepszy sposób na życie dla wszystkich Amerykanów, taki, który ludzie powinni osądzać niezwykle skrupulatnie, by móc dostrzec prawdę jego wizji. Chciał, by ci, którzy oglądali telewizję i chodzili do kina, zobaczyli, jak żyje, zadawali pytania, byli świadkami, że jest zadowolony i zdrowy, by poważnie zastanowili się nad jego koncepcjami i sami ich spróbowali. Chciał do nich dotrzeć... do wszystkich, ponieważ tak właśnie postępują mężowie opatrnościowi, a Eustace Conway ciągle miał w pamięci ten tytuł. Podobnie jak jego matka.

Kiedy w roku 1984 ukończył z wyróżnieniem studia, pani Conway napisała list z gratulacjami i przypomnieniem, że to nie koniec nacisku:

„W swojej wędrówce dotarłeś do kolejnego kamienia milowego, długą i ciężką pracą doszedłeś do wybitnych osiągnięć. Jako osoba, która najlepiej zna i rozumie okoliczności, w jakich uzyskałeś stopnie akademickie na dwóch kierunkach, przyklaskuję i gratuluję, z dumą i podziwem! Ale pamiętaj, że edukacja to proces,

który powinien trwać aż do końca życia. Położyłeś solidne fundamenty, obyś teraz szukał mądrości, która jest większa od wiedzy. Modlę się, by Bóg Cię prowadził, ochraniał i by Ci błogosławił, kiedy będziesz kontynuował swoją podróż po tym dobrym świecie. Twoja dumna i oddana matka”.

Eustace wcale nie potrzebował przypominania. Już zaczął się niecierpliwić. „Chcę dokonać czegoś wielkiego, poczuć, że mi się udało, że odniosłem sukces”, napisał w swoim dzienniku.

Coraz bardziej jednak martwił się tym, co się działo wokół. Pewnej nocy zdarzył się szczególnie smutny incydent, kiedy banda miejscowych prostaków przyszła do jego tipi, żeby zapytać, czy może im pożyczyć naboje, bo chcą wykończyć dużego szopa, którego zapędzili na drzewo. Wyglądało na to, że pili i polowali, i świetnie się bawili. Przyznali się, że są kiepskimi myśliwymi i wystrzelili do szopa ponad dwadzieścia razy, a mimo to go nie zabili. Ale na pewno ta uparta menda jest ranna. Czy Eustace da im amunicję, żeby raz na zawsze mogli wykończyć tego sukinkota?

Eustace'owi wszystko to bardzo się nie podobało: wycie psów, kakofonia wystrzałów („Jakby rozpętała się tam wojna”, narzekał później w swoim dzienniku), nieudolność tych ludzi i ich kompletna obojętność na los zwierzęcia. Jak mogli palić na oślep do żywego stworzenia, jakby było plastikowym celem w wesołym miasteczku, a potem zostawić je na łaskę losu i przez godzinę szukać amunicji? Jakimi niezdarnymi, ofermiotowymi durniami musieli być, żeby chybić dwadzieścia razy? Dlaczego w ogóle musi się zadawać z tymi idiotami, zakłócającymi mu spokój w środku nocy, podczas gdy on stara się żyć jak najdalej od ludzi?

Milcząc, Eustace wstał, ubrał się. Nie miał amunicji potrzebnego im kalibru, wziął jednak swoją strzelbę na czarny proch i oświetloną przez księżyc ścieżką poszedł za psami i mężczyznami do drzewa. Jeden strzał ze starej strzelby i szop był martwy.

„Dopiero, kiedy ściągałem z niego skórę - napisał - uświadomiłem sobie, że jedyna w niej dziura była rezultatem mojego strzału”.

Tamci prostacy nawet nie drasnęli zwierzęcia. Ani razu, przy dwudziestu strzałach. Nie, żeby to ich w ogóle obchodziło. Zależało im tylko na futerku, które Eustace ściągnął i im wręczył, żeby mogli je sprzedać. Prawie płakał, ściągając skórę ze zwierzęcia, i zatrzymał sobie mięso na później, uroczyście dziękując szopowi za przekazanie mu swoich sił żywotnych. Tamci obwiesie i tak by nie mieli ochoty na mięso szopa.

Całe to wydarzenie bardzo go przygnębiło. Lekceważenie przyrody. Chciwość. Głupota. Marnotrawstwo. Obojętność na ducha innej istoty, brak szacunku dla praw natury... wszystko to napawało obrzydzeniem Eustace'a, którego misją na ziemi było kultywowanie dawnych idei świętości życia. W którym miejscu można jednak zacząć z ludźmi tak niedoświadczonymi i obojętnymi? Z ludźmi, którzy strzelają do zwierząt po pijanemu, dla zabawy, i nawet nie potrzebują ich mięsa?

„Piekło i szatany - napisał w swoim dzienniku. - Co mam robić? Uznaliby, że mam obsesję na punkcie przyrody jak Grizzly Adams, gdybym próbował im to tłumaczyć”.

To była kolejna sprawa, która nie dawała mu spokoju. Zaczęło go trochę męczyć, że widzą w nim tylko ekscentryka, maniaka takiego jak Grizzly Adams, gdy tymczasem on ma tak wiele do zaoferowania światu. Coraz częściej się zamyślał, coraz łatwiej

popadał w rozdrażnienie i nie czerpał już satysfakcji z robienia sobie własnoręcznie ubrań czy zabijania zwierząt za pomocą dmuchawy. Był gotów na coś większego, coś śmielszego.

„Potrzeba mi czegoś nowego, świeżego, żywego i stymulującego - napisał w dzienniku. - Potrzebne mi życie prawdziwe. Barwne, rzeczywiste, pełne mocy i wysiłku. Istnieją bardziej autentyczne i satysfakcjonujące zajęcia niż przesiadywanie z ludźmi i wałkowanie tych samych dawnych spraw rok po roku. Nie chcę r o z m a w i a ć o robieniu różnych rzeczy, chcę je r o b i ć i chcę znać realia i ograniczenia, jakie niesie ze sobą życie! Nie chcę, by moje życie było niczym, by nie miało znaczenia. A ludzie nieustannie mi powtarzają, że tak wiele robię, chociaż wydaje mi się, że nie ruszyłem nawet powierzchni spraw. Do diabła, naprawdę nie! A życie jest takie krótkie i jutro już może mnie tu nie być. Wizja, koncentracja, uwaga... co? Jak to osiągnąć? Co robić? Czy potrafię? Dokąd podążam? Ucieczka nie jest odpowiedzią. Jest tylko jeden sposób: przeznaczenie, przeznaczenie. Zaufać przeznaczeniu”.

Innymi słowy, nie wystarczało mu siedzenie w tipi, praca nad mokasynami i słuchanie dźwięku padającego deszczu. A skoro już mowa o jego tipi, nie chciał spędzić reszty życia na przenoszeniu go z jednego miejsca na czyjejs ziemi na inne miejsce należące do kogoś innego. Każde z miejsc, w których rozbijał obóz, było w końcu sprzedawane i na jego oczach zamieniało się w nowe osiedle. Było to okropne doświadczenie, przypominające stanie na łasze piasku i obserwowanie, jak podnoszą się wody przyływu. Gdzie mógł się udać? Pragnął nadal nauczać, ale na własnych warunkach i niekoniecznie przez czterdzieści pięć minut, jakie przyznał mu dyrektor tej czy innej szkoły publicznej. Potrzebował

więcej wyzwania, więcej mocy, chciał dotrzeć do większej liczby ludzi. Potrzebował więcej z i e m i .

Wiele lat później zapytany, dlaczego mieszka na Żółtym Wysepie i poświęca aż tyle energii na zachowanie w naturalnym stanie swojego tysiąca akrów, Eustace'a Conway udzielił dłuższej odpowiedzi. Ostatecznie stanie się ona jednym z bardziej poruszających fragmentów jego publicznych wystąpień. Oto co mówi:

„Jako dziecko przepadałem za książką zatytułowaną *Return to Shady Grove* („Powrót do cienistego gaju”). Jest o zwierzętach mieszkających w cudownym lesie. Ich życie toczy się tam doskonale, szczęśliwie i bezpiecznie, dopóki pewnego dnia nie pojawią się buldożery i nie zmiotą ich domu z powierzchni ziemi, żeby zbudować drogę dla ludzi. Nie mają dokąd pójść, nie mają gdzie mieszkać. Zwierzęta wsiadają do wagonu towarowego i jadą pociągiem na Zachód. Kiedy tam dojeżdżają, znajdują nowy las, taki jak ten utracony, i odtąd żyją sobie długo i szczęśliwie.

Zawsze łączyło mnie coś z tą książką, ponieważ wszystkie miejsca, w których mieszkałem, uległy zniszczeniu. Kiedy byłem dzieckiem, mieszkałem w Columbii w stanie Karolina Południowa, w pobliżu terenów dziewiczych, lasów i moczarów. Potem zjawili się deweloperzy i dokonali na tej ziemi gwałtu, zniszczyli ją. Wtedy przeprowadziliśmy się do Gastonii w Karolinie Północnej, gdzie rodzice kupili dom przylegający do setek akrów ziemi przeciętej czystym, pięknym strumieniem. Zakochałem się w tym lesie. Poznałem go lepiej niż jakiegokolwiek inne znane mi miejsce, ponieważ buszowałem w nim co dnia. Przez całe swoje młode życie czerpałem z tego lasu radość. Budowałem forty, ustalałem szlaki, trenowałem bieg na złamanie karku przez las, kiedy się

przewróciłem, zrywałem się i biegłem dalej. Przedzierałem się przez poszycie i skakałem z drzewa na drzewo niczym Tarzan. Znałem fakturę liści i ciepło gleby. Znałem dźwięki, barwy i doznania, jakie daje las.

A potem pewnego dnia w lesie zaczęły się pojawiać paliki geodetów. Nie wiedziałem, czemu miały służyć, ale wiedziałem, że zwiastują coś złego. Wiedziałem, że chodzi o bezczeszczenie przyrody, starałem się je wszystkie wyciągnąć, gdziekolwiek się pojawiały. Ale byłem dzieckiem... jakże mogłem to powstrzymać? Deweloperzy zmietli mój las z powierzchni ziemi i niwelując teren, zabudowali go setkami domów, pośród których strumień toczył zanieczyszczoną wodę. Nazwali to osiedle Gardner Woods, ale była to kłamliwa nazwa. Las unicestwiono. Została po nim tylko nazwa.

Potem wprowadziłem się do tipi, które postawiłem na kawałku ziemi należącej do przyjaciół w pobliżu lasu Allen's Knob, i mieszkalem tam do czasu, aż deweloperzy wykarczowali las pod osiedle. Wtedy w Boone spotkałem starego trapera, niejakiego Jaya Millera, a on pozwolił mi postawić tipi na pięknym kawałku swojej ziemi w Appalachach. Uwielbiałem tamto miejsce. Mieszkalem obok Howard's Knob, lasu pełnego niedźwiedzi, indyków i korzeni żeń-szenia. Tuż przy moim tipi tryskało źródło, z którego co rano piłem wodę. I było mi tam cudownie aż do dnia, w którym stary Jay Miller sam postanowił dorwać tego wszechmogącego dolara i sprzedał swoją ziemię pod wyrąb. Zjawiła się firma drzewna i postawiła tartak niedaleko mnie. Ten tartak wciąż się do mnie zbliżał, w miarę jak ścinał drzewa. W tym czasie byłem na ostatnim roku college'u i musiałem wkładać zatyczki do uszu,

żeby przygotowywać się do egzaminów, tak głośno wyły ich piły. Kiedy stamtąd odchodziłem, las, który kochałem, który dawał mi siły życiowe, karmił i ubierał, zamienił się w ogromne pole pniaków. A wspaniałe źródło, z którego piłem, zanieczyszczono i zamulono.

Co zatem mogłem zrobić? Właśnie wtedy uświadomiłem sobie, że morał wynikający z mojej ulubionej książki jest kłamstwem. Wierutnym kłamstwem, wymyślonym po to, by przekonać dzieci, że zawsze znajdzie się kolejny las na kolejny dom gdzieś na Zachodzie, tam za wzgórzem. To kłamstwo, które mówi, że kiedy zjawiają się buldożery, wszystko jest w porządku. Nieprawda, nie jest w porządku i musimy uzmysłowić ludziom, że to kłamstwo, bo buldożery będą się pojawiać dopóty, dopóki nie zniknie ostatnie drzewo. Nie ma bezpiecznego miejsca. A kiedy już sobie to uświadomiłem? Cóż, wtedy postanowiłem zdobyć własny las i walczyć na śmierć i życie z każdym, kto by próbował go zniszczyć. To jedyna odpowiedź i najlepsze, co mogłem zrobić ze swoim życiem na tej planecie”.

Na razie wiedział, że przyszedł czas, by znaleźć Żółtą Wyspę.

„Ziemia - pisał w dzienniku na początku lat osiemdziesiątych, jakby musiał to sobie samemu przypominać. - Muszę kupić ziemię. Ziemia! Wyśniłem ją. Pragnę jej. Poświęcę się dla niej”.

ROZDZIAŁ V

To jest właściwe miejsce!

*Brigham Young, kiedy pierwszy raz zobaczył
dolinę Wielkiego Jeziora Słonego*

Ameryka zawsze nadawała się idealnie - zarówno pod względem fizycznym, jak i za sprawą swoich ogromnych możliwości - na wizje utopistów. Można by się upierać, że każdy, kto kiedykolwiek przybył do Ameryki z własnej i nieprzymuszonej woli, był takim małym utopistą, kimś z osobistą koncepcją, nieważne jak skromną, stworzenia w Nowym Świecie czegoś na kształt raj. Można by również twierdzić, że ta kraina była utopią przez całe tysiąclecia, zanim przybyli Europejczycy i zaczęli wszystko rozwałać, żeby zajmowana przez nich przestrzeń odpowiadała ich sztywnym pojęciom. Zważcie jednak, jak ten kraj musiał wyglądać w oczach pierwszych Europejczyków... wolny, niezmierny, pusty. Bez wątplenia prowokował do myślenia o tym, jakie to społeczeństwo można by tutaj stworzyć.

Oczywiście Amerykanie nie wymyślili utopii. Jak zwykle byli to Grecy. Jednak Europejczycy rozmyślali nad doskonałym społeczeństwem jeszcze przed renesansem. Sir Thomas More, Tommaso Campanella i Francis Bacon mieli swoje wizje, podobnie jak później Rabelais, Montaigne, Hobbes. Żaden z nich jednak nie urzeczywistnił swojego projektu. Byli myślicielami i pisarzami, a nie charyzmatycznymi przywódcami. Poza tym na pooranej

bitwami mapie Starego Świata nie było miejsca, gdzie można by założyć rzeczywistą utopię. Politycznie, geograficznie i społecznie było to niewykonalne. Byli to zatem ludzie, którzy projektowali statki, nigdy nie zobaczywszy oceanu. Mogli sobie wyobrażać wymarzone statki w każdym rozmiarze i kształcie, ale i tak nie miały one nigdy pozeźgłować.

Kiedy jednak odkryto Amerykę - a raczej kiedy wymyślono koncepcję Ameryki - myśliciele, pisarze i charyzmatyczni przywódcy zaczęli popadać w kłopoty. Ponieważ to było odpowiednie miejsce na wprowadzenie ich idei w życie. Jeśli mogłeś zdobyć kawał ziemi i namówić dość ludzi, by do ciebie dołączyli, byłeś w stanie stworzyć tam własny raj. W ten sposób obok wielkich utopijnych programów takich ludzi jak Jefferson w całym kraju stworzono dziesiątki mniejszych i dziwniejszych projektów.

Pomiędzy rokiem 1800 i 1900 na przewalającej się przez Amerykę fali entuzjazmu powstała ponad setka różnych zamkniętych społeczności. Towarzystwo Kościoła Amana na przykład wymyślili sobie jeszcze w Niemczech pończosznic, cieśla i niepiśmiena pokojówka. Ich marzenie urzeczywistniło się jednak dopiero wtedy, kiedy w 1842 roku amaniści przybyli do Stanów Zjednoczonych i kupili pięć tysięcy akrów ziemi w pobliżu Buffalo. Pryncypialni, małomówni, wysoce wykwalifikowani, rozsądni członkowie tej dobrze zorganizowanej społeczności świetnie prosperowali i po jakimś czasie sprzedali swoją ziemię z dużym zyskiem i przenieśli się do Iowa, gdzie doskonale im się powodziło aż do roku 1932. Shakersi też świetnie prosperowali, dłużej niż można by się tego spodziewać po praktykującej celibat społeczności. A pracownicy rappaści podczas pierwszego roku pobytu w Conoquenessing Valley w Pensylwanii wykarczowali 150 akrów

lasu i wybudowali pięćdziesiąt domów z bali, szkołę, młyn oraz stodołę.

Większości modelowych społeczności Ameryki nie szło jednak tak dobrze. Na ogół załamywały się pod zdecydowanie nieprzymiarną utopijną rzeczywistością, na którą składały się bankructwa, wewnętrzne walki o władzę, nierozwiązywalne filozoficzne spory i zwykła ludzka nędza. Nową Harmonię założył w Indianie około roku 1825 Robert Owen. Nazwał swój projekt Nowe Imperium Dobrej Woli. Miało się ono rozprzestrzeniać „od społeczności do społeczności, od stanu do stanu, z kontynentu na kontynent, ostatecznie ogarniając całą kulę ziemską, zsyłając na synów człowieczych światło, aromat i obfitość, inteligencję i szczęście”. Za Owenem podążyły setki zwolenników, ale on nie miał żadnego rozsądnego ekonomicznego planu dla swojej społeczności, kiedy więc wszystko zaczęło się walić, szybko wrócił do Anglii. Jego zwolennicy stworzyli w ciągu jednego roku pięć konstytucji, podzielili się na cztery rywalizujące ze sobą grupy i wreszcie rozpadli się pod ciśnieniem kilkunastu procesów.

Kolonię Bishop Hill założył Eric Janson, Szwed, który w 1846 roku ściągnął ze sobą do Ameryki ośmiuset zwolenników, by stworzyć z nimi teoretycznie socjalistyczną społeczność. Spędzili pierwszą zimę w jaskiniach Illinois, gdzie w ciągu dwóch tygodni sto czterdzieścioro czworo zmarło na cholera, podczas gdy Janson przyglądał się temu i powtarzał radośnie: „Umieraj w pokoju”, a jego owieczki padały jedna po drugiej. Spirytualiści utworzyli swoją idealną społeczność w wiejskich okolicach stanu Wirginia, dokładnie tam, gdzie, jak sobie wyliczyli, kiedyś znajdował się raj. Podobnie jednak jak Adam i Ewa wylecieli z rajskiego ogrodu, zanim zdążyli się zorientować, co się stało; ich eksperyment trwał

zaledwie dwa lata. Beztroscy fruitlandersi to grupa założona wokół Bronsona Alcotta, czarującego wyznawcy „głębokiej dyskusji”, który uważał, że pracę należy wykonywać jedynie wtedy, kiedy „duch dyktuje”. Fruitlandersi pobili zapewne krajowy rekord samolikwidacji utopii; ich projekt przetrwał lato 1843 roku, bo potem, kiedy zaczęło robić się zimno, wszyscy rozeszli się do domów.

Ikarianie przybyli z Francji. Ich przywódca, Etienne Cabet, wysłał ich z następującą proklamacją: „Trzeci lutego 1848 roku będzie datą przełomową, tego bowiem dnia dokonano jednego z najwspanialszych aktów w historii gatunku ludzkiego, ponieważ awangarda na statku *Rome* wypłynęła do Ikarii (...). Niech wiatry i fale wam sprzyjają, żołnierze ludzkości!” Możliwe, że nigdy żadni żołnierze ludzkości nie cierpieli tak jak ci ikarianie, którzy ostatecznie wylądowali na stu tysiącach akrów nagranych moczarów w pobliżu Nowego Orleanu, gdzie dziesiątkowała ich malaria, wycieńczenie, głód, uderzenia piorunów i poczucie osamotnienia.

Ulubionym utopistą wszystkich musi być jednak Charles Fourier. Wszystko sobie dokładnie obmyślił i wyjaśnił w kilku opasłych tomach. W połowie dziewiętnastego stulecia jego zwolennicy wyrastali jak grzyby po deszczu w całych Stanach Zjednoczonych, szczególnie zaś w Nowej Anglii, gdzie ostry kryzys ekonomiczny pozbawił pracy mnóstwo mężczyzn. Z czterdziestu oddzielnych społeczności fourierowskich w Ameryce jedynie trzy przetrwały więcej niż dwa lata. Kiedy się spogląda na to zjawisko z perspektywy czasu, trudno pojąć, w jaki sposób pomysły Fouriera mogły rozprzestrzenić się dalej niż zakamarki jego pięknie szalonej głowy. Jednak coś w tej pociągająco uporządkowanej wizji

przemawiało do Amerykanów, dając im pewność w czasie, kiedy ludzie szukali jednoznacznych odpowiedzi.

Jedyna nadzieja dla ludzkości, twierdził otwarcie Charles Fourier, leżała w wysoce zorganizowanej strukturze - niemal owdziej w szczegółach i hierarchii - związków międzyludzkich. Najmniejszy związek, zwany grupą, obejmowałby siedem osób, po dwie z nich pozostawałyby na skrzydłach, by reprezentować „wznoszące się” i „opadające” skrajności upodobań, natomiast pozostała trójka zostałaby pośrodku, by utrzymywać równowagę. W idealnym ustroju istniałaby grupa dla każdego zajęcia (wychowania dzieci, hodowli drobiu, uprawy róż itd.). Pięć grup tworzyłoby serię, a każda z serii miałaby ośrodek i dwa skrzydła. Falanga - najwyższy poziom społecznego zorganizowania - miałaby się składać z kilku połączonych serii, które tworzyłyby bataliony złożone z 1620 do 1800 osób. Każda falanga zajmowałaby trzy akry ogrodów i sadów, a jej członkowie mieszkaliby w eleganckim falansterze, złożonym z sypialni, sal balowych, konferencyjnych, bibliotek i pokoi dziecińczych.

W doskonałym społeczeństwie Fouriera praca byłaby ceniona ze względu na swoją użyteczność. Dlatego najbardziej nieprzyjemne a niezbędne zajęcia (utrzymywanie kanalizacji, kopanie grobów) byłyby najwyżej płatne i cieszyłyby się największym szacunkiem. Ludzie pracowaliby zgodnie ze swoimi naturalnymi upodobaniami. Skoro dzieci na przykład mają naturalną skłonność do babrania się w ziemi i brudzie, tworzone by z nich grupy śmieciarzy, zwane małymi hordami. Dzieci otrzymywałyby wysoką zapłatę, a także maszerowałyby na czele każdej parady, podczas

której inni obywatele honorowaliby je szacownym „salutem poważania”.

Fourier posunął się nawet do ogłoszenia wszem i wobec, że poza zrozumieniem funkcjonowania idealnego społeczeństwa ludzkiego pojął również mechanizm działania całego wszechświata. Każda planeta, mówił, istnieje 80 000 lat, czyli jedną epokę; epoki dzielą się na stadia. Kiedy Ziemia wejdzie w swoje ósme stadium, spekulował, ludziom wyrosną ogony wyposażone w oczy, martwe ciała przeobrażą się w „aromaty”, czapy lodowe na biegunach wytworzą perfumowaną rosę, powstanie sześć nowych księżyców, a groźne lub nieprzyjemne zwierzęta zostaną zastąpione nieszkodliwymi przeciwieństwami (nazywanymi na przykład antyrekinami, antypchłami). I właśnie w tym okresie - wspomniałem ósmym stadium Ziemi - falangi Fouriera rozprzestrzenia się wreszcie po całej planecie, aż będzie ich dokładnie 2 985 984, zjednoczonych w jednym braterstwie i w jednym języku.

No tak. Jak widać, z ideałami utopii można posunąć się tak daleko, jak tylko sobie człowiek zamarzy.

Wydawało się, że czas na tego rodzaju mrzonki minął wraz z końcem dziewiętnastego wieku. Do roku 1900 nie tylko zniknęła większość idealistycznych społeczności Ameryki, ale przestano już w ogóle mówić o kupowaniu ziemi na pustkowiu i o tworzeniu nowego społeczeństwa z udziałem garstki wyznawców. Podobnie jak za upadek tylu innych idei w tym kraju, winą zapewne należałoby obarczyć wiek industrializacji. Masowa produkcja towarów, przestawienie gospodarki z wiejskiej na miejską, schyłek indywidualnego rzemiosła... wszystko to doprowadziło do upadku amerykańskiej koncepcji samowystarczalności. Trudniej było uwierzyć, że jedna osoba (czy jedno zgromadzenie, albo jedna falanga)

mogłaby się oderwać od tej wielkiej maszyny, jaką stała się Ameryka. Powoli zaczęła się wyłaniać siatka. Albo zaczęła zaciskać się pętla, jeśli raczej tak to odczuwamy. Na przełomie wieków wydawało się, że nie warto podejmować prób zmiany amerykańskiej kultury, tej głośnej, silnej, okrzepłej, jednorodnej, wszechobecnej. Dopiero w latach sześćdziesiątych Amerykanie ponownie odnaleźli w sobie energię (albo szaleństwo), by spróbować raz jeszcze masowego budowania społeczności utopijnych.

Lata sześćdziesiąte tak naprawdę rozpoczęły się w latach pięćdziesiątych, od ruchu bitników, który przyniósł zmiany w muzyce, zakwestionował układ społeczny, pociągnął za sobą zainteresowanie eksperymentami z narkotykami oraz seksem i opór wobec wszystkiego, co konwencjonalne. W połowie lat pięćdziesiątych wróciły do łask romantyczne dziewiętnastowieczne amerykańskie koncepcje oddzielenia się od fałszu większej społeczności. Poeci tacy jak Allen Ginsberg (spadkobierca Walta Whitmana) i pisarze tacy jak Kerouac (który sam siebie nazywał „miejskim Thoreau”) postawili sobie zadanie przeddefiniowania i ponownego odkrycie sposobów na życie w Ameryce, bez konieczności brnięcia przez to, co Kerouac nazwał niekończącym się cyklem „praca, produkt, zużycie, praca, produkt, zużycie...”

Bitników kojarzy się często z życiem miejskim, szczególnie z San Francisco. Ale oni, podobnie jak w dziewiętnastym wieku zrobił to Teddy Roosevelt, odwracali się od powodujących zniechęcenie wpływów wielkich miast i szukali sobie miejsca w surowych warunkach, by dzięki temu przeobrazić się w prawdziwych mężczyzn. Na początku lat sześćdziesiątych poeta Lew Welch zrezygnował ze stałego etatu redaktora w Chicago i został

pustelnikiem u stóp gór Klamath. Młody Jack Kerouac znalazł sobie posadę w Lasach Państwowych i zajmował się wypatrywaniem pożarów w Górach Kaskadowych. (Pracował także na statku handlowym i był hamulcowym na kolei, w Southern Pacific Railroad.) Allen Ginsberg i Gary Snyder w latach czterdziestych i pięćdziesiątych pracowali na statkach. („Zatrudniałem się we wszystkich warstwach społecznych - chełpił się Snyder. - Mogę poszczycić się tym, że pracowałem przez dziewięć miesięcy na tankowcu i nikt się nie domyślił, że miałem ukończone studia”).

Bitników frustrowały otępiające wartości społeczeństwa konsumpcyjnego Ameryki i uważali dzikie pustkowia oraz pracę fizyczną za doskonały sposób na, jak ujął to Kerouac, „pozbycie się skrępow krwi”. Krótko mówiąc, powrót na pogranicze miał służyć oczyszczeniu się. W połowie lat sześćdziesiątych idee te rozprzestrzeniały się coraz bardziej wśród amerykańskiej młodzieży. Same powieści Kerouaca wyciągnęły mnóstwo młodych ludzi na wędrowną podróż po kraju w poszukiwaniu przeznaczenia, choć mniej więcej w tym samym czasie odkryto na nowo *Walden*, zapoznane wówczas dzieło opiewające zarówno przyrodę, jak i nonkonformizm, oraz eseje wielkiego dziewiętnastowiecznego przyrodnika, Johna Muira. Znowu zanosilo się na rewolucję kontrkulturową, a tuż za nią, co nieuniknione, podążały nowe utopie.

W latach 1965-1975 dziesiątki tysięcy młodych Amerykanów wzięło udział w idealistycznym eksperymencie, polegającym na życiu w grupach wspólnotowych. Te komuny były barwniejsze i dziwniejsze od swoich dziewiętnastowiecznych odpowiedników. Większość szybko kończyła się porażką, często komiczną, choć trudno nie sympatyzować z ich idealistycznymi koncepcjami.

W Kolorado istniało słynne Drop City, założone przez rozhu-
kanych, rozkochanych w ubóstwie artystów, którzy wzniesli bu-
dowlę z kapsli od butelek i brezentu (nie żartuję). Ich krótkotrwała
utopia rozbrzmiewała „grą bębnow i dźwiękami dzwonnów,
brzdąkaniem, brzęczeniem i zawodzeniem”. Założyciele Drop
City tak bardzo gardzili wszelkimi zasadami i osądami, że gotowi
byli przyjąć do swojej społeczności każdego bez wyjątku. I dlatego
to miejsce skończyło się jako meta dla narkomanów i przeraża-
jących gangów motocyklowych. Ten sam los spotkał dobrodusz-
nych Kalifornijczyków z Gorda Mountain, którzy w roku 1962
założyli szeroko otwartą wspólnotę, spodziewając się, że ich poli-
tyka gościnności przyciągnie wielu artystów i marzycieli. Komunę
trzeba było zamknąć w roku 1968, kiedy przeżyła najazd ćpunów,
włóczęgów, zbiegów i kryminalistów.

Wielki guru LSD Ken Kesey założył spontanicznie wraz z
Merry Pranksters (Wesołymi Kawalarzami) miniaturową utopię
we własnym domu w Kalifornii (choć ostatecznie tak go zmęczyła
ta komuna, że nie nazywał jej życiem we wspólnocie, tylko „ży-
ciem w łgarstwie”, i w 1969 roku wsadził całe towarzystwo do
autobusów jadących do Woodstock i stanowczo zakazał powrotu).
Timothy Leary założył bardziej rozbudowaną, psychodeliczną
utopię. Mieściła się na terenie luksusowej posiadłości w Millbrook
w stanie Nowy Jork, która kiedyś należała do rodziny Andrew
Mellona. Eksperyment Leary ego opisano jako „szkołę, komunę i
niekończące się spotkania towarzyskie”. Chociaż poważni uczeni i
artyści rzeczywiście odwiedzali Millbrook, by dyskutować o kul-
turze i poezji, to nie było chętnych do wykonywania obowiązków
domowych i pożegnano się z marzeniami w 1965 roku.

Inne komuny z lat sześćdziesiątych charakteryzował podobny brak wewnętrznej struktury. Ranczo Czarny Niedźwiedź, którego głównym założeniem było niestosowanie absolutnie żadnych reguł, ostatecznie poddało się i przyjęło dwie surowe zasady: (1) nie siadać na kuchennych blatach i (2) nie kręcić rączką wirówki do odciągania śmietany z mleka, ponieważ, jak wspominał jeden z jego mieszkańców, „doprowadzało to innych do szaleństwa, kiedy ludzie siadali na kuchennym blacie i bawili się rączką wirówki”. Poza tym każdy mógł robić, co mu się żywnie podobało.

Niełatwo sprawić, żeby takie wspólnoty funkcjonowały. Dzieciaki, które je zakładały, były... właśnie - dziećmi. Młodymi, pochodzącymi z klasy średniej absolwentami college'ów, z których większość nie miała żadnych niezbędnych na farmie umiejętności. Ich komuny rozpadały się jedna po drugiej, rozsadzane od wewnątrz przez nadużywanie narkotyków, dezorganizację, apatię, wzajemne pretensje i bankructwo, atakowane od zewnątrz przez główny nurt amerykańskich wartości i prawa. Na przykład, Ranczo Gwiazda Poranna w Kalifornii nie zagnało spokoju ze strony miejscowego szeryfa, który w 1967 roku aresztował przywódcę komuny, Lou Gottlieba, za „prowadzenie zorganizowanego obozu niezgodnie ze stanowymi przepisami sanitarnymi”. Gottlieb, który był nie tylko utopijnym idealistą, ale również dowcipniem, żartował sobie podczas aresztowania: „Jeśli potrafisz znaleźć tutaj jakieś dowody zorganizowania, to chciałbym je zobaczyć”.

Tak, szeryfie, byłoby bardzo trudno doszukiwać się jakichkolwiek przejawów organizacji w większości tych utopii z lat sześćdziesiątych. Łatwo jest teraz, z perspektywy czasu, oceniać je wyłącznie jako niewydarzony efekt uboczny zdzierającego ruchu młodzieżowego poszukującego nowych i twórczych sposobów

na unikanie odpowiedzialności. Choć jeśli przyjrzeć się zjawisku bliżej, trzeba stwierdzić, że nie wszystkie komuny z lat sześćdziesiątych były tylko szaloną zabawą. Niektóre założono zgodnie z poważnymi zasadami religijnymi; inne miały zdecydowany polityczny program; zdarzały się takie, których członkowie starali się wieść stateczne i proste życie. A kilka hipisowskich komun dzięki dobremu zarządzaniu przetrwało wiele lat.

Jedna z nich, nazwana po prostu Farma, funkcjonuje w Tennessee na zasadzie wspólnoty od roku 1971. Na początku panowała w niej polityka totalnej anarchii, ale z upływem lat wprowadzono tradycyjne reguły i ograniczenia. Bardziej realistyczne koncepcje przestrzegania praw jednostki w ramach szerszego wspólnotowego życia pozwoliły jej członkom zachować zdrowy rozsądek i nie dopuścić do zgorzknienia i niechęci. Tak jak w przypadku innych podobnych eksperymentów trwających dłużej niż rok, Farma musiała zamienić swój wcześniejszy romantyzm na bardziej pragmatyczny i zorganizowany sposób postępowania. W każdym razie długotrwałe udane projekty społeczne Farmy (kilka programów nauczania o środowisku; organizacja lobbingowa) są odbiciem pierwotnych idealistycznych marzeń jej założycieli.

Idealizm jest chyba równie ważny dla funkcjonowania komuny przez całe lata jak dobra księgowość i ścisłe zasady przyjmowania gości... dokładnie tak samo jest w dobrym małżeństwie: parze o wiele łatwiej znieść trudy dziesięcioleci, jeśli przetrwa w niej iskra młodzieńczego romantyzmu. Jak wyjaśnił to jeden z członków Farmy: «Przeżyliśmy razem dość ciężkie czasy. Jest trochę sentymentu w naszym patrzeniu na jej sukcesy».

Z tego punktu widzenia spójrzymy na słynną Hog Farm (Świńską Ferme) w Kalifornii. Po dwudziestu pięciu latach od założenia wciąż kwitnie, co przypisuje się charyzmatycznemu przywódcy i wspaniałemu hipisowskiemu wizjonerowi, Hugh Romneyowi, znanemu jako Wavy Gravy (aby go uhonorować, jego imieniem nazwano jeden ze smaków lodów Ben and Jerry's). Wavy Gravy przez całe lata nie zrezygnował ze swojego przesłania uszczęśliwiania innych, a jego utopijne marzenie wciąż kwitnie jako pomnik siły czystego idealizmu. Letni obóz Hog Farm (Winnarainbow) jest znakomicie działającą instytucją, a w swej działalności dobroczynnej komuna od lat odnosi sukcesy, zwalczając ślepotę w krajach Trzeciego Świata.

Wszyscy ci, którzy obecnie mieszkają w Hog Farm, wciąż postępują zgodnie z zasadami swojego ujmującego przywódcy i niezmiennie z optymizmem trzymają się poważnego programu politycznego. Ich sukces zadaje kłam twierdzeniom tych, którzy utrzymują, że jedynym sposobem przetrwania we współczesnej Ameryce jest dostosowanie się do obowiązujących norm społecznych. Mimo wszystkich ustępstw i rozczarowań, jakie zapewne były ich udziałem w minionych dziesięcioleciach, członkowie Hog Farm wciąż prowadzą wspólną pożyteczną walkę, zachowując wierność pierwotnemu prześmiewczemu określeniu siebie jako „wielopokoleniowej rodziny, ruchomej halucynacji, armii klaunów”.

Eustace Conway urodził się na początku lat sześćdziesiątych. Okres kształtowania się jego osobowości przypadł na sam środek rewolucji kontrkulturowej, jednak luzacki styl bycia tamtych czasów nie miał raczej szczególnego wpływu na jego sposób myślenia. Współcześni hipisi reagują pozytywnie na Eustace'a, ponieważ

uważają, że jest jednym z nich. Rzeczywiście, na pierwszy rzut oka wydaje się hipisem, bo ma długie włosy i gęstą brodę i wyznaje filozofię powrotu do natury, a nalepka na zderzaku jego pick-upa głosi: „Mam przyjaciół we wszystkich kolorach”. Tak naprawdę Eustace jest konserwatystą. Nie cierpi narkotyków i narkomanów, irytuje go rozwiązłość seksualna, a niektórzy zarzucają mu nawet, że przedkłada dyscyplinę nad wolność. Gdybyście na przykład chcieli mu odebrać broń, musielibyście mu ją wydrzeć z lodowatej, martwej dłoni. Zatem nie, nasz Eustace Conway nie jest ani ruchomą halucynacją, ani naćpanym żołnierzem z armii klaunów.

Eustace dzieli natomiast ze snującymi utopijne marzenia hipisami lat sześćdziesiątych dwudziestego wieku (a także z ich romantycznymi przodkami - utopistami z lat sześćdziesiątych dziewiętnastego stulecia) najbardziej amerykański ideał głoszący, że społeczeństwo jest nie tylko zdolne, ale i chętne do przeobrażenia. Jeśli zdobędziesz kawałek ziemi i masz silną motywację, to możesz zapoczątkować projekt, który będzie rósł i inspirował wielką zmianę w całym kraju. Eustace, jak każdy porządny utopista, nie lękał się podjąć takiej próby. Ośmielił się głosić, że zna wszystkie odpowiedzi. Miał odwagę przedstawić całkowicie nowy pogląd na świat.

Chciał, by Żółwia Wyspa była czymś więcej niż tylko rezerwatem przyrody. Czymś więcej niż Obóz Sekwoja dziadka. Ta ziemia nie miała być obozem letnim, w którym dzieci chroniłyby się na jakiś czas przed złem wielkiego miasta i wyrastały na silnych obywateli. Nie, Żółwia Wyspa miała być tłem ogromnego utopijnego eksperymentu: próby zmiany i ocalenia Ameryki, wielkiego projektu przyszłości. Nieraz przecież Eustace słyszał to stare

porzekadło: „Wpływając na jedno życie, wpływasz na cały świat”.

Cóż, mówiąc szczerze, uważał, że to kompletna bzdura. Ludzie, nie ma powodu, by myśleć na taką małą skalę! Czemu zadowalać się wpływaniem na jedno życia? Czemu nie zbawić całej planety? Na pewno to właśnie jest jego przeznaczeniem.

„Bóg stworzył tylko jednego takiego człowieka jak Ty - pisała jego matka, która zawsze pojawiała się na scenie, kiedy trzeba było przypomnieć synowi o jego wyjątkowym powołaniu. - I ma dla Ciebie szczególne zadanie, żebyś mógł wykorzystać talenty, jakimi Cię obdarzył”.

Eustace zgadzał się z tym całkowicie i kiedy miał dwadzieścia kilka lat, płonął pragnieniem stworzenia własnej utopii. Wolę miał, brakowało tylko ziemi.

Nie podejrzewał, że uda mu się znaleźć ukochaną Żółwią Wyspę w Karolinie Północnej, gdzie cena gruntu była wysoka, a przeludnienie stawało się poważnym problemem. Okazało się jednak, że wysoko w górach, za college'em i uzdrowiskowym miasteczkiem Boone, znajdują się ukryte małe enklawy, w których życie od dziesięcioleci się nie zmieniło. Cena ziemi była niska, ludzie spokojni, więc Eustace popytał tu i tam, żeby się dowiedzieć, czy ktoś ma na sprzedaż większy kawałek ziemi. Kiedy usłyszał, że dostępne jest takie miejsce zwane Alley Church, pojechał tam ze swoim byłym profesorem z college'u, który znał się na kupowaniu ziemi i czytaniu map geodezyjnych... o takich sprawach Eustace nie miał w tamtym czasie pojęcia.

To, co znaleźli na końcu drogi gruntowej, było doskonałe - sto siedem akrów czegoś, co Eustace opisuje teraz jako „klasyczny rekultywowany południowoappalaski las, z którego uzyskuje się twarde drewno”, do tego oszałamiająco piękny. Miał wszystko,

czego szukał: świeżą źródlaną wodę, dobre nasłonecznienie, atrakcyjne położenie pomiędzy graniami, płaski teren pod uprawę, mnóstwo drewna na postawienie budynków i pasjonująco różnorodny ekosystem. Las był mieszany, przeważały w nim robinia akacja, brzoza i kwaśnodrzew. Powietrze było wilgotne i ciężkie, a poszycie bujne i gęste od paproci. Nie brakowało tu sumaka jadowitego ani jadowitych węży, choć dobrze tam się czuły również łagodne gatunki roślin i zwierząt: pstrągi, dzięcioły, różnokolorowe storczyki, żeń-szeń, krwiowiec, rododendrony...

Gleba pod jego stopami była żyzna, czarna i wilgotna. Jak większość lasów na Wschodnim Wybrzeżu Ameryki nie był to las pierwotny. Ten las odrodził się na wykarczowanym ponad sto lat wcześniej terenie. Ziemię najpierw uprawiano, a potem na dzieściolecia porzucono (miejscowych wieśniaków zwabiono do położonego niżej miasta, by pracowali tam w fabrykach). Podobnie jak drzewa, wróciły też dzikie zwierzęta. Było mnóstwo wieiórek i wszelkie znaki wskazywały na to, że rośnie tam populacja jeleni. Bogactwo ptaków było nadzwyczajne i Eustace'owi zdawało się, że w wilgotnym porannym powietrzu słyszy godny prawdziwej dżungli krzyk życia. Podejrzewał, że w pobliżu są też kuguary. I niedźwiedzie.

Pierwszy raz oglądał tę ziemię zimą 1986 roku. Gdy tylko zjechał pick-upem z głównej drogi, znalazł się na prawdziwym appalaskim terenie, co stawało się bardziej oczywiste, kiedy wspiął się jeszcze wyżej, zagłębiając w Pasma Błękitne. Ta garstka ludzi, która tam mieszkała, należała do pierwszych osiedleńców. Autentyczni, dawni wieśniacy z górskich rejonów. Ich domy były krytymi blachą chatami, przyklejonymi do ścian tych stromych

górkich dolin. Podwórka mieli zagracone skamielinami w postaci różnych urządzeń i prehistorycznych samochodów, a króliki i kury trzymali na dachach, z dala od lisów. Słowo „bieda” nie wystarczy na określenie ich życia.

Ponieważ drogi wiły się i były nieoznakowane, Eustace nie wiedział, czy nie błądzi, wjechał więc na podwórko jednej z nędznych chałup i zapukał do drzwi, żeby spytać, gdzie jest miejsce zwane Alley Church. Błada, chuda kobieta w perkalowym fartuszkach podeszła do wejścia i przez siatkowe drzwi patrzyła na niego z przerażeniem. Pewnie nigdy wcześniej nie widziała na progu domu mężczyzny, który nie należał do rodziny.

„Zagniała ciasto - wspomina Eustace - i miała ręce białe od mąki, ale jej twarz była równie biała i kobieta trzęsła się ze strachu. Kiedy się w końcu odezwała, głos miała słaby i chwytła powietrze, jakby miała zemdleć. To było tak, jakbym odwiedzał chorego w szpitalu. Człowiek ma ochotę powiedzieć: «Oszczędzaj siły! Nic nie mów!» W takim była stanie”.

Ta kobieta nazywała się Susie Barlow i należała do jednej z powiązanych ze sobą appalaskich rodzin, które wkrótce miały zostać sąsiadami Eustace'a. Klany Barlowów, Carltonów i Hicksów mieszkały w tej skalistej górskiej dolinie od tak dawna, jak sięga pamięć. Byli to życzliwi, ceniący sobie życie na uboczu ludzie, którzy w razie konieczności wciąż wyrwali sobie zęby wykonanymi domowym sposobem szczypcami. Trzymali świnie i robili wyśmienite, ogromne, peklowane szynki. Hodowali psy myśliwskie, dla siebie do polowania i na sprzedaż. Trzymali szczenięta w głównym pokoju, w dużej drewnianej skrzyni, wyłożonej wyblakłą kołdrą ręcznej roboty, która na aukcji w Nowym Jorku na pewno sprzedałaby się za kilkaset dolarów. Carltonowie,

Hicksowie i Barlowowie byli biednymi, ale głęboko religijnymi ludźmi, którzy z szacunkiem święcili dzień święty i z pokorą brali do ręki Biblię.

„Tyle ci powiem - mówi Eustace. - Wiesz, że mam z chrześcijaństwem na bakier, prawda? Ale kiedy odwiedzam swoich appalaskich sąsiadów, a oni pytają: «Pomodlisz się z nami, bracie Eustacie?», padam na kolana i s i ę m o d l ę. Klękam w ich kuchniach, na tym wytartym linoleum, ujmuję ich twarde spracowane dłonie i modlę się z całego serca, bo to są najprawdziwsi wierni, jakich znam”.

Byli idealnymi sąsiadami. Był to idealny kawałek ziemi. Eustace był gotów rozpocząć swoją utopijną podróż. Nie chciał jednak odbywać jej samotnie.

Mimo że Eustace ucieleśniał archetyp przebywającego w głuszy amerykańskiego romantycznego samotnika, wciąż bardzo pragnął mieć partnerkę, z którą dzieliby swoje marzenie. Tak jak wyobrażał sobie swój idealny utopijny dom, tak samo wyobrażał sobie (szczegółowo, w każdym fantastycznym detalu) swoją idealną utopijną narzeczoną. Wiedział dokładnie, kim będzie, jak będzie wyglądać i co wniesie w jego życie.

Będzie piękna, inteligentna, silna, kochająca, sprawna i będzie wierną partnerką, delikatnym dodatkiem, który uczłowieczy jego życiowy plan i potwierdzi jego wizję. Ukazywała mu się w snach jako młoda, rdzenna Amerykanka niezwyklej urody, cicha, kochająca i spokojna. Była Ewą, która miała pomóc Eustace'owi zbudować jego raj. A przy okazji była to ta sama wyśniona dziewczyna, o której fantazjował Henry David Thoreau, kiedy siedział samotnie nad swoim stawem Walden... nieskazitelne dziecko natury,

niedościgniony ideał, wzorowany na mitycznej greckiej półbogini; czczę raczej Hebe - pisał Thoreau - podczaszynię Jowisza, która była córką Junony i dzikiej sałaty i która miała moc przywracania bogom i ludziom młodzieńczych sił żywotnych. Była zapewne jedyną krzepką, zdrową i silną młodą kobietą, jaka kiedykolwiek stąpała po ziemskim globie, i gdzie tylko się pojawiła, tam rozkwitała wiosna”*

* Cytat za: Henry David Thoreau, op. cit., s. 156.

Kobieta marzeń Eustace'a to wizerunek bujności, płodności i wdzięku. Niełatwo mu jednak było ją znaleźć. Nie, żeby miał jakiś kłopot z poznawaniem kobiet. Spotykał ich wiele; trudno mu było tylko znaleźć tę właściwą.

Na przykład jego związek z kobietą o imieniu Belinda był bardzo typowy. Belinda, która mieszkała w Arizonie, widziała Eustace'a Conwaya w programie telewizyjnym *PM Magazine*, gdzie mówił o swoim życiu w lesie. Z punktu się w nim zakochała, porwana romantycznym wizerunkiem tego nieokrzesanego i wymownego trąpera, i wytropiła go drogą korespondencyjną. Pisali do siebie namiętne listy i w końcu Eustace pojechał do niej na jakiś czas na Zachód, ale nic z tego nie wyszło. Belinda miała już dziecko, co było tylko jednym z powodów, dla których się ostatecznie rozstali. Eustace nigdy nie był do końca pewien, czy Belinda kochała go jako konkretną osobę, czy tylko swoje wyobrażenie o nim.

Potem była Frances, „silna dziewczyna z Anglii” - w niej Eustace też się zakochał.

„Ma chyba mądrość, siłę i wytrwałość, które uczyniłyby z niej dobrą partnerkę - napisał o niej w swoim dzienniku. - Potrzebna mi miłość i towarzystwo drugiej osoby, czego tak mało

doświadczyłem. Wiem, że jestem romantykiem. Czasami myślę i czuję, że jestem taki logiczny, chłodny i metodyczny, a przecież potrafię też być taki młody, naiwny i nieprzytomny”.

Jednak Frances wkrótce zniknęła, a pojawiła się Bitsy, w której Eustace zakochał się po uszy. Bitsy była piękną i tajemniczą lekarką z grupy Apaczów - w dodatku z plemienia potomków Geronimo. I miała wszystko, za czym zawsze przepadał Eustace: szeroki uśmiech, długie włosy, ciemną skórę, wysportowane ciało, „oczy, pod których spojrzeniem serce mi miękło”, pewność siebie, wdzięk. Jednak z nią też mu się nie ułożyło.

„Wciąż Cię pragnę - napisała do niego, kiedy postanowiła z nim zerwać - a przecież nie byłam w stanie wyjść Ci naprzeciw. Jesteś czarodziejem. Ale czuję, że chcesz mnie dla własnych potrzeb. W tej chwili nie chcę, by mnie zbawiano, uczono albo prowadzono w jakimkolwiek innym kierunku niż ten, który ja wybieram. Ty jesteś dawcą, nauczycielem. To jest dobre, dla niektórych. Ja jednak mam poczucie, że jestem Ci potrzebna jako gloryfikacja Twojej osoby. Wybacz, jeśli te słowa brzmią okrutnie. Nie było to moim zamiarem. Twoje potrzeby przesłaniają moje”.

Nie przyjął lekko tego rozstania.

„NIECH TO SZLAG! BITSY! - wybuchnął w swoim dzienniku w lutym 1986 roku. - Płaczę, walę się na podłogę, krzyczę z bólu. Niech to szlag, żadnej ulgi. Nie mogę się z tym pogodzić! Ty! Muszę Cię zobaczyć. Ty jesteś najważniejsza... moje serce krwawi dla Ciebie. Kocham Cię jak samo życie, jak cały wszechświat! Jestem chory z miłości do Ciebie! Co mogę zrobić? Nie mogę nic zrobić. Nic nic nic. NIC NIC. Jak ja to zniosę?! Chcę Cię za żonę, partnerkę, chcę z Tobą dzielić przygody życia. Nigdy

nie znajdę kogoś takiego jak Ty... co na to powie los, Bóg, przepływająca energia wszechświata?

Pod datą z lutego 1987 roku czytamy w jego dzienniku: „Valarie Spratlin. Miłość. Nowa miłość. Skąd się wzięłaś? Czy Bóg Cię przysłał? Jesteś rzeczywista? Czy naprawdę jesteś moja? Czy Kocham Cię tak bardzo, jak myślę, że Cię Kocham, czy po prostu Kocham tę miłość, którą mnie obdarzasz? Pragnąłbym pewności, że jesteś odpowiedzią na moje modlitwy. Czy jesteś kolejnym etapem w moim podążającym do przodu, pouczającym, przesądzonym życiu? Czy los jest tak potężnym władcą, że uczynił z nas bratnie dusze?”

Valarie Spratlin, atrakcyjna i energiczna kobieta, starsza o dziesięć lat od Eustace'a, w 1987 roku pracowała w Departamencie Surowców Naturalnych stanu Georgia. Była odpowiedzialna za jedną piątą stanowych parków. Słyszała wcześniej o Eustacie Conwayu i o jego „występie z psem i koniem” od przyjaciółki z Karoliny Północnej, zatem zaprosiła go do Georgii, by poprowadził warsztaty dla personelu parków. Szybko się w sobie zakochali. Intrygowało ją jego życie, jego magnetyzm i śmiałe plany ratowania świata. Pisała do niego listy, adresując je do „mojego pierwotnego pogańskiego dzikus”. Utonęła w jego całościowym ikonograficznym wizerunku... w skórzanych spodniach, tipi, wszystkich rekwizytach. Jej poprzedni przyjaciel był muzykiem w Allman Brothers i ostatnie dziesięć lat życia spędziła, podróżując z zespołem po kraju, co oznaczało, że musiała lubić przygody.

„Wiem, że poznaliśmy się zaledwie przed dwoma tygodniami - pisała do Eustace'a w spontanicznie skreślonym wierszyku - jednak moje uczucia do Ciebie rosną pasjami”.

Wkrótce potem Eustace poprosił Valarie, by pojechała z nim

w trzytygodniową trasę po Południowym Zachodzie, do Mesa Verde i innych dawnych siedzib indiańskich. „A co tam, jadę”, powiedziała, po czym zapakowali jej małą toyotę i wyjechali. Valarie pamięta, że Eustace ani razu nie pozwolił jej kupić nic do jedzenia. Naciągali kogoś na posiłek, a jak im się to nie udało, to trzy razy dziennie jedli płatki owsiane z rodzynkami. „Do diabła - wspomina - był największym sknerą, jakiego w życiu spotkałam”. Zabrał ją na wędrowkę po Wielkim Kanionie - „nie na sympatyczny krótki spacer, ale na cały dzień, znowu bez jedzenia, poza tymi cholernymi płatkami owsianymi i rodzynkami” - a następnego ranka zaciągnął ją do Bryce Canyon na kolejne trzy dni wędrowki. Były to marsze w stylu Eustace'a: dwadzieścia pięć mil bez odpoczynku.

- Eustacie Conwayu - oznajmiła w końcu, kiedy pewnego wieczoru nalegał, żeby się wspięli na jeszcze jedną grań i zobaczyli jeszcze jeden zachód słońca - z a d u ż o ode mnie wymagaś.

Popatrzył na nią z niedowierzaniem.

- Ależ, Valarie, może już nigdy się tu nie pojawisz. Nie wierzę, że mogłabyś zrezygnować z szansy obejrzenia takiego pięknego widoku.

- Umówmy się więc - powiedziała - że wejdę z tobą na tę ostatnią cholerną górę, jeśli mi obiecasz, że kiedy się już stąd wyniesiemy, zabierzesz mnie do prawdziwej restauracji i n a t y c h m i a s t kupisz mi hamburgera, frytki i colę.

Roześmiał się i wyraził zgodę, a ona weszła z nim na grań. Była zakochaną romantyczką, ale nie była popychadłem. Miała charakter. Wiedziała, kiedy powiedzieć stop, w sytuacjach, w których inne kobiety nie potrafiły mu się przeciwstawić. A przecież miała na jego punkcie bzika. Była z charakteru ekologiem, a z wykształcenia

pedagogiem, tutaj zaś był sobie ten gość, który uosabiał każde jej przekonanie na temat świata i jeszcze mnożył to przez pięćdziesiąt. Popierała go w jego planach i dość szybko nastąpiło pewne subtelne przesunięcie w użyciu zaimków, kiedy dyskutowali o przyszłości. Eustace przestał mówić: „Moja potrzeba znalezienia porządnego kawałka ziemi”, mówił: „Nasza potrzeba znalezienia porządnego kawałka ziemi”. Ta kobieta pod każdym względem była tym, o kim zawsze marzył: prawdziwą towarzyszką. Wspólnie, Eustace i Valarie, przeszukali Południe, by znaleźć odpowiednie miejsce na jego - na ich - utopię.

I zdarzyło się tak, że zimą 1986 roku Eustace zawiózł Valarie Spratlin w góry za miasteczkiem Boone, żeby pokazać jej miejsce, którego kupnem był zainteresowany. Była noc. Padał lodowaty deszcz. Jechali starym, rozklekotanym pick-upem, który Eustace niedawno kupił, z dziurami w podłodze, przez które do środka dostawały się spaliny. Droga pod górę przypominała łożysko wyschniętego strumienia, pełnego głazów i wyrw. Wysiedli wreszcie z auta i zachwycony Eustace zawołał do Valarie:

- Jesteśmy na miejscu! To jest właśnie to!

Było bardzo zimno. Było ciemno. Huczał wiatr. Valarie nic nie zobaczyła. Schowała się przed deszczem pod chojakiem, ale zaniepokojone ptaki zaczęły się wiercić na gałęziach, przy okazji strzepując wodę z igieł prosto na jej plecy.

- Nie podoba mi się tutaj - oświadczyła.

- Spodoba ci się rano - obiecał.

Nie było tam nawet szafasu. Spali pod brezentem, na dodatek zaczęły padać śnieg. Około północy Eustace wspiął się samotnie na najwyższy punkt parceli i wypalił fajkę jako modlitwę dziękczynną za to, że odnalazł swoje przeznaczenie. Tymczasem Valarie,

szczękając zębami z zimna, myślała sobie: „Pada śnieg, nie wiem nawet, gdzie do cholery jestem, i zamarzam na śmierć, a ten przekłety facet idzie sobie, żeby zapalić fajkę?” Jednak rano, kiedy Eustace oprowadzał ją po posiadłości, zaczęła rozumieć, co mu się tak podoba w tym miejscu. Nie było tam nic prócz gęstego lasu, ale Eustace potrafił szczegółowo zagospodarować sto siedem akrów swojego osobistego świata... tam będą mostki; tutaj obóz z tipi; tamto miejsce jest świetne na pastwisko; tu postawimy stajnię; tam dalej zbudujemy domki dla gości; kiedyś kupię ziemię po drugiej stronie grani, a tutaj zasiejemy grykę...

Widział wszystko. A ponieważ jasno to objaśniał, ona też widziała.

Ta ziemia miała go kosztować prawie osiemdziesiąt tysięcy dolarów.

Eustace zaoszczędził trochę pieniędzy, ale dużo mu brakowało do takiej sumy. I nie było na świecie bankiera, który spojrzyłby powtórnie na młodego człowieka w skórzanych spodniach mieszkającego w tipi. Gdzie zatem może współczesny traper zdobyć osiemdziesiąt tysięcy dolarów i to szybko? Eustace znał jednego człowieka, który posiadał takie pieniądze, był nim jego ojciec.

Eustace'owi było niezwykle trudno zwrócić się o pieniądze do ojca. Nadal nie czuł się swobodnie w jego obecności. Ojcu do tej pory nie zdarzyło się odezwać do niego życzliwym słowem. Nigdy nie przyjął do wiadomości, że jego syn „idiota” ukończył college z wyróżnieniem. Nigdy nie poszedł posłuchać, jak Eustace przemawia w salach wypełnionych zainteresowaną publicznością; nie wysłuchał ani jednej opowieści o przygodach Eustace'a, nie obejrzał ani jednego zdjęcia; nie przeczytał żadnego artykułu o

swoim synu. (Pani Conway wycinała je z gazet i magazynów i zostawiała mężowi na stoliku, ale on ich nie tykał; kładł na nich „Wall Street Journal” albo stawiał szklankę z wodą, jakby były niewidzialne). Pod każdym względem Dużemu Eustace'owi teraz, kiedy dzieci opuściły dom, ich los stał się bardziej niż kiedykolwiek wcześniej obojętny.

„Chciałabym, żeby ojciec do Ciebie napisał - pisała do syna matka Eustace'a, kiedy skończył studia - ale chyba ma za wiele zahamowań. Martha dostała z okazji urodzin swój pierwszy w życiu list od niego i był on tak wstrząsający, że, jak mówi, zanosila się płaczem podczas czytania”.

Eustace ze zdumieniem uświadomił sobie, że jeszcze teraz, kiedy miał dwadzieścia kilka lat, wciąż nękał go ból dzieciństwa. Myślał, że to wszystko odejdzie wraz z wiekiem, kiedy fizycznie wydobędzie się poza wpływ domu. Jak to możliwe, że ojciec wciąż wywoływał u niego płacz? Dlaczego wciąż miewał sny, które budziły go o czwartej nad ranem, „wygrzebując dawne bolesne wspomnienia”? Raz podczas bożonarodzeniowych odwiedzin w Gastonii z przerażeniem odkrył, że ojciec pozostał „najbardziej grubiańskim, najbardziej krytykanckim i najbardziej wzdorczym ze wszystkich ludzi, jakich w życiu spotkałem”.

Nie, żeby nie chciał się z ojcem pojednać. Próbował tego od wczesnej młodości. Matka zawsze zachęcała Małego Eustace'a, by wręcz „wychodził ze skóry”, żeby poprawić swoje stosunki z Dużym Eustace'em.

„Żywię nadzieję i gorąco się modlę, żeby w przyszłym roku ułożyło się lepiej i Tobie, i nam tutaj w domu - napisała do syna przed jego ostatnim rokiem w szkole średniej. - Tak jak Ty bardzo pragniesz miłości i szacunku ojca, tak on pragnie Twojej miłości, szacunku i posłuszeństwa. To właśnie należy się rodzicom od

dzieci. Czuję, że jednym z głównych powodów, dla których tak trudno było Ci ułożyć sobie stosunki z ojcem, był fakt, że przez całe Twoje życie grał drugie skrzypce, ponieważ we wszystkim, czego potrzebowałeś, a także po uczucia zwracałeś się wyłącznie do mnie. Zaczęło się to już bardzo dawno, kiedy byłeś mały, a ponieważ poświęcałam Ci zbyt dużo czasu i uwagi, urosło to w bardzo nieszczęśliwą relację. Jednak w tej chwili wciąż istnieje możliwość stworzenia nowych szczęśliwych stosunków pomiędzy Tobą a Twoim tatą, ale tylko Ty możesz do tego doprowadzić. W młodości jest się bardziej elastycznym, jeśli chodzi o zmianę zachowania wobec innych. Przełknij swoją dumę, ukorź się i przyznaj, że w przeszłości robiłeś i mówiłeś rzeczy, które wywoływały jego niezadowolenie, ale że teraz będziesz się starał go zadowolić najlepiej jak potrafisz”.

Tak więc Eustace, poczynając od czasu, kiedy miał dwanaście lat, pisywał do ojca listy. Wiedział, że ojciec uważa się za utalentowanego mówcę i dlatego Eustace miał nadzieję, że poprawi wzajemne stosunki, jeśli będzie wyrażał się poprawnie. Potrafił szlifować te listy tygodniami, starając się znaleźć najbardziej dojrzały sposób wystawiania i wyrażenia szacunku dla ojca. Pisał, że wie o tej trudnej relacji i że chce ją naprawić. Sugerował, że ktoś mógłby im pomóc ze sobą porozmawiać. Mówił ojcu, jak mu przykro, że go rozczarował i że może jeśli przedyskutują te problemy bez wrzasku, to uda mu się zmienić swoje zachowanie i zadowolić ojca.

Ojciec nie odpowiedział na żaden z tych listów, choć czasami czytał je w prześmiewczy sposób, by zabawić rodzeństwo Eustace'a. Było w nich tyle powodów do kpin: ortografia chłopca, gramatyka, jego czelność, by zwracać się do ojca jak równy do równego... tego rodzaju rzeczy.

Dużego Eustace'a szczególnie ubawił list, w którym Mały Eustace napomknął, że być może jego brat Walton, chłopiec o błyskotliwym umyśle i wrażliwej naturze, lepiej by się czuł w prywatnej szkole, gdzie nie prześladowałyby go prymitywne dzieciaki z klasy. To ci dopiero! Duży Eustace kilkakrotnie przeczytał ten list pozostałym dzieciom i wszystkie, nawet Waltona, zachęcał, by szydziły z Małego Eustace'a, któremu się wydaje, że wie lepiej od ojca, co jest najkorzystniejsze dla rodziny.

A przecież nawet jako dorosły, Eustace często ponawiał podobne próby.

„Nie piszę, by sprawić Ci ból albo przysporzyć zgryzot - napisał kiedyś po męsku. - Wprost przeciwnie. Przepraszam za sprawianie bólu i wniesienie do Twojego życia czegoś, co nie jest dobrocią. Zawsze chciałem być dobry. Dobry dla Ciebie, dobry dla Mamy, dobry dla wszystkich. Odczuwam wszechogarniającą potrzebę, byś mnie akceptował, doceniał, uznawał i nie patrzył na mnie jak na śmiecia (głupiego, ograniczonego, złego, bezwartościowego). Tam, gdzie szukam miłości, znajduję wielką pustkę. A zawsze pragnąłem jedynie Twojej miłości. Czuję się jak ćma w pobliżu świecy. Być może powinienem pogodzić się z klęską i trzymać z dala od Ciebie. Jednak wyrzeczenie się i oddalenie nie zastąpią potrzeby Twojej akceptacji”.

I znowu żadnej reakcji.

Zatem nie, relacje się nie poprawiły, jednak Eustace musiał pozyczyć tę dużą sumę pieniędzy, a jego oszczędny i bystry ojciec je miał. Eustace nigdy wcześniej nie prosił ojca choćby o dziesięć centów; była to kwestia dumy. Kiedy pan Conway powiedział mu raz, że powinni przedyskutować sprawę kieszonkowego, chłopiec oświadczył: „Nie wydaje mi się, bym zasługiwał na kieszonkowe”,

i na tym sprawa się skończyła. Eustace nigdy nie poprosił ojca o pomoc przy płaceniu chesnego za college, choć pan Conway z ochotą płacił chesne za studia młodszych dzieci. Jak zatem miał Eustace, teraz już dorosły mężczyzna, zwrócić się do ojca z prośbą o pożyczkę? Całkiem pokażną pożyczkę.

Możemy sobie wyobrazić reakcję ojca. Eustace się nasłuchał, że jego przedsięwzięcie z góry skazane jest na porażkę, że nie ma co liczyć na litość ojca, kiedy szeryf zjawi się z dokumentami o bankructwie, a w ogóle, to za kogo się uważa, by wierzyć, że poradzi sobie z zadaniem o sto siedem akrów i z prowadzeniem interesu?

„Mylisz się, sądząc, że ci się uda”, powtarzał w kółko ojciec.

Eustace tkwił niczym głaz, pozwalając, by ten lodowaty potok słów go opływał, nie odzywał się i zachowywał nieprzenikniony wyraz twarzy, powtarzając sobie tylko w duchu pocieszające słowa: „Wiem, że mam rację, wiem, że mam rację, wiem, że mam rację...” I w końcu ojciec pożyczył mu pieniądze.

Oczywiście na wysoki procent.

Piętnastego października 1987 roku Eustace Conway kupił pierwszy kawałek Żółtwej Wyspy. I natychmiast wziął się do roboty, żeby jak najszybciej spłacić ojca. Po roku nie miał już długu. Zarobił ogromną sumę pieniędzy w takim krótkim czasie, rzucając się w szaleńczy wir pracy, podróżując po całym Południu, robiąc wycieczającą fizycznie i emocjonalnie trasę, podczas której przemawiał, wygłaszał prelekcje, nauczał i docierał do ludzi. Valarie wykorzystywała swoje znajomości w administracji parków, by załatwić mu występy w szkołach i ośrodkach przyrodniczych, a Eustace zmienił się w swojego silnie zmotywowanego promotora.

„To były ekscytujące dni - wspomina teraz Valarie - te pierwsze dwa lata na Żółwiej Wyspie. Przez jakiś czas Eustace mieszkał ze mną w moim miłym podmiejskim domu w Georgii, organizując sprawy związane z prelekcjami i starając się spłacać ojca. Byłam jego agentką, załatwiałam mu spotkania na terenie całego stanu. I w końcu zrezygnowałam z porządnej pracy, sprzedałam swój porządny dom i przeniosłam się na Żółwią Wyspę. Szłam za swoim szczęściem. Tam chciałam być. Ciężko pracowaliśmy, by to miejsce mogło zacząć funkcjonować. Pomogłam mu postawić pierwszy budynek, szopę na narzędzia, ponieważ dla Eustace'a najważniejsze było miejsce, w którym mógłby zebrać narzędzia potrzebne do urzeczywistnienia reszty jego wizji. Mieszkaliśmy w tipi, a ja gotowałam posiłki na starej, opalanej drewnem kuchence, ale odpowiadał mi ten styl życia, ponieważ pragnęłam opanować te wszystkie umiejętności. Wierzyłam w to, co robimy. Wierzyłam w to, czego nauczaliśmy. Moja osobista duchowa misja dorównywała jego misji”.

Żyli w sposób jednocześnie koszmarny i komiczny. Eustace spędzał tyle czasu w drodze, że musiał nosić ze sobą każdy świstek papieru, każdy rachunek, kalendarzyk i cały stos korespondencji w starej skórzanej torbie z paskiem na ramię. Kartoteki z adresami szkół i ulotkami reklamowymi trzymali w pudłach w tipi i w rezultacie moczył je deszcz, nadgryzały myszy, niszczyła pleśń i robactwo. Nie mieli telefonu. Kiedyś Eustace zszedł w dół wąwozu, żeby poprosić jednego z sąsiadów, starego Lonniego Carltona, czy mógłby skorzystać z jego aparatu, bo musi przeprowadzić kilka zamiejscowych rozmów w interesach, i powiedział, że zapłaci mu za nie później. Dla starego appalaskiego farmera takiego jak Lonnie rozmowa zamiejscowa była czymś, co zdarzało

się być może raz w roku, na przykład w związku ze śmiercią w rodzinie, i nie trwało dłużej niż dwie minuty. Cóż, dopuścił Eustace'a do telefonu, a ten przez sześć bitych godzin rozmawiał z dyrektorami szkół, drużynowymi skautów i reporterami gazet wzdłuż i wszerz Południa. Lonnie przez cały czas siedział i przyglądał mu się z szeroko otwartymi ustami.

Kiedy stało się oczywiste, że potrzebny jest mu własny telefon, Eustace pociągnął linię z domu sąsiada do pobliskiej jaskini, która stała się jego biurem. Zimowymi nocami schodził z góry, wczółgiwał się do jaskini i ubijał, jak teraz wspomina, „całkiem udane interesiki”, nawiązując kontakty i robiąc notatki przy świetle trzaskającego ognia. Później dostał pozwolenie na przeprowadzenie linii do obory, która należała do sąsiada, Willa Hicksa. Valarie umieściła aparat w styropianowej lodówce turystycznej, żeby nie rdzewiał od wilgoci. Pamięta, jak stała na stryszku obory, negocjując przez telefon honoraria za występy Eustace'a, a poniżej muczały krowy.

„Ludzie na drugim końcu linii pytali: «Co to za odgłosy, które wciąż słyszę?», a ja odpowiadałam: «Och, to tylko telewizor w sąsiednim pokoju». Naprawdę mieliśmy tam sytuację jak wziętą prosto z serialu *Green Acres*. Kiedyś aparat zamókł i przestał działać. Chciałam go wysuszyć i włożyłam do rozgrzanej kuchenki. Oczywiście rozpuścił się i rozplynał na wszystkie strony, jakby namalował go Salvador Dali. Tak sobie żyliśmy”.

Coś musiało się zmienić. Pewnego wieczoru Eustace zabrał Valarie do Boone na przyzwoity obiad w Red Onion Café, by jej podziękować za całą robotę, jaką wykonywała. Przy kolacji na serwetkach przedstawił jej plany biura, które, jak doszedł do

wniosku, jest im niezbędne. Zorientowawszy się, że ma czterdziestodniową przerwę - rzadko zdarzający się odpoczynek - w swoich prelekcjach, wykocypował, że zdąży w tym czasie postawić budynek. W przeciwnym razie nigdy nie będzie miał biura. Zatem przed świtem następnego dnia zabrał się do roboty.

Budynek o powierzchni dwudziestu stóp kwadratowych, z żużlobetonu, szkła i z grubsza ociosanych drewnianych bali, miał wykorzystywać system pasywnego pozyskiwania energii słonecznej. Eustace nie wiedział zbyt dobrze, jak wznieść budynek zasilany energią słoneczną, i jeszcze nigdy nie zbudował niczego bardziej skomplikowanego od szopy na narzędzia, był jednak przekonany, że sobie poradzi. Wybrał dobrze nasłonecznione miejsce, w pobliżu wejścia na Żółtą Wyspę, tak żeby biuro mogło też służyć jako rodzaj portierni, oddalonej od bardziej prymitywnego centrum obozowiska, zlokalizowanego głębiej w lesie. Trzy boki budynku wkopał w ziemię, by łatwiej było utrzymywać ciepło, a Valarie pomogła mu położyć podłogę z cegieł, które miały wchłaniać energię słoneczną. Za wejście służyły eleganckie oszklone drzwi, które kupił na pchlim targu za pięć dolarów. Klamki zrobił z poroża jelenia. Od frontu umieścił duże okna, a w dachu świetliki, dla oświetlenia i ciepła; wszystko to były odzyski ze złomowisk.

Widoczna od frontu część dachu ze względów estetycznych pokryta jest ręcznie wykonanym gontem. Tył ze względów praktycznych pokryto tylko blachą. Ściany wewnętrzne wyłożono szerokimi na duże stopy podniszczonymi deskami z białej sosny, które Eustace uratował z porzuconej starej stodoly, a które dają pomieszczeniu ciepło i głębię. Z reszty desek zbił dwa biurka i solidne półki na książki, które pełnią rolę przepierzenia, dzieląc

całe biuro na dwa osobne słoneczne pokoiki. Na podłodze leży stary kilim, który znalazł na aukcji wyrobów Nawahów. Wysoko zawieszona półka mieści rzadkie egzemplarze koszyków i ceramiki, w tym jedno z najstarszych naczyń Indian Pueblo, które pewnego popołudnia Eustace zauważył na ganku starego domu w Raleigh. Rozpoznając natychmiast jego wartość, zaoferował właścicielce domu dwadzieścia dolarów. „Jasne - powiedziała kobieta. - Bierz go sobie. Mam już dość przestawiania tego starocia z miejsca na miejsce”. Później Eustace wysłał zdjęcie naczynia do eksperta z domu aukcyjnego Sotheby's, który oszacował jego wartość na kilka tysięcy dolarów.

Biuro na Żółtym Wyspie to uroczy budynek. Wewnątrz jest dużo pięknej sztuki i książek, a na zewnątrz wszędzie wokół rosną ulubione leśne kwiaty Eustace'a - takie jak irysy i storczyki. Jest ciepły, organiczny, przytulny, budynek, sprawnie wykorzystujący energię słoneczną, z własnym telefonem i automatyczną sekretarką. Eustace zaprojektował go, wybudował, urządził i wpasował w otoczenie w ciągu czterdziestu dni.

W tym czasie miał już w górach opinię człowieka niezmqordowanego. Na przykład kupował tarcicę i inne obrobione drewno od starego appalaskiego górala, niejakiego Tafta Broyhilla, który był właścicielem tartaku. Eustace potrafił pracować przy swojej budowie cały dzień, a potem jeszcze w nocy, przy świetle reflektorów samochodowych. Kiedy potrzebował więcej drewna, jechał do tartaku i około północy budził starego Broyhilla, żeby potem nie marnować idealnego światła dnia na zakupy. Wracał na Żółtą Wyspę, spał trzy czy cztery godziny i na długo przed świtem brał się znowu do budowania.

Pewnego razu wybrał się około północy do Tafta Broyhilla w

towarzystwie przyjaciela, który przyjechał na kilka dni pomóc mu przy budowie. Podczas gdy stary ładował drewno, Eustace zauważył w stosie drewnianych odpadów piękny pień orzesznika, o wiele za dobry, by rznąć go na deski. Poprosił, żeby pan Broyhill mu go sprzedał i pociął na mniejsze kawałki, z którymi łatwiej mu będzie sobie poradzić.

- A na co go potrzebujesz? - spytał Taft.

- Tak sobie pomyślałem - wyjaśnił Eustace - że dobrze by było z takiego solidnego drewna zrobić uchwyty do narzędzi i takie tam.

Stary człowiek włączył piłę łańcuchową i w świetle reflektorów pick-upa Eustace'a, w padającym śniegu, zaczął ciąć pień orzesznika. Nagle przerwał pracę, wyłączył piłę i wyprostował się. Przez dłuższą chwilę przypatrywał się młodym mężczyznom. Eustace nie wiedział, o co chodzi, i czekał, aż Taft Broyhill się odezwie.

- Wiecie co - powiedział w końcu starzec - tak się zastanawiam, co wy, chłopcy, robicie w czasie wolnym.

Eustace się zaharowywał. Ledwie ukończył biuro, już ruszył w trasę i zarabiał pieniądze, nauczając o rozkoszach „prostego życia” oraz o mądrości Indian. W szalonym pędzie przeskakiwał ze stanu do stanu, próbując przekonać ludzi, by zrezygnowali z wyścigu szczurów i pławili się w błogim ciepłe obcowania z przyrodą. Był to wykańczający styl życia. Jeden z przyjaciół kupił mu nawet wykrywacz radarów, żeby przestał zbierać mandaty za przekraczanie szybkości podczas niekończącego się wyścigu na spotkania. W lutym 1988 roku wydawało się, że Eustace spogląda już w otchłań szaleństwa, kiedy pisał:

„Długa trasa, wielka podróż, ten wysiłek, by osiągnąć to, co

właśnie robię, biedny chłopak spłacający duży kawał ziemi. Tak wiele się na to składa, codzienna praca, tyle starań, choćby dzisiaj - i to w dniu bez zajęć czy wykładu - spędziłem dwanaście godzin przy papierkowej robocie, odpowiadając i namawiając, i załatwiając dalszą pracę, coraz jej więcej, więcej i WIĘCEJ. Dźwigam to niczym entuzjastyczny ciężarówiec pod wpływem adrenaliny... pracuję nawet we śnie... nazywam to roboczym snem... rezygnuję z czasu na miłość z Valarie, z czasu na zbieranie kwiatów... Atlanta, potem Augusta, praca w Toccoa, a potem w Clarksville... rozmienniam mój czas dla setek ludzi... dzień za dniem marsz na scenę, na scenę, na scenę z WRZASKIEM!

Żyję i mocą czerpaną ze sceny i przepływem energii trzymającym to wszystko razem... śpij siedem minut, potem zrywaj się... jedź... bądź wspaniały! Jesteś najlepszy! Wisisz na sznurkach, jakbyś był marionetką, którą manipulują, sterują, masz ich słuchać i robić, co każą... w tę i z powrotem... ba, ale ten brak zrozumienia! Nie wiecie, że potrzebuję odpoczynku? Nie wiecie, że potrzebuję powietrza? Muszę oddychać, do cholery! Zostawcie mnie w spokoju, dranie! Nie rozumiecie? Wy, durni ludzie, nie możecie tego pojąć? «To najlepszy program, jaki dotąd widziałem, naprawdę świetnie ci poszło!» Słyszałem to już tyle razy, że przypomina mi żywienie się tekturą. A co mi tam. Mam swoją ziemię. Mam cichy rezerwat przyrody, w którym kiedyś, na końcu długiego tunelu, będę mógł spać... co za dychotomia... W jakim stopniu dopuszczę tam innych? Och, moi poczciwi ludzie tego świata, KOCHAM WAS... Daj mi siłę, Boże, bym dokończył tę wędrówkę. Pewnego dnia znajdę miękkie paprocie i blask słońca i będę mógł się położyć i odpocząć. Spokój”.

A na koniec podobnej tyrady w dzienniku kilka tygodni później Eustace dodał: „Żeby już nie wspomnieć, że próbuję wykombinować, czy chcę Valarie za partnerkę na całe życie”.

Latem 1989 roku przyjął na Żółtwej Wyspie pierwszych obozowiczów.

Żółwia Wyspa przestała już być koncepcją... stała się instytucją. Eustace załatwił broszury, wizytówki, ubezpieczenie, apteczki, status organizacji non profit. Dzieciaki uwielbiały tu przyjeżdżać. Zamiast zmuszać rodziców, by podjeżdżali pod górę samochodami kempingowymi na tymczasowy parking, Eustace wysyłał swoich pracowników na dół, na spotkanie rodzin, by potem wszyscy wspólnie wędrowali w stronę Żółtwej Wyspy pieszo. A jeśli rodzice nie mogli wdrapywać się pod górę? Cóż, trudno. „Pożegnajcie się tutaj, moi drodzy”. Dzieci szły do żywej doliny Żółtwej Wyspy przez las i wkraczały do tego królestwa jakby przez święte, tajemne drzwi. Las ostatecznie otwierał się na rozświetlone słońcem łąki obozu, gdzie był ten cudowny nowy-stary świat, inny niż wszystko, co dzieciaki znały do tej pory. Bez elektryczności, bez bieżącej wody, bez ruchu ulicznego, bez h a n d l u .

A kiedy już dotarły na miejsce, witał ich Eustace Conway w skórzanym odzieniu i z najbardziej uspokajającym uśmiechem. W trakcie lata uczył dzieci jeść pożywienie, jakiego wcześniej nie znały, ostrzyć i używać noże, wyrzynać sobie z drewna łyżki, wiązać węzły i poznawać indiańskie zabawy... i za każdym razem, kiedy odcinali gałązkę z żywego drzewa... obcinać sobie mały kosmyk własnych włosów i zostawiać go jako dziękczynny dar. Uczył ich szacunku dla siebie nawzajem i dla przyrody. Starał się

naprawić to, co uważał za duchowe szkody, jakich doznały od współczesnej amerykańskiej kultury. Chodził na przykład po lesie z grupą dzieci i trafiał na krzak róży rdzawej. Ledwie im powiedział, jak smakowite są jej liście, a już rzuciły się na roślinę jak szarańcza, całymi garściami odrywając małe gałązki.

„Nie tak - mówił Eustace. - Nie niszczyć całego krzewu! Pomysłcie, że jest ich ograniczona liczba. Zerwijcie jeden liść, spróbujcie jak smakuje, puśćcie w obieg. Pamiętajcie, że świat nie jest po to, by go zużyć i zniszczyć. Pamiętajcie, że nie jesteście ostatnimi ludźmi, którzy będą szli przez ten las. Ani ostatnimi żyjącymi na tej planecie. Musicie zostawić coś dla innych”.

Uczył ich nawet, jak się modlić. Kiedy budziły się o świcie, prowadził je do tego samego pagórka, na którym tej pierwszej zimy, kiedy spał na terenie Żółtej Wyspy, modlił się za pomocą swojej fajki. Nazywały to miejsce „pagórkiem wschodu słońca” i siadywały tam z Eustace'em w milczeniu, obserwując, jak słońce wschodzi, rozmyślając o sprawach czekającego je dnia. Zabierał je na piesze wędrówki do wodospadów i jeziorok i kupił starego konia, żeby mogły na nim jeździć. Nauczył je, jak chwycić i zjadać raki ze strumienia i jak nastawiać pułapki na drobne zwierzęta.

Jeśli dziecko mówiło: „Nie chcę zabijać bezbronnego stworzonka”, Eustace uśmiechał się i wyjaśniał: „Zdradzę ci małą tajemnicę, przyjacielu. Nie znajdziesz w przyrodzie czegoś takiego jak «bezbronne stworzonko». Chyba że pewne istoty ludzkie, które spotkałem”.

Miał w końcu to swoje miejsce, gdzie mógł nauczać przez całą dobę w interaktywnym środowisku i gdzie nic nie odwracało uwagi, gdzie nie brakowało mu czasu ani środków. Wszystko, co

chciał pokazać swoim uczniom, było pod ręką. Zupełnie jakby zamieszkali we wnętrzu encyklopedii.

Zdarzało się, że na spacerze poświęconym sprawom przyrody mówił: „Tamten grzyb to mleczaj wełnianka. Musicie obchodzić się bardzo ostrożnie z tym gatunkiem, bo na świecie są cztery grzyby, które wyglądają dokładnie jak ten. Dwa są trujące, a dwa nie. Więc nie spieszcie się z oceną, które z nich są jadalne! Jedy- nym sposobem jest przełamać grzyb i dotknąć językiem mlecznej substancji w jego wnętrzu. Widzicie ją? Jeśli smakuje gorzko, to trucizna, więc trzymajcie się od tego grzyba z daleka”.

Albo mówił im, w jaki sposób ludy pierwotne ratowały sobie zdrowie wyciągiem z oczaru wirginijskiego. „Rośnie o tutaj i świetnie goi rany”.

Pokazywał: „To jest brzoza czarna. Pożujcie ją trochę. Nieźle smakuje, prawda? Wewnętrzna strona kory jest najcenniejsza. Starzy mieszkańcy Appalachów robili z niej piwo. Może później i my spróbujemy je zrobić”.

Był zachwycony sukcesem, który osiągnął. Wydawało się, że nie ma granic dla tego, czego mógł tu uczyć. Uczestnicy obozu wracali do swoich domów na przedmieściach, a ich rodzice pisali do Eustace'a listy: „Co pan zrobił z moim synem, że jest teraz o tyle dojrzały? Czego go pan nauczył, że jest tak zainteresowany otaczającym go światem?”

Eustace prowadził również tygodniowe seminaria dla doro- słych. Kiedy zabrał jedną z takich grup na wędrowkę po lesie i szli właśnie wzdłuż rzeki, jedna z kobiet, która nigdy wcześniej nie była w lesie, podniosła wrzask. Zobaczyła bowiem płynącego pod prąd węża. Eustace miał na sobie jedynie przepaskę na biodra, dał

więc nurka, schwytał węża i spokojnie objaśnił jego fizjologię kobiecie z wielkiego miasta. Namówił ją, by go dotknęła i zajrzała mu do pyska. Trzymała węża w rękach, a przyjaciele robili jej zdjęcia.

Przy innej okazji Eustace zabrał grupkę dzieci w wieku przedszkolnym na spacer po lesie. Wskazał ręką gęsty zielony baldachim nad ich głowami i opowiadał o różnych gatunkach drzew. Pozwolił im pić ze źródła, by pokazać, że woda wypływa z ziemi, a nie tylko z kranów. Pozwolił im żuć kwaśnodrzew i dzieci były zdumione, że rzeczywiście miał rację, kiedy mówił, że smakiem przypomina cierpkie cukierki. Podczas spaceru wyjaśniał, co się dzieje na najniższym poziomie lasu i na czym polega stała cyrkulacja w przyrodzie. Liście, spadając z drzew, kruszą się, rozkładają i zamieniają w glebę. Tłumaczył, jak woda wsiąka w ziemię i zasila korzenie drzew; jak owady i zwierzęta żyją na dnie lasu, zjadają siebie wzajemnie i cały materiał organiczny, jaki mogą znaleźć, podtrzymując nieustanne krążenie w przyrodzie.

„Las żyje”, mówił, ale widział, że dzieci nie bardzo to rozumieją. Zadał im więc pytanie: „Kto chce być moim pomocnikiem?” Kiedy zgłosił się mały chłopczyk, Eustace - przy pomocy innych dzieci - wykopał dwa długie płytkie rowy w ziemi. Potem on i chłopczyk położyli się w tych rowach, a dzieci zakopały ich tak, że wystawały im z ziemi tylko skierowane ku górze twarze.

„Widzicie, że teraz my jesteśmy częścią dna lasu. Powiedzmy więc innym, co widzimy i czujemy. Wyjaśnijmy, co się z nami dzieje”.

Leżeli tam jakiś czas, w miękkiej leśnej ściółce, Eustace i pięcioletni chłopiec, i opisywali to, co widzą i czują. Jak słońce przez chwilę padało na ich twarze, a potem przyszedł cień z kołyszących

się nad nimi gałęzi. Opisali osypujące się na nich suche sosnowe igły i lądujące im na policzkach kropelki wody po ostatnim deszczu oraz wędrujące im po twarzach owady i pająki. Było to zdumiewające doświadczenie. Dzieci były jak zahipnotyzowane. A potem oczywiście każde chciało być częścią dna lasu. Tak więc Eustace zakopywał je po kolei, przeobrażając na krótki czas w leśne runo i uśmiechając się zachęcająco, kiedy wilgotne, czyste powietrze wypełniły ich ostre głosiki świadczące o zrozumieniu.

„Las żyje! - powtarzały. - On rzeczywiście żyje!”

Wydawało im się to niewiarygodne.

ROZDZIAŁ VI

Obowiązki publiczne wypełniają mi cały czas (...). Bardzo ucieszyła mnie wiadomość, że pierwsze wydanie mojej książki zostało wyczerpane (...) Chciałbym wiedzieć, czy macie agenta w Nowym Orleanie i w miastach nad Missisipi, bo tam będzie się ona sprzedawać lepiej niż gdzie indziej (...) przyslijcie mi dziesięć egzemplarzy, bo tyle potrzebuję dla najbliższych przyjaciół. Chcę także, byście wiedzieli, że Czcigodnemu Thomasowi Chiltonowi z Kentucky należy się połowa z 62½ procent z całego zysku, zgodnie z umową pomiędzy wami i mną (...).

Z listu napisanego przez Davy ego Crocketta do wydawcy jego pamiętników

W maju 2000 roku siedziałam w słonecznym biurze Eustace'a Conwaya, naprzeciwko niego. Na biurku między nami tkwiło duże kartonowe pudło, zawierające kiedyś - jeśli wierzyć oryginalnej pierwotnej nalepce - łańcuch pilarki łańcuchowej Stihl i smar do łańcucha. Jest to pudło, w którym Eustace gromadzi informacje o swoich parcelach, których ogólna powierzchnia sięga już tysiąca akrów. Pełne jest szarych kopert opisanych bez szczególnego porządku tak: „akty własności”, „mapy Johnsona”, „podatki gruntowe”, „ziemia Cabella Gragga”, „informacja o pierwszeństwie przejazdu”, „Zarząd Lasów” i szczególnie opasła koperta „ludzie szukający ziemi i ziemia na sprzedaż”.

Kilka miesięcy wcześniej objeżdżaliśmy z Eustace'em konno w głębokim na stopę skrzypiącym śniegu całą Żółtą Wyspę. Przejazdka zajęła kilka godzin i w pewnych miejscach musieliśmy zsiadać z wierzchowców, by pokonać w górę lub w dół stromiznę zboczy; przez cały ten czas Eustace ani na moment nie przestawał mówić. Pokazywał mi każde drzewo i każdy kamień oznaczające granice jego terenu i informował, kto obecnie jest właścicielem ziemi po drugiej stronie linii granicznej, co ci ludzie robią ze swoją własnością i ile on sam byłby skłonny któregoś dnia za nią

zapłacić. Obejrawszy Żółwią Wyspę w naturze, chciałam teraz zobaczyć, jak to wszystko wygląda na mapie.

Eustace wyciągnął więc ogromną mapę i rozłożył ją jak pirat. Jego ziemia składała się z mniejszych i większych połączonych ze sobą parcel, a on opowiedział mi, jak rok po roku kupował kolejne kawałki. Okazało się, że był to plan geniusza. Eustace złożył kawałki w jedną całość niczym mistrz gry w szachy. Najpierw kupił sto siedem akrów, które tworzyły dolinę Żółwiej Wyspy, a potem, kiedy z upływem lat zarabiał pieniądze, kupował kolejno szczyty wszystkich otaczających dolinę wzniesień. Ostatecznie to właśnie te szczyty są najcenniejszymi kawałkami nieruchomości dla deweloperów, jako że każdy chciałby mieszkać na szczycie góry. Zatem kupując je, Eustace spowodował, że tereny na zboczach stawały się o wiele mniej atrakcyjne dla wędrujących spekulantów ziemią i dlatego mało ryzyko, że zostaną komuś sprzedane, nim on sam zdąży je kupić.

„Chciałem mieć wszystkie grzbiety otaczających mnie gór - powiedział Eustace. - Chciałem spoglądać ze swojej doliny w górę i nie widzieć tam żadnych świateł, żadnych domów, żadnej erozji i nie chciałem słyszeć żadnych dźwięków oprócz naturalnych odgłosów przyrody. Te grzbiety były tak istotne również dlatego, że właśnie tam deweloperzy budują drogi, a kiedy już przez las puszczą drogę, to koniec z tobą. Drogi sprowadzają ludzi, a ludzie sprowadzają zniszczenie, i musiałem temu zapobiec. Kupiłem więc wszystkie szczyty. Możesz mi wierzyć, że gdybym tego nie zrobił, już teraz biegłaby tędy droga”.

Kiedy już miał te szczyty, zaczął wypełniać przerwy między nimi, kupując stoki, które łączyły jego dolinę z otaczającymi ją

górami. W ten sposób chronił swoją zlewnię. Można powiedzieć, że przeobrażał swoją własność z małego, płaskiego spodeczka w wielką filizankę - dolinę ideał - z każdej strony chronioną górami. Kupił najważniejsze sto czternaście akrów zwane Ziemią Johnsona. („Dick Johnson miał obok mnie czterdzieści tysięcy akrów i wystawił je na sprzedaż. To oczywiste, że nie było mnie stać na kupno całości, ale musiałem zdobyć ten jeden niewielki kawałek tuż na granicy Żółtwej Wyspy, by stworzyć bufor pomiędzy moim rezerwatem przyrody a tym, co mogli szykować deweloperzy po drugiej stronie”. Kupno kawałka Ziemi Johnsona było nagłą koniecznością; Eustace musiał zdobyć gotówkę w ciągu dwóch dni, co mu się udało). Następnym nabytkiem był kawałek terenu, który z powodu kształtu nazywa Ogonem Wieloryba. („To piękna parcela, ze wspaniałym widokiem z urwiska i wiedziałem, że kiedyś ktoś tam spojrzy i pomyśli sobie, jakie to mogłoby być sympatyczne miejsce na dom, więc musiałem ją kupić”). Potem przyszedł czas na maleńki kawałek ziemi, tylko pięć akrów, za które bardzo słono zapłacił. („Zdawałem sobie sprawę z tego, że jeśli go kupię, to będę kontrolował dostęp do ogromnego terenu po drugiej stronie mojej ziemi, ponieważ ten mały kawałek jest jedynym, na którym można zbudować drogę. Nie miałem dość pieniędzy, by kupić tamten rozległy teren, ale stać mnie było na kupno tej małej zapory drogowej tutaj. Było to po prostu pociągnięcie zabezpieczające. I może kiedyś kupię resztę bez poważniejszej konkurencji”).

Jednak najbardziej strategicznym fragmentem układanki była działka o powierzchni stu pięćdziesięciu sześciu i szesnastu setnych akrów. Ten mały kawałek gruntu tuż za Żółtą Wyspą był własnością przebiegłego, starego appalaskiego farmera. Ziemia

przylegała do Żółtwej Wyspy i była ostatnim fragmentem potrzebnym Eustace'owi do objęcia całości działu wodnego, co uczyniłoby jego dolinę nienaruszalną. Kiedy pierwszy raz zobaczył te lasy, wiedział, że to właśnie będzie miejsce, w którym kiedyś wybuduje swój dom. Te sto pięćdziesiąt sześć i szesnaście setnych akra nie było najbardziej urzekającym miejscem na świecie, ale gdyby ktoś inny wszedł w posiadanie tego kawałka terenu, wykarczował go, zanieczyścił albo zabudował, Żółtwa Wyspa z racji bezpośredniej bliskości doznałaby nieodwracalnej szkody. Ten kawałek ziemi był najważniejszy. Stanowił piętę achillesową Eustace'a.

„Gdybym nie mógł dorwać ziemi Cabella Gragga - powiedział Eustace - byłby to koniec moich marzeń. Gdyby kupił ją ktoś inny, byłoby po mnie. Następnego dnia wykonałbym w tył zwrot, sprzedał całą swoją ziemię i zrezygnował ze swojej wizji, bo już by się rozpadła. Musiałbym zacząć od początku gdzieś indziej. Budziłem się więc codziennie, przez prawie dziesięć lat, kombinując, jak zorganizować to miejsce - gdzie postawić budynki, przygotować pastwiska, zbudować mosty - i przez cały ten czas nie opuszczała mnie świadomość, że jeśli nie kupię ziemi Cabella Gragga, moja praca pójdzie na marne”.

Od 1987 do 1997 roku Eustace usiłował dorwać ten nieszczęsny kawałek. Nie da się przeczytać dziesięciu kolejnych stron jego dzienniku, żeby nie natknąć się na przynajmniej jedną wzmiankę o ziemi Cabella Gragga. Eustace pisał do starego farmera niezliczone listy, zabierał go na objazdy Żółtwej Wyspy, wysyłał mu podarki, a później nawet odwiedzał go w domu opieki, żeby negocjować warunki transakcji. Co najmniej dziesięć razy sądził, że już się dogadał, po czym starzec się wycofywał albo

podwajał cenę, albo mówił, że dostał lepszą ofertę. Było to niezwykle irytujące. Eustace trzymał butelkę szampana, żeby uczcić moment dobicia targu, ale po dziesięciu latach na butelce uzbierała się (jak to ujął w typowy dla siebie precyzyjny sposób) „gruba na jedną szesnastą cała warstwa kurzu”. Był gotów na każdą szaloną propozycję, byle tylko dostać tę działkę. W pewnym momencie, kiedy Gragg wyraził zainteresowanie wymyślnym wiktoriańskim domem w Boone, Eustace chciał go kupić i wymienić z Cabellem na jego ziemię, ale jakoś do transakcji nie doszło. Ostatecznie dopiął swego i dostał tę bezcenną ziemię Cabella Grabba. Jednak ogromnym osobistym kosztem, z wykorzystaniem niezwykle śmiałego i karkołomnego planu.

Tuż za górami, w których mieszka Eustace, wznosi się grzbiet porośnięty lasem. Dziesiątki tysięcy akrów powierzchni tego wzniesienia przylegało do ziemi Eustace'a, a on od pierwszej chwili, w której ujrzał Żółtą Wyspę, wymarzył sobie pomnożenie swoich włości przez wykupienie tego terenu. Nie wiedział jeszcze, jak to osiągnąć, ale zamierzał to sobie jakoś wykoncytować. Za każdym razem, kiedy drogą z Boone podjeżdżał do Żółtej Wyspy, w pewnym konkretnym punkcie zatrzymywał na chwilę pick-upa i poprzez rozpadliny i wąwozy oglądał idealny obraz własnej posiadłości oraz pięknej, ogromnej i zadrzewionej góry tuż obok niej. Mógł sobie przy tym myśleć: Kiedyś... w jakiś sposób...

Pewnego popołudnia 1994 roku, jadąc pick-upem z Boone, zobaczył w swoim ulubionym punkcie widokowym zaparkowanego cadillaca. Czterech mężczyzn w garniturach stało obok auta i przez lornetki przyglądało się tej pięknej i zadrzewionej górze

po drugiej stronie rozpadliny. Serce mu zamarło. Już wiedział, że to koniec jego marzeń o tej górze. Nie wiedział, kim są ci mężczyźni, ale był pewien, że wie, czym się zajmują i po co tu przyjechali. Mężczyźni w garniturach mogą mieć tylko jeden powód, żeby oglądać przez lornetki lasy w odległym kącie Appalachów, i tym powodem jest chęć kupna. Eustace zatrzymał się tuż za ich autem i wysiadł. Zaskoczeni faceci opuścili lornetki i odwrócili się do niego. Eustace z rękoma na biodrach patrzył na nich przeciągle. Jeden z mężczyzn zaczerwienił się, inny nerwowo zakasłał. Zupełnie jakby przyłapano ich na kradzieży lub uprawianiu seksu.

„Mogę w czymś panom pomóc?”, zapytał ich Eustace ponurym głosem. Było jednak za późno; sami już sobie poradzili.

Tamtego dnia nie powiedzieli ani słowa, ale prawda wyszła na jaw po paru miesiącach. Pewien gość, niejaki David Kaplan, przybył do miasta, by wykupić wszystkie dostępne jeszcze tereny w okolicy, ponieważ chciał zbudować tam drogi i ekskluzywny kurort, Niebiańską Górę, gdzie przyjeżdżaliby nadziani wyznawcy medytacji transcendentalnej. Niebiańskiej Górze potrzebne były droga i lądowisko dla helikopterów, pole golfowe, kort tenisowy i mnóstwo powierzchni pod budynki.

David Kaplan był bystry i ambitny i wszystko wskazywało na to, że pieniędzy ma jak lodu. Akr po akrze kupował potrzebną mu ziemię. Stare farmy, zagubione jary, czyste rzeki, pastwiska, skaliste doliny... kupował wszystko jak leci. Po dolinach krążył dowcip na temat tego, jak wyglądały jego transakcje: zajeżdżał jaguarem pod drzwi jakiegoś zbiedniałego wieśniaka. „Cześć - mówił. - Nazywam się David Kaplan. Pieniądze to żaden problem. Jak się pan miewa?”

No cóż, tak to już jest. Co się stało, to się nie odstanie. Nie ma co płakać nad rozlanym mlekiem. Eustace starał się nie myśleć o Niebiańskiej Górze. Potrafił nawet o niej żartować. Kiedy zwalono drzewa i stało się przypominające pałac centrum medytacji, zaczął nazywać ten teren Mniej Niebiańską Górą, jakby mówił: „Czy nie wygląda to teraz dużo mniej niebiańsko?” Dowcipkował też sobie ze swoich nowych sąsiadów, bezbłędnie parodiując gospodarza telewizyjnego programu dla dzieci, pana Rogersa: „Niebiańska Góra to nasi sąsiedzi. Potraficie powiedzieć «s ą-siedzi», dzieci? Niebiańska Góra buduje drogi, które niszczą nasze środowisko. Potraficie powiedzieć «n i-szczą», dzieci?”, paplał, przeciągając sylaby.

W każdym razie powiedział sobie, że centrum medytacji transcendentalnej nie będzie najgorszym sąsiedztwem; będzie zdecydowanie lepszym od tysięcy akrów domków jednorodzinnych. Ostatecznie, medytujący przybywali do Niebiańskiej Góry, by obcować z naturą, a zważywszy na ich wedyjską architekturę i wegetarianizm, szczerze poszukiwali bardziej harmonijnego związku z wszechświatem (nawet jeśli dla szukania tej harmonii budowali domy o powierzchni tysięcy stóp kwadratowych). Poza tym David Kaplan zagospodaruje jedynie dziesięć procent swojego terenu, ratując resztę przed wycinką, polowaniami i budową dróg. A skoro w kurorcie ludzie szukają spokoju, to będzie zainteresowany tym, by sąsiednie tereny pozostały zalesione i spokojne, a to też było w interesie Eustace'a. Zatem pojawienie się Davida Kaplana nie było najgorszym wydarzeniem w jego życiu.

Ostatecznie postrzegał sytuację tak: OK, więc David Kaplan chciał mieć wszystkie działki świata. W porządku; Eustace nie mógł go za to winić. Musiał się natomiast skoncentrować na

ochronie tego, co już posiadał. Co oznaczało, że David Kaplan może sobie kupować każdy kawałek Karoliny Północnej z wyjątkiem tych najważniejszych akrów ziemi Cabella Gragga.

I wtedy Cabell Gragg się wycwaniał. Kiedy Eustace poszedł do niego, żeby znowu porozmawiać o ziemi, powiedział: „No cóż, wiesz, ci ludzie od medytacji transcendentalnej są zainteresowani kupnem”. Eustace nie wyobrażał sobie, by mogła to być prawda; ziemia nie miała szczególnej wartości dla nikogo oprócz niego samego. Potem jednak zdał sobie sprawę z tego, co tak naprawdę się dzieje. Ponieważ Cabell Gragg obserwował, jak jego sąsiedzi się bogacą, sprzedając swoje wartościowe farmy człowiekowi jeżdżącemu eleganckim jaguarem, postanowił nie sprzedawać swojej ziemi Eustace'owi Conwayowi, jeżdżącemu rozklekotanym pick-upem z 1974 roku. Cabell chciał odczuwać satysfakcję, że on też skorzystał na tej koniunkturze w handlu nieruchomościami. Czekał na propozycję bogatszego kupca.

W tej sytuacji Eustace zwołał spotkanie na szczycie z Davidem Kaplanem. Nie znaczy to, że ci dwaj panowie czuli do siebie sympatię. Byli konkurentami - newage'owy traper kontra newage'owy deweloper - i zapewne dwoma najbystrzejszymi gośćmi w całym tym hrabstwie. Już wcześniej mieli kilka drobnych starć. David Kaplan wybudował sobie wielki luksusowy dom na Niebiańskiej Górze i schodki jego werandy zaczynały się trzy kroki od granicy posiadłości Eustace'a. Eustace uważał to za bezczelność, czego nie omieszkał wyrazić słowami. Co więcej, jeden z helikopterów Niebiańskiej Góry latał nisko nad lasem, dzień po dniu, wywołując silny wiatr i warkocząc. Chryste, jak on tego nienawidził! Jak można mieć azyl na Żółtwej Wyspie, kiedy tuż nad głową lata ci

helikopter? Rozgniewany Eustace wielokrotnie dzwonił w tej sprawie do Kaplana, ale helikopter nie zaprzestał lotów. Wreszcie doprowadzony do ostateczności wyskoczył kiedyś ze strzelbą, naprowadził muszkę celownika na twarz pilota i wrzasnął: „Spieprzaj znad mojej głowy!” Co David Kaplan uznał za bezczelność.

Zatem zwrócenie się z prośbą do Davida Kaplana o wyświadczenie przysługi było wielkim wydarzeniem. Było to nawet coś więcej niż prośba. Eustace, uświadomiwszy sobie, że nie ma wyboru, po prostu przewrócił się na plecy i wystawił swojemu przeciwnikowi gardło. Opowiedział Davidowi Kaplanowi wszystko o ziemi Cabella Gragga. Powiedział, jaką ma dokładnie powierzchnię, ile kosztuje i od ilu lat chce ją kupić i dlaczego jest mu potrzebna, i co robi, jeśli jej nie dostanie. Pamiętajcie, że udzielił tych wszystkich informacji człowiekowi, który otwarcie dążył do kupna każdego skrawka ziemi, jaki tylko mógł dorwać. Potem Eustace poprosił Kaplana, by kupił ziemię Gragga i mu ją sprzedał. Cabell miałby satysfakcję, że ubił interes z bogatym deweloperem; Eustace miałby ziemię niezbędną do zachowania swojego marzenia; a Kaplan miałby...? Cóż, nie miałby z tej transakcji żadnego pożytku, ale na pewno byłoby miło, gdyby się zgodził.

I David Kaplan się zgodził. Mężczyźni nie podpisali żadnego papierka; potwierdzili umowę uściskiem dłoni. „Jeśli mnie wyrolujesz - wyjaśnił uprzejmie Eustace - będę skończony”. I odszedł ze świadomością, że jego życie spoczywa w rękach największego konkurenta. Było to jak sztuczka na trapezie. Jak rosyjska ruletka. Jak pokerowa zagrywka o farmę z parą w rękę. Ale to ryzyko było jego jedyną szansą. W każdym razie w głębi ducha podejrzewał,

że David Kaplan to człowiek przyzwoity. Nie tylko przyzwoity, ale też na tyle bystry, by wiedzieć, że lepiej nie robić sobie śmiertelnego wroga z takiego faceta jak Eustace Conway.

Ostatecznie ryzyko się opłaciło. David złożył ofertę Cabellowi Graggowi - taką samą, jaką Eustace składał od lat - i Cabell położył haczyk. David Kaplan kupił ten najważniejszy kawałek ziemi, a dwa dni później, honorowo, sprzedał go Eustace'owi.

Jego imperium było wreszcie bezpieczne.

Zgoda, możliwe, że Eustace Conway nie jest zbyt zorientowany w bieżących wydarzeniach. Nie czyta gazet i nie słucha radia i prawdopodobnie jest, że kiedy jakiś uczeń zapytał go w 1995 roku, czy wie, kim jest Bill Clinton, odpowiedział: „Sądzę, że Bill Clinton jest amerykańskim politykiem, ale nie jestem pewien”. Nie zna zatem najświeższych informacji, ale to nie oznacza, że nie jest tak sprawnym biznesmenem jak prenumerujący „Economista” facet w garniturze. Eustace jest sprytnym, byстрыm i potencjalnie bezwzględny (w najlepszym znaczeniu tego słowa) człowiekiem interesów.

W rzeczywistości ludzie na ogół nie zauważają u niego tej smykałki do interesów, chyba że przypadkiem są to ludzie, którzy sporządzają mapy geodezyjne w ratuszu miasta Boone w Karolinie Północnej. Ludzie nie widzą tej przemyślnej strony Eustace'a Conwaya, ponieważ nie mówi on o tych sprawach tyle, ile o słuchaniu dźwięku mżącego deszczu i o tym, jak rozpalić ogień bez zapalek. Przecież nie płacą mu za to, żeby o tym mówił. Nie jest to jedyny powód, dlaczego ludzie tego nie widzą. W zasadzie nie widzą oni tego biznesowego zacięcia Eustace'a, bo nie chcą go

widzieć. Bo obawiają się, że jeśli przyjrzą się temu zbyt dokładnie, zniszczy to sympatyczny wizerunek człowieka w jelenich skórkach, z tipi, z antycznym jednostrzałowym muszkietem, ręcznie struganą drewnianą miską i z otwartym spokojnym uśmiechem. Ten obraz jest im dzisiaj potrzebny, prawdę mówiąc, zawsze im był potrzebny.

„Rycerzcy w sposobie bycia i wolni jak wiatr”, tak w dziewiętnastym wieku brytyjska podróżniczka i pisarka Isabel Lucy Bird wyrażała się o mężczyznach z amerykańskiego Zachodu.

„Mój pierwotny pogański dzikus”, tak mówiła Valarie Spratlin, kiedy się zakochała w Eustasie.

Tak właśnie wszyscy sobie myślimy, kiedy się w nim zakochujemy. W każdym razie ci, którzy się zakochują. A jest nas niemało. Znam to uczucie. Też miałam taki moment, kiedy pomyślałam sobie, że jest to pierwszy niezaprzeczalnie autentyczny człowiek, jakiego w życiu spotkałam, taka osoba, jaką, mając dwadzieścia dwa lata, pojechałam odnaleźć w Wyomingu (taka, j a k ą s a m a c h c i a ł a m s i ę s t a ć)... prawdziwie nietknięta nalotem nowoczesności. Eustace przy pierwszym spotkaniu wydaje się ostatnim osobnikiem z jakiegoś szlachetnego gatunku, a to dlatego, że jego rzeczywistość nie ma w sobie nic „wirtualnego”. Życie tego faceta jest bowiem, całkiem dosłownie, tym, co dla reszty kraju w wielkim stopniu stało się już metaforą.

Pomyślcie o tych wszystkich artykułach w „Wall Street Journal”, w których jakiegoś przedsiębiorcę czy biznesmena opisuje się jako „pioniera”, „kowboja” lub „wolnego ducha”. Pomyślcie, ile razy pisze się, że ci ambitni współcześni ludzie „wytyczają teren” albo nieustraszenie „przekraczają granice”, a nawet „jadą

ku zachodzącemu słońcu”. Wciąż używamy tego dziewiętnastowiecznego słownictwa, by opisać naszych najbardziej prężnych obywateli, jednak teraz jest to pewnego rodzaju kod, bo ci faceci w rzeczywistości nie są pionierami; są utalentowanymi programistami, biogenetykami, politykami, magnatami prasowymi, odnoszącymi sukcesy w pędzącej współczesnej gospodarce.

Kiedy jednak Eustace Conway mówi o wytyczaniu terenu, to ten gość dosłownie go wytycza. Wszystkich tych wyrażen z pogranicza, które reszta z nas stosuje metaforycznie, Eustace używa dosłownie. On naprawdę trzyma się prosto w siodle; naprawdę dba o to, by proch był suchy; rzeczywiście mości sobie miejsce na siedlisko. Kiedy mówi o powściągnięciu koni, przywoływaniu psów, wznoszeniu ogrodzeń, można być pewnym, że nie mówi tego przenośnie, w jego rzeczywistości są prawdziwe konie, prawdziwe psy i prawdziwe ogrodzenia. I kiedy Eustace szykuje się do zadania ostatecznego ciosu, nie chodzi o wrogie przejęcie konkurencyjnej firmy, tylko o uśmiercenie jakiegoś zwierzęcia.

Pamiętam, jak raz w czasie pobytu na Żółtwej Wyspie pomagałam Eustace'owi przy pracach kowalskich. Jego niewielka kuźnia jest w ciągłym użyciu. On sam jest sprawnym kowalem, takim jak dawni farmerzy, co oznacza, że nie wykuwa żelaznych drobiazgów; reperuje swoje gospodarskie maszyny i podkuwa konie. Tego dnia rozgrzewał właśnie żelazne pręty, których miał użyć do naprawy starej kosiarki. Miał w ogniu jednocześnie kilka kawałków żelaza, a ponieważ jego uwagę pochłonęła próba nauczenia mnie podstaw kowalstwa, pozwolił im się zanadto rozgrzać, tak że mogło dojść do osłabienia metalu. Kiedy to zauważył, rzucił: „Cholera! Trzeba kuć żelazo, póki gorące... ale nie aż tak gorące”, dodał.

Wtedy pierwszy raz usłyszałam to wyrażenie użyte w sytuacji, od której się wzięło. To jest właśnie satysfakcja, jaką daje jego towarzystwo; nagle wszystko znajduje się we właściwym kontekście. Eustace Conway urzeczywistnia pojęcie tożsamości pogranicza, co już dawno zdążyło ominąć większość mężczyzn jego pokolenia, którym w zasadzie pozostało jedynie to słownictwo. I to słownictwo z pogranicza przetrwało samo pogranicze, ponieważ oparliśmy naszą amerykańską męską tożsamość na krótkim okresie odkryć i romantycznej niezależności i osiedlania się na wysuniętych coraz dalej na zachód terenach. Trzymamy się tej tożsamości, choć już dawno straciła ona swoje prawdziwe odniesienia, ponieważ tak bardzo podoba nam się ta koncepcja. I jak sądzę, właśnie dlatego tylu mężczyzn w naszym kraju nosi gdzieś w głębi siebie przekonanie, że są pionierami.

Mam tu szczególnie na myśli swojego wuja Terry'ego, który urodził się na farmie w Minnesocie - jego rodzice byli dziećmi amerykańskich pionierów. Terry, wrażliwy i inteligentny, urodzony w okresie wyżu demograficznego, chciał jak najszybciej wyostać się ze swojego środowiska. Przyjechał na Wschód, założył własny interes, a teraz pracuje jako specjalista od komputerów. Kilka lat temu włączył się w komputerową grę pod nazwą Szlak Oregoński. Gra polegała na tym, że jej uczestnik jest dziewiętnastowiecznym pionierem, podążającym na Zachód krytym wozem razem z rodziną. Żeby wygrać, trzeba dotrzeć do Pacyfiku, przetrwawszy mnóstwo wirtualnych trudności, włącznie z chorobą, niespodziewanymi burzami śnieżnymi, napadami Indian i przymieraniem głodem podczas przeprawy przez wysoko położone górskie przełęcze. Im lepiej się jest przygotowanym - w sensie

zabrania odpowiedniego ekwipunku i wybrania najbezpieczniej-
szej trasy - tym większe ma się szanse przetrwania.

Wuj Terry uwielbiał tę grę i spędzał długie godziny przy kom-
puterze, pracując wirtualnie na Zachód, podobnie jak jego dziadkowie
stulecie wcześniej ciągnęli tam dosłownie. Była jednak pewna
rzecz, która go w tej grze niesłychanie frustrowała: program kom-
puterowy nie pozwalał mu na improwizacje w przypadku katastro-
fy. Nagle na ekranie pojawiała się wiadomość, że złamała mu się
ośka wozu i że zginie, bo nie może jechać dalej. Jednym słowem
komputer traktował tego wirtualnego pioniera jak nieudacznika.
Następował koniec gry, Terry wstawał od biurka i klnąc ze złości,
szedł do lodówki. Brał kolejne piwo i urażony narzekał na twór-
ców gry.

„Gdybym był rzeczywiście tam na szlaku, wiem, że potrafił-
bym sobie z tym poradzić! - mówił. - Wymyśliłbym, jak naprawić
tę przeklętą ośkę. Nie jestem idiotą! Ściąłbym drzewo, coś bym
wykombinował!”

Prawdopodobnie by sobie poradził. Terry nie tylko wychował
się na farmie; on spędził swoją pełną ideałów młodość, przemie-
rzając dzikie tereny Ameryki w poszukiwaniu swojego rodzaju
niezależności. Napotykając trudności na Szlaku Oregońskim, Ter-
ry prawdopodobnie by przetrwał. Jednak nie ma najmniejszej
możliwości, żeby to udowodnić. Natomiast Eustace Conway
owszem, jak najbardziej. Eustace rzeczywiście prowadzi swoje
zwierzęta w poprzek kontynentu, rzeczywiście znosi wszelkiego
rodzaju trudności, rzeczywiście może coś wykombinować, kiedy
trzaśnie mu ośka.

Problem pojawia się wtedy, kiedy chcemy określić, kim miałyby
być Eustace Conway, żeby spełnić nasze wyobrażenia o nim, po

czym ignorujemy to, co nie pasuje do romantycznego wizerunku, będącego naszym pierwszym wrażeniem. Moją pierwszą reakcją, kiedy zobaczyłam, jak wygląda jego życie, było uczucie ulgi. Kiedy pierwszy raz wysłuchałam historii jego przygód, pomyślałam sobie tylko: *Dziękuję Bogu*. Dzięki Bogu, że ktoś w Ameryce wciąż żyje w taki sposób. Dzięki Bogu, że jest tu przynajmniej jeden autentyczny traper, człowiek pogranicza, pionier, wolny duch. Dzięki Bogu, że pozostał w tym kraju jeden naprawdę zaradny i niezależny, nieujarzmiony człowiek. Istnienie Eustace'a pozwoliło mi poczuć gdzieś głęboko w sercu, że my, Amerykanie, wciąż jesteśmy wbrew wszelkim innym dostępnym dowodom narodem, którego członkowie wyrastają na ludzi wolnych, niedających się ujarzmić, silnych, dzielnych i upartych, a nie na leniwych, opasłych, nudnych i pozbawionych motywacji.

Takie właśnie miałam odczucie, kiedy poznałam Eustace'a, i od tamtej pory byłam wielokrotnie świadkiem tego, jak dziesiątki innych osób reagują, kiedy go pierwszy raz widzą. Pierwsza reakcja wielu mężczyzn, kiedy zobaczą choćby fragment życia Eustace'a Conwaya, jest następująca: „Chcę robić to, co ty”. W rzeczywistości na ogół wcale by tego nie chcieli. Choć są nieco zażenowani łatwością i wygodą swojej nowoczesnej egzystencji, to jest niemal pewne, że wcale nie są gotowi jej porzucić. Nie tak szybko, koleś...

Większość Amerykanów prawdopodobnie nie ma ochoty na powrót do natury w sposób, który pociągałby za sobą prawdziwą niewygodę, niemniej wciąż czują dreszczyk emocji, kiedy słyszą nawoływanie Eustace'a: „Potrafisz!” Bo to właśnie większość z nas chce usłyszeć. Nie chcemy znaleźć się w zamieci na Szlaku Oregońskim i naprawiać złamanej ośki krytego wozu; chcemy

mieć poczucie, że p o t r a f i l i b y ś m y to zrobić, gdybyśmy musieli. A Eustace żyje tak, jak żyje, by dostarczyć nam na to podtrzymującego na duchu dowodu.

„Potraficie!”, powtarza.

A my mu wciąż wierzymy, ponieważ on p o t r a f i !

Ucieleśnia mit, jaki nosimy w sobie, i dlatego spotkanie z nim jest takie krzepiące. To jak oglądanie orła bielika. (Póki pozostał choć jeden z nich, może nie jest jeszcze tak całkiem źle). Oczywiście ucieleśnianie mitycznych nadziei całego społeczeństwa to całkiem duże zadanie dla jednego człowieka, jednak Eustace zawsze do niego dorastał. I ludzie to też w nim wyczuwają; wyczuwają tę jego pewność, że jest na tyle wielki, by służyć za żywą metaforę, i na tyle silny, by dźwigać na swoim grzbiecie nasze pragnienia. Zatem śmiało można uczynić z niego idola, co jest ekscytującym doświadczeniem w tej epoce niedojrzałości i rozczarowania, kiedy tak trudno kogoś wielbić. I ludziom kręci się odrobinę w głowie od tej ekscytacji i stają się odrobinę nieracjonalni. Wiem po sobie.

Jedną z moich ulubionych rozrywek jest ponowne odczytywanie wpisów z własnego dziennika, poczynionych mniej więcej w tym czasie, kiedy Eustace i Judson Conway przyjechali odwiedzić mnie w Nowym Jorku. Szczególnie lubię tę część, kiedy pierwszy raz widzę Eustace'a i opisuję go jako „ujmującego, niesfornego i niezwykle prostodusznego starszego brata”.

Ujmujący? Bez wątpienia.

Niesforny? Zdecydowanie tak.

Prostoduszny? Spróbuj czegoś innego, siostró.

Nie ma w tym facecie odrobiny prostoduszności i nigdzie nie widać tego lepiej niż w jego zakupach ziemi. Ludzie, którzy udają

się w góry, by zobaczyć Eustace'a Conwaya i jego posiadłość, rzadko zadają sobie pytanie, skąd się ona wzięła. Żółwia Wyspa tak doskonale pasuje do Eustace'a, że wygląda, jakby wyrosła z niego albo on z niej. Jak wszystko inne, co Eustace sobą przedstawia, jego ziemia zdaje się nie podlegać demoralizującym procesom naszego zdegenerowanego współczesnego społeczeństwa. Wbrew wszelkiemu rozsądkowi ludzie widzą w Żółwiej Wyspie ostatni mały kawałek amerykańskiego pogranicza. I Eustace na pewno nie mógł zrobić czegoś tak prostackiego jak kupno tego terenu; na pewno sam go sobie wytyczył i zdobył do niego prawo.

Możemy postrzeć Eustace'a oczyma Dominga Faustina Sarmienta, dziewiętnastowiecznego argentyńskiego intelektualisty, który odwiedził Amerykę i przebywał tam wystarczająco długo, by zaobserwować, jak „niezależny farmer szuka żyznej ziemi, malowniczego miejsca, czegoś w pobliżu spławnej rzeki; a kiedy już się zdecyduje, jak w tych najbardziej prymitywnych czasach historii świata oświadcza: «To jest moje!» i bez dalszych ceregieli bierze tę ziemię w posiadanie w imieniu Królów Świata: Pracy i Gotowości”. Ta idea tak bardzo nam się podoba, że myśleć inaczej o Eustacie i o tym, jak wszedł w posiadanie tego swojego królestwa, to zrujnować naszą cudowną i uspokajającą wizję tego człowieka jako Ostatniego Takiego Amerykanina. Jednak historia Eustace'a Conwaya jest tak naprawdę historią amerykańskiego mężczyzny. Sprytny, ambitny, energiczny, obrotny, wylewny... tkwi na końcu długiego rzędu takich samych jak on.

W jego postępowaniu nie ma nic anachronicznego. Chcemy, żeby Eustace był Cholernym Davym Crockettem? Cóż, dobrze. Ale kim według was był tak dokładnie Davy Crockett? Kongresmanem, oto, kim był. Oczywiście wyszedł z leśnej głuszy i był

świetnym myśliwym, który zabił niedźwiedzia nożem (choć pewnie nie jako berbec), ale był jednocześnie diabelsko sprytny i wiedział, jak dla celów politycznych wykorzystać swoją charyzmę człowieka z puszczy. Podczas debaty z arystokratycznym przeciwnikiem politycznym zapytano tego człowieka z lasów stanu Tennessee, czy zgadza się, żeby podczas następnej sesji ciała ustawodawczego wprowadzić radykalne zmiany dotyczące jurysdykcji. Crockett (odziany w wytarte skóry) zdobył sobie przychylność miejscowych, kiedy przeciągając samogłoski, oświadczył z niewinną miną, że pierwszy raz słyszy o stworzeniu, które nazywa się „jurysdykcja”. Co było urocze i zabawne, ale zapewne nieprawdziwe, skoro Crockett przez lata zajmował się sprawami związanymi z jurysdykcją... jako sędzia pokoju, referent sądowy, komisarz miejski, a w tamtym czasie jako członek legislatury stanowej.

Crockett uprawiał błyskotliwą autoreklamę. Zawsze można było liczyć na to, że uraczy reportera dowcipnym, brzmiącym z większą chwytnością hasłem albo dramatyczną opowieścią o spotkaniu z jakąś dziką i groźną „gadziną”. Był na tyle przebiegły, że starannie zgrał w czasie wydania swoich heroicznych wspomnień, *The Life and Adventures of Colonel David Crockett of West Tennessee* („Życie i przygody pułkownika Davida Crocketta z zachodniego Tennessee”), ze swoją kampanią do Kongresu w 1833 roku. „Jakże żalosnym miejscem jest wielkie miasto”, białł Crockett. Co nie przeszkodziło mu zamieszkać w Waszyngtonie i ochoczo flirtować ze swoimi konkurentami z północno-wschodniego skrzydła partii Wigów, by doprowadzić, całkiem stosownie, do uchwalenia ukochanej ustawy o ziemi.

Prawdę mówiąc, wszyscy ci sławni amerykańscy faceci z leśnej

głuszy stali się sławnymi amerykańskimi facetami z leśnej głuszy dzięki swojej inteligencji, ambicji i autopromocji. Daniel Boone, modelowy okaz pioniera, był najwyższego lotu spekulantem w obrocie nieruchomościami (prawdziwy deweloper). Założył w Kentucky miasteczko Boonesborough, po czym wysunął dwadzieścia dziewięć roszczeń do ziemi i w rezultacie uzyskał na własność tysiące akrów. Wplątał się w procesy o granice posiadłości, włącznie z jednym paskudnym przypadkiem, którym przez ponad dwadzieścia trzy lata zajmował kolonialny system sądowy. (Nawet w osiemnastym stuleciu, nawet w przypadku Daniela Boone'a wzięcie w posiadanie ziemi było o wiele bardziej skomplikowane niż oświadczenie: „To jest moje!” Boone wiedział, jak funkcjonuje świat. Do jednego ze swoich znajomych osadników napisał: „Niewątpliwie chciałbyś sobie dokończyć te swoje sprawę o ziemię, ale nie jest to do zrobienia bez piniendzy”).

W amerykańskiej historii jest wiele heroicznych chwil, które nie byłyby heroiczne bez pieniędzy. Daniel Boone stał się sławny, ponieważ zrobił interes z pewnym nauczycielem z Pensylwanii, niejakim Johnem Filsonem, którego rodzina również posiadała mnóstwo ziemi w Kentucky i który szukał sposobu na rozpropagowanie tego stanu, by tym samym zwiększyć wartość swoich terenów. Filson napisał porywającą książkę, zatytułowaną *The Adventures of Colonel Daniel Boone* („Przygody pułkownika Daniela Boone'a”), która stała się bestsellerem i zgodnie z intencją autora przyciągała do Kentucky osadników, kupujących ziemię należące do Boone'a i jego samego. Było to ogromnie zyskowne i zręczne posunięcie ze strony Boone'a i na dodatek uczyniło go ikoną tamtych czasów.

Zarówno Boone, jak i Crockett byli o wiele bystrzejszymi biznesmenami, niż można by sądzić na podstawie telewizyjnych programów z lat pięćdziesiątych. („Najświetniejszy, najbardziej waleczny i najzuchwalszy człowiek, jakiego znało pogranicze!”) I nie byli oni jedynymi bystrzakami. Kit Carson jeszcze za życia doznał się poświęconych mu powieści przygodowych wydanych w Nowym Jorku między innymi *Kit Carson: Knight of the Plains* i *Kit Carson: The Prince of the Goldhunters* („Kit Carson: Rycerz prerii” i „Kit Carson: Książę poszukiwaczy złota”). Dawny szef Carsona, odkrywca John Fremont, był na tyle bystry, że dodał nieco romantycznej przyprawy do swoich zamówionych przez Kongres raportów, czyniąc je narodowymi bestsellerami. Nawet Lewis i Clark wiedzieli, jak się zareklamować. Kiedy wracali ze swojej słynnej ekspedycji do wybrzeży Pacyfiku, z pełną premedytacją upozowali się na obdartusów i twardzieli, a kiedy dopłynęli do St. Louis, witały ich tysiące wiwatujących mieszkańców i spore grupy reporterów, z których jeden napisał z podziwem: „Rzeczywiście wyglądali jak Robinson Crusoe... od stóp do głów odziani w skóry”.

Zatem, kiedy Eustace Conway przeprowadza swoją „małą, sprytną transakcję” lub kiedy wymienia ziemię na ziemię, kiedy pisze w swoim dzienniku: „Właśnie zebrałem do kupy duży pakiet artykułów prasowych, żeby wykorzystać je jako materiały reklamowe; napisano o mnie przez te lata około 35 większych artykułów - złożą się one na imponujący pakiet służący promowaniu mnie”, kiedy wykorzystuje swój wizerunek trapera, by zyskać słuchaczy, w żaden sposób nie zdradza swoich amerykańskich przodków z pogranicza; on ich w ten sposób honoruje. Oni natomiast by się zorientowali w jego zamiarach i patrzyliby z

podziwem, ponieważ na tym kontynencie sukces zawsze wiązał się z przeprowadzaniem tego rodzaju sprytnych operacji.

„Od roku pracuję przez cały dzień, siedem dni w tygodniu - napisał Eustace w swoim dzienniku, kiedy Żółwia Wyspa była otwarta już od kilku lat. - Jestem zapewne dobrym przykładem człowieka dążącego do wysoko postawionego celu, uzależnionego nie od natychmiastowego zysku, ale od wizji przyszłości, w całości należącej do mojego społecznego i filozoficznego wychowania. Mój dziadek pod wieloma względami dał tego przykład w Obozie Sekwoja. Nawet w tej chwili, kiedy żyje we mnie ciepło ogniska, słyszę krzyk puchacza, który mi o nim przypomina”.

Splacił już ojcu cały dług („to naprawdę szczęśliwy dzień, w którym pozbyłem się tego brzemienia”), ale nie brakowało mu innych wyzwań. Dużego wysiłku wymagało zorganizowanie każdego lata na Żółwiej Wyspie obozu dla skautów, chłopców i dziewcząt. Miał też problemy z samymi dziećmi. Ktoś rozciął sobie rękę na ostrym obsydianie i należało założyć szwy; kogoś poparzył sumak jadowity; innego złapano na popalaniu trawki i trzeba było go odesłać do domu, bo Eustace nie tolerował żadnych narkotyków.

Do tego trzeba dodać sprawę personelu. Mając takie wysokie wymagania wobec siebie, Eustace bardzo szybko zorientował się, że znalezienie solidnych, godnych zaufania pracowników jest bardzo trudnym zadaniem. Przez jakiś czas jego bracia, Judson i Walton, pracowali u niego jako instruktorzy. Byli znakomici, ale mieli własne życie i nie można było liczyć, że będą uczyć na Żółwiej Wyspie bez końca. Walton ukończył college i wybierał się na

kilka lat do Europy. Judson od jakiegoś czasu marzył o spędzeniu lata na Zachodzie i wkrótce miał przeżywać własne przygody, jeżdżąc pociągami towarowymi i autostopem. („Niedawno wędrowałem z plecakiem po Wind River Range w Wyomingu - napisał potem entuzjastycznie do Eustace'a. - Przez piętnaście mil walczyłem z zamiecią powyżej linii drzew... 25 km. O mało nie straciłem życia. Wspaniała zabawa. Mam nadzieję, że obóz przebiega dobrze. A tak przy okazji, jestem teraz kowbojem”).

Poza braćmi trudno było Eustace'owi znaleźć ludzi, którzy pracowaliby tak ciężko (czy prawie tak ciężko) jak on sam i wciąż darzyli go szacunkiem, na jaki czuł, że zasługuje. Człowiekowi, który często powtarza, że zaledwie ośmiogodzinny dzień pracy jest „obrzydlistwem”, trudno być zadowolonym z pracowników. Kiedy przybywali na Żółtą Wyspę, byli „przepełnieni nabożnym lękiem, zdumieni i zachwyceni tym miejscem” (jak napisał jeden z pracowników), a potem przerażała ich tak ciężka praca. Eustace tracił zespół za zespołem, bo albo ludzie rezygnowali, albo on sam ich wyrzucał.

Żałował, że nie może mieć takiej oddanej i lojalnej kadry, z jaką pracował w latach trzydziestych w Obozie Sekwoja jego dziadek, zamiast tych kapryśnych współczesnych dzieciaków z ich uczuciami i potrzebami. Jego dziadek wymagał cnotliwości i doskonałości i w zasadzie mógł na to liczyć. Jeśli Wódz choćby usłyszał pogłoskę, że któregoś z instruktorów widziano, jak palił papierosa w mieście, w dzień wolny od pracy, to po powrocie do obozu czekały już na niego spakowane bagaże. Wódz nigdy nie interesował się tym, czy depcze ludzkie uczucia, ani tym, że przypięto mu łatkę „niesprawiedliwego”. Miał niekwestionowany autorytet i tego tylko chciał Eustace. Tego i próby

takiego zaangażowania w pracę jak jego własne. Co było wygórowanym żądaniem.

Pracowałam z Eustace'em Conwayem. Nikt nie przebywa na Żółtwej Wyspie bez wymaganego wkładu pracy. Spędziłam tam jeden jesienny tydzień, pomagając Eustace'owi zbudować domek. Pracowało nas troje... Eustace, ja i spokojny, wytrwały młody praktykant, niejaki Christian Kaltrider. Pracowaliśmy po dwanaście godzin dziennie i nie przypominam sobie żadnych przerw na lunch. Tylko milczącą, cierpliwą pracę. Praca Eustace'a przypomina marsz... odrętwiający i nieustanny. Czujesz się, jakbyś był w plutonie. Przestajesz myśleć i tylko poddajesz się tempu. Jedyną osobą, która się odzywa, jest Eustace, i to tylko po to, by wydawać polecenia, co robi z niepodważalnym autorytetem, mimo że każde polecenie jest wypowiedane uprzejmie. Poprosił mnie na przykład bym ze stosu narzędzi podała mu ciosło.

- Przykro mi - powiedziałam - ale nie wiem, co to takiego.

Opisał mi to ciosło - narzędzie, które przypomina siekierę, ale ma zakrzywione ostrze, ustawione pod kątem prostym do rękojeści, używane do obróbki drewna. Znalazłam i niosłam mu to narzędzie, kiedy Eustace odłożył nagle młotek, wyprostował się, otarł czoło i oświadczył:

- Jestem pewien, że widziałem słowo „ciosło” użyte w literaturze. Czy to nie Hemingway pisał o dźwięku ciosła dochodzącym sprzed domu, gdzie ktoś robił trumnę?

Pacnęłam końską muchę, która usiadła mi na karku.

- Czy nie mówisz przypadkiem o Faulknerze? Sądzę, że jest to scena z *Kiedy umieram*, w której Faulkner opisuje odgłosy zbijania trumny.

- Tak, oczywiście - powiedział Eustace - Faulkner.

I wrócił do pracy. A ja stałam z ciosłem w ręce i gapiłam się na niego. „Tak, oczywiście, Faulkner”. A teraz wszyscy wracają do roboty.

Tamtego dnia Eustace chciał skończyć przed zmierzchem podłogę, więc się uwijaliśmy. Tak mu zależało na zakończeniu roboty, że do cięcia większych belek używał piły łańcuchowej. Właśnie ciął taką belkę, kiedy łańcuch natrafił na sęk i odskoczył wprost w jego twarz. Odbił go lewą ręką, nacinając sobie w rezultacie dwa palce.

Wydał jeden krótki dźwięk, coś jakby „raa” i cofnął dłoń. Zaczęła płynąć krew. Christian i ja zastygliśmy w milczeniu. Eustace potrząsnął raz ręką, rozpryskując krew wokół, i wrócił do piłowania. Czekaliśmy, że coś powie, że spróbuje zatamować dość silne krwawienie, ale nie zrobił tego. Krwawił i piłował, i walił młotkiem, i krwawił, i dalej piłował. Pod koniec dnia całe jego ramię, belki, narzędzia, moje ręce i ręce Christiana były zbryzgane krwią.

A ja pomyślałam: Aha, to tego się od nas oczekuje.

Pracowaliśmy do zmierzchu, po czym ruszyliśmy w drogę powrotną do obozu. Szłam obok Eustace'a, idącego z opuszczoną ręką, z której kapłała krew. Mijaliśmy kwitnący krzew i wtedy Eustace, który ani na chwilę nie przestawał być nauczycielem, powiedział:

- A to ciekawe. Na ogół nie widuje się niecierpków, które na jednym krzaku miałyby pomarańczowe i żółte kwiatki. Wiecie, że z łodygi można zrobić maść, która złagodzi swędzenie wywołane dotknięciem sumaka jadowitego?

- Bardzo ciekawe - przyznałam.

Dopiero po kolacji Eustace zabandażował skaleczoną rękę.

- Mam szczęście, że nie obciąłem sobie palców - zauważył i to był cały jego komentarz.

Później, jeszcze tego samego wieczoru, zapytałam, jakie odniósł najpoważniejsze obrażenia, i powiedział, że nigdy poważnie się nie zranił. Kiedyś przeciął sobie kciuk z powodu nieuwagi przy oprawianiu jelenia. Było to głębokie, długie rozcięcie, „z wiszącym na zewnątrz mięsem i w ogóle” i zdecydowanie wymagające szwów. Wobec czego Eustace je sobie założył, używając igły i nitki i stosując ścieg znany mu ze zszywania jelenich skór. Świat nie się zagoiło.

- Nie sądzę, bym mogła zszyć sobie skórę - powiedziałam.
- Zrobisz wszystko, jeśli wierzysz, że możesz to zrobić.
- Nie wierzę, żebym mogła szyc własną skórę.
- Więc pewnie byś nie mogła - zgodził się ze śmiechem.

„Ludziom jest tak trudno cokolwiek tu zrobić - narzekał Eustace w swoim dzienniku w roku 1992. - To środowisko jest dla nich takie nowe. Oni nie mają żadnego problemu. To ja się przejmuję ich powolnym ignoranckim tempem. Oni rozkoszują się każdą chwilą”.

Ze wszystkich stron natykał się na wyzwania. Pewien przyjaciel zauważył, że Eustace popełnia błąd, nie mając ubezpieczenia zdrowotnego. „Przecież jestem zdrowy!”, zaprotestował. Więc przyjaciel mu wyjaśnił, że jeśli przypadkiem by uległ poważnemu wypadkowi i potrzebował intensywnej opieki medycznej, szpital mógłby wejść na wszystko, co ma, włącznie z ziemią, żeby pokryć koszty leczenia. Jezu Chryste! Eustace nigdy wcześniej nie pomyślał o czymś takim. Płacił tyle podatków i opłacał geometrów.

Musiał też walczyć z kłusownikami. Kiedyś dopadł jakiegoś gówniarza, który poza sezonem, z nielegalnie posiadanej broni, zastrzelił jelenia prawie na progu jego kuchni. A co bardziej przerażające, jego samego oskarżono o kłusownictwo.

Pewnego popołudnia prowadził właśnie zajęcia z osiemnastuścioro młodymi słuchaczami, kiedy zajechały cztery samochody z ośmioma przedstawicielami prawa, którzy aresztowali go za nielegalne polowania na jelenie. Otrzymałszy donos od zawistnego sąsiada, strażnik leśny pomaszerował wprost do kryjówki, w której Eustace trzymał dziesiątki jelenich skór, i oskarżył go o zabicie tych zwierząt bez pozwolenia. W rzeczywistości Eustace otrzymał te skóry od ludzi, którzy chcieli, żeby im je wygarbował. Była to przerażająca chwila.

Eustace musiał spędzić cały następny miesiąc na zbieraniu stanowiących dowód jego niewinności listów od wszystkich, którzy powierzyli mu te skóry, a także pism i dokumentów od obrońców przyrody i polityków z całego Południa, zapewniających, że Eustace Conway jest zadeklarowanym miłośnikiem przyrody, który nigdy nie polowałby na więcej zwierząt, niż jest to dozwolone. Niemniej miał śmiałość, by pójść na rozprawę do sądu w swoich spodniach z jeleniej skóry. Czemu nie? Zawsze je przecież nosił. Wszedł na salę jak jakiś cholerny Jeremiahs Johnson. Ma-Maw, jego appalaska leciwa sąsiadka, która mieszkała w dolinie i która jak wszyscy wieśniacy nienawidziła prawa, zjawiła się z Eustace'em, żeby udzielić mu wsparcia. („Obawiam się, że sędzia może ściągnąć ze mnie te spodnie i wpakować do więzienia”, rzucił Eustace żartem do Ma-Maw, która oświadczyła poważnie: „Nie przejmuj się. Pod spódnicą mam bufiaste majtki. Jak ci ukradną

portki, to je zdejmę i ci dam. Możesz w nich iść do więzienia, Houstonie!”) Ma-Maw przepadała za wszystkimi chłopakami Conwayów, ale zawsze przekręcała ich imiona...

Kiedy Eustace miał szansę się wypowiedzieć, wygłosił przed sędzią tak elokwentną i pełną pasji tyradę na temat swojego życia, marzeń i wizji ratowania przyrody, że w końcu sędzia - zdumiony i pod wrażeniem jego słów - podpisując dokument odrzucający oskarżenia o kłusownictwo, spytał: „Czy jest coś, w czym mógłbym ci pomóc przy Żółwiej Wyspie, synu?”

Eustace musiał się zmagać z takimi problemami, jak na przykład list, który Triangle Native American Society wysłało do burmistrza miejscowości Garner w Karolinie Północnej. List wyrażał zaniepokojenie towarzystwa „informacją, jaką otrzymaliśmy na temat osoby, która będzie uczestniczyła w imprezie sponsorowanej przez Wasze miasto dwunastego października. Ową osobą jest pan Eustace Conway... Z tego, co wiemy, pan Conway przedstawia ogółowi społeczeństwa oraz członkom kółek zainteresowań różne informacje dotyczące najprostszyc sposobów przetrwania i żywienia się płodami ziemi i upolowanymi zwierzętami. Wiadomo też o nim, że stawia konstrukcje znane jako tipi. Indianie żyjący na północnym i południowym wschodzie tego kraju nigdy nie mieszkali w tipi. Indianie z Karoliny Północnej konstruowali tak zwane «długie domy». Jesteśmy poważnie zaniepokojeni faktem, że ludzie uczestniczący w tym szczególnym wydarzeniu wyniosą stamtąd trzy bardzo mylne wyobrażenia: (a) że pan Conway jest rdzennym Amerykaninem, (b) że pan Conway reprezentuje rdzennych Amerykanów i mówi w ich imieniu, (c) że Indianie Karoliny Północnej mieszkali w konstrukcjach typu tipi. Pokornie prosimy,

by z wymienionych powyżej powodów nie zezwalać panu Conwayowi na postawienie stożkowego namiotu, powszechnie znanego pod nazwą tipi”.

Był to właśnie ten rodzaj bzdur, na jakie Eustace nie miał czasu. Na miłość boską, jeśli był ktoś na tej planecie, kto wiedział, że Indianie z terenów Karoliny Północnej nie mieszkali w tipi, to tą osobą był Eustace Conway, który studiował języki większości tamtejszych plemion, który potrafił tańczyć nawet najmniej znane tańce tamtejszych plemion, który odżywiał się, wykorzystując techniki łowieckie tamtejszych plemion, i który zawsze zachowywał w tych sprawach staranność, wyjaśniając swoim słuchaczom, że on sam jest wytworem współczesnej białej kultury amerykańskiej (by udowodnić, że każdy może żyć tak jak on) i że tipi stawiali Indianie z Wielkich Równin. Poza tym, jak wyjaśnił w swojej odpowiedzi: „Jestem kimś więcej niż tylko «białym Amerykaninem naśladowującym sposób bycia rdzennych Amerykanów», nie jestem jedynie «hobbystą». Zgłębiłem zwyczaje Indian i pozwala mi to żyć w harmonii (...). Sądzę, że nie można przekazać takich uczuć w liście (...) natomiast można oddać cześć mocom wszechświata, puszczając w obieg fajkę, żyjąc na Matce Ziemi i słuchając tych skrzydlatych w górze i tych czworonożnych na dole”.

Byli jeszcze ci cholerni inspektorzy sanitarni.

„Ledwo obóz zaczął działalność - napisał w swoim dzienniku w lipcu 1992 roku - a tu Judson przybiegł po mnie pędem. Myślałem, że ktoś miał wypadek. Okazało się, że to odziani w garnitury inspektorzy sanitarni przyjechali dokonać inspekcji. Cóż, włożyłem białą koszulę i poszedłem na spotkanie z tymi demonami.

Nastawiłem się pozytywnie... wyjaśniłem, że to jedyny w swoim rodzaju, wyjątkowy obóz. Oprowadziłem ich po całym terenie, pokazałem latryny, kuchnię (była bardzo czysta) - i czarowałem ich, jak tylko potrafiłem. Zachwycili się tym, co tu robimy. David Shelly, młody obozowicz, zademonstrował im ostrzenie noża - to zrobiło wrażenie. Powiedzieli mi, że «się z tym prześpią», by wymyślić, jak zgodzić się na naszą zupełnie niestandardową sytuację”.

Jego praca nie miała końca. Pomimo miłości do tych skrzydlatych w górze i tych czworonożnych na dole ledwo znajdował czas, by zapisywać w dzienniku uwagi wynikające z obserwacji przyrody.

„Naprawdę raduje mnie widok nurkującego dzięcioła smugoszyjnego - zdołał naskrobać któregoś dnia o czwartej rano, kiedy skończył pracę. - Wydaje mi się, że słyszę je przez cały dzień. Miło, kiedy ten ceniony ptak muzykuje człowiekowi. Mnóstwo wron i jastrzęb od czasu do czasu. Wszędzie kręcą się ogniczki; jeden o mało nie wleciał mi w twarz, kiedy byłem na górze, na moim świętym miejscu nad przyszłą łąką. Wokół tropy jelenie, ale indyka w tym roku nie widziałem. Lubię zmiany pór roku. Nie mogę się doczekać (niewiele o tym mówiąc czy choćby myśląc) tych dni, kiedy będzie mnie cieszyć wiele codziennych subtelnych zmian w pogodzie i w życiu tej appalaskiej doliny, tutaj, gdzie jest moje serce, tutaj, gdzie zapuszczam korzenie, tutaj, gdzie walczę, tutaj, gdzie mam nadzieję umrzeć”.

Na razie było to jednak odległe marzenie. Bardziej typowy zapisek brzmiał: „Wczoraj wieczorem wykonałem kilka telefonów, żeby potwierdzić spotkania w szkołach, wciąż ta papierkowa robota. Sądzę, że mógłbym poświęcić na nią trzy godziny dziennie, a i tak zostałyby zaległości. Musiałem wczoraj powiedzieć pewnej

pani, że nie mogę wiosną wystąpić ze swoim programem w jej szkole. Miałem dziwne uczucie dumy, wynikające ze świadomości, że muszę odmawiać, bo takie jest zapotrzebowanie na moją pracę, obawiam się jednak, że nie odczuwałem stosownej empatii. Powinienem przecież rozumieć tę drugą stronę”.

Było tyle zamówień na jego prelekcje, że wydał pieniądze, by na taśmie wideo nagrać czterdziestopięciominutowy film, zatytułowany *All My Relatives: The Circle of Life* („Wszyscy moi krewni: krąg życia”), który opisywał w liście do dyrektorów szkół na Południu Stanów jako „materiał edukacyjny nadający się do użycia o każdej porze roku”. Ta taśma pozwalała Eustace'owi być w dwóch miejscach jednocześnie. „Nie tylko na lekcjach historii, bo «Wszyscy moi krewni» są także odpowiednim materiałem na lekcje z nauk przyrodniczych, takich jak ekologia i biologia, jak również antropologia - pisał w dołączonym do filmu liście. - Załączona ulotka zawiera więcej informacji, jednak czytanie o tym w żadnym razie nie zastąpi oglądania. Jestem zadowolony z filmu i z tego, że mogę go przekazać Waszej szkole za rozsądną cenę”.

Tak naprawdę Eustace był coraz mniej przekonany o pozytywnych skutkach tych swoich tras z prelekcjami. Człowieka, który szczerze uważał, że potrafi zmienić świat, jeśli tylko posłucha go odpowiednio dużo ludzi przez odpowiednio długi czas, przestała już satysfakcjonować ta odrętwiająca rutyna krótkich wizyt w szkolnych salach.

„Spotkałem się dzisiaj z uczniami szóstej klasy- napisał po jednym z takich niepokojących spotkań. - Nie mogłem uwierzyć w brak wiedzy i zainteresowania, z jakim miałem do czynienia! Oni [uczniowie] byli żałośni (...). Pozbawieni wszelkiej motywacji. Nie rozumieją swojego świata. To po prostu roboty postępujące

wytoczonym torem, byle przeżyć. Bo rzeczywiście znajdujemy się tutaj na poziomie przetrwania (...) bez sztuk pięknych i kreatywności. Bez żadnej pasji. Tylko powolna, monotonna egzystencja i przytłaczająca ignorancja. Spytałem, czy wiedzą, co znaczy słowo «uświęcony». Nie wiedzieli. Na listach rzeczy dla nich cennych umieszczali pieniądze, nowe samochody i telefony. Jeden uczeń z pięćdziesięciu rozumiał jako tako pojęcie świętości. Ten chłopiec powiedział: «Życie». To jedno dziecko w całej klasie było na właściwym tropie, dalekim od zachłanności jako czynnika motywującego, i dzięki Bogu za to dziecko (...). Odczułem tę sytuację jako wyzwanie i energicznie zabrałem się do nich, starając się ich ocucić i zmusić do myślenia, ale mam wrażenie, że niewiele osiągnąłem. Mamy więc lata dziewięćdziesiąte, w których dzieci są coraz mniej istotami ludzkimi”.

Zaledwie dwa lata od założenia Żółtwej Wyspy Eustace zaczął się wypalać. W lipcu 1991 roku zapisał w swoim dzienniku: „Uświadomiłem sobie, że bardzo potrzebuję czasu spędzonego w samotności. Nie chcę towarzystwa ludzi. Napór przebywających na Żółtwej Wyspie ludzi wykańcza mnie. Zabierają mój czas i pochłaniają moje życie (...). To biuro - wszyscy chcą tam przesiadywać, a ja nie mogę niczego dokończyć. Wczoraj, kiedy próbowałem podciągnąć papierkową robotę, przyszli Valarie, Ayal i Jenny i wdali się w dyskusję. Cóż za naruszenie mojej prywatnej przestrzeni! Wieczorem ktoś wyłączył automatyczną sekretarkę i nie zapisywała rozmów... po tym jak spędziłem 200 godzin na pracy przy telefonie. Dziś rano dla uspokojenia chciałem wziąć zimną kąpiel w strumieniu, ale ktoś zabrał mój kubeł z jego stałego miejsca na brzegu. Na podwórzu znalazłem gnijącą skarpetkę

(...). Owce zostawiono dzisiaj w zagrodzie (nie ja za nie odpowiadam). Wypuściłem je i myślałem o dniu, który spędziłem na budowaniu tej zagrody, a teraz nikt nie ma ochoty zająć się owcami.

Co mam robić? Muszę wymyślić sposób, by poradzić sobie ze sobą i swoją posiadłością, żeby nie było to tak emocjonalnie wycieńczające. Korci mnie, by zrezygnować z wszystkich działań, jakie tu prowadzimy. To by rozwiązało problem, ale nie byłoby dobre dla obozu i nie służyło celom ośrodka (...). Co jest ważne? Stawką są tutaj granice (osobiste). Czy powinienem zadowalać innych czy siebie? Ciężko pracowałem, żeby uczynić to miejsce tym, czym jest. A co oni zrobili? Czy oni zainwestowali cokolwiek w coś, co stanowi wyzwanie? Jak mam ich znosić? Czy w ogóle powinienem? Przekazy pieniężne to sposób, w jaki ludzie mogą pomóc (...) mogą dać mi to, czego potrzebuję (...). To szokujące, jak wszystko niekorzystnie się na mnie odbija. Wstałem po przygnębiającej sześciogodzinnej drzemce w środku dnia (...). Co robić? Pomysły - przekazać odpowiedzialność - uświadomić wszystkim moje potrzeby i zobowiązać ich do trzymania się ode mnie z daleka. Pewnie mogłoby nawet mnie tutaj nie być. To jest jakiś pomysł. Wyobraźcie to sobie. Mieć do czynienia z tyloma ludźmi... Cóż, powodzenia, Eustacie”.

Rok później Eustace poczuł się skrajnym pechowcem. Zbyt przemęczony i rozczarowany, nie miał nawet ochoty się skarżyć w swoim dzienniku. Przez cały rok dokonał tylko jednego ponurego wpisu: „Inspiracją do tej notatki jest głębokie niezadowolenie z rzeczywistości naszych czasów - korupcji rządu - nieautentycznych ludzi - chorych wartości i nieświadomych ludzi, wiodących bezsensowne życie”.

A na następnej stronie, napisana dokładnie dwanaście miesięcy później, taka notatka: „Ditto, może to się pisze diddo, nieważne, to samo co w zapisie z zeszłego roku. Tyle że gorzej. Może bardziej cynicznie”.

Najgorsze ze wszystkiego było to, że tracił Valarie.

Pochłonięty interesami i nieustannie w drodze, rzadko spędzał czas ze swoją dziewczyną. Ona również ciężko pracowała, nie przestając go kochać, ale nurtowało ją uczucie, że się w nim zatraciła.

„Wciąż Kocham tego mężczyznę - powiedziała mi, patrząc na ten związek z perspektywy piętnastu lat. - Do dziś zachowuję każdy jego podarunek, poczynając od pochwy na nóż, którą ozdobił dla mnie paciorkami, przez toporek, którego zawsze używałam na Żółtwej Wyspie, do pary pięknych kolczyków. Gdybym umarła jutro, chciałabym, by mnie w nich pochowano. Uwielbiałam się od niego uczyć. Uwielbiałam dostawać własnoręcznie wykonane przez niego prezenty urodzinowe. Powiedziałam mu kiedyś, że chciałabym mieć własną fajkę na ceremonie i modlitwy, i kiedy pewnego dnia wróciłam do domu, znalazłam na kuchennym blacie piękny kawałek steatytu. «Co to takiego?», spytałam. «To twoja fajka, Valarie», odpowiedział. «Nie rozumiem» - powiedziałam. - «Gdzie ona jest?» A on uśmiechnął się w ten swój cudowny sposób i powiedział: «Jest wewnątrz tego kamienia, skarbie. Musimy ją tylko razem stamtąd wydobyć».

Kochałam go, ale moja tożsamość rozplynęła się w jego tożsamości, bo on był taki przytłaczający i potężny. Miałam własne życie, zanim go poznałam, ale szybko stałam się osobą podległą, a mój świat zaczął krążyć wokół jego świata. On był i jest osobą kochającą, ale nietolerancyjną. Nigdy nie interesowała go opinia

innych. Miał obsesję na punkcie zarabiania pieniędzy, kupowania ziemi, sukcesu. I zawsze był w drodze. Doszło do tego, że w ogóle go nie widywałam. Rozmawialiśmy wyłącznie wtedy, kiedy wydawał mi polecenia”.

Valarie i Eustace mieli wspólnego bliskiego przyjaciela, Indianina o imieniu Henry, który często jeździł z nimi na spotkania *powwow* i który uczył na Żółtwej Wyspie. Po kilku latach samotności i niezadowolenia, coraz bardziej czując, że jest jedynie „pierwszą damą Żółtwej Wyspy”, Valarie miała romans z Henrym. Ukryła to przed Eustace'em i zaprzeczała, by kiedykolwiek do tego doszło, nawet, kiedy ogarnięty podejrzeniem, spytał ją o to wprost. Eustace, wiedząc, że coś jest nie tak, zabrał Henry'ego na prywatną ceremonię palenia fajki i spytał prosto z mostu, czy spał z Valarie. Najświętszą zasadą Indian jest nie kłamać podczas palenia fajki, ale Henry bez mrugnienia okiem wszystkiemu zaprzeczył.

Eustace przeżywał katusze. W głębi serca wiedział, że coś jest nie w porządku, że nie zna wszystkich faktów. Zdruzgotany zerwał z Valarie, bo czuł, że nie może jej ufać. Kilka miesięcy po rozstaniu Valarie wróciła, wyznała prawdę i błagała o przebaczenie.

Nie można jednak okłamać Eustace'a Conwaya, a potem dostać drugiej szansy. Był zbyt wstrząśnięty, by choćby rozważać przyjęcie jej z powrotem lub wznieść się ponad poczucie krzywdy. Zdruzgotła go świadomość, że nie mógł polegać na tym najbardziej intymnym ze wszystkich związków. A po bólu zadany mu przez ojca obiecał sobie, że pozbędzie się ze swojego życia każdego, kto z premedytacją go skrzywdzi albo zdradzi. Musiała odejść. Eustace rozmyślał i dręczył się przez ponad rok tym, czy mógłby

jej powtórnie zaufać, i ostatecznie uznał, że nie zdoła jej wybaczyć.

„Prawda jest dla mnie święta - napisał do Valarie, wyjaśniając, dlaczego nie mogą już być razem. - Ona jest mną. Zgodnie z nią żyję. I umieram. Prosiłem Cię o prawdę. Powiedziałem, że zawsze powinnaś mi mówić prawdę... że nie obchodzi mnie, jak bardzo będzie bolesna. Błagałem o prawdę... Masz gdzieś mnie i naszą prawdę. Co to mówi o Twojej zdolności zaspokajania moich potrzeb? Idź do diabła. Niech to szlag! Dość już... Ile obelg mam jeszcze znieść? Doświadczyłem już okrucieństwa mojego ojca... potrzebowałem Twojego wsparcia... a wbiłaś mi nóż w plecy. Tak bardzo Cię kocham. Jesteś bezcenna. Mógłbym Cię obejmować i bez końca gładzić po głowie, ale moje prawdomówne ja oświadczyło: Dość tego!”

A co z przyjacielem, Henrym?

„Palłeś ze mną fajkę, kiedy przyszedłem w potrzebie i modliłem się, i prosiłem o prawdę. I kłamałeś jak skurwiol. Powinieneś umrzeć. Złam fajkę na pół i wbij sobie cybuch w serce, a wtedy poczujesz odrobinę mojego bólu. Teraz kobieta, którą chciałem poślubić, jest dziwką. Nie zasługujesz na miano istoty ludzkiej. Pieprz się i giń”.

„Widzę i rozumiem - napisała Valarie do Eustace'a wiele miesięcy po rozstaniu - że starasz się unikać wszelkiej odpowiedzialności za rozpad i ostateczną porażkę naszego związku, ponieważ oznaczałoby to przyznanie, że być może, może jednak Ty również przyczyniłeś się do tego bólu, jaki jest Twoim i moim udziałem. Przyznanie to mogłoby Cię zmusić do dokładnego przyjrzenia się sobie, a jak oboje wiemy, nie masz czasu, chęci ani nawet, wybaczyć otwartość, pokory, by to rozważyć. Wierz mi, nie próbuję wypierać się odpowiedzialności za to, co zrobiłam, próbuję jedynie

pomóc Ci ujrzeć cały obraz. I owszem, łatwiej jest obarczyć całą winą za swoje cierpienie kogoś innego: «Moja rodzina mnie takim uczyniła», «Rząd rozwała całą planetę» czy «Valarie złamała mi serce»... Zrywasz ze mną, bo jak powiedziałeś, «mam gdzieś Twoje serce», a to, że nie możesz złamać danej samemu sobie obietnicy, by nie przyjmować niczego poza prawdą, wspaniale brzmi w Twoich uszach, jestem tego pewna... Jednak jeśli miłość jest prawdziwa, to przetrzyma wszystko, wszystko wybaczy, a nawet wszystko przeżyje... W tym procesie przechodzenia przez bolesne doświadczenie mogłeś zyskać kobietę, która uświadomiła sobie, jak kochać i być kochaną, kobietę, która Cię rozumiała, kochała i w Ciebie wierzyła, wspierała Cię i zrezygnowała ze wszystkiego, by stać się częścią Twojego marzenia. Czy nie zdajesz sobie sprawy z tego, że odrzucasz najwspanialszy dar? Kobietę, która widzi Twoje ułomności, wady, przejawy psychicznego okrucieństwa i owszem, nawet Twoją dziwaczność i wciąż mimo wszystko Cię kocha. **TY CHOLERNY GŁUPI ZAROZUMIAŁY DUPKU**”.

To był okropny rok.

Ale lata mijają. I rany się goją. Wkrótce po odejściu Valarie pojawiła się Mandy. „Cześć, Śliczna - napisał Eustace do swojej nowej miłości. - Dobrze, że mogę Cię lepiej poznać... masz tyle do zaferowania. Kiedy będziesz mogła otworzyć się na ten świat, odczujemy to jak błogosławieństwo. Doznaję zawrotu głowy, kiedy Cię poznaję, kiedy się z Tobą spotykam. Naprawdę czuję, że przeznaczone nam było zetknąć się ze sobą (...). Kiedy jestem z Tobą, czuję się młody i niewinny. Mógłbym uśmiechać się do Twoich oczu bez końca”.

Mandy odeszła i zastąpiła ją Marcia. „Jestem w euforii po spotkaniu Marcii. Jest dla mnie błogosławieństwem... inspiracją i świeżą nadzieją. Modłę się do Boga o wskazówki we wszystkim, co robię”.

Następna była Dale. „Taka dobra, taka pomocna ona również dzieli ze mną moją wizję”.

Przyszła kolej na Jenny. „Piękna dziewczyna z czarnymi włosami, w długiej białej, lnianej sukience (...) co stanie się z Tobą, ze mną, z pragnieniami, z marzeniami?”

Potem była Amy. „Piękne długie włosy, niewinny, promienny uśmiech, spotkałem ją, kiedy prowadziłem warsztaty na jej uczelni, a ona była taka piękna, że z trudem tylko mogłem się skoncentrować na tym, co mówię. Wpatrywałem się w nią bez przerwy, a potem po zajęciach, podszedłem do niej i spytałem: «Czy mogę spędzić z tobą trochę czasu?»,,

Eustace spędził z Amy całkiem dużo czasu. Była absolwentką nauk przyrodniczych, błyskotliwą i poważną; okazała się bardzo pomocna. Spędził z nią tydzień w należącym do jej rodziny domu na Cape May w New Jersey i napisał w swoim dzienniku:

„Nie wychodziliśmy z domu przez cały tydzień mojego tam pobytu. Zakopaliśmy się w papierkowej robocie dotyczącej Żółwiej Wyspy; Amy pisała na komputerze i drukowała to, co napisała, do późniejszego skserowania albo do wysłania, zależnie od tego, co należało z tym zrobić (...), broszury o letnim obozie, formularze zgłoszeń, formularze dotyczące informacji medycznej i formularze z materiałami do publikacji, listy zawartości apteczek, karty z planem postępowania w sytuacji awaryjnej i mapy z usytuowaniem szpitali (...), list do Cabella Gragga, by zachęcić go do sprzedania mi ziemi w 1994 roku, list do personelu Żółwiej Wyspy

z podziękowaniami i wyrazami zachęty, lista całego personelu, nazwiska i numery telefonów do mojego kalendarza, reklamy warsztatów wiosennych, dla obozowiczów lista rzeczy, jakie mają zabrać i jakich nie zabierać (skorygowana), razem z planem sytuacyjnym przydatnym po przyjeździe (...), potwierdzenia umów i jeszcze więcej (...). Nieźle. Amy jest świetna, jeśli chodzi o rezultat końcowy... odrobinę powolna, ale skończony przez nią produkt jest najwyższej jakości”.

Kiedy Amy już nie było, jej listy znalazły się w kopercie opisanej słowami: „Baśń z Amy unicestwiona wkroczeniem rzeczywistości... marzenia przeobrażone w lekcję. Warto było to przeżyć i czegoś się nauczyć”.

Była też Tonya, piękna i tajemnicza Aborygenka alpinistka. Eustace poleciał z nią na kilka miesięcy do Nowej Zelandii i Australii, gdzie wspięli się na każdą górę i na każdą nadbrzeżną skałę, którą znaleźli. Ona była oszałamiająca i mocna i Eustace naprawdę ją kochał, wierzył jednak, że jest w duszy Tonyi coś, co nie pozwala jej kochać go bez ograniczeń, a poza tym trudno mu było oddać jej całe swoje serce, mimo że bardzo tego chciał, z powodu świeżej pamięci o tej jedynej kobiecie, która prawie go zniszczyła namiętnością, pragnieniem i bólem.

To była Carla. Carla, piękna i tajemnicza appalaska piosenkarka folkowa, stała się ogromną miłością Eustace a Conwaya. Spotkał ją na festiwalu folkowym, na którym on mówił, a ona śpiewała. („Powinniście byli widzieć tę dziewczynę na estradzie, jak gra na gitarze, z długimi włosami i w minispódniczce, tańczy, kręcąc biodrami, aż miało się ochotę zmieść cały świat, taka była podniecająca”. Eustace wiał i tajał, i zapalał miłością do Carli i do dzisiaj uważa, że z wszystkich poznanych kobiet ta była najbliższa ideału.

„Była niesamowita. Piękna, współczesna appalaska kobieta, córka prawdziwego górnika z Kentucky, posiadająca umiejętności przekazywane przez cztery pokolenia ludzi, których w mojej kulturze najbardziej podziwiam. Była dla mnie niczym bogini. Muzykowała, pisała, tańczyła, była najlepszą kucharką, jaką znałem... była nieokiełznana i wolna, odważna, błyskotliwa, pewna siebie, miała niewiarygodne, giętkie, umięśnione, opalone ciało. Pracowała przy koniach, umiała zagrać na każdym instrumencie, potrafiła upiec placek na otwartym ogniu, przyrządzać lekarstwa z ziół, robić mydło, szlachtować bydło, chciała mieć dużo dzieci... była najbardziej umiejętną i szczodłą, i nienasyconą kochanką, jaką kiedykolwiek znałem. Boże, mógłbym to ciągnąć bez końca! Była prawdziwym dzieckiem natury i nosiła seksowne bawełniane, staromodne sukienki w kratkę i tańczyła w lasach jak młody jelenek. I była tak utalentowana, że mógłbym rzucić wszystko, by pomóc jej robić karierę muzyczną. I była o wiele bystrzejsza ode mnie! Potrafiła też szyć i rysować! I nie robiła błędów ortograficznych! Potrafiła robić wszystko! Ta kobieta była marzeniem, przekraczającym nawet moje możliwości marzeń, a ja jestem cholernie dobrym marzycielem!”

Niemal natychmiast Eustace poprosił Carie o rękę. A ona roześmiała się, odrzuciła do tyłu głowę i oświadczyła: „Cała przyjemność będzie po mojej stronie”.

Więc się zaręczyli i Carla zamieszkała na Żółtwej Wyspie. Teraz, z perspektywy czasu, Carla mówi, że już na samym początku zaistniały poważne problemy. „Najpierw czułam w nim bratnią duszę. Jednak już po sześciu tygodniach związku dostrzegłam w nim cechy, które mnie przerażyły. Pochodzę ze staroświeckiego i

surowego patriarchalnego appalaskiego środowiska, więc byłam czuła na pewne związane z płcią role odgrywane przez niego. Pod pewnymi względami, jeśli chodzi o kobiety, miał prawdziwie egalitarne poglądy, jednak za każdym razem, kiedy się na mnie wściekał, bo nie postawiłam obiadu na stole o dokładnie wyznaczonej porze, naprawdę odczuwałam zdenerwowanie.

Poza tym moja rodzina go nie znosiła. Uważali, że jest nie-szczery, że jest mistrzem oszustwa. Byli zaniepokojeni władzą, jaką nade mną miał. Dopiero co się poznaliśmy, a on przyjechał do mojego rodzinnego domu, zjadł szybki obiad z moimi rodzicami, zapakował moje rzeczy i zabrał mnie ze sobą. Jesteśmy bardzo zżytą rodziną, więc odczuli to, jakby mnie ukraść. Eustace uważał, że rodzina nastawia mnie przeciwko niemu, więc starał się, żebym nie miała z nią kontaktu. Cóż, kiedy ojciec i bracia to sobie uświadomili, mało brakowało, a załadowaliby strzelby na pick-upa i ruszyli, żeby mnie zabrać”.

Nie minęło wiele czasu, nim Carla, wolny duch światowego formatu, zaczęła się powoli odsuwać. Wkrótce zaangażowała się w związek z kimś innym. Eustace odkrył to w przedziwny sposób. Któregoś miesiąca otrzymał ogromny rachunek za telefon... setki dolarów za rozmowy z jego biura w środku nocy, wszystkie połączenia z tym samym numerem. Zaciekawiony zadzwonił pod ten numer, a kiedy jakiś mężczyzna odebrał telefon, wyjaśnił swoją sytuację. Potem nagle go olśniło.

- Nie zna pan przypadkiem kogoś o imieniu Carla? -zapytał.
- Jasne, że znam - odparł gość. - To moja dziewczyna.
- Coś takiego - powiedział Eustace. - A ja sobie myślałem, że to moja narzeczona.

Carla najwyraźniej wymykała się co noc z tipi i biegła do biura, by zadzwonić do swojego seksownego bandzysty, z którym miała romans. Kolejna zdrada. Nie było to, jak mówi tekst starej kowbojskiej piosenki, pierwsze rodeo Eustace'a Conwaya. A jak wiemy, nie był on osobą, która potrafi żyć z kimś, kto jest kłamcą i oszustem. Carla musiała odejść. Najwspanialszy romans dobiegł końca.

Eustace był znękanym. Pokiereszowanym. Z d r u z g o t a n y .

W grudniu 1993 roku napisał w dzienniku: „Walczę z depresją, rozczaleniem i bólem. To naprawdę boli, ten związek z Carla, to odrzucenie, ta niemożność «dojścia do ładu». Nigdy tak bardzo się nie starałem... włożyłem w to wszystko, co miałem. Nigdy przedtem mnie tak nie bolało”.

Miał trzydzieści dwa lata i rozejrzawszy się wokół, stwierdził nagle z przerażeniem, że choć tak wiele osiągnął samą siłą woli, to wciąż nie ma żony i dzieci. W tym momencie powinien mieć już rodzinę. Gdzie jest ta piękna kobieta o długich, falujących włosach, w bawełnianej sukience, smażąca mu naleśniki w pierwszych promieniach świtu? Gdzie są te żwawe i krzepkie maluchy, bawiące się na podłodze chaty, które łagodny ojciec uczy, jak obrabiać drewno orzesznika? W którym miejscu popełnił błąd? Dlaczego nie potrafił zatrzymać kobiet, w których się zakochiwał? Zawsze wyglądały na zgnębione albo przytłoczone przez niego. A on nie czuł, żeby go rozumiały i wspierały. Może wybierał niewłaściwe osoby. Może nie umiał utrzymać uczucia bliskości, ale za bardzo bał się zranienia, by pozwolić związkowi podążać własnymi meandrami. Może powinien spróbować innego podejścia. Zaczynało stawać się oczywiste, że nie radzi sobie w sprawach miłości i wszystkie jego związki kończą się tak samo.

Pewnego dnia zaprosił na spacer po Żółtwej Wyspie znajomą, która była psychologiem. Zabrał ją do lasu i powiedział o swojej obawie, że ma kłopoty emocjonalne, ponieważ wszelkie więzi łączące go z ludźmi są takie nietrwałe. Ludzie, z którymi pracował na Żółtwej Wyspie, zawsze się na niego gniewali albo zupełnie go nie rozumieli, nie był też w tak bliskich stosunkach z braćmi, jak by sobie tego życzył, i zawsze odpędzał kobiety i nie potrafił ufać. Opowiedział o swoim dzieciństwie i wyznał, że wciąż bolą go te wspomnienia związane z ojcem, i zastanawia się, czy to wszystko jakoś się ze sobą łączy.

- Potrzebna mi rada specjalisty - oświadczył.

- Wszystko, czego potrzeba ci do szczęścia, jest tutaj, w lesie - odpowiedziała mu pani psycholog. - Współczesna psychologia nie jest dla ciebie. Jesteś najzdrowszą osobą, jaką znam.

Ojej, ależ ci ludzie potrafią stworzyć sobie wizerunek Eustace'a Conwaya, po czym za nic nie chcą go zmienić. Ta kobieta musiała być pod takim wrażeniem wyidealizowanej przez Thoreau wizji życia w leśnej głuszy („W najczarniejszą melancholię nie popadnie ten, kto żyje pośród Natury, albowiem znajduje w niej spokój dla swoich zmysłów”*), że nie chciała nawet przyjrzeć się bliżej komuś, kto nie był jakąś tam koncepcją, ale żywym i przytłoczonym doświadczeniami człowiekiem. Może zbyt dużo by ją kosztowała rezygnacja z jej własnego wizerunku Eustace'a. Trudno ją winić; nie byłaby pierwszą kobietą, która odrzuca rzeczywistość, byle tylko zachować taki nieskażony obraz tego pogańskiego dzikusa w swoim sercu, jaki zobaczyła za pierwszym razem.

* Cytat za David Henry Thoreau, op, cit., s. 149.

Nieprzekonany i wciąż nie mogąc otrząsnąć się z przygnębienia, Eustace raz jeszcze zwrócił się do ojca.

„Jestem psychicznie chory - napisał - rozbity latami przytłaczających okoliczności. Jestem poraniony. Cierpię. Budzę się codziennie i odczuwam spowodowany tym wszystkim ból. Pokaż ten list psychologowi i zobacz, czy nie miałby dla mnie jakichś rad. Proszę, uwierz, że jestem Ci szczerze wdzięczny za pomoc okazowaną mi przy zarządzaniu pieniędzmi. Naprawdę, jestem b a r d z o wdzięczny. Mam nadzieję, że moje emocjonalne prawdy nie zostaną odebrane jako «atak», tylko jako pożywka dla rozwoju i zrozumienia. Moim celem są zdrowe relacje, a nie jeszcze gorsze. Z wyrazami szacunku, Eustace”.

I znowu żadnej odpowiedzi.

Znam dobrze rodziców Eustace'a. Wielokrotnie gościłam w ich domu i jadłam z nimi kolację. Jak wszyscy inni, nazywam panią Conway Dużą Mamą, jak wszyscy inni, przepadam za nią. Podoba mi się jej wielkoduszność i opowieści o czasach, kiedy mieszkała na Alasce. Miło mi, kiedy pojawia się na jej progu, a ona mnie ściska i mówi: „Jest nasza dziewczynka z gór!”

I muszę przyznać, że lubię towarzystwo ojca Eustace'a Conwaya. Lubię jego inteligencję i dowcip i stwierdzam, że jest bezgranicznie dociekliwy, w ten sam dziwny i precyzyjny sposób jak jego syn; chce wiedzieć dokładnie, ile godzin zajęła mi jazda samochodem z Boone do Gastonii, a kiedy mu to powiem, natychmiast oblicza (poprawnie), że musiałam zrobić sobie czterdziestopięciominutową przerwę na posiłek, w przeciwnym bowiem razie zjawiłabym się wcześniej. Jest dokładny. Jako „istota doskonale logiczna” nie ustąpi ani o cal i dlatego dobrze rozumiem,

że chwilami życie z nim może być nieznośne. W jego rozmowach z żoną pojawiają się takie zdumiewające wymiany zdań:

PANI CONWAY: Istnieje pewna szansa, że Judson nas jutro odwiedzi.

PAN CONWAY: Dlaczego tak mówisz? Przecież nie masz pojęcia, czy tak będzie. Zadzwonił i powiedział, że przyjedzie?

PANI CONWAY: Nie, ale zostawiłam mu wiadomość na sekretarce, że go zapraszamy.

PAN CONWAY: I dlatego właśnie mnie intryguje, czemu mówisz, że istnieje pewna szansa na jego wizytę. Dokładnie jaki to według ciebie jest procent szansy, skoro nasz syn w ogóle się nie odezwał? Mówienie, że jest „pewna szansa” jest niepoprawne i wprowadza w błąd.

PANI CONWAY: Przepraszam.

PAN CONWAY: Szkoda, że nikt w tym domu mnie nie słucha. Możecie więc to sobie wyobrazić.

Mimo to potrafię z nim rozmawiać. Kiedy odwiedzam Conwayów, często rozmawiam z Dużym Eustace'em na temat książek o Czarnoksiężniku z Krainy Oz, cudownej serii baśni, które L. Frank Baum napisał na przełomie dziewiętnastego i dwudziestego wieku. Duży Eustace i ja wychowaliśmy się chyba, czytając te same piękne wydania w twardych okładkach. (W dzieciństwie pan Conway dostawał jedną książkę rocznie jako bożonarodzeniowy prezent, ja natomiast odziedziczyłam cały starutki komplet po babce). Większość ludzi nie wie, że pierwotna opowieść o Dorocie Gale miała ciąg dalszy, więc Duży Eustace był zachwycony, kiedy odkrył, że znam również te inne opowieści i że potrafię sobie

przypomnieć każdą z kunsztownych ilustracji w stylu art déco i rozmawiać o najmniej ważnych postaciach. Tiktak, Kura Billina, Głodny Tygrys, Król Gnomów, Kolarze, Polichromia (córka tęczy)... znam je wszystkie, on również, i godzinami możemy o tym rozprawiać.

Kiedy indziej zabiera mnie przed dom i uczy o ptakach z Karoliny Północnej. I zdarzyło się kiedyś, że wyszliśmy o północy, żeby popatrzeć na gwiazdy.

- Widziałaś ostatnio Marsa? - spytał pan Conway.

Przyznałam, że nie, więc mi go wskazał. Powiedział, że lubi wychodzić co noc, żeby obserwować orbitę tej planety i sprawdzać, jak bardzo zbliża się ona do Saturna. - Od trzech miesięcy każdego dnia są bliżej i bliżej siebie - powiedział. - W końcu trzeba pamiętać, że słowo „planeta” znaczy „wędrowiec”.

Zatem czasami rozmawiamy o książkach, o operze, a kiedy indziej o konstelacjach. Na ogół jednak rozmawiamy o jego najstarszym synu. Duży Eustace zawsze chce wiedzieć, jak Mały Eustace radzi sobie tam w górach, na Żółtwej Wyspie. Kim są jego praktykanci? Czy planuje jakieś większe wyprawy? Czy postawił jakieś nowe budynki? Jak wygląda ta zdradliwa górską drogą? Czy Eustace robi wrażenie przepracowanego albo przygnębitego?

Staram się go informować. I kiedyś - ponieważ nie potrafię trzymać się z daleka od tych najbardziej pomijanych milczeniem aspektów prywatnego życia innych ludzi - powiedziałam:

- Radzi sobie dobrze, proszę pana, myślę jednak, że wręcz szalenie zależy mu na pańskiej aprobacie.

- To nonsens - rzucił.

- Nie, to nie jest nonsens. To prawda.

- On w ogóle ze mną nie rozmawia - odparł - więc nie mam

pojęcia, co się z nim dzieje. Najwyraźniej niczego ode mnie nie potrzebuje.

Rzeczywiście, tych dwóch Eustace'ów rzadko ze sobą rozmawia, a jeszcze rzadziej się widuje. Bożonarodzeniowe spotkanie wystarcza im na cały rok, a Mały Eustace nie zniósłby noclegu w domu rodziców, tak bardzo nie lubi być w pobliżu ojca. Niemniej pewnego wiosennego wieczoru w 2000 roku Eustace przyjechał do domu w Gastonii, by tam przenocować. Było to dziwne, prawie szokujące, że mógł się pojawić w domu rodziców, w połowie maja, kiedy nie zbliżało się żadne wielkie rodzinne święto. Eustace miał po prostu do sprawdzenia w okolicach Gastonii partię drewna, pomyślał więc sobie, że wpadnie na kolację. Pojechałam z nim.

Zajechaliśmy przed dom, ten dom, w którym Eustace spędził najgorsze lata swojego życia, i zobaczyliśmy jego ojca stojącego na zewnątrz, grzebiącego w starej kosiarce, małej, wymagającej popychania, zużytej i pordezwiątej. Eustace wysiadł z pick-upa i uśmiechnął się.

- Co tam masz, tato? - zapytał.

- Doskonałą kosiarkę, którą wczoraj, jadąc na rowerze, uważyłem w czyichś śmieciach.

- Coś takiego! Ktoś ją wyrzucił?

- Niedorzeczne, prawda? Jest w doskonałym stanie.

- Wygląda całkiem ładnie, tato. Naprawdę ładnie.

W rzeczywistości kosiarka wyglądała, jakby wyciągnięto ją z dna stawu.

- A jest na chodzie? - zapytał Eustace.

- Oczywiście, że jest na chodzie.

- No to naprawdę świetnie.

Nigdy wcześniej nie widziałam Eustace'a Conwaya razem z ojcem. Po tylu latach znajomości z rodziną Conwayów pierwszy

raz byłam świadkiem ich bezpośredniego spotkania. Nie jestem pewna, czego się spodziewałam, w każdym razie nie tego... nie Eustace'a ze swobodnym uśmiechem opartego o samochód, podziwiającego wyciągniętą ze śmietnika kosiarkę. I nie tego promieniającego ojca, z zadowoloną miną prezentującego swoje najnowsze znalezisko.

- Możesz zobaczyć, synu, że tu, na tym pałaku, było pęknięcie, ale nadspawałem na nim kawałek metalu i już można jej używać.

- Świetnie.

- Przydałaby ci się na Żółtwej Wyspie?

- Powiem ci tak, tato. Mógłbym ją wykorzystać. Mógłbym wymontować z niej silnik i użyć do czegoś innego albo rozebrać ją całą i wykorzystać części, albo sam mógłbym używać jej do koszenia lub podarować ją komuś z moich sąsiadów. Byłoby wspaniale. Bardzo chętnie bym ją zabrał. Zawsze znajdę jakiś użytek dla różnych rzeczy, przecież wiesz.

Po chwili ojciec i syn, obaj uśmiechnięci, ładowali kosiarkę na skrzynię pick-upa.

Boże, jaka to kolacja była tego wieczoru w Gastonii! Przez cały wieczór ojciec z synem zabawiali się wzajemnie rozmową. Nie zauważali innych. Nigdy wcześniej nie widziałam tak ożywionego pana Conwaya; Eustace też był w dobrej formie. Mogę przysiąc, że szpanowali tak przede mną. Prześcigali się w uprzejmościach. A dla mnie bardziej bolesne było obserwowanie, jak każdy z tych dwóch mężczyzn pragnie aprobaty tego drugiego, niż gdybym patrzyła, jak się rzucają sobie do gardeł. Wydawało się, że już bardziej uparcie nie można szukać bliskości z drugim człowiekiem.

Zachęcali się do opowiadania ulubionych rodzinnych historyjek. Eustace namówił ojca, by opowiedział o tym, jak pojechał na pogotowie z rozciętą nogą i tak się zirytował, kiedy pielęgniarki nie zwracały na niego uwagi, że położył się podłozie i oświadczył, że się stamtąd nie ruszy, dopóki się nim nie zajmą. Potem pan Conway promieniał, kiedy Eustace opowiadał swoje przygody z appalaskiego szlaku, szczególnie zaś tę, kiedy był taki spragniony, że pił wodę z kałuży, w której leżał gnijący szop „z falującymi w wodzie sinymi pasmami rozkładającej się tkanki”. Pan Conway pokrzykiwał, wyobrażając sobie tę scenę.

- Nie sądzę, by ktoś inny odważył się na coś takiego! - zawołał.

Po kolacji Eustace z ojcem wyszli na dwór, żeby omówić stan pewnego ostrokrzewu, który, być może, wymaga przesadzenia. Był to charakterystyczny dla Południa balsamiczny wieczór i słońce stało tak nisko nad horyzontem, w otoczeniu pierzastych chmur, że wszędzie wokół w powietrzu unosiła się złocista mgiełka. Mężczyźni stali z rękoma w kieszeniach, rozmawiając o tym ostrokrzewie. Wtedy niespodziewanie rozległ się ptasi śpiew... długi i melodyjny. Niczym aktorzy kierowani przez jednego reżysera ojciec i syn w tym samym momencie spojrzeli górę.

- Co to? - spytał Eustace. - Czyżby przedrzeźniacz?

- No nie wiem...

I ptak znowu się odezwał.

- Hola - powiedział Eustace, stojąc bez ruchu.

- Nigdy nie słyszałem, żeby przedrzeźniacz tak śpiewał - oświadczył cicho pan Conway. - Może to jest przedrzeźniacz ciemny.

Ponownie rozbrzmiała ta sama melodia... słodka, przeciągła.

- To mi nie przypomina żadnego przedrzeźniacza ciemnego, jakiego słyszałem - stwierdził Eustace.

- Muszę przyznać, że mi też nie. Brzmi jak flet, prawda? Nie wiem, czy mógłby to być przedrzeźniacz. Przysiągłbym, że przedrzeźniacz ciemny, ale nigdy nie słyszałem, żeby śpiewał tak... harmonijnie.

- Tylko w lasach deszczowych słyszałem ptaki, które by tak śpiewały.

- Brzmi to niemal operowo - dodał ojciec.

Stali spokojnie obok siebie, z głowami odchylonymi do tyłu, patrząc w gęste listowie wybujałego derenia i magnolii. Ptak wyśpiewywał, jakby czytał nuty niczym sopran rozgrzewający się do koncertu, przebiegający gamę po gamie. Jaki pospolity ptak z Karoliny Północnej mógł wykonywać taką nadzwyczajną pieśń? Rozważyli możliwości. O tej porze roku, o tej godzinie, co to mogło być? Słuchając pieśni ptaka i wymieniając inteligentne uwagi, mężczyźni mieli na twarzach ten sam wyraz zachwytu i konsternacji.

- Widzisz go? - zapytał pan Conway.

- Wiesz, tato, wydaje mi się, że głos dochodzi zza rogu domu - wyszeptał Eustace.

- Tak, chyba masz rację.

- Pójdę tam, może go zobaczę i wtedy dojdę do tego, co to za ptak.

- Tak. Idź koniecznie!

Eustace zakradał się za róg ojcowskiego domu, a ptak nieprzerwanie ciągnął swoje trele. Pan Conway obserwował syna z prawdziwą przyjemnością. Na jego twarzy malowała się duma i zainteresowanie. Był to uroczy moment.

Musiałam zadać to pytanie:

- Jak pan sądzi, czy Eustace znajdzie tego ptaka?

Dotychczasowy wyraz twarzy pana Conwaya rozpląnął się, zastąpiony przez tę twardą i bardziej znaną minę... świadcząca o irytacji. Ta przemiana zajęła jedną chwilę, ale wyglądało to tak, jakby szpetna metalowa brama zatrzasnęła się, zakrywając jakąś ładną wystawę sklepową. Bardzo mało atrakcyjna forma zabezpieczenia. Najwyraźniej zapomniał o mojej obecności. Czy podsłuchiwałam? Czy obserwowałam, jak rozwija się ta scena? A teraz go prosiłam, by jakoś uprawomocnił swojego syna?

- Nie - oświadczył pan Conway stanowczo. - On nie znajdzie tego ptaka. Nie jest w tym dobry. Gdyby był tutaj jeden z jego braci, to by go znalazł. Ci chłopcy mają talent, jeśli chodzi o ptaki. Ale nie Eustace. Jest w takich sprawach beznadziejny.

Co powiedziawszy, pan Conway odszedł i zniknął we wnętrzu domu. Zamknął za sobą drzwi. Zrobił to w najpiękniejszej godzinie wieczoru. Oślupiałam. Czy jedno miłe słowo o synu sprawiłoby temu mężczyźnie ból? Po takim miłym wieczorze? Po całym tym czasie? Czy ustąpienie ten jeden jedyny raz w życiu o cholerny cał byłoby dla niego zabójcze?

Najwyraźniej tak.

Nie trzeba chyba mówić, że Eustace Conway wypatrzył tego ptaka. Oczywiście, że tak. Podkraść się blisko, ponieważ tak postanowił i ponieważ potrafi zrobić wszystko, co postanowi. Złapał go na śpiewie i ostatecznie potwierdził, że to przedrzeźniacz ciemny... ale z jakim głosem! Czy kiedykolwiek któryś z tych ptaków śpiewał równie pięknie? Eustace potwierdził ten fakt i rozemocjonowany pędem wybiegł zza rogu domu.

- Zobaczylem go, tato! - wrzasnął Mały Eustace do Dużego Eustace'a, ale było już za późno.

Rozglądał się przez chwilę wokół siebie.

Gdzie ojciec?

Odszedł.

Ale dlaczego?

Kto to, do diabła, może wiedzieć?

Eustace wybiegł z za rogu domu taki rozemocjonowany, bo chciał powiedzieć ojcu, co zobaczył i czego się dowiedział. Nie robił tego dla nikogo innego. Ale jego ojciec go nie wysłucha, nie będzie tego świadkiem. Eustace wziął głęboki wdech. Ochłonął. Po czym przywołał swój normalny głos najbardziej statecznego i znużonego nauczyciela na świecie.

I zamiast ojcu opowiedział wszystko mnie.

ROZDZIAŁ VII

Przed nim rozpościera się bezkresny kontynent,
a on popędza konia, jakby czas go gonił i
mogło mu braknąć przestrzeni dla jego starań.

Alexis de Tocqueville

Obecnie Eustace ma dziesięć koni. Przyznaje, że na takiej niewielkiej farmie jak ta jego posiadanie dziesięciu koni jest bezsensowne i dekadentkie, i całkowicie zbędne, nie potrafi jednak ich sobie odmówić, bo są takie piękne.

Cóż, miałam do czynienia z końmi. Dorastałam wśród ludzi, którzy wspaniale radzili sobie z tymi zwierzętami. Mój dziadek miał piękną stajnię, a ja sama pracowałam kiedyś na ranczu, którego właściciel bez najmniejszego wysiłku utrzymywał w ryzach siedemdziesiąt pięć wierzchowców, mimo to nie widziałam nikogo, kto miałby taki wrodzony dar obchodzenia się z końmi jak Eustace. Konie go słuchają. Pilnie. Kiedy idzie przez pastwisko, podnoszą znad trawy głowę, stoją nieruchomo, czekają na jakieś słowo... jak oddany harem, niczym grupa pełnych nadziei panien młodych.

Zadziwiający jest to, że Eustace nie dorastał wśród koni i pierwszego kupił dopiero dziesięć lat temu. Powstrzymywał się z tym tak długo, bo zwierzęta te są kapryśne i wymagają dużych przestrzeni oraz dużych pieniędzy. Kiedy żyjesz tym, co wyhodujesz lub upolujesz, łatwiej nakarmić ci siebie niż konia. On jednak wiedział, że kiedyś sprawi sobie konie. Była to część jego ogólnego

planu. Kupił staroświecka kosiarkę na wiele lat przedtem, zanim miał łąkę do koszenia lub konia, który mógłby tę kosiarkę ciągnąć.

Kiedy w końcu wykarczował dość drzew, by stworzyć sobie odpowiednie pastwisko, w górnych partiach Żółtwej Wyspy, pożyczyl od miejscowego farmera wielką starą perszerońską klacz i wykorzystywał ją pod siodło dla obozowiczów oraz do prac gospodarskich. Klacz była powolna i ociężała, ale nawet bliskość takiego statecznego stworzenia dodawała mu wigoru. Chciał czegoś więcej. Kupił więc sobie solidnego młodego konia pociągowego, klaczkę imieniem Bonnie, i przy niej uczył się odczytywać lęki i inteligencję tych zwierząt, w ułamku sekundy wydawał polecenia, których jest się pewnym. Znalazł też sobie dwóch nauczycieli... starego farmera, niejakiego Hoya Moretza, który wiedział wszystko o przyuczaniu zwierząt domowych w tradycyjny sposób, oraz młodego menonitę, Johnny'ego Ruhla, który według Eustace'a miał niezrównaną intuicję w podejściu do koni. Przeprowadzał do nich swojego konia na lekcje, a potem przyglądał się ich pracy ze zwierzętami i sam się uczył. Hoy i Johnny uważali, że Eustace jest idealnym uczniem... uważnym i bardzo pojętnym. Intuicyjnie rozumiał stare wiejskie powiedzonko o tym, jak to Bóg dał człowiekowi dwoje uszu i tylko jedno usta, żeby mógł się zamknąć i słuchać.

Eustace wykonał z Bonnie wiele przewozów i prac polowych, a ona wydawała się do tych zajęć idealna. Była wołem w końskim przebraniu, a on doceniał jej obecność. Pomysł wyruszenia konno na jakąś długą i daleką wędrowkę uważał za porywający. Siodłał więc często swoją wielką roboczą klacz i ruszał na kilka dni w góry, po to by mieć wyobrażenie o podróżowaniu z koniem jako

jedynym towarzyszem. Eustace był zachwycony, jednak Bonnie nie była zbudowana do takich przygód. Była zbyt wolna, zbyt ciężka. Wtedy Eustace zaczął marzyć o prawdziwym wierzchowcu. Chciał mieć smukły motocykl, a nie zwalisty buldożer. I tak, za poradą i przy aprobachie swoich nauczycieli, w 1994 roku kupił sobie czystej krwi morgana, wyścigowego wierzchowca o imieniu Chyży.

Chyży w pełni zasługiwał na swoje miano. Co więcej, trafił do Eustace'a już wyszkolony. Eustace musiał wyuczyć Bonnie, teraz Chyży uczył Eustace'a, który był pilnym i zdolnym uczniem i szybko dorównał Chyżemu. Mogli spędzać całe dni na dostosowywaniu się do siebie. Eustace zaczął wybierać się z nim na dłuższe wyprawy, na atlantyckie wybrzeże Karoliny Północnej. Tak jak się spodziewał, ogromną przyjemność sprawiało mu fizyczne wyzwanie, jakim było utrzymywanie wysokiego tempa jazdy po niepewnym terenie ze zwierzęciem jako towarzyszem i bez żadnej gwarancji bezpieczeństwa. Zaskoczył go natomiast niesamowity oddźwięk, jaki wywoływał u spotkanych po drodze Amerykanów, w których życiu na chwilę pojawił się na końskim grzbiecie. Było coś takiego w obecności i romantyzmie konia, co ludzi pociągało.

Ich reakcja była nadzwyczajna i powszechna. Pewnego razu, akurat w Nowy Rok, podążając na Chyżym w stronę wybrzeża, przejeżdżał przez zubożałą wiejską okolicę Karoliny Północnej. Mijał ponure, zapuszczone chałupy, przyczepy kempingowe i podwórka pełne zardzewiałych samochodów. Jego uwagę zwróciło jakieś zamieszanie za jedną rudera. Stuosobowy na oko tłum, wszyscy czarnoskórzy i wszyscy biedni, zebrał się na jakiejś ważnej rodzinnej uroczystości. W zimnym styczniowym powietrzu unosił się zapach smażonego na grillu mięsa. Cała ta skromna

posesja rozbrzmiewała radosnymi odgłosami świętowania. Na widok Eustace'a - tego podejrzanego wyglądającego, brodatego trapera, białego kolesia na koniu ze strzelbą leżącą w poprzek siodła - zaczęli śmiać się, klaskać i zapraszać do siebie. Ledwo się Eustace obejrzał, a już tkwił w samym środku wielkiego rodzinnego spotkania. Tak po prostu, w jednej chwili stał się członkiem rodziny. Obejmowali go, witali i wychwalali jak kuzyna. „Wszyscy cisnęli się wokół niego, wypyując o jazdę wierzchem. Zасыpywali go pytaniami. Chcieli wiedzieć wszystko o nim i o jego utopijnym przesłaniu, i o celu podróży. Nakarmili go tak, że mało nie pękł, nafaszerowali świetną szynką, plackami, jarmuzem i chlebem kukurydzianym i napoili piwem, a potem puścili w dalszą drogę, wysyłając za nim komitet pożegnalny - i ta grupa biegła, wykrzykując błogosławieństwa na drogę, aż powoli się przerzedziła i znikła.

Dla Eustace'a, który większą część życia spędził na wymyślaniu sposobów kruszenia murów, aby dostać się do wnętrza świadomości wszelkiego rodzaju Amerykanów, to przeżycie okazało się objawieniem. Było to spontaniczne i ogromnie satysfakcjonujące spotkanie i wiedział doskonale, że nigdy by do niego nie doszło, gdyby nie przyjechał na koniu. Eustace przewędrował całą Amerykę - pieszo, autostopem, w wagonach towarowych i samochodem - nic jednak nie pozwoliło mu tak zbliżyć się do własnego narodu jak obecność konia. To była właściwa odpowiedź.

Najwyraźniej przyszedł już czas na podróż przez kontynent.

Eustace chciał przejechać konno w poprzek Ameryki wraz ze swoim młodszym bratem. Judson byłby świetnym kompanem, wręcz wymarzonego towarzysza w takiej podróży. Poza tym Eustace

czuł, że jemu i Judsonowi, jako braciom, potrzebne jest wspólne przeżycie czegoś wielkiego. Zauważył bowiem, że wciąż myśli o bracie jak o małym, delikatnym chłopczyku, kryjącym się w swoim pokoju z figurkami postaci z *Gwiazdnych wojen*, i chciał wymazać z pamięci ten obraz. Judson był myśliwym, jeźdźcem, doświadczonym podróżnikiem i pracującym kowbojem. Eustace chciał widzieć go w tych wszystkich rolach, doświadczając jednocześnie maratonu przygód, które na pewno zbliżyłyby ich do siebie jak równego z równym.

Nie trzeba chyba mówić, że Judson odniósł się entuzjastycznie do tego projektu. Czy chciał wyrwać się ze współczesnego społeczeństwa i przemierzyć konno Amerykę jak autentyczny, bohater-ski, hollywoodzki włóczęga prerii? Jeszcze jak! Był zachwycony projektem, łaknął „życia na krawędzi, z rozmachem”. Rzucił się skwapliwie na ten pomysł, oświadczając, że gotów jest wyruszyć w każdej chwili. Wystarczy tylko ustawić go przodem ku zachodowi i rzucić hasło... a potem patrzeć, jak wzbija chmurę kurzu.

Zatem postanowiono. Uzgodnili nawet dla siebie nazwę. Będą Konnymi Długodystansowcami. Eustace natychmiast zabrał się do organizowania wyprawy. Wyliczył, ile wierzchowców potrzebują, ile pieniędzy, zdecydował, jaka broń będzie najlepsza, określił mniej więcej czas trwania wyprawy. Zebrał mapy i anegdoty od innych pokonujących długie trasy konnych wędrowców, starając się przygotować na ewentualne niespodzianki. Oczywiście nie sposób przewidzieć, co ich po drodze spotka; należało przede wszystkim mądrze wytyczyć trasę, mieć dobre konie i ruszyć z rozpędem.

Eustace wybrał szlak południowy. Konni Długodystansowcy mieli wystartować z Jekyll Island u wybrzeży Georgii i pognać

na zachód, przemierzyć Alabamę, Missisipi, Luizjanę, Teksas, Nowy Meksyk, Arizonę i dotrzeć do Kalifornii. Plan Eustace'a zakładał omijanie wielkich miast, unikanie aresztowań i potracenia przez ciężarówki (matka kazała mu obiecać, że nie dopuści, by ktoś zabił małego Judsona)... i w zasadzie tylko tyle mógł rozsądnie zaplanować. Ważne było skupienie się na tempie. To nie miał być leniwy, służący kontemplacji spacererek. Chciał wycisnąć z siebie i brata, i koni wszystko, co się da, żeby sprawdzić, jak gładko uda się pokonać tak wiele mil, radząc sobie z tak trudnym wyzwaniem.

Po czym, całkiem niespodziewanie, znalazł się dodatkowy towarzysz.

Judson, w typowy dla siebie sposób, opowiadał entuzjastycznie o planowanej wyprawie i to, co mówił wpadło w ucho jego dobrej znajomej, Susan Klimkowski, rodowitej mieszkanki Karoliny Północnej, która pracowała z nim jeszcze na tamtym ranczu w Wyomingu. Ładna w nierzucający się w oczy sposób, wyjątkowo nieśmiała i zaskakująco twarda, dwudziestopięcioletnia Susan miała więcej doświadczenia w jeździe konnej niż Judson i Eustace razem wzięci. Była jedną z tych osób, które jeżdżą konno, zanim zaczną chodzić. Nie szukała emocji ani nie chciała szpanować, nie udawała też, że jest kimś szczególnym, po prostu kiedy usłyszała o wędrowce przez Amerykę, poczuła, że musi wziąć w tym udział.

Judson pracował z Susan w Górach Skalistych wystarczająco długo, by wiedzieć, że zniesie trudy takiej wyprawy, ale sam nie mógł podjąć decyzji. Kierowana instynktem oraz wielkim szacunkiem dla Eustace'a Conwaya Susan nie zadzwoniła do niego, tylko przyjechała konno do jego domu w górach, żeby omówić sprawę z wysokości siodła.

Zaprezentowała mu się tak, jakby miała natychmiast ruszyć na wyprawę, w pełnej gotowości, już spakowana, sprawna, oczekująca jedynie słowa „tak”.

Usłyszała je. Zrobiła na Eustasie wrażenie swoim zachowaniem i znajomością koni. Jeśli tylko potrafiła dotrzymać im kroku, mogła z nimi ruszyć. Dodatkową zaletą Susan było to, że dysponowała porządnym pick-upem i wspaniałą nową przyczepą dla koni, co bardzo mogło im się przydać. Eustace wiedział co prawda, że taka wyprawa jest możliwa bez wsparcia pojazdu mechanicznego, ale wiedział również, że choć cały czas poszerzają swoją wiedzę, to więcej już nie zdołają się nauczyć, a miejsce, w którym można bezpiecznie umieścić okaleczone konie i trzymać zapasowe koce, może zmniejszyć stres i zagrożenia. To ich niewątpliwie spowolni... Codziennie jedno z nich będzie musiało podjeżdżać przyczepą do przodu, po czym łapać okazję, żeby wrócić do pozostałych i wtedy dopiero będą ruszać konno w drogę. Dojadą razem do zaparkowanej przyczepy i następnego dnia powtórzą manewr. Spore obciążenie, ale warte zachodu.

Niech będzie. Zatem było ich troje. Troje ludzi, jeden pick-up i jedna przyczepa, a przed nimi cały kontynent. Wyruszyli w Boże Narodzenie 1995 roku. Mieli na głowach czapki Świętego Mikołaja, byli roześmiani, naładowani energią i zapałem. Zanim ruszyli, znaleźli na poboczu drogi zapieczętowaną butelkę rumu Bacardi. „Błogosławieństwo od Boga, dar od natury”, oświadczył Eustace, po czym na chybicka wypili trunek i rozpoczęli wędrówkę.

Eustace dosiadał Chyżego. Susan miała dwunastoletniego, spokojnego konia o imieniu Mac, rasy tennessee walker. Judson dosiadał na zmianę Ostrogę, uroczego araba maści srebrzystej,

którego kupił kiedyś na aukcji, i Wodza, kupionego specjalnie na tę wyprawę i nazwanego na cześć ich legendarnego dziadka, Wodza Johnsona.

„Biedny Wódz - powiedział Judson tego dnia, którego go kupili. - Przez całe życie pałętał się na pastwisku, nie mając pojęcia, w co wdepnie. Wkrótce się dowie, co to znaczy być koniem”.

Żadne z nich, ani konie, ani ludzie, nie miało jasnego obrazu tego, w co się pakują. („Nie wiedzieliśmy, co robimy - powiedział później Eustace. - Naprawdę”). Był zdecydowanie bardziej podminowany i nerwowy niż Susan i Judson, wciąż przekonani, że ta wyprawa będzie nieustanną zabawą. Eustace miał dość rozsądku, by martwić się tym, czy w ogóle uda im się ją przetrwać. Jednak niezależnie od tego, co miało się wydarzyć, był zdecydowany wszystko udokumentować. Zabrał ze sobą mały magnetofon kasetowy i osiemnaście kaset i przez całą drogę prowadził mówiony dziennik. Po części wynikało to z powolności procesu zapisywania. A ta jego uwieczniona na taśmach, równomierna gadanina, w stylu strumienia świadomości, jest rzeczywiście o wiele bardziej nastrojowa niż pisanina, bo zawiera w tle śpiew ptaków, odgłosy przejeżdżających samochodów i stukanie końskich kopyt.

„W jednej ręce trzymam magnetofon, a w drugiej wodze konia jucznego - mówi w drugim dniu podróży. - Widziałem drzewa pięknie obrośnięte oplątwą, dziewczynkę w jaskrawej kurtce na ogromnej starej sośnie, prasę do melasy, piece, palmy sabalowe. Droga jest tutaj zarzucona wszelkim śmieciem, papierowymi kubkami, kartonami po piwie, po papierosach, papierkami po słodyczkach, puszkami, butelkami, folią aluminiową. Zadziwiająco, że wszystkie śmiecie. Ale kawałek dalej jest pięknie. Podświetlone

drzewa, plantacje sosen. Swoista monokultura. Bardzo piaszczysta gleba. W tej chwili jestem tak wolny jak każdy inny mieszkaniec Ameryki. To takie satysfakcjonujące znaleźć się tutaj, z dala od obowiązków, chciałbym, by więcej ludzi żyło tak prosto”.

Dokumentował zatem swoje doświadczenia, ale tkwił w nim również etnograf. Bardzo chciał prowadzić rozmowy ze zwykłymi Amerykanami, których spotykał po drodze. W ostatnich latach myślał coraz więcej o zanikaniu regionalnych dialektów za sprawą przemożnego wpływu środków masowego przekazu. Był tego świadkiem w swojej dolinie, gdzie starzy mieszkańcy Appalachów zdawali się mówić językiem całkowicie innym niż język ich wnuków. Dziadkowie wciąż charakterystycznie przeciągali samogłoski i nazywali narzędzia i zwierzęta słowami, które wkrótce znikną, zważywszy na fakt, że wszyscy ich młodszy krewni zaczynają mówić jak nowojorscy didżeje. Eustace rozkoszuje się autentycznymi i charakterystycznymi dialektami i świetnie je naśladuje. Wiedział zatem, że to jego ostatnia szansa na uchwycenie tak szerokiej reprezentacji głosów z Południa Stanów, ponieważ Konni Długodystansowcy przejeżdżali czasem dosłownie po trawnikach różnych ludzi. Zawsze im na to pozwalano i dlatego jechali przez sam środek amerykańskiego życia... żadnych barier, żadnych granic, żadnych obwarowań. Zupełnie, jakby byli duchami i przenikali przez ściany. Mogli czuć zapach ludzi, mogli ich dotknąć, mogli do nich dotrzeć.

Eustace nagrał rozmowę ze starym mieszkańcem Georgii: „A jaką masz broń, chłopcze?”, pyta mężczyzna. „No cóż, proszę pana, tylko konne brony i pługi - wyjaśnia Eustace - bo mam około tysiąca akrów w Karolinie Północnej i można powiedzieć, że prowadzę tam proste i tradycyjne gospodarstwo, a jednocześnie

centrum edukacji o przyrodzie...”

Starszy pan przerwał mu. Nie, nie. Nie chodziło mu o broń; chciał wiedzieć, jaką ma broń. Można usłyszeć na taśmie długi śmiech Eustace'a, a potem jego uprzejme wyjaśnienie.

Przepadał też za głosami czarnoskórych mieszkańców Georgii, jak choćby tego starszego mężczyzny, bujającego się na werandzie, którego słyszymy na taśmie, kiedy wspomina dorastanie w rodzinie połownika:

„Mój tato idzie przez chałupę i mówi: «Wstawać, chłopaki». Nie mieli my światła. Najprzód mówi: «Wstawać, chłopaki!», drugą razą mówi: «Cosik mi się zdało, że kazałem wstawać»... Przecie wtedy dzieci nieźle obrywały i trza było wstać, bo powiem ci coś... mój tata to był chłop prawie trzysta funtów żywej wagi i kiedy on mówi: «Wstawać, chłopaki», to lepiej się zrywać”.

Nie było trudno sprowokować ludzi do mówienia. Pomocne było to, że trójka jeźdźców wyglądała tak romantycznie. Eustace, wysoki i szczupły, siedział w starym, należącym niegdyś do kawalerii Stanów Zjednoczonych siodle. Nosił brodę, często był rozebrany do pasa i miał pióra we włosach. Kierował wierzchowcem fachowo, bez używania choćby kielzna. Wyglądał jak dezerterski teksański rangers, jak niczym nieskrępowany najsławniejszy kawalerzysta wojny secesyjnej zwany w skrócie „Jeb”, który zgubił swoją jednostkę i przeobraził się w Indianina. Judson i Susan wyglądali jak przykurzeni, doświadczeni kowboje... skórzane kowbojskie ochraniacze na spodnie, ostrogi, sfatygowane kapelusze, długie prochowce i bandany. Tylko po części ich wygląd wynikał z chęci robienia wrażenia; takie właśnie ubranie, jakie jest

najbardziej przydatne, kiedy spędza się cały dzień na końskim grzbiecie, jest się wystawionym na słońce, deszcz, śnieg, kolce krzaków i kurz.

Trzeba oddać to Judsonowi, czasami był skłonny poświęcić swój wizerunek autentycznego kowboja na rzecz praktyczności. Pod skórzane ochraniacze zaczął wkładać pastelowe spandeksowe legginsy, co wkurzało spotykanych po drodze i uważających się za prawdziwych macho kierowców ciężarówek i pracowników ranch. Ten śliski materiał chronił jednak Judsona przed odparzeniami, a kiedy znużyła go jazda na koniu, ściągał buty, wkładał tenisówki i biegł przez kilka mil obok swojego wierzchowca, po to tylko, żeby zachować kondycję i pozbyć się skurczów w nogach.

Jeźdźcy wyglądali całkiem interesująco. Jednak to głównie ich konie przyciągały ludzi. „Gdziekolwiek pojechaliśmy - wspominał Judson - traktowano nas niczym uczestników jakiejś parady”. Dzieci z przedmieść Atlanty bez wahania podbiegały do nich, po to tylko, żeby pogłaskać ich konie. Tak samo było, kiedy później, w Teksasie, spotykali ubogie rodziny farmerskie.

Powtarzało się to nawet w rezerwacie Apaczów w Arizonie. Rezerwat zajmował kawał nędznej, wyjąłowanej ziemi, który zamierzali okrążyć, ponieważ biali ludzie już kilkaset mil wcześniej zaczęli ich ostrzegać przed ryzykiem śmierci z rąk tych „wrednych skurwieli Apaczów”. Eustace wiedział wystarczająco dużo zarówno o historii, jak i o współczesnej polityce, by cenić sobie te ostrzeżenia, nie zamierzał jednak zrezygnować z wybranej trasy. Jak oświadczył swoim zaniepokojonym towarzyszom: » Nie zmieniamy trasy z powodu cholernych uprzedzeń rasowych. Czego nauczyliśmy się podczas dotychczasowej wędrówki? Kto nie

był dla nas miły? Czarnoskórzy, biali, Latynosi... wszyscy byli życzliwi. A jeśli zaczniemy omijać ludzi ze strachu, to zniszczymy wszystko, za czym się opowiadamy. Wy możecie sobie pojechać dookoła, ale ja przejadę prosto przez ten cholerny rezerwat. I gównu mnie obchodzi, czy strzelą mi w głowę”.

Tak więc wszyscy troje pojechali na przełaj przez rezerwat Apaczów. I Apacze rzeczywiście okazali się wrednymi skurwielami, zabierając Konnych Długodystansowców do swoich domów i karmiąc jeźdźców oraz ich wierzchowce.

Podobna historia powtórzyła się w dalszej podróży, kiedy znaleźli się pośród nędzy miejskich gett San Diego („Nie róbcie tego!”, ostrzegali ich biali) i meksykańskie dzieci wysypywały się z domów, prosząc o przewiezienie na koniu, podczas gdy ich rodzice robili zdjęcia, pozdrawiali i wręczali wałówkę. Wszędzie witano ich tak samo. Od granicy jednego okręgu do granicy następnego podążały za nimi kamery telewizyjne i eskorta szeryfa. Pomiędzy wybrzeżami obu oceanów spotykali burmistrzów i duchownych, którzy wychodzili im naprzeciw i witali w imieniu mieszkańców miast. Wszędzie ta szalona gościnność i ożywienie.

Na drogach zatrzymywały się samochody, wyskakiwali z nich kierowcy, podbiegali do jeźdźców i zarzucali ich pytaniami: Kim jesteście? Dokąd jedziecie? Czy możemy wam jakoś pomóc?

I to powtarzające się zdanie: „Chcę zrobić to, co wy robicie”.

„Możesz - odpowiadał za każdym razem Eustace. - Możesz!”

Ich dzień zaczynał się o czwartej rano, kiedy zajmowali się końmi i próbowali sobie wyobrazić, gdzie za jakieś trzydzieści do

pięćdziesięciu mil znajdują żywność i wodę dla siebie i dla zwierząt. Codziennie ktoś musiał jechać z przyczepą kawał do przodu, a potem wracać do obozu, żeby mogli wyruszyć wszyscy razem. Zajmowało to mnóstwo czasu; czasami musieli zwlekać godzinami z wyruszeniem, podczas gdy to trzecie próbowało złapać okazję. Ich dzień nie kończył się przed północą. Utrzymywali szalone tempo. Byli poobijani i wszyscy trochę kuleli od takiej ostrej jazdy, jednak nie poddawali się, nigdy nie poruszali się stępa, zawsze kłusem.

Pokonywali tak długie odcinki, gdzie nie było ani weterynarza, ani kowala, że Eustace stał się specjalistą od opieki medycznej nad końmi i ich kopytami. Tyle razy przyglądał się podkuwaniu koni, uznał więc, że sobie z tym poradzi. Zadzwoił do Hoya Moretza, swojego mentora z Karoliny Północnej, i zapytał, czy wskazane byłoby podkuwanie koni tutaj, w trakcie podróży, i usłyszał ostrzeżenie: „Nie rób tego. Jesteś bystry, ale nie jesteś fachowcem. Możesz nauczyć się podkuwać konie na swojej farmie po powrocie do domu, ale w drodze stawka jest zbyt wysoka, z niewiedzy możesz je tylko okaleczyć”. Rozsądna rada, z którą Eustace mógł się tylko zgodzić, co ostatecznie nie przeszkodziło mu jej zignorować, bo przecież wszyscy wiemy, czego matką jest potrzeba. Musiał się nauczyć, więc się nauczył. Robił też wierzchowcom zastrzyki, aplikował lekarstwa, dostosowywał ich paszę do sytuacji i ciągle nagrywał informacje na temat ich stanu zdrowia.

„Chyży pod koniec siusiania miał w moczu ciemną krew; to mnie zmartwiło (...) upadł dzisiaj dwa razy, co wydaje się niemożliwe, a jednak się zdarzyło, wyrznął pyskiem o ziemię (...) założyłem mu opaskę na oczy i poprowadziłem trochę, żeby przygotować go do przejścia mostu, który mamy przed sobą. Bo jest szansa,

że jeśli uda nam się przeprowadzić jednego konia przez ten nowy dla niego rodzaj mostu z metalowej kratownicy, przez którą zwierzęta widzą, co jest w dole, i bardzo się tego boją, to może przejdą po nim wszystkie i będziemy bezpieczni (...), znalazłem kamień w kopycie Ostrogi, który powodował ból (...), muszę mieć oko na więzadła; tutaj nie można przegapić żadnego obtarcia”.

Kilkakrotnie w trakcie wędrówki Eustace dochodził do wniosku, że przydałyby im się świeższe konie, zatrzymywał się więc, by dokonać paru transakcji. W ten sposób kupili Cajuna, Tłustego Alberta, Smolucha i Chaveza. I tak weszli w posiadanie niezapomnianego muła, Piotrusia Królika.

Piotruś Królik pochodził z Missisipi. Eustace był zdecydowany kupić muła, ponieważ potrzebne mu było mocne zwierzę juczne. Zaczął więc mówić wszystkim po drodze, czego szuka. Ktoś wspomniał mieszkającego nieopodal koniarza, który miał dużą farmę i kilka zwierząt na sprzedaż. Farmer, niejaki Pierson Gay, był przystojny, konserwatywny i elegancki... klasyczny dżentelmen z Południa, z zadbanymi białymi wąsami. Zadzwonili do niego i powiedzieli, o co im chodzi. Zgodził się przenocować ich w swojej stodole i omówić sprawę. Jak wspomina to Judson: „Kiedy podjechaliśmy do jego farmy, wszyscy z długimi włosami i brudni niczym jakaś banda hipisów, Pierson dosłownie odwrócił głowę na nasz widok. To taki schludny mężczyzna, słowo daję, omal nie zwymiotował z obrzydzenia”.

Istnieje sposób, w jaki koniarze przekazują sobie wzajemnie informacje o swojej fachowości... może jest to jakiś ich prywatny szyfr. Tak jak Eustace był przekonany, że Susan Klimkowski potrafi dobrze jeździć, kiedy tylko pokazała mu się na koniu w jego górskim domu, tak Pierson Gay szybko zauważył, że ci młodzi

ludzie dobrze wiedzą, co robią. A jeśli chodziło o zwierzęta, to Pierson miał jedno, które by chętnie sprzedał... wielkiego, doskonale wyglądającego białego muła, istnego czarta. Mocnego jak trzeba. Nazywał się Piotruś Królik. Eustace, Judson i Susan obejrzeni zwierzę i stwierdzili, że jest zdrowe i krzepkie, właśnie takie, jakiego potrzebowali do dźwigania dodatkowego bagażu. Pierson powiedział im, że sprzeda muła za tysiąc dolarów. Konni Długodystansowcy, a szczególnie Eustace, wiedzieli, jak prowadzić negocjacje związane z kupnem zwierząt; nigdy nie przyjmuje się pierwszej ceny. Wrócili do Piersona i zaproponowali dziewięćset dolarów. Na co Pierson odwrócił się i wyszedł ze stodoły, mamrocząc pod nosem: „Tysiąc dolarów, taka jest cena. Tyle jest dla mnie wart ten muł, więc możecie mi dać tysiąc dolarów, a jak nie, to zostawię go na pastwisku, zupełnie mi to nie przeszkadza”.

Wyspłali te tysiąc dolarów.

Z Piotrusiem Królikiem były jednak pewne problemy. Pierson Gay nie próbował ich ukrywać. Z mułami zawsze są problemy. W przeciwieństwie do większości koni muły są szczone, a często złośliwe. Potrafią myśleć, kombinować, knuć i się mścić. W pobliżu mułów trzeba mieć się na baczności, a ten konkretny był wcielonym diabłem. Pierson (który był fachowcem od czworonogów i już dawno temu zrezygnował z poskramiania tego konkretnego muła) uprzedził ich, że nie wolno dotykać uszu Piotrusia Królika, bo wtedy może spróbować zabić. Tak więc zakładanie mu uzdy jest niebezpieczną dla życia operacją. Może też próbować zabić każdego bez powodu. I nie wolno ruszać jego kopyt. Bo też spróbuje zabić.

Tak czy owak, zwierzę było bardzo mocne. Więc je kupili.

Wyjechali nazajutrz ze świeżutkim i silnym Piotrusiem Królikiem w grupie. Nie upłynęło wiele czasu, a muł dał znać o swojej obecności. Łało właśnie jak z cebra i Judson usiłował okryć swojego konia brezentem, żeby chronić bagaż. Brezent łopotał głośno na wietrze, co mułowi wcale się nie podobało. Przymierzył się i z całej siły kopnął kowboja w ten najbardziej umięśniony odcinek uda. Gdyby kopyto trafiło gdzieś indziej, mogłoby roztrzaskać kolano, złamać ramię, zmiażdżyć biodro, rozwalić czaszkę lub uszkodzić wnętrzności. Kopyto Piotrusia Królika wyrzuciło Judsona w powietrze. Kiedy spadł na ziemię, leżał spokojnie na mokrej trawie, pozwalając, by deszcz obmywał mu twarz, i myślał, jak to jest przyjemnie poleżeć sobie i odpocząć przez chwilę podczas tej ciężkiej wędrówki.

Natomiast Eustace natychmiast ruszył do akcji. Przez cały czas miał oko na Piotrusia Królika, spodziewając się starcia i czekając na odpowiednią chwilę, żeby wyjaśnić mułowi, kto tutaj rządzi. Muł i człowiek stanęli do pierwszej rundy całej serii głośnej wymiany zdań. Eustace zamachnął się na zwierzę, jakby brał udział w knajpianej bójce, i wrzasnął mu prosto w pysk: „Nie waż się nigdy więcej kopać mojego brata!” Muł się odwrócił, szykując do kopniaka, ale Eustace jedną ręką chwycił mocno uwiąz, w drugą porwał bicz i zaczął muła okładać. Zwierzę wierzgało i ciągnęło Eustace'a za sobą, ale ten go nie puścił. Muł ciskał nim o drzewa i kamienie, kopał i gryzł, a obaj przy tym ryczeli na całe gardło. Przerażeni Judson i Susan prysnęli do lasu, skąd Judson wołał do brata: „Jezu Chryste, Eustace! Zostaw go! On chce cię zabić!” Ale Eustace nie ustępował i zniósł całą tę poniewierkę, aż zagnał muła na starą, opuszczoną stację benzynową i tam go przywiązał.

A potem odbyli krótką rozmowę.

Eustace, teraz zredukowany (albo podniesiony) do czysto zwierzęcego stanu, zacisnął mocno zęby na nosie muła. Potem rozwarł mu pysk i wrzasnął niczym atakujący grizzly. Następnie pogryzł mu uszy, przez cały czas warcząc i wyjąc niczym ranny ogr. Potem okrążał muła, okładając go pięściami. Na koniec, żeby pokazać, kto jest kim, podnosił po kolei nogi muła i wrzeszczał w każde kopyto, jakby było słuchawką telefonu. Przejeżdżające drogą samochody zwalniały - prawie się zatrzymywały - a ich kierowcy przyglądali się tej scenie z pobladłymi twarzami, nie mogąc oderwać oczu od widowiska. Wstrząśnięci Judson i Susan oglądali przebieg wydarzeń zza drzew.

„Co mam ci powiedzieć? - szepnął Judson do Susan, jednocześnie przerażony i przepelniony dumą. - Mój brat to zwierzę”.

Eustace pracował jeszcze jakiś czas nad Piotrusiem Królikiem, po czym go odwiązał. Muł zaczął się chyłkiem oddalać, na pewno myśląc sobie: Jasna cholera...

Podczas tej podróży Eustace Conway i Piotrus Królik odbyli jeszcze kilka takich rozmów, aż muł, który nie był idiotą, pojął, w czym rzecz. Przyznał, pierwszy raz w swoim życiu muła, że decyzje będzie podejmował ktoś inny. I nim dotarli do Kalifornii, muł był tak grzeczny i zdyscyplinowany, i tak dobrze ułożony, że Konni Długodystansowcy musieli poinformować o tym Piersona Gaya. Zrobili Piotrusiowi zdjęcie. Na zdjęciu Eustace stoi przed Piotrusiem Królikiem i gryzie go w ucho. Susan przykucnięta pod mułem łaskocze go w brzuch. A uśmiechnięty Judson stoi na jego grzbiecie z rozłożonymi szeroko ramionami.

Wysłali to zdjęcie do Missisipi. Kilka tygodni później Eustace zadzwonił do Piersona Gaya, żeby sprawdzić, czy dostał fotografię. Telefon odebrała pani Gay, subtelna i wytworna dama z

Południa. Ależ tak, powiedziała, uroczo przeciągając samogłoski, dostali tę fotografię.

- I co sądzi pani teraz o tym mule? - zapytał Eustace.

- Daję słowo, skarbie - odparła pani Gay z miękkim przedwojennym południowym akcentem - Piotruś Królik otrzymał chyba prawdziwe h a a w a a d z k i e wykształcenie.

Nie codziennie jechali jak na paradzie. Mieli podczas podróży wspaniałe momenty, ale pokonywali też długie i odludne odcinki pustynnymi drogami, którymi nikt nie przejeżdżał i gdzie śmiecie przetaczały się niczym gnane wiatrem kule zielsk oderwanych jesienią od podłoża. W Teksasie jechali w oślepiającej burzy piaskowej, którą przeżyli, zakrywając twarze bandanami, co wydawało im się dobrą metodą, dopóki nie zatrzymał ich teksański strażnik stanowy i kazał zdjąć „maski”, ponieważ „ludzie się denerwują, że mogą być przestępcami”. Kiedy indziej trafili na tak zabójcze fale spiekoty, że obawiali się o życie koni i mieli wrażenie, że im samym żar wypali płuca. Czasami zatrzymywali się w porze lunchu, żeby odpocząć chwilę w jakimś zacienionym miejscu.

- Ile mamy czasu na przerwę? - pytał Judson.

- Dziesięć minut - odpowiadał Eustace.

Judson i Susan kładli się, zakrywali twarze kapeluszami i zasypiali dokładnie na dziesięć minut. Eustace nigdy nie spał. Poświęcał ten czas koniom. Przez te dziesięć minut obchodził je, sprawdzał kopyta i wodze, zaglądał zwierzętom w oczy, macał grzbiety, szukając otarć od siodeł. Nie przejmował się upałem ani własnym zmęczeniem; martwił się tylko o konie.

Najgorsza pogoda dopadła ich w Luizjanie, kiedy wjechali w

potworną, czterodniową burzę lodową. Pojawiła się dokładnie znikąd w formie gwałtownego marznącego deszczu. Bardzo szybko jeźdźcy wyglądali jak zatopieni w grubym na ćwierć cala szkłe; wszystko im zamarzło: kapelusze, strzemiona, juki, buty, brody. Był to jedyny przypadek, kiedy pogoda ich zatrzymała, i nie chodziło o ich osobistą niewygodę; stało się tak dlatego, że Eustace nie chciał narażać bezpieczeństwa koni na tych śliskich, pokrytych gładkim lodem drogach. Usiłowali znaleźć jakieś schronienie przed burzą i wylądowali pod markizami małego staroświeckiego sklepu spożywczego. Eustace wysłał Judsona do miejscowych obywateli, by wykorzystując swój słynny urok osobisty, załatwił im na noc ciepłe łóżka, a koniom ciepłą stajnię.

- Idź, zorientuj się w sytuacji, braciszku - powiedział. - Zrób to, co ci najlepiej wychodzi.

Judson, który potrafi szybko działać, z mety zaprzyjaźnił się z kilkoma mężczyznami, którzy w sklepie wielobranżowym żuli sobie tytoń. Już po kilku minutach zaproszono ich wszystkich, by przeczekali burzę na terenie należącym do złożonej z miejscowych białych lokalnej milicji, reprezentującej Ruch Patriotyczny. Zgodnie z opisem Eustace'a Conwaya byli to „ludzie, którzy uważają, że rząd Stanów Zjednoczonych sprawuje zbyt wielką kontrolę nad ich życiem, co w zasadzie jest właściwym podejściem. W wielu punktach się z nimi zgadzam, ale nie podobał mi się ich brak właściwego zorganizowania, poza tym za dużo pili i nie byli w stanie sprawnie wyrazić swojego przesłania”.

- Taa, mamy miejsce, gdzie możecie się zatrzymać - powiedział, przeciągając samogłoski jeden z nich. - Macie broń? Cóż, u nas nie będzie wam potrzebna! Mamy jej stosy.

Przez następne dwa dni byli gośćmi Ruchu Patriotycznego. Uwięzieni przez pogodę w niewielkim farmerskim domu, Susan i Judson spędzili dwa miłe dni, pijąc na umór z tymi zatwardziałymi obrońcami świętej amerykańskiej Drugiej Poprawki i amatorami strzelania dla rozrywki. Eustace starał się zachować trzeźwość i wolę działania, spędzając te czterdzieści osiem godzin przy telefonie, wydzwanając do wszystkich ludzi, których kiedykolwiek spotkał, próbując się dowiedzieć, czy nie znają kogoś, kto miałby ochotę dołączyć do Konnych Długodystansowców i poprowadzić dla nich pick-upa z przyczepą. Miał serdecznie dosyć tego zawracania głowy, jakim była jazda samochodem do przodu i cofanie się autostopem. No i rzeczywiście, po jakichś stu telefonach znalazł kierowcę, dziesięcioletka o przezwisku Bagniarz, który akurat nie miał nic lepszego do roboty, jak tylko wskoczyć do autobusu w Karolinie Północnej i dołączyć do nich w Luizjanie.

Kiedy burza lodowa ucichła, Długodystansowcy pożegnali swoich przyjaciół z milicji i ruszyli na zachód, w stronę Teksasu, mając już młodego Bagniarza za kierownicą pick-upa.

Teksas okazał się dla Eustace'a główną atrakcją, najciekawszym fragmentem wędrowki, bo właśnie tam kupił sobie najwspanialszego konia w życiu... swojego ukochanego Łazęgę. Był wprost wymarzoną koniem na takie podróże. Stał się legendą, najszybszym, najbystrzejszym i najbardziej lojalnym wierzchowcem, jakiego Eustace w życiu spotkał. Kupił go po drodze, w środku Teksasu, od farmera o nazwisku Garland. Cóż to było za odkrycie! Farmer stał oparty o ogrodzenie, kiedy Długodystansowcy przejeżdżali obok i jakoś się zgadali. Kiedy Garland opisał

konia, którego zamierzał sprzedać („jest taki chudy i szybki”), Eustace omal nie zaczął się ślinić. Po krótkiej rozmowie domyślił się wszystkiego. Teksańczyk kupił sobie pięknego i szybkiego konia, bo tak bardzo podobał mu się ten pomysł, jednak koń okazał się za szybki, żeby mógł dać sobie z nim radę. Musiał to sprawdzić.

- Chcesz go wypróbować? - spytał Teksańczyk.

Eustace dosiadł konia i powiedział:

- Ruszaj, mały. - W jednym oszałamiającym ułamku sekundy od spokojnego skubania trawki na pastwisku koń przeszedł w niesamowity galop. Eustace'owi spadł kapelusz i z trudem zachowywał równowagę.

- Nie wydaje mi się, żeby twój brat poradził sobie z tym wierzchowcem - powiedział pan Garland do Judsona, który z ogrodzenia obserwował, co się dzieje.

- Och, da sobie radę - odparł Judson.

Co za dzień! Eustace obawiał się, że będzie nieuprzejmością i nieprzyzwoitością powiedzieć Teksańczykowi, jak dobrze było mu czuć tego konia pomiędzy udami, ile przyjemności i jakiego dreszczyku emocji doświadczył, kiedy wystartował i popędził przez pastwisko „niczym urodzony koń wyścigowy, niczym rakietka”, i jak nie potrafił powstrzymać myśli, że nic na świecie nie sprawiło mu tyle przyjemności, może z wyjątkiem ciała Carli...

Natychmiast kupił Łazęgę i go zabrał. Od pierwszego dnia pomiędzy nim i tym wyjątkowym koniem wytworzyła się niezwykła więź. Jak to ujmuje Eustace: „Wystarczyło, że pomyślałam i nie zdążyłem jeszcze do końca powiedzieć, o co mi chodzi, a Łazęga już reagował”. Było to wreszcie zwierzę, które odpowiadało życzeniom Eustace'a - prawdziwy partner, rwący się do biegu. Łazęga był wspaniałym nabytkiem. Potrzebowali takiego gorliwego

konia, by utrzymać impet. Czasami trudno im było zachować motywację. Wszyscy - ludzie i jeźdźcy - cierpieli z powodu obrażeń, wysiłku i znużenia. Judson miał zwyczaj wypalać z pistoletu, świętując przekroczenie granicy kolejnego stanu, ale pewnego dnia, kiedy przekraczali granicę pomiędzy Arizoną a Nowym Meksykiem, doszło do przykrego wypadku, bo koń Eustace'a spłoszył się, poniósł i zrzucił jeźdźca. Tego dnia Eustace nie dosiadał ani Łazęgi, ani Chyżego, tylko wypróbował konia, którego niedawno kupili... Smolucha, silnego i płochliwego mustanga, najwyraźniej nieznoszącego wystrzałów. Kiedy Judson wystrzelił z pistoletu, koń popędził przed siebie i Eustace zwałił się na kamień, uderzając o niego głową. Uderzenie było tak silne, że prawie ośleplł i przy każdym końskim kroku odczuwał ból, ale pozwolił, by krew zakrzepła, tworząc naturalny bandaż, i kontynuował jazdę. „Co miałem zrobić? P r z e r w a ć jazdę?”

Nie była to zabawa. Nie była to wycieczka krajoznawcza. Pokonywali w szybkim tempie wiele mil, co oznaczało, że byli nieustannie zmęczeni. Głodni i obolali. Kłócili się. A co najsmutniejsze, działo się coś dokładnie przeciwnego do tego, czego po tej podróży oczekiwał Eustace. Miał nadzieję wzmocnić swoje relacje z Judsonem, ale jego brat był coraz dalszy od podziwiania go jako bohatera. Judson chciał się tą wyprawą bawić i nie podobała mu się obsesja Eustace'a na tle tempa, która nie pozwalała im się zatrzymać i podziwiać otoczenia.

„Co mogę powiedzieć o Eustasie? - mówił później. - Przez cały czas musi być jakimś cholernym Ernestem Shackletonem, bić wszelkie światowe rekordy, być najszybszy w tym, najlepszy w tamtym. Nie potrafi się nigdy odprężyć i zabawić. Nie po to Susan i ja wyruszyliśmy w tę podróż”.

Wędrówka przez kraj rozwijała się niczym płótno ogromnego obrazu, na którym wyraźnie zaznaczyły się różnice pomiędzy braćmi. Z jednej strony był Eustace... napędzany dawnymi mitami o bohaterach i o przeznaczeniu. A obok niego Judson... napędzany pragnieniem dobrej zabawy i mający jak najbardziej współczesne wyobrażenia na temat ról, jakie ludzie odgrywają w świecie. To właśnie wyobrażenie (które dzieli praktycznie z każdym Amerykaninem poza własnym bratem) pozwoliło mu zażartować sobie: „Hej, jestem teraz prawdziwym kowbojem!”, kiedy wypalił z sześciostrzałowca. Judson jechał konno przez Amerykę, bo wiedział, że ludzie kiedyś coś takiego robili, i dlatego, że było świetnie i zabawnie odgrywać rolę ikony. Judson jechał konno przez Amerykę, bo chciał, by ta ikona żyła. Dla Judsona była to znakomita zabawa; dla Eustace'a było to bardzo poważne przedsięwzięcie.

- Susan i mnie zadowoliliby dwa razy wolniejsze tempo i więcej czasu na odpoczynek i wążanie kwiatków - powiedział Judson.

- To, że pokonuję pięćdziesiąt mil dziennie - ripostował Eustace - nie oznacza, że nie czuję zapachu kwiatów. Czuję te cholerne kwiaty, kiedy pędzę obok nich! Czuję je przez pięćdziesiąt mil więcej niż inni ludzie.

- Bo widzisz - tłumaczył mi potem - trzeba było się spieszyć ze względu na harmonogram... Judson i Susan musieli wracać do pracy, więc nie mieliśmy nieograniczonego czasu na dotarcie do Kalifornii. Poza tym chciałem się dowiedzieć, do czego jesteśmy zdolni. Zarówno konie, jak i jeźdźcy. Chciałem rwać do przodu, sprawdzać, rzucać wyzwania, dokonywać tego, co wydaje się niemożliwe. Chciałem wziąć nasze ograniczenia pod mikroskop i przyrzeć im się, zrozumieć je i odrzucić. Słuchaj, w tej podróży

wygoda czy dobre samopoczucie się nie liczyły. Kiedy mam przed sobą cel, kiedy znajduję się w środku takiego jak to wyzwania, nie potrzebuję rzeczy, które są potrzebne innym ludziom. Nie potrzebuję snu ani jedzenia, nie musi mi być ciepło ani sucho. Kiedy przestaję jeść i spać, mogę żyć niczym.

- To się nazywa umieranie - powiedziałam.

- Nie - odparł z uśmiechem. - To się nazywa życie. Trudno się zorientować, w jaki sposób taki pośpiech może pasować do zbliżonej do zen filozofii Eustace'a, oznaczającej życie w idealnej harmonii z łagodnym rytmem przyrody, to „bycie niczym woda”. Ta wyprawa na pewno nie była jak woda; przypominała raczej bieg na przełaj, rżnięcie w poprzek piłą tarczową. Rezultat też nie był kojący. Towarzysze Eustace'a z trudem znosili jego nieugiętą determinację. Judson zaczął co wieczór popijać whisky, żeby obronić się przed emanującym z brata napięciem. „Wiem, że Eustace był wściekły, kiedy piłem na umór - mówił potem - ale to mnie utrzymywało przy zdrowych zmysłach”.

Eustace był nieugięty i nieustępliwy, a jego przywództwo dokuczliwe, jednak nawet dzisiaj nie zmieniłby żadnej ze swoich ówczesnych decyzji. „Ludzie nie rozumieją - Judson i Susan nie rozumieli - że nie przypadkiem udało nam się przebyć całą tę odległość, zachowując życie i zdrowie, swoje i zwierząt. Znam ludzi, którzy próbowali przejechać konno Amerykę i skończyło się to dla nich fatalnie... okaleczone konie, rozkradzony ekwipunek, oni sami ograbieni, pobici, potrąceni przez samochód. Nam się to nie przydarzyło, bo byłem cholernie czujny. Codziennie podejmowałem samodzielnie z tysiąc decyzji. Jeśli postanowiłem przejechać na drugą stronę drogi, to musiał istnieć jakiś konkretny powód.

Jeśli skorygowałem odrobinę tor jazdy mojego wierzchowca, tak żeby zrobił choć cztery kroki po miękkiej trawie, a nie po żwirze, to po to, by przez tę chwilę oszczędzić jego nogom wstrząsów.

Pod koniec każdego dnia, kiedy szukaliśmy miejsca na rozbiście obozu, w moim mózgu włączał się komputer i oceniał każdą możliwość, uwzględniając dziesiątki czynników, których ktoś inny w ogóle nie brałby pod uwagę. W jakim sąsiedztwie jest ta łąka? Czy jest otwarta z drugiej strony, w razie konieczności szybkiej ewakuacji? Czy nie ma na ziemi leżących luzem drutów, w które mogłyby się zaplątać konie? Czy nie ma po drugiej stronie drogi świeżej trawy, która mogłaby je znęcić do przejścia w środku nocy przez drogę, co mogłoby się skończyć potrąceniem przez samochód? Czy będzie nas widać z drogi i ludzie będą się zatrzymywać, żeby spytać, co tu robimy, i zabierać nam czas, niezbędny do zajmowania się końmi? Judson i Susan nawet się nie domyślali tego procesu. Powtarzali tylko: «A co powiesz na to miejsce, Eustace? Chyba jest świetne na biwak». A ja odpowiadałem: «Nie, nie, nie» i nie zwracałem sobie głowy wyjaśnianiem, dlaczego tak uważam”.

Judson i Susan, od dłuższego już czasu zniecierpliwieni przywództwem Eustace'a, zbuntowali się w Arizonie. Znajdowali się akurat, dosłownie, na rozstaju dróg. Ci dwoje chcieli oddalić się od głównej drogi i ruszyć bardziej dzikim szlakiem, przez poszarpany skalny kanion obiecujący przygodę. Eustace nie zgodził się. Chciał pozostać na drodze, co było nudniejsze i mniej malownicze i konie musiały przebyć większą odległość, ale ich kopyta były narażone na zdecydowanie mniej wstrząsów. Długodystansowcy odbyli naradę.

- To nie jest bezpieczne - powiedział Eustace. - Nie wiecie,

na co się tam natkniecie. Możecie nadzieć się na skalną ścianę albo na rzekę, przez którą nie da się przepawić. Będziecie się cofać o dziesięć mil, straciecie cały dzień. Narażacie życie. Nie macie mapy ani żadnych pewnych informacji. Czekaą tam was osypujące się kamienie, trudne ścieżki, groźne strumienie, co wykończy wasze konie. One już są na skraju przemęczenia, okrucieństwem jest wymagać od nich jeszcze więcej. To za duże ryzyko.

- Jesteśmy znużeni jazdą po drodze - skarżył się Judson. - Pojechaliliśmy na tę wyprawę, bo chcieliśmy zobaczyć kraj, a to jest właśnie nasza szansa powrotu do przyrody. Potrzebujemy więcej spontaniczności, przygody.

Judson z Susan przegłosowali Eustace'a. On jednak nie zamierzał ustępować.

- Jestem zdecydowanie przeciwko temu - oświadczył. - Możecie pojechać tamtędy, jeśli chcecie, ale beze mnie.

Był to druzgocący moment dla Judsona. Przed wyruszeniem ustalili, że w czasie wędrówki będzie obowiązywać demokracja; jeśli dojdzie kiedyś do nieporozumienia w sprawie jakiegoś kolejnego posunięcia, zadecyduje głos większości, zespół nie rozpadnie się z powodu różnicy zdań. Teraz jednak robili dokładnie coś takiego. W tej heroicznej, długiej na dwa i pół tysiąca mil podróży miała powstać smutna trzydziestomilowa dziura, pośrodku kraju, gdzie nierozłączni dotychczas partnerzy rozdzielili się, bo nie potrafili uzyskać konsensu.

- Myślałem, że jesteśmy zespołem - powiedział Judson do Eustace'a.

- Z przyjemnością będę w zespole, jeśli tylko będziemy zawsze robić to, co uznaję za słuszne - odparł jego brat.

Judson i Susan ruszyli w stronę kanionu.

„Był to najchłodniejszy dzień podczas całej wyprawy - wspomina Judson. - Dzika sceneria i przyroda. Wielokrotnie przeprawialiśmy się przez wodę, która sięgała do końskich brzuchów, i mijaliśmy skalne iglice. Byliśmy zachwyceni, przez cały czas śmialiśmy się i śpiewaliśmy. Było dokładnie tak, jak sobie wcześniej wyobrażałem tę wycieczkę. Czuliśmy się niczym wyjęci spod prawa przestępcy z dawnych lat. I wszystko to Eustace prze-gapił”.

„Wrócili na okulałych koniach - przypomina sobie Eustace. - Nie powinni byli tam jechać. Mogli zginąć albo stracić wierzchowce. To ja miałem rację”.

Od tamtej pory Judson postanowił się nie wychylać i słuchać poleceń Eustace'a, bo poddanie się dawało więcej spokoju niż kłótnie. Jednak jadąc obok brata, miał okropne uczucie, że już nigdy nie będzie między nimi tak jak przedtem.

Dotarli do Pacyfiku na Wielkanoc, tak jak zaplanowali. Nikt nie zrezygnował i nikt nie zginął. Jechali przez San Diego do miejsca, z którego mogli poczuć zapach oceanu. Kiedy dotarli do plaży, Eustace wjechał konno do wody, jakby wybierał się na Łazędze do Chin. W oczach miał łzy; on chciał rwać dalej.

Z Judsonem i Susan było inaczej. Dla nich ta bezlitosna podróż definitywnie się skończyła. Dokonali, czego chcieli, i byli zachwyceni. Judson natychmiast ruszył między ludzi. Wjechał do baru i przesiedział tam - na końskim grzbiecie! - przez kilka godzin, kręcąc swoim sześciostrzałowym rewolwerem i snując opowieści, podczas gdy klienci tłoczyli się wokół, a barman stawiał mu kolejkę za kolejką. Susan przywiązała konia przed barem i wmieszała się w tłum, nie wzbudzając szczególnego zainteresowania.

Następny tydzień spędzili w San Diego, dokąd przyjechały ich matki. Pani Conway i pani Klimkowski chciały oprowadzić swoje dzieci po mieście, pokazać im Sea World i zwiedzić zoo, i zabierać do szykownych restauracji. Judson i Susan byli uszczęśliwieni takim rozpieszczaniem, Eustace natomiast, milczący i posępny, trzymał się na uboczu.

„Nie mam pojęcia, jak oni mogli tak po prostu to z siebie zrzucić - wyznał Eustace jakiś czas później. - Miałem ochotę powiedzieć im: «Słuchajcie, ludzie, przeżyliście tyle ze swoimi końmi i już o tym zapomnieliście? Jednego dnia żyjecie tak intensywnie, a następnego wskakujecie do auta i jedzicie do pieprzonego fast foodu? Jakby to nigdy się nie wydarzyło?» Wydawało mi się, że ich to w ogóle nie obchodzi”.

Spędził ten tydzień samotnie, na rozpamiętywaniu, przez całe dnie jeżdżąc konno w tę i z powrotem po plaży. Jego towarzysze podróży pytali: „Nie masz dość jazdy?” Nie. Ani trochę. Eustace jeździł po plaży całymi godzinami, rozpamiętując podróż, spoglądając na bezsporną granicę, jaką stanowił ocean, i godząc się z geograficzną rzeczywistością jego osobistego „Boskiego Przeznaczenia”: że nie ma już dokąd j e c h a ć . Kraj się w tym miejscu kończył. To był już kres. Gdyby tylko z oceanu wynurzył się kolejny kontynent, żeby i ten mógł podbić...

Powieźli konie w przyczepie z powrotem do Karoliny Północnej. Dali im odpocząć. Możliwe, że Eustace'owi nie było potrzebne odprężenie, ale uważał, że jego ukochanemu Łazędzie się ono należy.

Tak więc przez całą drogę do domu koń odpoczywał sobie w przyczepie niczym celebryta. Na Żółtym Wyspie Eustace

pozwoił mu odpoczywać przez kilka miesięcy, zanim znowu zaczęli razem jeździć. Oczywiście, ta jazda była zupełnie inna niż podczas wyprawy. Teraz Eustace bardziej potrzebował konia gospodarskiego niż wyścigowego. Jeździł na nim podczas przeglądu posiadłości i używał go do pomocy przy wyciąganiu pni z lasu i do ciągnięcia załadowanych narzędziami sań. Pracowało im się dobrze i zgodnie. Łazęga miał w sobie słodczy charakter, która przewyższała nawet jego szybkość.

A potem, pewnego dnia, wiele miesięcy po zakończeniu wyprawy Konnych Długodystansowców, Eustace doszedł do wniosku, że zasłużyli sobie obaj na staroświecką przejażdżkę. Porzucili więc napięcie i zamęt Żółwiej Wyspy i ruszyli w góry. Wspinali się wyżej i wyżej, aż na halę, gdzie jak Eustace wspomina, puścił wodze, rozłożył szeroko ramiona i pozwolił Łazędze wybiegać się dla przyjemności w czystym górskim powietrzu.

Wracali do domu spokojni i zadowoleni. Kiedy już niemal widzieli stajnię, Łazęga się potknął. Na małym kamieniu. Trudno nawet nazwać to wypadkiem. Ten piękny, gorliwy koń, który przejechał w poprzek kontynentu bez żadnych obrażeń i który bez chwili wahania wspinał się po luźnych kamieniach na strome apalaskie zbocza i zawsze bezbłędnie wyczuwał najdelikatniej przekazane polecenia Eustace'a, potknął się na najzwyklejszym kamyku. Zrobił tylko jeden dziwny mały krok i złamał sobie nogę, rozłupując niemal na pół kość udową.

- Nie - zawołał Eustace, zeskakując z siodła. - Nie, błagam, nie...

Łazęga nie mógł stać na uszkodzonej nodze. Był kompletnie zdezorientowany i ciągle odwracał łeb, żeby popatrzeć na złamaną kończynę. I na Eustace'a, w nadziei, że u niego znajdzie odpowiedź

na pytanie, co się stało. Eustace zostawił go samego i pobiegł do swojego biura, skąd wykonał kilka rozpaczliwych telefonów do swoich mentorów, Hoya Moretza i Johnny ego Ruhla. Zadzwoił do każdego weterynarza, jakiego znał, do każdego specjalisty od koni, ale kiedy opisał, co się stało, wszyscy oni potwierdzali jedynie to, czego się domyślał: że nic nie można zrobić. Eustace wiedział, że musi zastrzelić swojego przyjaciela. Po tym wszystkim, co razem przeszli, żeby coś takiego zdarzyło się pięknego popołudnia, koło domu, tak blisko stajni...

Eustace wziął strzelbę i wrócił do konia. Łazęga stał w miejscu, tak jak przedtem, popatrzył na swoją nogę i na Eustace'a, próbując coś z tego pojąć. „Tak bardzo mi przykro, Łazęgo - powiedział Eustace - i tak bardzo cię kocham”. A potem strzelił wierzchowcowi w łeb.

Koń osunął się na ziemię, a Eustace razem z nim, łkając. Objął martwe zwierzę za szyję, mówiąc, jak dobrze im było razem i jakim był dzielnym koniem, i za wszystko mu dziękując. Jak mogło do tego dojść? Byli zaledwie kilka k r o k ó w od stajni...

Później tego samego dnia wrócił do Łazęgi - i to było dla niego najtrudniejsze - żeby obciąć mu grzywę i ogon. W nadchodzących latach mogły mieć dla niego duże znaczenie. Gdyby jeszcze kiedyś kupił sobie godnego konia, mógłby wziąć pasemka włosów z grzywy i ogona Łazęgi i wpleść je w uzdę nowego wierzchowca i to byłby hołd dla Łazęgi. Dokonanie tego pierwszego cięcia, to niepokojenie nożem ciała przyjaciela było jednak dla niego udręką i Eustace krzyczał wniebogłosy, przytłoczony bólem.

Zostawił wierzchowca tam, gdzie padł. Chciał, by zjadły go sępy. Indianie wierzą, że sępy są świętym pośrednikiem, dzięki

któremu duch przenoszony jest z ziemi w niebiosa. Eustace wiedział, że ptaki znajdują Łazęgę. Nawet dzisiaj, kiedy pracuje na otwartym powietrzu i widzi szybujące w powietrzu sępy, spogląda w górę i mówi: „Witam”, ponieważ wie, że tam właśnie jest teraz jego ukochany koń.

Kiedy nadeszła wiosna, Eustace wrócił na miejsce śmierci konia. Zebrał pióra sępów, które znalazł wokół kości, żeby trzymać je w świętym miejscu. Jego zamiary nie miały jedynie duchowego charakteru; chciał też zbadać tę złamaną kość udową, teraz, kiedy już była oczyszczona z tkanki mięsnej. Miał podejrzenie, że to złamanie było nie do uniknięcia. Często się zastanawiał, czy ten wyścigowy koń nie doznał kontuzji, która uniemożliwiła wystawianie go w gonitwach, i właśnie dlatego farmer z Teksasu skłonny był pozbyć się go za rozsądną cenę. Może Łazęga latami chodził ze złamaniem przeciążeniowym i dlatego ta kość była słabsza w tym miejscu i musiała się kiedyś złamać do końca.

I rzeczywiście, kiedy zbadał zbielale kości, odkrył, że jego podejrzenie było słuszne... kość była pęknięta od bardzo dawna; zawsze krył się w niej ten uraz. Ten moment, w którym Eustace klęczał na ziemi i badał kość okiem naukowca, jest najważniejszy, pokazuje bowiem, że nawet w bólu Eustace Conway zawsze poszukuje logiki i logicznych odpowiedzi. Ostatecznie życie toczy się dalej i trzeba się uczyć nawet poprzez cierpienie. Nigdy nie ustawaj; nigdy nie przestawaj zbierać informacji.

Ta sama niechęć do pozostawiania w bezruchu skłoniła Eustace'a Conwaya zaledwie dwa lata po zakończeniu wyprawy Konnych Długodystansowców do podjęcia próby innej szaleńczo

ambitnej konnej podróży. Bo przecież wciąż należy rwać do przodu. Należy badać, rzucać wyzwania i oglądać własne ograniczenia pod mikroskopem, by je zbadać i odrzucić.

Oczywiście Eustace wymyślił coś nowego. Przecież nie ma żadnego powodu, by jakieś doświadczenia powtarzać. Tym razem miała to być nieco odmienna przygoda. Opanowawszy transkontynentalną jazdę w siodle, Eustace postanowił zaprząć swoje konie do lekkiej bryczki i ruszyć w błyskawiczną trasę po Wielkich Równinach Ameryki Północnej, zatoczyć długie na dwa i pół tysiąca mil koło przez Nebraskę, Dakotę Południową, Dakotę Północną, aż do Kanady, tam pojechać przez Manitobę, Albertę i Saskatchewan, po czym zawrócić na południe do Montany i Wyomingu. Oszacował, że zrobi to w niecałe sześćdziesiąt dni. Miał teraz innego towarzysza drogi. Podróżował ze swoją nową przyjaciółką. Pozwolił sobie niedawno się zakochać, pierwszy raz po przeżyciu tornada, jakim była Carla. Minęło kilka lat i był znowu gotowy. Podekscytowany nową miłością zadzwonił do mnie wkrótce po tym, jak ją poznał.

- Jaka ona jest? - spytałam.
- Piękna, inteligentna, miła, młoda. Pół-Meksykanka. I w życiu nie widziałaś piękniejszej cery.
- Jak ma na imię?
- Patience.
- Ciekawe imię. Oby rzeczywiście była cierpliwa!

Patience Harrison była dwudziestotrzyletnią nauczycielką, na pewno wystarczająco twardą, by odbyć podróż zaplanowaną przez Eustace'a. Była wspaniale wysportowana, na studiach w Duke University sprawowała funkcję kapitana drużyny hokeja na trawie

i miała w sobie dużo śmiałości. Już odbyła podróż przez Afrykę w o wiele trudniejszych warunkach niż te, na jakie mogła natrafić w Kanadzie. Eustace oszalał na jej punkcie.

Kochał Patience za jej inteligencję, sympatyczną osobowość i za odwagę fizyczną. Podczas jej pierwszego pobytu na Żółtym Wyspie zabrał ją na przejażdżkę swoją bryczką. Spytał, czy nie zechce powozić przez chwilę, a ona bez wahania sięgnęła po lejce, prawdziwa równiacha. Pomyślał sobie: Ojej, dziewczyna w sam raz dla mnie. Duże wrażenie zrobił na nim film wideo, na którym Patience gra w hokeja. Widać, jak zawodniczka drużyny przeciwnej zadaje jej silny cios kijem, po którym dziewczyna, skręcając się z bólu, pada na ziemię. Złamała jej nadgarstek. Po chwili wstaje i próbuje biec za przeciwniczką, mimo że u boku zwisa jej skrzywiona pod niewłaściwym kątem dłoń. Potem znów leży na ziemi. Wstaje powtórnie, z zaciśniętymi zębami rusza przez boisko, nie poddaje się. Co tam pornografia; to był najbardziej seksowny wizerunek kobiety, jaki Eustace w życiu oglądał.

I kochał Patience, co trzeba otwarcie powiedzieć, za jej wygląd. Była prześliczna. Owszem, Eustace Conway nie zamierza nigdy mieć dziewczyny, która nie byłaby prześliczna, jednak Patience była, jak ujął to później, „moim ideałem. Wyobrażacie sobie przebywanie ze swoim ideałem? Dzięki meksykańskiemu pochodzeniu miała śniadą cerę, ciemne oczy i białe zęby, co uważam za najpiękniejsze połączenie na świecie. Tak bardzo jej pragnę. Pragnę jej zawsze, kiedy jestem przy niej. Wszystko w niej uwielbiam - dłonie, usta, uszy, połysk włosów; uwielbiam każdą komórkę ciała tej dziewczyny”.

Deklarował miłość do niej z typowym dla siebie żarem.

„Widzę Twe piękno tęczkami w swoich oczach - napisał do niej

w jednym z pierwszych listów. - Blaskiem słonecznym w sercu czuję miłość do Ciebie. Prowadzony przez motyla lecę z Tobą ku swobodzie. Z płodnymi deszczami nadziei marzę o naszej przyszłości. Pragnę Cię z większą namiętnością, niż potrafiłabyś sobie wyobrazić”.

Trudno było zaprzeczyć temu ostatniemu oświadczeniu. Patiente Harrison podziwiała Eustace'a i fascynowało ją jego romantyczne życie, jednak od samego początku nie podzielała jego żarliwości. Nakłonienie jej, by zezwoliła na jakiekolwiek czułości, zajęło mu mnóstwo czasu, a i tak w miejscach publicznych, kiedy ludzie patrzyli, nie pozwalała się choćby trzymać za rękę. Nie czuła się swobodnie z tą jego namiętnością i trudno jej było nie odwracać z zażenowaniem wzroku, kiedy próbował spoglądać jej głęboko w oczy. Nie znosiła, kiedy mówił do niej „kochanie”, i irytowała ją jego obsesja na punkcie jej urody. „Czy nie mógłbyś czasem powiedzieć mi, że jestem inteligentna czy utalentowana, interesująca albo nie tylko piękna?”, utyskiwała.

Na co Eustace odpowiadał żartem: „Masz najbardziej inteligentnie połyskujące włosy, jakie w życiu widziałem. Twój uśmiech i twoje oczy są niepokojąco utalentowane. Masz najbardziej interesujące ciało na świecie”.

Większości obserwatorów nie wydawali się dobraną parą. Patiente była stuprocentowo nowoczesną młodą kobietą, która zawsze trzyma swoich chłopców na dystans, by zachować niezależność. (Była tak nieprzystępna, żartowała, że jeden z jej byłych chłopaków nazwał ją Prudencją). Eustace'a, który zawsze pragnął ścisłego, płomiennego związku, bolał jej chłód. Co więcej, Patiente nie była przekonana, że ma ochotę zrezygnować z dotychczasowego życia i przenieść się na Żółwią Wyspę jako nowa pierwsza

dama. Jednak jej największe zastrzeżenie i przerażenie, przyznała później, wywołało stwierdzenie Eustace'a, że pragnie mieć z nią trzynaścioro dzieci.

Zgadza się: trzynaścioro.

Koniecznien musiałam zapytać o to Eustace'a.

- Przynaj, proszę, że tak nie powiedziales - odezwałam się z nadzieją.

- Sto lat temu kobiety nie przeraziłby taki pomysł! - odparł.

To była rozczarowująca odpowiedź. Abstrahując od oczywistego faktu, że nie żyjemy sto lat temu, w tym oświadczeniu jest tyle nieprawidłowości, że zupełnie nie wiem, od czego zacząć jego analizę. Eustace Conway, prawdziwy badacz historii i antropologii, powinien się lepiej orientować. Nawet sto lat temu przeciętna dzietność amerykańskiej kobiety wynosiła jedynie trzy i pół dziecka. Już wtedy bowiem kobiety stosowały kontrolę urodzin i rozpoczęły publiczną debatę na temat tego, w jaki sposób wielodzietność wpływa na ich ekonomiczną i społeczną pozycję. Innymi słowy, trzeba poszukać daleko głębiej niż tylko stulecie wstecz, by znaleźć tak entuzjastycznie nastawione do rodzenia kobiety, o jakich marzył Eustace.

Jest jednak coś więcej. Weźmy na przykład żonę Daniela Boone'a, niezłomną Rebeccę. Wyszła za mąż, mając siedemnaście lat i natychmiast musiała matkować dwójce osieroconych dzieci zmarłego brata męża. Potem, na pograniczu, miała dziesięcioro własnych, adoptowała sześcioro dzieci swojego owdowiałego brata i pomagała opiekować się wieloma spośród trzydziściorga trojga dzieci urodzonych przez swoje cztery córki.

Rebecca Boone przez większość swojego dorosłego życia mieszkała na terenie fortu. Zimą ona i dzieci przymierały głodem.

Indianie okaleczali i zabijali jej synów; córki tylko porywali. W połowie swojego małżeńskiego życia przeniosiła się z rodziną do znacznie wygodniejszej osady w Karolinie Północnej na dwa cudowne lata, kiedy Daniel zakładał nową kolonię w Kentucky. Kiedy wrócił po nią, omal się nie zbuntowała, prawie odmówiła powrotu w lasy. On nalegał; ona się opierała. Małżeństwo, jak sugeruje nam historia, znalazło się niebezpiecznie blisko rozpadu. Rebecca była jednak lojalną żoną i ostatecznie poszła za mężem w głąsę. Była jednak wycieńczona. Misjonarz, który w roku 1780 przejeżdżał przez ziemię Boone'ów, pamięta spotkanie z Rebecą i to, jak siedział z „tą spokojną osobą” przed jej maleńką chatą, a ona płacząc, opowiadała mu o swoich kłopotach i trudach, o „udręce i lękach serca”.

Tak więc w pewnym sensie Eustace miał rację. Wiele żon pionierów miało mnóstwo dzieci. Ale czy tak się tym pasjonowały? Czy rzeczywiście cieszyło je posiadanie tylu dzieci? Czy była to natchniona decyzja? Jakoś nie potrafię sobie wyobrazić rozradowanej Rebekki Boone tam, w głębi lasu, mającej już dobrze ponad czterdzieści lat, kiedy odkrywa, że po raz dziesiąty jest w ciąży. Tak samo nie potrafię wyobrazić sobie Patience Harrison - świeżej wyróżnionej absolwentki Duke University i ambitnej podróżniczki - która dostaje zawrotu głowy na myśl o szczęściu, jakie ją spotka, kiedy Eustace obiecuje jej trzynaścioro dzieci.

I nie uspokoiły jej zapewnienia Eustace'a, że te trzynaścioro dzieci to jedynie marzenie, jedno z tych, którego spełnienia nie oczekuje, że może wziąć pod rozwagę brak dzieci, jeśli ona tego właśnie chce, mogą też je adoptować albo przedyskutować wiele innych możliwości. Chciał wiedzieć, czy Patience miała do czynienia z takimi ludźmi jak amisze albo Majowie z Gwatemali,

którzy naprawdę hołubią i cenią sobie dzieci. Może zmieniłaby zdanie, gdyby zobaczyła na własne oczy, tak jak widział to Eustace, ów inspirujący sposób, w jaki te kultury z łatwością i przyjemnością włączają wielodzietne rodziny do większych społeczności. Mimo wszystko tamta liczba dźwięczała w głowie Patience niczym wibracje wywołane biciem w wielki dzwon katedralny.

Trzy-na-ścio-ro! Trzy-naś-cio-ro! Trzy-naś-cio-ro!

Tak czy owak, nie był to jedyny problem między nimi. Patience była ostrożna, niezdecydowana i trzymała Eustace'a na dystans. Mimo to on ją kochał. Jej wahanie kładł na karb młodości i miał nadzieję, że powoli będą się do siebie zbliżać, by w końcu zapłonąć żywszym płomieniem namiętności. Może ułożą sobie wszystko podczas tej wyprawy. Może ta podróż wszystko poprawi.

Eustace, jeszcze bardziej niż podczas wędrówki Konnych Długodystansowców, chciał doprowadzić siebie i konie do granic wytrzymałości. Wiedział, że jego konie potrafią poruszać się szybciej, ciągnąc lekki pojazd, niż dźwigając na grzbiecie jeźdźca, i chciał sprawdzić, jak szybko mogą podróżować. Bryczka nie przypominała ciężkiego gospodarskiego wozu, była lekka i szybka, a uprzęż była gładka, nylonowa, zapewne bardziej efektywna niż skórzana.

Stawał na głowie, by konie miały jak najmniejszy ciężar do ciągnięcia. Osobiście zatwierdzał każdą sztukę odzieży, jaką Patience chciała ze sobą zabrać, by mieć pewność, że żadna para skarpetek nie wymusi na zwierzętach dodatkowego wysiłku. Kiedyś Patience zatrzymała się w sklepie w Dakocie Północnej i kupiła słoik pikli na przekąskę i Eustace zrugął ją za to bezlitośnie. „Całe to szkło i płyn, i pikle składają się na dodatkowy ciężar,

który moje konie muszą przez cały dzień ciągnąć”, gardłował i nie przestał, dopóki nie skonsumowali zawartości i nie pozbyli się opakowania. Konie, szczególnie podczas trudnej podróży, otaczał troską i poświęcał im całą uwagę. Będąc bardzo daleko od weterynarzy i wyciskając z koni siły do granic ich wytrzymałości, gorliwie obserwował „każdy krok, wszystko, co jedzą, wszystko, co piją, każdy strup, utykanie, śluz z nosa, kolor moczu, częstość stolców, każde najmniejsze drgnięcie ucha, wszystko”.

Do tempa tej podróży Eustace podchodził jeszcze bardziej fanatycznie niż podczas poprzedniej wyprawy. Miał taką obsesję na punkcie oszczędzania każdej chwili, że kiedy widział bramę, oddawał lejce Patience, wyskakiwał na drogę i pędził, żeby tę bramę otworzyć. Potem ją zatrząskiwiał i doganiał bryczkę. Kiedy musiał ulżyć pęcherzowi, wyskakiwał do lasu, kiedy konie szły wolnym kłusem, po czym pędem je doganiał.

Nauczyli się oboje zmieniać koniom podkowy - podczas tej jednej wyprawy zrobili to ponad pięćdziesiąt razy - szybciej niż obsługa techniczna zmienia koła w wyścigu Indianopolis 500, przy czym Patience podawała Eustace'owi narzędzia, a on szybko i bezbłędnie mocował podkowę. Jechali przez prerię, jak Eustace określił to później, „szybciej niż cień gnanego wiatrem obłoku przesuwa się po zgiętej trawie”. Prawie w ogóle się nie zatrzymywali. Eustace przygotował na temat tej wyprawy specjalne ulotki - tak naprawdę informacje dla prasy - które wręczał ludziom, kiedy pojawiały się nieuniknione miliony pytań, a oni musieli rwać na przód. Nie mieli chwili wytchnienia. Kiedy ranczerzy z Kanady zaprosili ich, żeby zatrzymali się na kilka dni i nacieszyli corocznym spędem i piętnowaniem bydła, Patience miała na to ochotę,

ale Eustace oświadczył: „Będzie jeszcze wiele piętnowań i spędów, ale dla nas jest to jedyna szansa na ustanowienie rekordu świata, jeśli pokonamy dwa i pół tysiąca mil w pięćdziesiąt sześć dni”.

Wyprawa była na pewno sukcesem, jeśli chodzi o umiejętności powożenia, organizację i bezpieczeństwo. Natomiast ich związek, już wcześniej zagrożony, został przez nią zrujnowany. Eustace i Patience sypiali po cztery godziny na dobę, pędząc przez prerię z napiętymi nerwami, zmarznięci i znękani. Pogoda była bezlitosna. Kiedy nie wiał wiatr z szybkością siedemdziesięciu mil na godzinę, to padał lodowaty deszcz. Ręce im grabiały z zimna, tak że pod koniec dnia nie byli w stanie rozwiązać uprzęży ani odpiąć sprzączek. Jedzenie mieli okropne albo nie mieli go wcale.

Oczywiście były również niezapomniane chwile. I nadzwyczajne widoki. Znakomicie się czuli przez kilka dni, przemierzając ziemię niczyją - tę połąć nienależącego do nikogo terenu pomiędzy kanadyjsko-amerykańską granicą, gdzie mieli wrażenie, jakby podróżowali przez ziemie niezaznaczone na żadnej mapie. Kiedy deszcz i śnieg słabł, czytali sobie nawzajem powieści Cormaca McCarthy'ego. To było miłe. Spotkali mnóstwo wielkodusznych osób i wtedy Eustace odprężał się i pozwalał Patience, by była sobą, dziewczyną miłą i rozbajającą. Lubił się przyglądać, jak z miejsca podbija serca obcych ludzi, którzy natychmiast oferowali im obojgu lokum, żywność, pomoc przy koniach. Tworzyli nadzwyczajny zespół. Jednak najbardziej imponująca była sama Patience - kiedyś nastawiona na współzawodnictwo sportsmenka - która nigdy nie narzekała na znój długich godzin codziennej podróży.

„To - oświadczyła mi - było tą łatwiejszą stroną”. Trudniejszą było natomiast to, że całymi dniami nie odzywali się do siebie,

chyba że chodziło o konie. I nie sypiali ze sobą. Żadnych rozmów, żadnego kontaktu fizycznego. „Ani razu nie płakałam z powodu zmęczenia czy bólu - powiedziała Patience. - Pod koniec płakałam jednak sporo z powodu związku z Eustace'em. Był do kitu”.

Innymi słowy, sama podróż była heroiczna, niestety sytuacja przypominała tę z bystrej uwagi Ursuli K. LeGuin: „Kulisy heroizmu bywają często smutne; wiedzą to kobiety i służba”.

Patience nie była w stanie znieść nieustannej dominacji Eustace'a. „Byłam kiedyś chłopczycą - powiedziała. - Nieraz zastraszałam mężczyzn swoją siłą. Zanim go poznałam, byłam nowoczesną kobietą bardzo pewną siebie. On jednak powoli zyskiwał nade mną przewagę, aż stałam się bezsilna. Tak to już jest z Eustace'em; wciąga cię w wir swoich celów i jesteś stracona. Dla niego przestałam istnieć. Wielokrotnie różni miejscowi reporterzy prosili o pozwolenie przyłączenia się na jakiś czas do naszej wyprawy i wtedy on jechał bryczką z reporterem, a ja za nimi w samochodzie reportera. Potrafił oczarować każdego z nich i gadać przez cały dzień, natomiast następnego dnia, kiedy siedziałam obok niego przez dwadzieścia cztery godziny, nie odzywał się do mnie ani słowem. Jedyne, co robił podczas tej podróży, to rządził mną i mówił, co mam robić”.

„Oczywiście, że mówiłem jej, co ma robić - przyznał Eustace. - Oczywiście, że ja dowodziłem, ponieważ to ja wiedziałem, co należy robić. Miałem wiedzę i stosowne doświadczenie, by rozumieć zwierzęta i wiedzieć, jak przeżyć długą podróż, jak uratować jej życie i moje życie, i życie koni przy dwóch tysiącach różnych okazji, z których tysiąca pięciuset ona nawet nie zauważyła. Nigdy

nie doczekałem się od niej uznania. Kiedy razem pracowaliśmy, stawiała się coraz bardziej nadąsana i coraz bardziej niedojrzała. Nie miała najmniejszego pojęcia, czego było trzeba, żeby przeprowadzić nas żywych przez tę prerię. Naszym celem było ustanowienie rekordu świata. A jeśli ja biorę na siebie takie zadanie, to robię to na sto procent, i ona powinna była doceniać moją wiedzę i przestać reagować w dziecinny sposób na moje przywództwo”.

Kiedy spytałam go, czy nie pomogłoby im zatrzymanie się na jeden dzień, żeby usiąść na łące i omówić ich problemy, powiedział: „To nie należało do programu. To by zrujnowało nasz cel”.

Patience skarżyła się później (tak jak Judson przy poprzedniej wyprawie), że podczas podróży Eustace zachowywał się jak jego ojciec. Spędziła wystarczająco dużo czasu z jego rodzicami, by irytowała ją dominacja Dużego Eustace'a i pogarda, jaką okazywał żonie, a teraz czuła, że jest podobnie traktowana przez Małego Eustace'a. Ten sam rodzaj tyranii, ten sam poziom perfekcjonizmu, ten sam brak reakcji na potrzeby drugiej osoby. Zarówno dla Patience, jak i Judsona Eustace był na tych wyprawach nie tylko osobą nieznośną, ale wręcz tragiczną. Cóż jest smutniejszego od mężczyzny, który dosłownie dociera do krańców ziemi, a jednocześnie staje się własnym ojcem?

Ja jednak jestem przekonana, że w czasie tych podróży Eustace nie tyle stawiał się swoim ojcem, ile go w ten sposób honorował, starając się raz jeszcze udowodnić, że jest człowiekiem wartościowym, dzielnym, perfekcyjnym i logicznym. Tak jak wcześniej pragnął to udowodnić wszystkimi swoimi najbardziej śmiałymi przygodami i oszałamiającymi osiągnięciami. Mimo że bardzo chciał kochać Patience i brata, nie potrafił postawić ich

potrzeb na pierwszym miejscu, kiedy stawka każdej z tych wypraw była taka wysoka... przyciągnięcie uwagi ojca. Wciąż koncentrował się na starszej i smutniejszej historii miłosnej, w tak gorzki sposób zawieszony w próżni. Duży Eustace nigdy ani słowem, ani skinieniem głowy nie docenił syna, mimo wszystkich jego osiągnięć. Co jeszcze musiał zrobić Eustace, by ten mężczyzna uznał, że jego syn nie jest nędznym, żalonym, kretyńskim nieudacznikiem? Czy pomoże rekord szybkości w powożeniu?

A dwa rekordy?

Nie można rzucić przeciwko Eustace'owi bardziej bolesnego oskarżenia niż to, że zachowuje się jak jego ojciec. „Włożyłbym lufę rewolweru do ust i strzelił - oświadczył - gdybym uwierzył, że kiedykolwiek potraktowałem kogoś tak jak ten człowiek traktował mnie”. Bez wątpienia Eustace dopuszcza do siebie znacznie większy sceptycyzm i samokrytycyzm, niż kiedykolwiek robił to jego ojciec, i dlatego ubolewał (szczególnie podczas tych długich końskich wypraw) nad swoim kłopotami w relacjach z ludźmi. Jest świadomy tych problemów; pracuje nad poprawą sytuacji. Nie zawsze jednak wie, co należy robić. Zdaje sobie sprawę z tego, że, jak sam określił, jest „uszkodzony”, ale nie wie, jak siebie naprawić. Wie, że z Patience Harrison nie potrafił postępować właściwie, że z jakiegoś powodu w trakcie podróży nie umiał się z nią porozumieć w taki sposób, który dałby szansę ich związkowi. Może powodem była jej niedojrzałość; może jego nieugięty perfekcjonizm; może była to destrukcyjna kombinacja ich połączonych słabości. Tak czy owak, rezultat był katastrofalny.

„Być może - powiedział- powinniśmy byli skoncentrować się bardziej na naszym związku, a mniej na celach, tyle że nasze cele wydawały się czasami jedyną rzeczą wspólną nam obojgu. Nie

wiem, co należało zrobić. Nie jestem dobry w takich sprawach. Miałem po prostu nadzieję, że później to jakoś naprawimy”.

Tak naprawdę nie było żadnego później. Ciągnęli z trudem swój kulejący związek jeszcze przez rok po wyprawie, ostatecznie jednak Patience podjęła pracę w Boone, gdzie trenowała drużynę hokeja na trawie i powoli odsuwała się od Eustace'a i Żółtwej Wyspy. I żaden z namiętnych, długich na piętnaście stron listów („Przepraszam, jeśli nie potrafiłem wyrazić siebie, swoich uczuć, punktu widzenia, w sposób dla Ciebie zrozumiały (...), modłę się o to, byś kiedyś, kiedy będziesz dość silna czy gotowa, doświadczyła takiej głębokiej miłości, jaką ja odczuwam”) nie był w stanie jej przekonać. Dla niej to był koniec.

Eustace'a dobijało to, że Patience go nie rozumiała. Nie rozumiała, jak bardzo ją kocha. Nie rozumiała jego emocjonalnych ograniczeń i bliźn. Jego celów. Nie widziała, ile miłości potrzebował i ile miłości chciał jej dać. I jak bardzo zależało mu na jej zaufaniu. Nie rozumiała go ani trochę.

I właśnie ten dostrzeżony brak docenienia, brak zrozumienia, brak wiary całkowicie wypaliły Eustace'a. Po cierpieniach zadanych przez ojca, który mówił mu, że jest szalonym, nic niewartym nieudacznikiem, jak mógł podporządkować się jakiejś osobie (rzekomo w nim zakochanej), która mu nie ufała i nie wierzyła w jego fachowość? Cóż, było mu to doskonale znane. A skoro nie rozumiała go kobieta, która go kochała, jak mógł oczekiwać zrozumienia od innych? Gdzie miałby szukać uznania i poparcia? W czyich ramionach? W czyich oczach? Eustace Conway był coraz pewniejszy, że nikt tak naprawdę nie będzie go w stanie poznać, że to ściśle odosobnienie będzie stanem permanentnym. Że z racji urodzenia i przeznaczenia jest na tym świecie uchodźcą.

„Czuję się jak Iszi”, powiedział.

Historia Isziego prześladowała Eustace'a od dzieciństwa. Iszi był Indianinem z kalifornijskiego plemienia Yana, ludu żyjącego na poziomie epoki kamienia, od stuleci zamieszkującego kaniony w okolicy dzisiejszego Los Angeles. Pod koniec dziewiętnastego wieku lud Isziego został wymordowany w ludobójczych atakach, kiedy biały człowiek posuwał się coraz dalej w głąb kanionów, szukając złota i terenów na rancza. Antropologowie uważają, że na przełomie wieków kalifornijscy Indianie ostatecznie zniknęli z powierzchni ziemi.

To znaczy uważali tak aż do dwudziestego dziewiątego sierpnia 1911 roku. Tego bowiem dnia, w samym środku epoki dróg żelaznych i telefonów, Iszi, zdrowy Indianin po czterdziestce, przywędrował do zajętej przez rancza białych doliny Oroville w Kalifornii. Był nagi i miał spalone włosy, co symbolizowało żałobę. Ukrywał się w kanionach od dziecka, z siostrą i babką, ale one już umarły, a on, owładnięty bólem i samotnością, odbył długą pieszą wędrówkę, przygotowany na podróż „do następnego świata.” Gdzie zresztą wylądował. Był człowiekiem z epoki kamienia, który wkroczył wprost do nowoczesnej przemysłowej Ameryki. Wiele tygodni zajęło naukowcom i etnografom dojście do tego, kim jest, i wykonycypowanie jakiegoś języka, którym można by się z nim porozumieć. Okazał się oczywiście bezcenną skarbnicą informacji antropologicznych. Nauczył ich swojego języka, mitów i technik łowieckich (włącznie z taką odmianą łucznictwa, jaką poprzednio zaobserwowano wyłącznie w Mongolii). Na koniec antropologowie sprowadzili go do muzeum, gdzie pracował jako dozorca.

„Człowiek ten - mówił z niedowierzaniem w głosie Eustace

- posiadający tak niewiarygodną umiejętność życia w głuszy, przez cały dzień machał miotłą”.

Iszi robił też grotty z kamieni dla zwiedzających, którzy raz w tygodniu mieli okazję oglądać go w muzeum. Nauczył się trochę angielskiego, zaczął nosić spodnie, obejrzał kilka wodewilowych przedstawień, jeździł pociągiem, ale w niecałe dziesięć lat zmarł na gruźlicę.

„Klnę się na Boga, że czasem czuję się jak Iszi - oświadczył Eustace. - Całkowicie odmienny od wszystkich innych na świecie, ostatni ze swojego gatunku, zagubiony na obcej ziemi. Próbuję nawiązać nić porozumienia. Czegoś ludzi nauczyć. I stale niezrozumiany”.

Eustace natknął się na ten brak zrozumienia podczas swoich konnych wypraw. Spotykał młodych ludzi, będących wegetarianami i ekologami, których irytowało, że on chodzi odziany w skóry i że dla zdobycia pożywienia poluje na zwierzęta. Od pewnego momentu nie miał już siły wyjaśniać, o ile bardziej niszczące dla środowiska są ich syntetyczne ubrania, skoro uszyto je z nieodnawialnych materiałów, w zanieczyszczających środowisko i zżerających zasoby naturalne fabrykach. I że nie wiedzą, skąd pochodzi ich pożywienie i jak ziemia cierpi przy jego produkcji i pakowaniu. Byli też obrońcy praw zwierząt protestujący przeciwko okrucieństwu, które widzieli w tym, że zmusza konie do wielkiego wysiłku.

„Byli tam ludzie, których spalone konie przypominały ziemniaki pastewne - zauważył Eustace - i którzy nigdy nie widzieli konia w dobrej kondycji, zanim zobaczyli moje. Moje konie są szczupłe, mają długie mięśnie i są sprawnymi zwierzętami, które przez całe życie pracowały i biegały. To sportowcy zbudowani do pokonywania długich dystansów. Do tego właśnie konie zostały

stworzone. Nikt nie opiekuje się zwierzętami lepiej niż ja. Ale słyszałem uwagi w stylu: «Za mało paszy dajesz tym konikom!», co mnie okropnie wkurzało. Miałem ochotę powiedzieć: «Słuchajcie, ludzie. Daję swoim koniom tyle pożywienia, że zabiłoby ono waszego rozleniwionego starego konia, tkwiącego na waszym głupim małym pastwisku». Moje konie były szczupłe, bo wszystko spalały”.

Najbardziej irytujący incydent wydarzył się w Gillette w stanie Wyoming. Eustace, Patience i ich konie zakończyli właśnie przypadający na ten dzień odcinek długości pięćdziesięciu jeden mil. Przywiązali wóz do żerdzi przed zapyziałym barem, który wyglądał niczym dekoracja filmowa, i weszli do środka na hamburgera. Kiedy opuszczali miasteczko, przejeżdżający obok stary kowboj przyjrzał się najlepszemu koniowi Eustace'a, Chyżemu, jego wiernemu morgonowi, który nakarmiony i napojony odpoczywał z opuszczoną głową. Kowboj oświadczył: „Ten koń nie ma już w sobie ducha. Przez całe życie mam do czynienia z końmi i dlatego poznaję, że to zwierzę jest już jednym kopytem w grobie. Lepiej go odłączyć i daj mu spokój”.

Eustace nie odezwał się ani słowem. Nie powiedział kowbojowi, że w swoim życiu Chyży przewędrował tysiące mil. Nie powiedział, że kiedyś Chyży miał puls czterdzieści uderzeń na minutę po kłusowaniu przez czternaście mil, to znaczy niższy niż większość koni ma w stanie spoczynku. Nawet wtedy nie dyszał. Nie wspomniał, że w najbliższe osiem dni Chyży przejedzie prawie czterysta pięćdziesiąt mil. Ani że on, Eustace Conway, nie oddałby tego konia za milion dolarów.

„Chyży był zwykłym gniadoszem - powiedział mi Eustace. - Brązowym koniem z czarną grzywą i ogonem. Pospolicie wyglądającym koniem, ale jednocześnie bohaterem. Ludzie nie mieli

pojęcia, na jakim wierzchowcu siedzę. Tamten kowboj powiedział, że Chyży nie ma ducha; a ja ci mówię, że ten koń miał wielkiego ducha. Chyży był moim czempionem i uwielbiał bieg. Przeżyliśmy razem wiele przygód, których ten kowboj nie potrafiłby sobie nawet wyobrazić, i rozumieliśmy się wzajemnie. Dopingowaliśmy się nawzajem do maksymalnego wysiłku i to też Chyży uwielbiał. Mówię ci, ten koń nie odkrył jeszcze wszystkich swoich możliwości. A ja jeszcze nie spotkałem nikogo, kto by rozumiał, co to oznacza”.

Mieszka w Kentucky pewien gość, który jest (bo ktoś musi być) największym na świecie autorytetem w dziedzinie historii długich konnych podróży. Nazywa się CuChullaine O'Reilly i posiada największy na świecie zbiór książek o przygodach jeździeckich. On sam odbył pięć imponujących konnych podróży przez Azję Środkową, włącznie z wyprawą w Himalaje, gdzie jeden z jego koni padł i został zjedzony przez miejscowych.

„Należy umieścić Eustace'a Conwaya w szerszym kontekście - mówi CuChullaine O'Reilly, który akurat potrafi to zrobić. - Znam się na tych sprawach i wierzcie mi, że ten gość to żaden pozer. Bo ilu ludzi w naszym kraju trzyma konie? Setki tysięcy, zgadza się? A ilu z nich odjechało nimi dalej niż pięćdziesiąt mil od stajni? Żaden. Bo jest czymś przerażającym znaleźć się tam, w szerokim świecie, razem ze zwierzęciem, bez gwarancji bezpieczeństwa. Wiem coś o tym.

Odległości, jakie Eustace pokonał, same w sobie nie są niczym nadzwyczajnym. Znam pewną parę ludzi, którzy przejechali na końskich grzbietach ponad osiemnaście tysięcy mil. Znam faceta z Maine, który kilka lat temu odbył długą na czternaście tysięcy

mil przejażdżkę konną. Tak więc przejechanie w poprzek naszego kraju nie jest samo w sobie niczym wielkim. Nadzwyczajne jest natomiast to, że Eustace dokonał tego w sto trzy dni. Niewiarygodne. To najszybciej pokonany konno taki dystans w ciągu ostatnich dwudziestu pięciu lat, a prawdopodobnie w jeszcze dłuższym okresie. Zdumiewające jest przy tym to, że Eustace dokonał tego wyczynu, nie będąc tak naprawdę doświadczonym jeźdźcem. Wykorzystał zdobyte w głuszy umiejętności, odwagę i inteligencję i właściwie nie popełnił podczas wędrówki żadnych błędów. A ta podróż bryczką? Żeby tak szybko opanować powożenie? To oszałamiające. Jest tylko kilka osób, które dorównują Eustace'owi w radzeniu sobie z końmi, ale są to ludzie, którzy przez całe życie zajmują się tymi zwierzętami i niczym innym. Dwa lata zbierają informacje, zanim wyruszą w długą podróż, poza tym mają sponsorów i biorą ze sobą prywatnych weterynarzy i mnóstwo pieniędzy. A i tak popełniają wiele błędów, których on nie popełnił”.

Według CuChullaine'a O'Reilly'ego istnieją trzy czynniki niezbędne do tego, by być znakomitym długodystansowym jeźdźcem wytrzymałościowym: odwaga, zdecydowanie i romantyzm. Eustace miał to wszystko, w nadmiarze. I jeszcze coś. Pewien rodzaj nadprzyrodzonego daru. Dla O'Reilly'ego pokonanie trasy ciągnącej się przez cały kraj w sto trzy dni było osiągnięciem niebywale ekscytującym, można by je porównać do występu jakiegoś nieuprawiającego przedtem żadnego sportu farmerskiego syna z Iowa w biegu na cztery mile i pobicia przy tym rekordu. Tego po prostu nie da się zrobić. Ale Eustace to zrobił.

CuChullaine O'Reilly uważa, że pod tym względem, a także w kategoriach czystości i autentyczności charakteru Eustace'a można

porównać jedynie z Eugene'em Glasscockiem z Alaski. Eugene Glasscock to brodaty twardy samotnik (nazywany w kraju panem Górą), któremu pewnego dnia w latach osiemdziesiątych wpadł do głowy szalony pomysł, żeby przejechać konno od kręgu polarnego do równika. Oczywiście w ubraniu uszytym z jelenich skór. Stuknięty szajbus. Ledwie udało mu się ująć z życiem, kiedy przeprawił się przez Jukon i Góry Skaliste, w Meksyku napadli na niego bandyci z maczetami, a w Gwatemali musiał przepływać rwące rzeki, trzymając się konia. Ale dżungla mu się podobała. Właśnie dlatego pan Góra mieszka tam, w Ameryce Środkowej, w jakimś miejscu, które nie figuruje na żadnej mapie. Szkoda, że tak trudno się z nim skontaktować, mówi O'Reilly, bo na pewno byłoby niezłe zorganizować weekendowe spotkanie Eugene'a Glasscocka i Eustace'a Conwaya, „żeby mogli poszaleć, opowiedzieć sobie kilka historyjek, spać się i zjeść parę oposów”.

„Nikt nie może zrozumieć Eustace'a - mówi. - Ponieważ kiedy współczesny Amerykanin spotyka Eustace'a Conwaya i jego konia, to dochodzi do zderzenia pędzącego na oślep dwudziestego pierwszego wieku z mającą sześć tysięcy lat tradycją nomadów, której zwykli ludzie nie są w stanie pojąć. Tak bardzo się oddalili od tamtego epizodu w historii ludzkości, że jest on dla nich czymś całkowicie obcym. Nie mają pojęcia, czym jest porozumiewanie się międzygatunkowe. Nie rozumieją, że Eustace wykorzystuje swoje umiejętności jeździeckie nie jako środek do zyskania prestiżu lub zdobycia błękitnych wstążek albo klamry do pasa na rodeo, ale jako sposób stworzenia więzi z innym zwierzęciem, by mogli razem przechodzić przez kolejne odsłony niezrozumiałego

i niewidzialnego doświadczenia, dopóki nie dotrą do tej niedającej się opisać drugiej strony”.

Jest coś jeszcze, o czym jest przekonany ten najwybitniejszy ekspert od jeździeckich wyczynów. Uważa on mianowicie, że Eustace nie powiedział ostatniego słowa. Że jeszcze nawet nie zaczął nam pokazywać tego, co tak naprawdę potrafi. Uważa, że Eustace ma potencjał, by przeżyć „jakąś nadludzką przygodę w stylu Jazona i Argonautów. Być może”.

Dlaczego tylko b y ć m o ż e ?

„Ponieważ - wyjaśnia - uważam, że stanął w miejscu. Osiągnął poziom, jaki mógł osiągnąć, wykorzystując swoją charyzmę i odwagę, i teraz musi się udać w podróż duchową. Musi zrobić coś całkowicie osobistego. Przez tyle lat był postacią publiczną, że już sam siebie nie zna. Są takie zakamarki jego duszy, których nie rozumie, i dopóki do nich nie dotrze, nie będzie prawdziwym nomadem. Jest człowiekiem odważnym, ale nie jest jeszcze duchowym pielgrzymem. Dopóki nie wyruszy w szeroki świat, samotnie, i nie wyzwoli się z krępujących go więzów, nie odetnie od rozgłosu, własnego «ja», wszystkich tych bzdur i nie dokona czegoś naprawdę heroicznego, to będzie tylko sam siebie oszukiwał. I jeszcze coś ci powiem. Nie jest jakimś cholernym farmerem i powinien przestać próbować nim być. To nie leży w jego naturze. Musi od tego uciec. Powinien zaprzestać prób zbawiania świata. Bo dopóki nie przestanie żyć w cieniu dziadka i nie przestanie udawać, że lubi kopać dziury w ziemi i sadzić warzywa na tej cholernej farmie, nigdy nie będzie Jazonem, dowódcą Argonautów”.

„Ale to tylko moja opinia”, dodaje CuChullaine O'Reilly.

ROZDZIAŁ VIII

Jedynie ja rozumiem prawdziwy plan
i sposób jego realizacji.

Charles Fourier, utopista

Dziadek Eustace'a Conwaya założył Obóz Sekwoja w 1924 roku i rządził niepodzielnie tym swoim królestwem aż do śmierci na atak serca. Dożył osiemdziesięciu lat. Umarł na posterunku, jak powiadają, nigdy się nie oszczędzając. I nie wyznaczył spadkobiercy swojego dziedzictwa. Po pogrzebie okazało się, że nie istnieje żaden plan dalszego działania obozu. Choć Wódz miał wielu pracowników, to jednak nikomu nie ufał na tyle, by sądzić, że mógłby poprowadzić ukochaną Sekwoję - jego „Obóz z Celem”, gdzie „Słabi stają się Silni, a Silni Wielcy” -zgodnie z jego rygorystycznymi zasadami.

Kiedy latem do Obozu Sekwoja przybywali młodzi uczestnicy oraz personel, Wódz przejmował kontrolę nad każdym aspektem ich życia. Decydował o tym, jak mają się ubierać, kiedy mają ćwiczyć, kiedy się modlić i co mają jeść. Jeden z instruktorów wspomina dzień, kiedy Wódz Johnson wezwał go do swojego gabinetu i przez godzinę wygłaszał mu wykład na temat tego, w jaki sposób najlepiej zamiatać pokój. Inny instruktor dowiedział się, jak najlepiej wykorzystać spinacz do papieru („Ta większa pętla idzie na tył dokumentu; mała na przód”). Naturalnie obowiązywał zakaz palenia tytoniu, przeklinania i picia alkoholu. Ale Wódz zabraniał również picia coca-coli, używania octu, pieprzu i drelichu.

Chodziły słuchy, że dosypywał nawet saletry do musu jabłkowego, żeby „tłumić pożądanie” i powstrzymywać chłopców przed pokusą samogwałtu („Rzeczywiście jedliśmy duże ilości musu jabłkowego”, przyznał jeden z uczestników obozu, kiedy o tym wspomniałam). Włosy nie miały prawa sięgać do uszu. W niedzielę obozowicze musieli nosić wyprasowane białe koszule. Pielęgniarki, jedyne kobiety wśród personelu, wyglądały dostojnie i nieciekawie, żeby przypadkiem nie pobudziły kogoś seksualnie. Przez całe lato oceniano postępy fizyczne i społeczne instruktorów, a dodatkowe punkty przyznawano im za lojalność, gotowość do podjęcia odpowiedzialności i za osobisty magnetyzm.

Wódz był bezkompromisowy. Nie szafował pochwałami. Nikt nie był dla niego dość dobry. Wykroił ten obóz z dziewiczej głuszy, tworząc go własną siłą i geniuszem. Przecierpiał pierwsze kilka zim w drewnianej chacie z bali, zdefiniował wszystkie filozoficzne pojęcia, które czyniły obóz unikatową instytucją, postawił każdą tworzącą ją budowlę, i nie przerwał działalności nawet w trudnych czasach Wielkiego Kryzysu i drugiej wojny światowej. Kto więc mógł powiedzieć Wodzowi Johnsonowi, jak coś zrobić? Nikt. Pięćdziesiąt lat później jego wnuk, Eustace, skarżył się w swoim dzienniku na rozlazłych pracowników własnego imperium, Żółtwej Wyspy: „Ciężko pracowałem, żeby uczynić to miejsce tym, czym jest. A co o n i zrobili? Jak o n i mogą je szanować? Czy o n i zaangażowali się w jakiegokolwiek poważne wyzwanie? Jak mam znosić ich obecność?”

Cóż, jedynym wyjściem jest przejęcie absolutnej władzy nad ich ciałem i duszą. Tak właśnie zrobił Wódz. Wódz wygłaszał

kolejne „prelekcje” do uczestników obozu w różnych momentach ich pobytu, stosownie do ich wieku. Mówił między innymi o Bogu, przyrodzie, uczciwości, odwadze, o tym, jak stać się mężem opatrnościowym, a także ostrzegał przed masturbacją i umawianiem się na randki. Tematem prelekcji numer 5 był „wpływ rozsądnego życia seksualnego na małżeństwo i potomstwo”. Prelekcja numer 6 dotyczyła chorób wenerycznych. Kiedy chłopcy opuszczali Obóz Sekwoja, Wódz nie zrywał z nimi kontaktu - z całymi ich tysiącami - i wysyłał im na każde Boże Narodzenie motywujące przesłania, a także, w najważniejszych momentach ich życia, pisane w formie żarliwych listów broszurki:

List do chłopców rozpoczynających naukę w szkole podstawowej

List do młodych mężczyzn rozpoczynających naukę w college'u

List do młodych mężczyzn z okazji ich dwudziestych pierwszych urodzin

List do młodych mężczyzn z okazji ich ślubu

List do młodych mężczyzn, którzy właśnie zostali ojcami

Każdy chłopiec był synem Wodza. I ci jego synowie zostawali lekarzami, sędziami, nauczycielami, żołnierzami... przez całe dziesięciolecia tworzyli mocny kręgosłup społeczeństwa amerykańskiego Południa. Każde ich osiągnięcie było jego osiągnięciem. W latach pięćdziesiątych pewna kobieta napisała do Wodza list, zapewniając go, że jej syn, niegdyś uczestnik Obozu Sekwoja, odsłużył dwa lata w marynarce wojennej i nie popadł w żadne „złe nałogi, z jakich czasami znani są marynarze. Mam wrażenie, że

wizja, którą ukazano mu w Sekwoi, była i będzie prowadzącym go w życiu światłem”.

Tak, każdy chłopiec był synem Wódza. Wódz miał też jednak dwóch własnych synów, Harolda i Billa, braci Karen, matki Eustace'a.

„Młodzi ludzie w każdym pokoleniu powinni być świadomi, że niektórym z nich będzie dane odgrywać znaczącą rolę w postępie ludzkości ku wyższemu przeznaczeniu”, napisał Wódz. Żadnym innym młodym ludziom nie narzucono tej odpowiedzialności w bardziej zdecydowany sposób niż synom Wódza. I chyba nie zdziwi nas fakt, że doprowadzało to Harolda i Billa do wściekłości. Zanim pokończyli piętnaście lat, palili papierosy i pili alkohol. Posępni i samowolni strzelali z rewolwerów i ścigali się samochodami. Byli krnąbrni i gniewni.

„Byli dokładnym przeciwieństwem - wspominał jeden wiekowy już uczestnik obozu - tego, co Wódz tak rozpaczliwie pragnął mieć w synach. Zawsze wyobrażał ich sobie jako idealnych chłopców”.

Wódz nie mógł zrozumieć, dlaczego jego synowie tak się wykoileili. Może była to wina matki. Pani Wodzowa, jak ją nazywano, zawsze wprawiała swojego męża w zakłopotanie tym, że nie była tak wymagająca, jak by sobie życzył, i nie umiała utrzymać dyscypliny. Czego jednak można było oczekiwać? Nie dorównywała mężowi w sprawach doktryny. Była utalentowaną pianistką i absolwentką college'u. Ta wyrafinowana osoba z miasta niewątpliwie czuła się sfrustrowana i często w sposób emocjonalny i nieprzewidywalny okazywała wielkie rozżalenie koniecznością spędzania życia w lesie z tysiącami chłopców. Miała, jak to zawsze delikatnie ujmowano, „artystyczny temperament”. W przeciwieństwie do męża, który utrzymywał w karcach te bardziej

zwierzęce aspekty ludzkiej natury, Pani Wodzowej zdarzało się wrzeszczeć czasami wniebogłosy w napadach frustracji lub złości. Wiadomo też było, że czasami wymykała się do fortepianu, żeby pograć zmysłowe i wesołe melodie, kiedy mąż był poza zasięgiem słuchu. Pieprz też pewnie lubiła.

Może więc to, co stało się z jej synami, było winą Pani Wodzowej. Tak zapewne uważał sam Wódz. Obaj chłopcy wyrwali się z rodzinnego domu przy pierwszej nadarzającej się okazji. Pierworodny Harold sprawił ojcu największą kłopotów. Nie umiesz błagać? Nie, Harold Johnson nie umiał błagać i nie potrafił podporządkować się ojcu. I nie mógł wytrzymać w domu. Jak napisał kilkadziesiąt lat później w swoim chłopięcym dzienniczku siostrzeniec Harolda, Eustace: „Choć ucieczka jest głupotą, myślę, że w lesie byłbym szczęśliwszy. Jeśli odejdę, zrobię wszystko, by nie wrócić, nawet gdybym miał przymierać głodem. Wszystko jest lepsze od tego”.

Harold uciekł na Alaskę, kiedy miał siedemnaście lat. Jak pokolenia amerykańskich chłopców przed nim, ruszył ku pograniczu, by wydostać się spod władzy rodzicielskiej. Nie mógł przebywać pod jednym dachem ze swoim ojcem. Nie byli w stanie prowadzić ze sobą żadnego dialogu. Ojciec nigdy nie chwalił Harolda, nigdy mu nie popuścił, nie dał choćby cala przestrzeni, żeby chłopiec mógł się poruszać i rozwijać. Harold natomiast zamierzał wyrosnąć na dużego mężczyznę i doszło do tego, że nie było tam już miejsca dla nich obu. Harold musiał odejść.

Poczytał trochę Jacka Londona i nabrał ochoty na wędrówkę. Kiedy dotarł do Seward, miał w kieszeni zaledwie pięćdziesiąt centów. Był głodny, przerażony i samotny, ale całkowicie pewny, że za nic nie wróci do Obozu Sekwoja. Znalazł pracę przy

budowie drogi. Potem sprawił sobie motocykl i poszedł do szkoły, żeby nauczyć się naprawiać silniki. A potem, w przededniu drugiej wojny światowej, zaciągnął się do piechoty morskiej (ku przerażeniu ojca, zadeklarowanego pacyfisty od czasu, kiedy był świadkiem masakry w okopach Francji). Harold stacjonował na Hawajach, gdzie uczył pilotów wojskowych technik przetrwania w dżungli. Po wojnie nie zamierzał wracać na Południe i prowadził na Alasce jeden interes za drugim... lodziarnię, sprzedaż łodzi, usługi wywoływania kolorowych slajdów na zamówienia składane pocztą. Potem budował i sprzedawał generatory prądowórcze, co w stanie, który wciąż nie miał sieci energetycznej, było zajęciem lukratywnym. Wreszcie założył przedsiębiorstwo produkcji silników wysokoprężnych i został milionerem. Był bardzo wysoki, silny i dziarski. Uważano go za zniewalającego mężczyznę o szerokich horyzontach, odpowiedzialnego i niezwykle pracowitego, przebojowego, skąpego w pochwałach i niechętnie przyjmującego opinię innych.

Kiedy Wódz Johnson zmarł, nie miał kto po nim przejąć Obozu Sekwoja. Żaden z synów nie zamierzał go prowadzić dalej. Harold nienawidził Południa i miał do zarządzania własne imperium na Alasce. Bill, młodszy i bardziej niespokojny, spośród wielu możliwości wybrał to najbardziej heretyckie zajęcie, został mianowicie deweloperem. Jego pragnieniem było sprzedać pod zabudowę i dla pozyskania drewna część pięknie zalesionego terenu Obozu Sekwoja, który ojciec zachował przez tyle dziesięcioleci.

Należy zwrócić uwagę na pewną istotną rzecz dotyczącą rodziny Johnsonów. Otóż nie rozważano nigdy możliwości poprowadzenia obozu przez córkę Wodza. Mimo głębokiego zaangażowania Karen w ojcowską wizję oraz umiejętności, jeśli chodzi o

życie na pustkowiu, nigdy nie brano pod uwagę jej kandydatury na przywódczynię. Może uważano, że nie jest wystarczająco silna. Natomiast widziano w tej roli jej męża, który wręcz palił się do tego, by poprowadzić obóz. A my oczywiście pamiętamy, że jej mężem był Eustace Robinson Conway III.

To właśnie Duży Eustace po MIT przybył do Obozu Sekwoja, żeby pracować z dziećmi i obcować z przyrodą. Jedną z gwiazd instruktorskich Wodza, człowiek błyskotliwy, energiczny, zaangażowany i fizycznie sprawny, Duży Eustace uwielbiał głuszę, był rekordzistą obozu w marszu na wytrzymałość, utalentowanym nauczycielem i cierpliwym przywódcą chłopców. W obozie go uwielbiano. (Byłam kiedyś w Obozie Sekwoja podczas zjazdu koleżeńskieg0 i poznałam tam dorosłych mężczyzn, którzy na moją wzmiankę o Eustacie Conwayu, niezwykle się ucieszyli. Marzyli o tym, by go znowu zobaczyć, ponieważ był tak znakomitym nauczycielem przyrody i oni go uwielbiali. Oceniałam ich wiek, zrobiłam drobne wyliczenie i zdałam sobie sprawę z tego, że oni mówią o ojcu mojego Eustace'a). Z tym swoim matematycznym umysłem i umiłowaniem przyrody Duży Eustace uważał, że zarówno jego mózg, jak i duch predestynują go do przejścia pewnego dnia Sekwoi. I jak przyznał mi się otwarcie, poślubił Karen Johnson w połowie dlatego, że była taką osobą, jaką była, a w połowie, by dostać w swoje ręce obóz jej ojca.

Trzeba przyznać, że pewnie byłby doskonałym administratorem. Jak wspomniał jeden z uczestników, Duży Eustace był „równie pedantyczny, równie zaangażowany i równie kompetentny jak sam Wódz. Wszyscy zakładaliśmy, że pewnego dnia przejmie obóz. Nie widzieliśmy nikogo innego, kto mógłby go poprowadzić,

zachowując standardy wyznaczone przez Wodza”. Jednak w te-
stamencie Wodza nie znaleziono stosownego zapisu. A Harold i
Bill oświadczyli, że nigdy nie pozwolą na to, by obóz wpadł w
łapy ich szwagra. Nienawidzili męża swojej siostry. Nienawidzili
go za intelektualną arogancję i okazywane im lekceważenie. Uwa-
żali go za oportunistę i nie zamierzali dopuszczać go do tego miej-
sca.

I tak obóz kulał przez lata kiepskiego zarządzania, prowadzony
przez ludzi mniejszego kalibru, spoza rodziny. Jeśli chodzi o Du-
żego Eustace'a, to porzucił on swoje marzenia o nauczaniu przy-
rody i zaczął pracować jako inżynier w zakładach chemicznych.
Mieszkał w pudełku, pracował w pudełku, jeździł z pudełka do
pudełka w pudełku na kołach. Nigdy nie pokazał się w pobliżu
obożu. A kiedy Mały Eustace okazał się upartym i krnąbrnym
chłopcem, który wołał las od szkoły, Duży Eustace mówił mu, że
jest „dziwaczny, nienormalny, uparty i nieznośny”. I dodawał:
„Zupełnie jak twoi wujowie”.

Obóz dogorywał. Solidne, ręcznie budowane chaty z bali opu-
stoszały. Kiedy w latach siedemdziesiątych został ostatecznie
porzucony, Mały Eustace Conway był nastolatkiem. Był już
wprawnym człowiekiem lasu i zaciekłym przywódcą, takim, który
potrafi spowodować, by wszystkie dzieciaki z okolicy pracowały
na zmiany, opiekując się jego kolekcją żółwi.

„Chcę mieć Obóz Sekwoja - mówił Mały Eustace. - Dajcie mi
go! Pozwólcie mi go poprowadzić! Wiem, że potrafię!”

Oczywiście nikt go nie słuchał. Był przecież tylko nastolat-
kiem.

Lato 1999 roku.

Kiedy Eustace Conway wrócił do swojego tysiąca akrów Żółt-wiej Wyspy po przygodach związanych z przejechaniem Ameryki wszerz na końskim grzbiecie, a potem bryczką, zastał w swoim raju potworny bałagan.

Po latach udoskonaleń i rozwoju Żółt-wia Wyspa nie była już surowym rezerwatem przyrody, tylko dobrze zorganizowanym i funkcjonalnym staroświeckim gospodarstwem. Usiana była budynkami, a każdy z nich Eustace wybudował w innym tradycyjnym stylu. Owszem, wciąż było tam jeszcze jego solarne biuro. Postawił jednak kilka innych budynków, włącznie z wygodnym domem dla gości, zwanym „Dla Wszystkich”, którego projekt oparł na konstrukcji tradycyjnej stodoły sąsiada.

Zbudował elegancką szopę na narzędzia, dokładnie taką, jakie budowano w czasach Daniela Boone'a, włącznie z ręcznie zbijanymi dębowymi drzwiami i ręcznie kutymi zawiasami oraz ze szczelinami wypełnianymi obornikiem i gliną. Tę konstrukcję oparł na zabytkowych budynkach, które oglądał w różnych miejscach kraju. Zbudował chlew z łączonych na jaskółcze wczepy bali, karbowanych w tradycyjnym appalaskim stylu. I kurnik, który miał kamienny fundament, wpuszczony dziewięć cali w grunt, żeby drapieżniki nie mogły się podkopać i wykraść jaj. I spichlerz na ziarno z porządnymi sosnowymi podłogami, a jeśli „za sto lat ktoś będzie miał pretensje, że użyłem sosny, to trudno. Musiałem wykonać robotę”. Wybudował kuźnię z robinii i dębu, dokładnie w tym samym miejscu, w którym dwieście lat wcześniej też stała kuźnia, kiedy to, co teraz nazywa się Żółt-wią Wyspą, było jedynym traktem dla całego dużego fragmentu Appalachów. Wykorzystał kamienie z pierwotnego budynku do postawienia palenisk,

przy których wykonuje wszystkie kowalskie roboty. Stworzył kuchnię na otwartym powietrzu. I w ciągu lata z zespołem złożonym z dziesiątków młodych ludzi, którzy nigdy wcześniej nie pracowali na budowie, postawił wysoką na stajnię z robinii, sosny i topoli, w której nie było ani jednej przepiłowanej deski, za to były długie na sześćdziesiąt stóp belki i dach wspornikowy, i tysiące ręcznie przycinanych gontów, i sześć boksów dla koni.

I jeszcze wiele więcej.

W samym środku budowlanego szaleństwa pewna pani profesor antropologii z Karoliny Północnej usłyszała o tym utalentowanym młodym człowieku, który mieszka w górach, stawia budynki bez użycia gwoździ, obrabia pola, wykorzystując zwierzęta pociągowe, i żyje z tego, co wyhoduje i upoluje. Zaintrygowana wysłała studenta, żeby zapytał Eustace'a, czy nie zszedłby z gór, żeby wygłosić prelekcję i wyjaśnić studentom, w jaki sposób tego wszystkiego dokonał. Eustace się zastanowił, po czym odesłał studenta z prostą wiadomością dla pani profesor: „Powiedz jej, że dokonałem tego cholernie ciężką harówką”.

Żółwia Wyspa stała się rozległym i skomplikowanym miejscem. Nadal organizowano programy edukacyjne, a do tego prowadzenie farmy wymagało ogromnego wysiłku. Trzeba było zajmować się końmi, krowami i indykami, utrzymywać porządek w stodole, naprawiać ogrodzenia, orać pastwiska, uprawiać ogródki, belować siano. Eustace zostawił Żółwią Wyspę w rękach swoich praktykantów, ale zrobił to z ogromną obawą. Zanim wyruszył na swoje konne wyprawy, wręczył im spisy prac i wygłosił parę instruktażowych wykładów, chcąc się upewnić, że będą wiedzieli, jak dbać o posiadłość. W końcu i tak zawęził swoje polecenia do dwóch najważniejszych: „Błagam, tylko nie zabijcie żadnego

z moich zwierząt i nie spalcie żadnego budynku”.

Cóż nie zabili żadnego z jego zwierząt. Nie spalili też żadnego budynku. Ale kiedy wrócił, odkrył, że na Żółtwej Wyspie zapanał chaos. Ogródki były zachwaszczone; mostki wymagały napraw; kozy tkwiły na niewłaściwym pastwisku; ścieżki pozarażały. Nikt nie zajmował się reklamą i harmonogramem, co oznaczało, że tej jesieni żadna szkolna grupa nie odwiedzi Żółtwej Wyspy, a to z kolei oznaczało, że zimą zabraknie pieniędzy.

Pracownicy Eustace'a byli chętnymi i ciężko pracującymi ludźmi, pozostaje jednak faktem, że nie znalazł nikogo, komu z pełnym zaufaniem powierzyłby zarządzanie Żółtwej Wyspy, tak żeby nie podupała podczas jego nieobecności. Oczywiście trudno sobie wyobrazić, by ktokolwiek był zdolny lub chętny poświęcać na to tyle czasu co on. Miał kilku praktykantów, którzy dobrze sobie radzili z ludźmi, inni z żywym inwentarzem, niektórzy świetnie pracowali fizycznie, a paru miało nawet pewien talent do interesów. Jednak nikt nie potrafił robić tego, co on, czyli w s z y s t k i e g o . I nikt nie był skłonny pracować cały dzień przy budowie stajni, a potem spędzić całą noc na telefonowaniu i wpi-sywaniu aktów własności.

Tak naprawdę to potrzebny mu był sklonowany Eustace.

W jego miejsce, w miejsce nieosiągalnego klonu, zatrudnił kierownika programu, utalentowanego młodego przyrodnika, który mógł przejąć obowiązki związane z prowadzeniem obozu i edukacyjną rolą Żółtwej Wyspy, żeby Eustace mógł się skupić na swoim ukochanym dziecku - programie praktykanckim. Eustace wierzył, że dzięki temu intensywnemu programowi nauczania uzyska najlepsze rezultaty. Już dużo wcześniej zaczął mieć wątpliwości,

czy zajmowanie się kolejnymi grupami złożonymi z przypadkowych obozowiczów rzeczywiście cokolwiek zmieni w amerykańskim społeczeństwie.

„Siedzę pod orzechem, na świeżo skoszonej trawie parkingu - zapisał w swoim dzienniku w jednej z takich chwil wątpliwości, niedługo po otwarciu Żółtej Wyspy. - Powinienem się teraz zajmować gotowaniem kolacji dla młodocianych przestępców z grupy «młodzieży zagrożonej». Nie mam ochoty na kontakt z nimi. Niech cierpią i umierają, oto podejście, jakie bardzo szybko u siebie wyrobiłem, kiedy stanąłem wobec ich destrukcyjnego braku szacunku. Czuję się słaby... nie wiem, czy rzeczywiście chcę uczynić to miejsce takim, o jakim marzyłem. Wiem, że u m i a ł - b y m . U m i a ł b y m odnieść sukces, ale czy ja tego rzeczywiście chcę?”

Doszedł do wniosku, że odpowiedzią jest utrzymanie obozów i programów dziennych, ale musi wyznaczyć do kierowania nimi kogoś innego, tak żeby sam mógł się skupić na praktykantach. Chciał wykorzystać swoją energię i umiejętności na osobiste, długoterminowe, bezpośrednie relacje, jakie stworzy pomiędzy sobą a swoimi uczniami. Potem oni zabiorą swoje umiejętności w szeroki świat i będą uczyć innych, a ci kolejnych, i w ten sposób dojdzie do zmian, może wolniej, niż sobie wymarzył, kiedy miał dwadzieścia lat, ale jednak dojdzie do zmian.

Był tego p r a w i e pewny.

Pojawiła się dziewczyna. Hipiska. Miała na imię Alice. Alice najbardziej ze wszystkiego kochała przyrodę i chciała mieszkać w lesie, i być samowystarczalna, a jej siostra, która знаła Eustace'a Conwaya, powiedziała: „Alice, to ktoś dla ciebie”. Dziewczyna

skontaktowała się z Eustace'em i powiedziała mu, że chce żyć blisko natury, tak jak on. Pewnego popołudnia odwiedziła Żółtą Wyspę i Eustace oprowadził ją po posiadłości, wręczył kilka swoich broszur i powiedział, żeby się zastanowiła, czy nie chciałaby popracować jako praktykantka. Rzuciła okiem na szemrzące strumyki, rozkołysane drzewa, pasące się na łąkach zwierzęta i na ten uspokajający napis powitalny na bramie („Nie ma koszuli, nie ma butów, nie ma problemu!”) i pomyślała, że dotarła do rajku.

Wkrótce napisała do Eustace'a: „Moje instynkty mówią TAK! Z tego, co zdołałam zobaczyć i przeczytać, Żółta Wyspa ma cechy, które są mojemu sercu najbliższe. Jest niczym spełnione marzenie. Jestem również wdzięczna za serdeczne przyjęcie i będę zaszczycona, mogąc tam mieszkać, pracować, uczyć się i cieszyć się Tobą i tą ziemią. Pamiętam, jak będąc dziewczynką, oglądałam *Domek na prerii* i marzyłam, że kiedyś będę wieść takie życie, zamiast je oglądać. Oddanie rodzinie, życie w harmonii z naturą. Ach... słodkie życie”.

Po siedmiu miesiącach spędzonych na Żółtej Wyspie Alice napisała do Eustace'a zupełnie inny list:

„Kiedy tu przyjechałam, poprosiłam o jeden dzień wolny w tygodniu. Powiedziałeś mi, że na to nie zasługuję. A przecież Jennie dostała wolny dzień już w drugi weekend. Pokazałeś jej, jak ściągać skórę z jelenia, kiedy ja musiałam harować dla Ciebie, żebyś choć zobaczył we mnie uczennicę (...), zmuszasz mnie do takiej ciężkiej pracy (...), sprawiasz, że czuję się niegodna (...), czuję się niedoceniana i niechciana (...), mówisz, że im lepiej mnie poznajesz, tym bardziej jesteś rozczarowany (...), zmuszasz mnie do dziesięciu, dwunastu godzin pracy na dobę (...), może nie powinno mnie tu w ogóle być”.

A potem już Alice nie było. Wyrzucona. Zwolniona.

W czym tkwił problem? Co wydarzyło się w ciągu tych siedmiu miesięcy pomiędzy „słodkim życiem” a „może nie powinno mnie tu w ogóle być”?

Cóż, według Eustace'a problem tkwił w tym, że Alice była hipiszką, marzycielką, próżniaczką. Nadużywała w życiu narkotyków i może dlatego myślała powoli, była roztargniona i miała problem z nauczeniem się czegokolwiek. Nie pracowała szybko i wydajnie. Nie potrafiła opanować żadnych nowych umiejętności, nieważne, ile razy by jej to pokazywano. Zaprzątała Eustace'owi głowę, przesiadując w jego biurze, żeby porozmawiać o przyrodzie i o swoich uczuciach, i o śnie, jaki miała minionej nocy, i o wierszu, jaki właśnie napisała. Co gorsza, Eustace obawiał się, że Alice może przypadkiem zabić kogoś albo samą siebie. Często na przykład zostawiała płonące świece na parapetach drewnianych budynków. Kilkakrotnie powędrowała, śniąc na jawie, prosto pod padające pnie, tam gdzie Eustace karczował kawałek lasu pod pastwisko. A najgorsze się wydarzyło, kiedy pewnego dnia pracowała z Eustace'em i on właśnie wsiadał do bryczki, żeby poćwiczyć młodego konia, a ona, zanim podała mu lejce, uwolniła przywiązane zwierzę. Koń, młody i płochliwy, ruszył jak szalony, a Eustace tkwił w bryczce, z gołymi rękoma, bezsilny i nie miał żadnej możliwości opanowania zwierzęcia. Koń rwał przez las, podczas gdy Eustace myślał, jak zapewnić sobie miękkie lądowanie i kiedy wyskoczyć. Ostatecznie dał nura w krzaki przy szybkości dwudziestu pięciu mil na godzinę, padając na twarz i poważnie się kalecząc. Koń rozbił pojazd o ścianę kuźni, sam również odnosząc przy tym obrażenia.

„Miesiącami pracowałem nad renowacją tej zabytkowej

bryczki, należącej kiedyś do menonitów - wspominał Eustace - a teraz się roztrzaskała. Kosztowało mnie to dwa tysiące dolarów. I pewnie dziesięć tysięcy byłoby za mało za szok, jaki przeżył taki młody koń. Prawie rok zabrało mi doprowadzenie zwierzęcia do takiego stanu odprężenia, żeby można go było zaprząć do bryczki. I wszystko to z powodu niedbalstwa Alice”.

Dwa tygodnie później popełniła ten sam błąd. Wtedy właśnie Eustace powiedział jej, że musi odejść. Była zbyt bezmyślna i niebezpieczna, żeby zostać, za bardzo jak się zdaje zagubiona w świecie fantazji swojego „domku na prerii”.

Odprawianie praktykantów nigdy nie jest łatwe, szczególnie jeśli ktoś tak jak Eustace Conway utrzymuje, że każdy może nauczyć się żyć w prymitywnych warunkach, a on każdego potrafi tego nauczyć. To porażka i rozwianie marzeń, kiedy trzeba komuś powiedzieć: „Musisz odejść, bo się nie sprawdzasz”. To okropny moment, kiedy śpiewka Eustace'a zmienia się z „Dasz radę!” w „Nie dasz rady!”

Spytałam go kiedyś, jaki odsetek praktykantów opuścił Żółwią Wyspę w przykrych okolicznościach. Bez wahania odparł: „Osiemdziesiąt pięć procent. Choć zapewne kierujący programem powiedziałby, że w rzeczywistości ta liczba jest bliższa dziewięćdziesięciu pięciu”.

W porządku, zaokrąglimy to do dziewięćdziesięciu. Trudno myśleć o tym i nie uznać Eustace'a za kiepskiego przywódcę. Ostatecznie Żółwia Wyspa to jego świat i on jest odpowiedzialny za to, co się tam dzieje. Jeśli nie potrafi utrzymać zaludnienia w swoim świecie, to znaczy, że w tym projekcie tkwi jakiś zasadniczy błąd. Gdybym była udziałowcem w firmie, z której każdego

roku odchodzi albo jest wyrzucanych dziewięćdziesiąt procent pracowników, rozważyłabym zadanie jej szefowi kilku poważnych pytań dotyczących polityki zarządzania.

Ale może ta liczba ma sens. Może nie powinno być łatwo utrzymać się na Żółtwej Wyspie. Może tylko dziesięć procent populacji jest do tego zdolne. A co, jeśli byśmy porównali te dane z danymi dotyczącymi SEAL, sił specjalnych amerykańskiej marynarki? Ilu facetów tracą tam każdego roku? I kto zostaje, gdy ci wszyscy inni odejdą? Najsilniejsi, zgadza się? Natomiast ludzie, którzy udają się na Żółtwią Wyspę niekoniecznie najbardziej się tam nadają.

„Nieustannie - powiedział Eustace - przyciągam ludzi, którzy marzą o przyrodzie, ale nie mieli z nią żadnego kontaktu. Przyjeżdżają tutaj i jedyne porównanie, jakie przychodzi im do głowy to: «Ojej, wygląda tu zupełnie jak na Kanale Przyrodniczym»,».

Jednym z moich ulubionych praktykantów na Żółtwej Wyspie był Jason, inteligentny młody człowiek o łagodnym głosie. Wywodził się z zamożnej podmiejskiej rodziny, wychowano go w komforcie i wykształcono starannie w drogich prywatnych szkołach. Kiedy go spytałam, dlaczego chce poświęcić kolejne dwa lata życia nauce pod kierunkiem Eustace'a Conwaya, odparł: „Ponieważ byłem nieszczęśliwy i nie miałem pojęcia, gdzie indziej mógłbym się udać, żeby to zmienić”.

Przygnębiony niespodziewaną śmiercią ukochanego ojca, rozgniewany na matkę za „ciasne pojmowanie chrześcijańskiej wiary”, zirytowany na „bezużytecznych profesorów”, zde gustowany rówieśnikami, „którzy kierowani ignorancją nie chcą słuchać moich piosenek i zawartych w nich ostrzeżeń przed niszczeniem środowiska naturalnego”, Jason odszedł z college'u. Kiedy usłyszał o

Eustacie, pomyślał sobie, że pobyt na Żółtwej Wyspie dostarczy mu oświecenia. Postrzegał Eustace'a jako imponującego bohatera, który „rusza w świat na spotkanie przeznaczenia, nie lękając się przeszkód, i który potrafi sprawić, że rzeczy działają, w sytuacji, kiedy większość ludzi pozwala, by niszczały i przestawały funkcjonować”.

W dramatycznym geście Jason postanowił przebyć pieszo całą drogę z Charlotte do Żółtwej Wyspy podczas bożonarodzeniowych ferii, pokonał jednak tylko pięć mil. Padał marznący deszcz, on miał za dużo bagażu i nie wiedział, gdzie rozbić biwak i co zrobić, żeby nie przemoczyć do nitki ubrania. Zniechęcony i głodny zadzwonił ze stacji benzynowej do swojej dziewczyny, a ona zawiozła go na miejsce samochodem.

Marzeniem Jasona było osiągnięcie doskonałej samowystarczalności. Nie chciał mieć nic wspólnego z zakłamanymi Amerykanami i ich głupim, materialistycznym podejściem do życia. Planował przeprowadzkę na Alaskę i osiedlenie się tam, na tym ostatnim pograniczu. Chciał żyć z tego, co daje ziemia, i miał nadzieję, że Eustace go tego nauczy. Wyobrażał sobie, że życie na Alasce będzie lepsze, bo tam „człowiek może wciąż polować, żeby nakarmić rodzinę, bez tej zbędnej biurokracji, jaka wiąże się z uzyskaniem licencji”.

- Polowałeś kiedyś? - spytałam Jasona.

- No cóż, jeszcze nie - odpowiedział, uśmiechając się z zażenowaniem.

Jason stanowił modelowy przykład młodego człowieka, który zgłasza się do Eustace'a Conwaya po naukę. Próbował znaleźć sposób, jak być mężczyzną w społeczeństwie, które już nie oferuje mu jasnej drogi. Podobnie jak kilkunastoletni Eustace usiłował

znaleźć rytuały, które wprowadziłyby go w dorosłość, teraz Jason starał się znaleźć jakiś sposób, który pomógłby mu określić samego siebie. Nie miał jednak żadnych wzorów, jego kultura nie dysponowała zadowalającymi obrzędami związanymi z inicjacją, a jego wychowanie nie dało mu żadnej z tych męskich umiejętności, które uważał za takie atrakcyjne. Był, jak sam przyznawał, zagubiony.

To samo niepokojące, dotyczące kultury pytanie zadawał sobie przez całe lata Joseph Campbell. Co dzieje się z młodymi ludźmi w społeczeństwie, które utraciło wszelkie rytuały? Bo dorastanie jest okresem przejścia i zawsze jest to podróż niebezpieczna. A kultura i rytuał mają nas chronić w okresach przejścia, zapewniając nam bezpieczeństwo i nie pozwalając oddzielić się od reszty społeczności podczas tych najtrudniejszych osobistych wędrówek.

W społecznościach pierwotnych chłopiec może spędzić nawet cały rok na rytuałach inicjacyjnych, które wprowadzają go w dorosłość. Bywa poddawany pozostawiającym blizny okaleczeniom, surowym sprawdzianom wytrwałości albo odsyłany, by spędził jakiś czas samotnie na medytacjach, po to by po powrocie do społeczności mógł być postrzegany jako całkowicie odmieniona istota. Jego przejście z chłopięctwa w męskość odbywa się w sposób bezpieczny, a on dokładnie wie, kiedy to następuje i czego po nim oczekują, ponieważ jego rola jest precyzyjnie zdefiniowana. A skąd niby współczesny amerykański chłopiec ma wiedzieć, że osiągnął wiek męski? Kiedy dostanie prawo jazdy? Kiedy pierwszy raz zapali trawkę? Kiedy doświadczy seksu bez zabezpieczenia z dziewczyną, która sama nie ma pojęcia, czy jest już kobietą, czy jeszcze nie?

Jason nie wiedział. Wiedział jedynie, że bardzo pragnie

potwierdzenia dorosłości, a studenckie życie mu tego nie daje. Nie miał pojęcia, gdzie znaleźć to, czego szuka, ale kierował się nieodpartym przekonaniem, że Eustace może mu pomóc. Jason miał śliczną dziewczynę i roił mu się romantyczny pomysł, że kiedyś osiadą razem na Alasce, ale ona najwyraźniej miała własne pomysły. Była młodą, zamożną, błyskotliwą studentką, tak samo odruchowo feministyczną jak większość jej pokolenia, i miała ochotę obejrzeć świat. Roztaczały się przed nią nieograniczone perspektywy. Jason miał nadzieję, że ostatecznie „się ustakuje” u jego boku, ale mnie wydało się to wątpliwe i rzeczywiście, po kilku miesiącach go zostawiła. Co nie bardzo pomogło mu poczuć, że staje się prawdziwym mężczyzną.

Dyskomfort, jaki Jason odczuwał na własnej skórze, wydawał mi się typowy dla młodych Amerykanów, którzy obserwują, jak ich rówieśnicy wzbijają się wysoko i szybko, a oni mają problem z dotrzymaniem im kroku. Bo ostatecznie, co widzi Jason, kiedy spogląda na amerykańskie społeczeństwo? Poza kryzysem środowiskowym i konsumenckim, który tak często rani jego wrażliwość, ma do czynienia ze światem totalnego zamieszania na tle kulturowej tożsamości płci. Zważcie bowiem, że mężczyźni wciąż jeszcze rządzą, ale to się szybko zmienia. Współcześni Amerykanie są społeczeństwem, w którym w ciągu ostatnich dwudziestu pięciu lat dochody mężczyzn z wyższym wykształceniem spadły o dwadzieścia procent. Społeczeństwem, w którym więcej kobiet niż mężczyzn kończy szkoły średnie i studia i w którym przed kobietami codziennie otwierają się nowe możliwości. Społeczeństwem, w którym jedna trzecia żon zarabia więcej od swoich mężów. Społeczeństwem, w którym kobiety w coraz większym stopniu

decydują o swoim biologicznym i ekonomicznym losie, często wybierają samotne wychowywanie dzieci albo rezygnują z posiadania dzieci w ogóle, albo też korzystają z pomocy dobrodziejstwa, jakim jest bank spermy, wykluczając z cyklu reprodukcyjnego mężczyznę o znanej sobie tożsamości. Innymi słowy, społeczeństwem, w którym mężczyzna nie jest już niezbędny do tego, do czego zwyczajowo był potrzebny... do ochrony, dostarczania pożywienia, do prokreacji.

Byłam ostatnio w Nowym Jorku na meczu żeńskiej koszykówki. Jako dziewczyna grałam z zapałem w tę grę, ale wtedy nie było czegoś takiego jak Zawodowa Liga Koszykówki Żeńskiej, więc z wielkim zainteresowaniem obserwowałam rozwój tej ligi w ostatnich latach. Uwielbiam chodzić na mecze i patrzeć, jak utalentowane sportswomenki współzawodniczą ze sobą za przyzwoite honoraria. Przede wszystkim jednak lubię obserwować osoby kibicujące, którymi zwykle są rozentuzjasmowane, wysportowane dziewczynki. Tego wieczoru, podczas meczu New York Liberty, żeńskiego zespołu koszykówki, zobaczyłam coś zdumiewającego. Kilka dwunastolatek zerwało się z miejsc i rozwinęło płótno z napisem:

**NIECH ŻYJE LIGA KOSZYKÓWKI ŻEŃSKIEJ!
DO CZEGO POTRZEBNI NAM CHŁOPCY?**

Kiedy publiczność wzniosła wesołe okrzyki, pomyślałam sobie, że dziadek Eustace'a Conwaya na pewno przewraca się w grobie.

Zatem jeśli uwzględnić obecną kulturę, nie jest dziwne, że gość taki jak Jason chciałby się wynieść na Alaskę i odzyskać jakiś szlachetny i staroświecki ideał męskości. Miał on jednak do

pokonania ogromny dystans - wcale nie geograficzny - zanim mógł zacząć pionierskie życie, zanim mógł się nauczyć tego, do czego zmierzał. Jason był gorliwy i bez wątplenia szczery. Miało wspaniały uśmiech i Eustace lubił jego towarzystwo i piosenki ostrzegające przed niszczeniem środowiska. Jasona „ja” było jednak delikatne i wrażliwe jak świeża rana, a on pokrywał to pewną arogancją, co z kolei utrudniało mu naukę. A ponieważ wychowywany był pod kloszem, kompletnie brakowało mu zdrowego rozsądku. Wkrótce po przyjeździe na Żółtą Wyspę pożyczył jeden z roboczych pick-upów Eustace'a na wypad do Karoliny Południowej i jechał z prędkością siedemdziesięciu pięciu mil na godzinę, mając włączony napęd na cztery koła.

Jak powiedział potem zdumiony Eustace: „Aż trudno mi uwierzyć, że pick-up w ogóle przetrwał tak długą trasę”.

Samochód dowiózł Jasona na miejsce i dopiero wtedy silnik wysiadł.

- Nie zauważyłeś nic dziwnego w zachowaniu samochodu? - spytał Eustace Jasona, kiedy ten zadzwonił, by go poinformować, że blok silnika „nagle” pękł.

- Rzeczywiście robił dużo hałasu - przyznał Jason. - Wydawało się to nieco dziwne. Silnik ryczał i tak głośno zgrzytał, że musiałem bardzo głośno włączyć muzykę, żeby zagłuszyć hałas.

Naprawa najlepszego pick-upa kosztowała Eustace'a tysiące dolarów.

Przez następne dziewięć miesięcy praktykowania Jason (który ostatecznie zrezygnował na długo przez upływem umówionych dwóch lat, bo przestał tolerować przywództwo Eustace'a) nabył imponującej biegłości w uprawie roli dawnymi metodami oraz

innych siermiężnych umiejętności, tyle że przy okazji zniszczył jeszcze dwa pojazdy Eustace'a. A kiedy ten zapytał, czy nie zwróciłby mu choćby części pieniędzy za szkody, Jason poczuł się głęboko urażony. Jak śmie ten tak zwany człowiek natury demonstrować takie przywiązanie do rzeczy materialnych! Cóż za hipokryta!

„Nie poniewieraj mną - napisał Jason do Eustace'a wkrótce po opuszczeniu Żółtwej Wyspy. - Nie ma powodu, bym tak się czuł. Potrzebuję związków, które wzbogacają moje życie, nie takich, które mnie przygnębiają. Czuję, że Twój samochód jest dla Ciebie ważniejszy ode mnie... A przecież jak powiedział Lester z *American Beauty*: «To tylko pieprzona kanapa!»”

W życiu Eustace'a wielokrotnie zdarzały się takie sytuacje. Najpierw ludzie otaczają go czcią, a potem są przerażeni, kiedy odkrywają, że nie przypomina boskiego ideału. Z grubsza rzecz biorąc, ci, którzy przychodzą do niego, to ludzie poszukujący, i kiedy spotykają tę charyzmatyczną ikonę, są przekonani, że ich poszukiwanie dobiegło końca, że znajdują odpowiedź na wszystkie pytania i właśnie dlatego tak szybko i bezwarunkowo powierzają mu swoje życie. Nie dotyczy to tylko młodych mężczyzn.

„Przez pięć dni przebywałam zanurzona w nieskończoności - napisała typowo zadziwiona młoda kobieta, po krótkiej wizycie na Żółtwej Wyspie. - Małeńkie fragmenty mojego oddechu zawisły wszędzie pośród wejmutek i wawrzynów. Dzięki Ci, Stwórcu! Dzięki, Eustasie! Wpłynęło to na mnie już na zawsze. To jedyne miejsce, w którym chcę być. Jeśli kiedyś będzie ci potrzebna czyjaś pomocna dłoń, dam swoje obie!”

Po takim chwalebny wstępie można boleśnie odczuć zderzenie z twardą rzeczywistością wyczerpującego życia na Żółtwej

Wyspie i odkrycia, że Eustace jest jeszcze jednym niedoskonałym człowiekiem z własną kolekcją pytań bez odpowiedzi. Niewielu szukających jest w stanie przetrwać ten wstrząs, który nazywam skutkiem conwayowskiego odgięciowego urazu kręgosłupa szyjnego. (A przy okazji: Eustace przyjął to określenie i zaczął się nawet zastanawiać, czy nie powinien rozdać swoim praktykantom kołnierzy ortopedycznych jako środka pomagającego im przetrwać nieuniknioną traumę rozczarowania. „Ludzie będą pytali: «Po co mi ten kołnierz, Eustasie?»», a ja pokiwiłam mądrze głową i powiem: «Och, zobaczysz, zobaczysz»”, żartuje sobie).

Z tego samego powodu utrzymanie trwałych więzi przyjaźni jest dla niego takim wyzwaniem. Są setki, może nawet tysiące ludzi blisko związanych z jego życiem, jednak większość z nich mieści się w dwóch kategoriach: albo oczarowani uczniowie, albo rozczarowani odstępcy. Większość ludzi nie jest w stanie na wystarczająco długo zrezygnować z postrzegania go jako ikony, by zaprzyjaźnić się z nim jako osobą. Zapewne na palcach jednej ręki mógłby wymienić ludzi, których uważa za bliskich przyjaciół, zresztą nawet i te relacje są często napięte, zarówno z powodu nieustannej obawy Eustace'a przed zdradą (która nie pozwoliła mu dążyć w przyjaźni do pełnej bliskości), jak i przez wyrażane z naciskiem przekonanie, że nikt tak naprawdę nie potrafi go zrozumieć (co też nie pomaga). Eustace nie wierzy nawet, że człowiek, którego nazywa swoim najlepszym przyjacielem - wrażliwy, życzliwy, wytrawny człowiek lasu, niejaki Preston Roberts, którego poznał w college'u, rozumie go tak do końca.

Jeszcze w college'u Preston i Eustace marzyli o tym, że wspólnie stworzą rezerwat przyrody i będą żyli blisko siebie razem z

rodzinami, które założą. Miał być tam również Frank Chambless, ten, który z Eustace'em przewędrował Szlak Appalachów. Kiedy jednak przyszedł czas zakupu Żółwiej Wyspy, Preston i Frank tylko w niewielkim stopniu włączyli się w tę operację. Frank kupił mały kawałek ziemi blisko rezerwatu, ale, ku niezadowoleniu Eustace'a, po kilku latach go sprzedał, bo potrzebował gotówki. Po tej sprzedaży Frank praktycznie zniknął z życia Eustace'a, który nigdy nie zgađł dlaczego.

Preston Roberts kupił ziemię w pobliżu Żółwiej Wyspy i ją zachował. Pracował przy wznoszeniu wielu budynków Żółwiej Wyspy i przez lata był instruktorem na letnich obozach. O czasu do czasu wyrusza razem z Eustace'em na konną wędrówkę, podczas której cieszą się swoim towarzystwem i wspaniałością przyrody. Preston darzy Eustace'a ogromnym podziwem i poszedłby za nim w ogień. Jednak mimo wielokrotnie powtarzanych zaproszeń nie przeniósł się tu z rodziną na stałe. Jak wyjaśniła to jego żona: „Mój mąż zawsze się trochę obawiał, że ich przyjaźń się rozpadnie, jeśli będzie musiał codziennie z nim pracować”.

Rzeczywiście tego rodzaju bliskość wydaje się ciężką próbą dla większości ludzi. Szczególnie w czasie praktyki. Oczywiście nie pomaga też to, że potencjalni praktykanci przybywający na Żółwią Wyspę są często rozchwiani emocjonalnie.

„Niektórzy z przyjeżdżających tutaj i chcących zostać na stałe - powiedział mi kiedyś Eustace - są najbardziej aspołecznymi i nieprzystosowanymi nieszczęśnikami w społeczeństwie. Myślą, że Żółwia Wyspa to miejsce, gdzie wreszcie poczują się szczęśliwi. Piszą do mnie w listach, jak bardzo nienawidzą ludzi... Jezu Chryste, wyobrażasz sobie próbę stworzenia z takich osobników

brygady roboczej? Wybierają się tu uciekające z domu nastolatki. Teraz akurat napisał do mnie ktoś z więzienia stanowego, że też chce tu przyjechać. Właśnie tego rodzaju niezadowolonych z życia wyrzutek przyciągam”.

Kiedy odwiedziłam Eustace'a w sierpniu 1999 roku, miał młodziutkiego praktykanta, którego nazwał Witka. Chłopak opuścił katastrofalnie dysfunkcyjną rodzinę w Ohio, po czym wyrzucano go z różnych zastępczych rodzin i miał kłopoty z policją. Eustace go przyjął, ponieważ kamieniem węgielnym jego filozofii jest przekonanie, że każdy potrafi sobie poradzić z prymitywnym stylem życia, jeśli tylko tego chce i zostanie odpowiednio przyuczony. Witka był jednak wyjątkowo nieznośnym, wojowniczym i niegodnym zaufania gówniarzem i kilkoro innych praktykantów (w tym czasie były tam trzy młode kobiety i trzech mężczyzn, mniej więcej normalna coroczna ich liczba) poprosiło Eustace'a, żeby oddalił chłopaka, bo szkodzi duchowi ich pracy. Eustace jednak chciał dać mu szansę i poświęcił wiele godzin na pracę z nim, na uspokojenie go i nauczenie, jak używać narzędzi, i starał się mu pokazać, jak żyć w zgodzie z ludźmi.

W niektórych dziedzinach nastąpiła pewna poprawa. Witka pojawił się na Żółtwej Wyspie słaby, blady i rozleniwiony. Po jakimś czasie w rezultacie ciężkiej pracy można już było zobaczyć każdy miesiąc jego klatki piersiowej i pleców. (Ta transformacja ludzkiej słabości w sprawność fizyczną uwidacznia się na Żółtwej Wyspie przez cały czas, a dla Eustace'a jest to najprzyjemniejsza do obserwowania przemiana). Nauczył się zaprzęgać konia do pługą i zajmować świniami, i gotować na otwartym ogniu. Któregoś wieczoru ugotował mi nawet zupę z larw os... według starożytnego przepisu Czirokezów. Niemniej ogrom tego, czego

chłopak musiał się jeszcze nauczyć, był niewyobrażalny.

Pewnego wieczoru udałam się z Eustace'em na odległe pole, żeby popatrzeć, jak będzie uczył Witkę pracy z pługiem talerzowym. Musieli zaciągnąć tam ten pług kawał drogi przez las na starych mocnych appalaskich saniach, do których zaprzęgnięto muła i konia pociągowego. Każdy element tej pracy niósł ze sobą potencjalne zagrożenie... niezgrabne i uparte zwierzęta, niestabilne sanie, ruchome łańcuchy, skórzane pasy i powrozy, ostre jak brzytwa ostrza starego pługa. Przeżywszy na Żółtwej Wyspie sześć miesięcy i wiedząc o tym wszystkim, chłopak wybrał się do tej roboty w klapkach.

- Osobiście nie prowadziłbym pługa na kamienistym pastwisku z takim humorzastym mułem jak Piotruś Królik, mając na nogach klapki - odezwał się do mnie Eustace, kiedy przyglądaliśmy się pracy Witki - ale jeśli on chce stracić stopę, to jego sprawa.

- Nie zamierzasz mu nic mówić? - spytałam.

- Dziesięć lat temu zrobiłbym to - powiedział znużonym głosem. - Zrobiłbym mu wykład o właściwym obuwiu roboczym i o zachowaniu ostrożności przy pracy ze zwierzętami i z ciężkim sprzętem, ale jestem już zmęczony ludźmi, którzy nie mają krzty zdrowego rozsądku. Mógłbym go pouczyć, mógłbym robić to siedemset razy dziennie, ale dotarłem do punktu, w którym zostało mi jedynie tyle energii, by powstrzymać ludzi od zabicia samych siebie, mnie albo pozabijania się nawzajem. Wiesz, kiedy Witka tu przyszedł, błagał, żebym rzucił go wprost w samą głuszę, bo chciał żyć blisko żywej przyrody. Ale prawdą jest, że on kompletnie o niczym nie ma pojęcia. W prawdziwej głuszy nie przetrwałby pięciu minut. On nie wie nawet, jak dużo nie wie. I ja ciągle

muszę mieć z czymś takim do czynienia... nie tylko w jego przypadku, ale setek takich jak on.

Po chwili zwrócił się do Witki, który zaczął orać rozległe pole dziwacznymi małymi kręgami:

- Posłuchaj. Za każdym razem, kiedy zawracasz te zwierzęta, zmuszasz do zwiększonego wysiłku ich pyski, siebie i ten sprzęt. Pomyśl o jakimś sensowniejszym sposobie, bez tylu ciasnych skrętów. Może byś tak zaorał długi odcinek, z jednego końca pola na drugi? Rozumiesz, o czym mówię? Może nawet zechcesz zaorać to tutaj z boczne, zalecam jednak robić to od dołu do góry, bo wciąż jeszcze jesteś niedoświadczony i pewnie nie masz ochoty wpaść z pługiem na swoje zwierzęta.

Chłopak znowu ruszył, by robić mniej więcej to, co mu poradzono.

- Będzie robił całe wieki - westchnął mój towarzysz. - Lepiej byłoby wrócić do biura i zająć się tymi siedmuset listami, które mam napisać, i tymi siedmuset rachunkami do zapłacenia. Muszę jednak zostać i uważać na niego, ponieważ nie ufam mu na tyle, żeby zostawić samego ze zwierzętami i maszyną. Dlaczego się w ogóle tym przejmuję? Bo mam nadzieję, że kiedyś nauczy się dawać sobie radę z tą robotą i kiedy powiem: «Idź, zaoraj to pole», on będzie wiedział dokładnie, co zrobić, a ja będę miał pewność, że robota zostanie wykonana prawidłowo. Ale daleko nam do tego. Przecież ten chłopak ma na nogach klapki! Popatrz tylko na niego.

Rzeczywiście był w klapkach i szortach, nie miał koszuli, a za uchem tkwił mu papieros.

- Lubię sobie myśleć - ciągnął Eustace - że uczę tych ludzi umiejętności, które kiedyś w życiu wykorzystają, ale kiedy

pomyśle o setkach ludzi, którzy się tutaj przez te lata przewinęli, nie potrafię przypomnieć sobie nikogo, kto dałby sobie radę z prowadzeniem całkowicie samotnie prymitywnego stylu życia. Może kiedyś się uda Christianowi Kaltriderowi. Był świetny. Teraz buduje sobie dom z bali na własnej ziemi i to mnie cieszy. Tutaj się tego nauczył. Jest też pewien chłopak, niejaki Avi Aski, który był świetnym praktykantem. Szuka kawałka ziemi w Tennessee i jemu może też się uda. Może.

Witka zbliżył się do nas z pługiem, zostawiając za sobą wijącą się ścieżkę wzruszonej gleby.

- Dobrze ci idzie - powiedział mu Eustace. - O wiele lepiej niż się spodziewałem.

Eustace rzucił tę pochwałę z twarzą pozbawioną wszelkiego wyrazu. Ja jednak pod tym obojętnym tonem usłyszałam ślad kontrolowanego gniewu, niecierpliwości i rozczarowania, które zazwyczaj słyszę w jego głosie o tej porze dnia, kiedy słońce zachodzi, a prace nie zostały wykonane i ktoś znowu coś partaczy. O tej porze wieczoru staje się całkiem oczywiste, że tak naprawdę to Eustace ma ochotę ustawić nas wszystkich w równym rzędzie i wbić nam do naszych głupich głów odrobinę rozsądku.

Oczywiście nigdy by nie...

- Dobra robota, Witka. Dzięki, że się starałeś - powiedział Eustace.

Eustace'owi często trafiają się praktykanci, którzy nigdy wcześniej nie trzymali w ręce wiadra. Daje im do wykonania najprostsze w świecie zadanie - „Idź napełnij to wiadro wodą” - a potem patrzy z przerażeniem, jak próbują przynieść pełne wiadro. Nie wiedzą, jak to zrobić. Trzymają je jak najdalej od ciała, przed sobą, ręką

ustawioną równoległe do ziemi, marnują energię i siłę na samo utrzymanie ciężaru. Skręca się z bólu, patrząc na to. Albo młotki. Zdarzają mu się młodzi ludzie, którzy nigdy wcześniej nie mieli do czynienia z młotkiem. Nie mają pojęcia, jak to narzędzie działa. Przychodzą do niego, twierdząc, że chcą żyć „samowystarczalnie”, ale kiedy prosi, żeby wbili gwóźdź, chwytają młotek zaciskając w pięści obuch i postukują jego zwężoną częścią.

„Kiedy to widzę - oświadcza poważnym głosem Eustace - odczuciem mi się żyć”.

Gdy uczy małe dzieci w szkołach, czasami próbuje zagrać z nimi w starą indiańską grę, polegającą na rzucaniu patykami przez turlającą się obręcz. Coraz częściej odkrywa jednak, że dzieci nie są w stanie wykombinować, jak puścić obręcz w ruch.

„To zupełne szaleństwo, żeby dziecko nie wiedziało, jak toczyć kółko! - złości się. - Pokazuję im, jak to zrobić, daję im obręcz, a ona im się od razu przewraca. Puszczają ją byle jak, a ona oczywiście natychmiast się przewraca. Więc jej się przyglądają. Dla czego się nie porusza? Nie rozumieją. Mimo że im to pokazałem, nie chwytają. Po dłuższym czasie jakieś dziecko wykombinuje być może, że kółku trzeba nadać impet, a jeśli mam szczęście, to jakiś geniusz pomyśli: Aha, spróbujmy nim zakręcić!

Widzę to ciągle. Przyglądam się tym dzieciakom i myślę sobie: «Czy ten niewiarygodny kryzys jest rzeczywisty?» Jakie dzieci wychowujemy w Ameryce Północnej? Posłuchaj, gwa-ran-tuję ci, że każde dziecko w Afryce wie, jak toczyć to cholerne kółko. To kwestia rozumienia naturalnych praw. Świat opiera się na kilku podstawowych pojęciach, takich jak dźwignia, bezwładność, pęd, termodynamika, i jeśli nie masz kontaktu z tymi fundamentalnymi

zasadami, to nie potrafisz wbić gwoźdźcia, przenieść wiadra ani potoczyć kółka. Co oznacza, że nie masz kontaktu z rzeczywistym światem. A brak kontaktu ze światem oznacza, że utraciłeś człowieczeństwo i żyjesz w środowisku, którego kompletnie nie rozumiesz. Możesz sobie wyobrazić, jakim napawa mnie to przerażeniem? Czy zdajesz sobie sprawę z tego, co poszło w niepamięć w ciągu zaledwie kilku pokoleń? Milion lat zajęło ludzkości nauczenie się, jak toczyć koło, a zapomnieliśmy w ciągu zaledwie pięćdziesięciu lat”.

Oczywiście zapomnieliśmy, ponieważ najstarsze naturalne prawo brzmi: Praktykuj, bo zapomnisz. Dzieci nie radzą sobie z najprostszymi narzędziami, bo nie muszą. Nie potrzebują tego w swoim wygodnym życiu. Rodzice nie uczą ich tej sprawności, bo w większości sami też jej nie posiadają. Nie potrzebują jej, nigdy jej nie opanowali, bo nie jest im potrzebna. Jednak wiemy, że nie zawsze tak było. Ledwie stulecie temu nie było w Ameryce człowieka, który przez cały czas nie miałby przy sobie jakiegoś noża. Czy to do oprawiania niedźwiedzia czy do przycinania cygar, mężczyzna potrzebował w życiu noża jako podstawowego narzędzia i wiedział, jak o niego zadbać, jak go naostrzyć i jak się nim posługiwać. A komu teraz potrzebny jest nóż?

Tak szczerze mówiąc, komu potrzebny jest koń? Czy ktoś w ogóle musi wiedzieć, co to takiego koń? Podczas swoich końskich wypraw Eustace odkrył, że ludzie po siedemdziesiątce i osiemdziesiątce czuli się swobodnie w towarzystwie tych zwierząt, bo przy nich dorastali albo przynajmniej słyszeli od rodziców różne opowieści o nich. Natomiast dla kolejnych pokoleń pojęcie konia stawało się coraz bardziej obce, egzotyczne, niezrozumiałe. Młodzi

ludzie nie mieli pojęcia, jak się zachowywać wobec tych zwierząt, być ostrożnym, jak je rozumieć.

„A co będą myślały ich dzieci? - zastanawiał się Eustace. - Za dwadzieścia lat koń będzie czymś takim jak wielbłąd, jakimś dziwnym zwierzęciem z ogrodu zoologicznego”.

A zatem ta nieudolność powiększa się z każdym kolejnym pokoleniem. Niemniej Eustace'owi wydaje się, że by sobie z nią poradził, gdyby nie jedna wielka wada, jaką dostrzega u Amerykanów we wszystkich grupach wiekowych: ludzie w ogóle nie słuchają. Nie potrafią wyteńczyć uwagi i nie mogą się skupić. Nawet jeśli twierdzą, że chcą się nauczyć, brak im dyscypliny.

„Najtrudniej spowodować, by młodzi mi zaufali i wykonywali polecenie - powiedział. - Jeśli pracuje tu ze mną czworo i ja im mówię: «Posłuchajcie mnie wszyscy. Przetoczmy tę kłodę na trzy», to jedno zabierze się do tego natychmiast, dwoje zacznie ją ciągnąć na trzy, a czwarte odejdzie, żeby podłubać w nosie. I nieustannie będą kwestionować mój autorytet. Ciągłe chcą wiedzieć: Dlaczego to robimy w ten sposób, dlaczego w tamten? Słuchajcie, ja wiem, dlaczego, i tylko to się liczy. Nie mam czasu wyjaśniać każdej swojej decyzji. Nigdy nie wierzą, gdy mówię, że mam rację. Jeśli mówię, że mam rację, możecie być pewni, że mam rację, bo ja nie popełniam błędów. Jeśli nie jestem czegoś pewny, to mówię, że nie jestem pewny, ale na ogół jestem. Ludzie się wściekają i mówią: «Eustace uważa, że tylko jego sposób jest właściwy». Cóż, to prawda. Mój sposób to rzeczywiście j e d y n y sposób. I uważam, że pracę najlepiej się wykonuje, kiedy ludzie podporządkowują się jednemu przywództwu, jak w wojsku. To najbardziej skuteczny i optymalny sposób wykorzystywania siły

roboczej. Gdybym był na przykład generałem w wojsku, miałbym do czynienia z większą dyscypliną i mógłbym nalegać, żeby wszyscy robili dokładnie to, czego wymagam, i wówczas sprawy toczyłyby się właściwie”.

Aby Żółwia Wyspa funkcjonowała, Eustace przejmuje kontrolę - tak jak jego dziadek nad obozowiczami i personelem - nad wszystkimi aspektami życia swoich praktykantów.

„Dochodzi do sytuacji - powiedział jeden z nich - kiedy czujesz, że musisz zapytać Eustace'a, czy możesz się wysrać. Bo, Boże broń, mógłbyś być w lesie i srać, podczas gdy on chciał cię akurat nauczyć, jak używać młynka z pedałem lub jak kuć podkowę”.

Tak, Eustace by temu nie zaprzeczył. Słyszałam, jak poucza swoich praktykantów, jak należy wiązać buty, żeby się nie rozwiązywały, bo po co marnować czas na sznurowadła, kiedy jest tyle pracy do wykonania? Na takiej właśnie zasadzie zawsze funkcjonowały amerykańskie społeczności utopijne, przynajmniej te, które przetrwały więcej niż tydzień. Dyscyplina, ład i posłuszeństwo pozwala im przetrwać. W żeńskich sypialniach shakersów w dziewiętnastym wieku znaleźlibyście taką pouczającą tabliczkę:

„Wstajecie z łóżka na głos «pierwszej trąbki». W milczeniu klękacie w miejscu, w którym postawiłyście stopę, wychodząc z łóżka. Nie rozmawiacie w pokoju, chyba że chcecie zadać pytanie siostrze odpowiedzialnej za to pomieszczenie. W takim przypadku mówicie szeptem. Ubieranie zaczynacie od prawej ręki. Dajecie krok do przodu prawą nogą. Na głos «drugiej trąbki» ruszacie wszystkie rzędem, prawym bokiem skierowane do przełożonej.

Idziecie na palcach. Z lewą ręką ułożoną na brzuchu. Prawa zwisa swobodnie u boku. Cały czas rzędem, maszerujecie do warsztatu. Nie zadajecie zbędnych pytań”.

Mój Boże, Eustace Conway przepadałby za takim porządkiem na Żółtwej Wyspie. W rzeczywistości ma tylko tyle kontroli, ile uda mu się zachować danego dnia. Na razie próbuje zmusić praktykantów, by przetoczyli kłodę na trzy.

Szczerze mówiąc, większość z nich się go się boi. Rozmawiają o nim przyciszonymi głosami, kiedy ich nie słyszy, kulą się niczym dworacy, którzy starają się odgadnąć motywy i nastroje króla, przekazują sobie wzajemnie rady służące przeżyciu i zastanawiają się, kto odpadnie następny. Praktykanci, zbyt przestraszeni, by zwracać się do niego bezpośrednio, niepewni, jak mogą zadowolić swojego pana, szukają rady u jego przyjaciółek lub bliskich przyjaciół, pytając: Czego on ode mnie chce? Czemu mam zawsze kłopoty? Jak go zadowolić? Eustace wie, że ta paplanina toczy się za jego plecami, i nie cierpi tego. Uważa to za najwyższy stopień niesubordynacji.

Dlatego właśnie latem 1998 roku na tablicy ogłoszeń społeczności Żółtwej Wyspy wywiesił taki list:

„Personel Żółtwej Wyspy, mieszkańcy, koledzy. Ja, Eustace Conway, jestem wkurzony. Moja dziewczyna, Patience, jest tutaj od pięciu dni i już wielu z Was zwróciło się do niej, opowiadając o problemach, jakie macie ze mną. Jest to wyzwanie i zbędne brzemie dla niej i dla naszego związku. Nie podoba mi się taki sposób «docierania do mnie». Jeśli macie jakiś problem, przyjdźcie z nim do mnie, NIE do niej. Jeśli nie będziemy go mogli rozwiązać albo rozwiązanie was nie zadowoli, NIE korzystajcie z jej pośrednictwa. Jeśli nie potraficie przestać mówić o negatywnych

aspektach waszych relacji ze mną, proszę, zrezygnujcie i odejdźcie. Nie toleruję takiego zachowania. Jestem dotknięty, zasmucony i czuję żal, że w ogóle do tego doszło. Osobiście wolałbym stłuc was na kwaśne jabłko, niż pozwolić, żebyście mieszała Patience w swoje problemy ze mną. Skoro wyda się Wam to przesadą z mojej strony, cóż, niech to będzie społeczno-emocjonalnym brzemieniem, jakie będę dźwigał. Mam nadzieję, że dałem jasno do zrozumienia, o co mi chodzi. Dziękując za uwagę, będę wdzięczny za rozważenie powyższego. Pozostaję z szacunkiem. Eustace Conway”.

Żadnej koszuli. Żadnych butów. Żadnego Cholernego odszczekiwania się.

Mogłoby z tego wszystkiego wynikać, że jedynymi ludźmi, którzy potrafią przetrwać na Żółtwej Wyspie, są osoby bez własnej woli, mięczaki i popychadła, miesiącami wykonujące potulnie to, co im się każe. Ale to nieprawda. Tutaj mięczaki się załamują i to bardzo szybko. Bardzo starają się zadowolić Eustace'a, a kiedy uświadamiają sobie, że nigdy nie uzyskają akceptacji, której pragną, są zdruzgotani poczuciem krzywdy. (Ci praktykanci kończą na ogół, zalewając się łzami: Dawałem z siebie, dawałem i dawałem, ale tobie nigdy nie było dość!) Jedynymi ludźmi załamującymi się szybciej od mięczaków są pewni siebie osobnicy, którzy za nic się nie ugną. Są to ci, którzy wierzą, że nie przeżyją, jeśli choć przez minutę będą podlegać czyjejs władzy. (Ich praktyka kończy się na ogół wielką awanturą: Nie jestem twoim niewolnikiem!)

Interesującym gatunkiem są ci nieliczni, którzy się świetnie tutaj czują. Należą do najbardziej spokojnych i samokrytycznych osób, jakie znam. Łączy ich głęboka psychiczna równowaga. Nie

mówią wiele i nie szukają pochwał, ale chyba w siebie wierzą. Potrafią chłonąć wiedzę, nie topiąc się w niej. Zupełnie jakby przychodząc tutaj, postanowili wziąć swoją kruchą, wrażliwą tożsamość, zwinąć ją ciasno i schować w bezpiecznym miejscu i obiecali sobie wyciągnąć ją dwa lata później, kiedy praktykowanie dobiegnie końca. Tak właśnie zrobił najlepszy spośród praktykantów Eustace'a Conwaya, Christian Kaltrider.

„Przybyłem tutaj z pokorą - wyjaśniał Christian - jednocześnie jednak bardzo zapalony i zainteresowany, a wchłaniałem wtedy wszystko jak gąbka. Moim zamiarem było uczyć się, i tyle. Eustace mnie czegoś uczył, a ja szedłem to zrobić. Nie marnowałem czasu na gadanie... tylko słuchałem i obserwowałem, i robiłem, co mi kazano. Oczywiście, że przez cały czas sprawował nade mną kontrolę, ale nie pozwalałem, żeby doprowadzało mnie to do frustracji. Powiedziałem sobie: «Pozwalam mu sprawować tę kontrolę w celach edukacyjnych. I on kontroluje jedynie moją edukację, a nie moją tożsamość». To pewna różnica. Oddajesz się Eustace'owi czy pozwalasz mu się wziąć? Ja postanowiłem oddać się jako uczeń i dlatego moje doświadczenie tak bardzo różni się od doświadczenia innych tu przybywających. Inni przychodzą, wielbiąc Eustace'a. Chcą go zadowolić, więc pozwalają mu przejąć całych siebie i wtedy powoli, stopniowo zaczynają narastać pretensje. To nie fizyczna praca wyniszcza tutaj ludzi, ale stres psychiczny związany z utratą tożsamości. Mnie to nigdy nie groziło”.

„Jeśli nie ochronisz się przed Eustace'em - wyjaśniała Candice, jeszcze jedna praktykantka z Żółwiej Wyspy, zdecydowana doprowadzić to swoje doświadczenie do pomyślnego końca - to wyssie z ciebie wszystkie soki. Musisz zachować pewną część

siebie - swoje «ja» - do której on nie dosięgnie. I musisz być w tym uparta. Ja już podjęłam decyzję. Zostanę tutaj na dwa pełne lata praktyki, niezależnie od tego, jak bardzo będzie mi ciężko. Nie zgodzę się być kolejnym ZBW”.

„ZBW?”, spytałam.

„Zawiedzionym byłym wyspiarzem - wyjaśniła. - Słuchaj, przyjechałam tutaj, żeby się uczyć, i robię to. I stwierdzam, że Eustace jest sprawiedliwy i cierpliwy, nawet jeśli zrobię coś idiotycznego. Staram się zachować spokój i prywatność, bo to jedyny sposób, by móc tu pracować i coś z tego wynieść. On jest szefem i musisz akceptować jego decyzje. Trzeba poważnie traktować jego przywództwo, ale nie należy niczego brać do siebie”.

To samo robi z nas dobrego żołnierza - nie bezmyślne posłuszeństwo, ale świadome posłuszeństwo. I prawdopodobnie właśnie dlatego jedną z najbardziej udanych praktykantek na Żółtym Wyspie była młoda kobieta o imieniu Siegal, która przed przybyciem do Karoliny Północnej służyła w izraelskim wojsku. Doskonale trenowała! Przetrwiała Eustace'a Conwaya w taki sam sposób, jak przetrwała swoją służbę wojskową. „Wystarczy, że zrobisz się malutka”, wyjaśniła, jakby to było takie proste.

A nie jest. Niewielu ludzi potrafi zdusić swoje „ja”. Sztuka poddania się jest szczególnie trudna dla współczesnych amerykańskich dzieciaków, wychowanych w kulturze, która od niemowlęctwa uczyła ich, że każde ich pragnienie jest ważne i święte. Rodzice, nauczyciele, przywódcy, media zawsze pytały: „A na co ty masz ochotę?” Miałam tego najlepszy przykład, kiedy pracowałam jako kelnerka. Rodzice potrafili przerwać zamawianie posiłku dla wszystkich, żeby pochylić się nad brzdącem i spytać: „A na co

t y masz ochotę, skarbie?” I wpatrywali się w napięciu w dziecko, czekając na odpowiedź. O mój Boże, co powie? Czego zechce? Świat wstrzymał oddech! Eustace Conway ma całkowitą rację, kiedy mówi, że sto lat temu rodzice nie dawali swoim dzieciom takiej władzy. Nawet pięćdziesiąt lat temu. Sama przynajmniej uczciwie, że przy tych rzadkich okazjach, kiedy moja matka i jej sześcioro rodzeństwa z farmy na Środkowym Zachodzie jedli posiłek w restauracji, jeśli któreś z nich ośmieliło się zwrócić do ojca z jakimś osobistym żądaniem... cóż, nigdy by tego nie zrobili.

Jednak obecnie Amerykanie wychowywani są inaczej. I to kultura w stylu „A na co ty masz ochotę, skarbie?” stworzyła te dzieciaki, które gromadzą się wokół Eustace'a. Przeżywają ogromny wstrząs, kiedy bardzo szybko odkrywają, że gównu go obchodzi, na co one mają ochotę. I osiemdziesiąt pięć do dziewięćdziesięciu procent z nich nie potrafi sobie z tym poradzić.

Jest jeszcze sprawa odżywiania.

Praktykowanie na Żółtym Wyspie jest takim wyzwaniem między innymi dlatego, że jedzenie na tej górze potrafi być... no cóż, różne. Jadłam tam jedno z najlepszych posiłków w życiu, po całym dniu miarowej pracy fizycznej i orzeźwiających ablucjach w strumieniu, siedząc przy dębowym stole z towarzyszami pracy, delektowałam się świeżymi produktami z ogrodu i mięsem jednej z tych słynnych świń Willa Hicksa, i kukurydzianym chlebem rozmoczonym w sosie, a wszystko to wprost z żeliwnego garnka zdjętego z rozżarzonych węgli. Bardzo smaczne. Jadłam na Żółtym Wyspie duże porcje smardzów, irytuując Eustace'a po każdym kąsie pytaniem: „Czy wiesz, ile one kosztują w Nowym Jorku?” („Nie - on na to. - A ty wiesz, jak one wspaniale smakują w

Karolinie Północnej?") Ale spędziłam też na Żółtwej Wyspie tydzień w styczniu, kiedy ten sam gulasz z dziczyzny jedliśmy trzy razy dziennie. I było to cuchnące, stare, twarde jak podeszwa mięso. Podgrzewane co wieczór i przełykane tak, żeby nie czuć smaku spalenizny i rdzy z dna rondla. Poza mięsem składnikami tego gulaszu były najwyraźniej tylko jedna cebula i pięć ziaren fasoli.

Płacący za pobyt goście - specjalne grupy i młodzi obozowicze, którzy odwiedzają Żółtwią Wyspę - dostają wyśmienite jedzenie, podawane przez doskonałych kucharzy wynajmowanych na te okazje, ale nie dotyczy to praktykantów, wobec czego sytuacja żywieniowa czasami przedstawia się dość ponuro, szczególnie zimą. Na przykład dynia. Dynia jest podstawą zimowej diety praktykantów. Robią z niej wszystko... jest chleb z dyni, ciasto z dyni, lazania, zupa z dyni. A potem poddają się i jedzą samą papkę z dyni aż do wiosny, kiedy w ogródku zaczyna wyrastać coś świeżego. Zupełnie jakby byli żeglarzami z szesnastego stulecia, a dynia ich sucharami, ich ostatnim prowiantem. W związku z dynią dochodziło do buntów. Odbyły się zebrania, na których praktykanci, którzy wcześniej poradzili sobie z każdym wyzwaniem o charakterze fizycznym, żałośnie się uskarżali, zgodnie protestując: „Koniec z dynią”.

Nie spotyka się to jednak ze zrozumieniem Eustace'a. Bo on sam nie chowa się w swojej chacie, żeby wysysać szpik z kostek pieczonej kaczki w pomarańczach, podczas gdy jego udręczeni praktykanci żywią się papką z dyni. Jeśli jest tylko dynia, to on też ją je, i żeby nie było żadnego biadolonia na ten temat. Na Żółtwej Wyspie nie istnieje nic takiego, czego wymagałyby od praktykantów, sam tego nie doświadczając. (Nie jak ten pokrętny utopista

Peter Sluyter, który w siedemnastym wieku prowadził surowe gospodarstwo sekty labidistów na północy stanu Nowy Jork. Jego zwolennikom nie wolno było używać ognia, choć w domu Sluytera zawsze buzował w kominku). Nie, Eustace Conway marznie, kiedy jego ludzie marzną; pracuje, kiedy oni pracują. Prawdę mówiąc, pracuje również wtedy, kiedy jego ludzie śpią. Eustace bywał w życiu w miejscach, w których panował głód, w miejscach, gdzie papka z dyni byłaby prawdziwą uczcą, stąd jego brak współczucia. Tak czy owak, jeśli byli naprawdę zdesperowani, zawsze mogli wyprawić się w dół, do Boone, na nurkowanie w śmietnikach.

Nurkowanie w śmietnikach było rodzinną tradycją Conwayów. Czymś (może to największa frajda), czego młodzi Conwayowie nauczyli się od ojca. Duży Eustace Conway jest zapalonym mistrzem odzysku. Grzebanie w śmieciach innych ludzi przemawia zarówno do jego poczucia oszczędności, jak i zamiłowania do przygody. Nie ma dla niego śmieci zbyt paskudnych, by nie dało się ich przejrzeć w poszukiwaniu jakiegoś wspaniałego znaleziska. Eustace, Walton i Judson odziedziczyli tę umiejętność po ojcu, udoskonalili ją jednak do tego stopnia, że nie szukali wyłącznie starych gramofonów i klimatyzatorów, ale także jedzenia. Smakowitego, dekadenceckiego jedzenia. Okazuje się, że śmietniki ustawione na tyłach ogromnych supermarketów z amerykańskiego marzenia są darmowymi bufetami dla naprawdę zaradnych i zapobiegliwych ludzi.

Mały Eustace uczynił z nurkowania w nich prawdziwą sztukę. Przez całe studia zaspokajał swój apetyt, uzupełniając to, co upolował za pomocą dmuchawki, smakowitymi resztkami z zaplecza supermarketów. I udoskonalił swój system, ponieważ, jak można

się było spodziewać, jeśli już do czegoś się brał, robił to bezbłędnie, jak wszystko.

„Najważniejsze jest wycucie czasu - wyjaśniał. - Musisz wybrać właściwą porę dnia, żeby zacząć przetrząsać pojemnik. Najlepiej pokręcić się koło sklepu i stwierdzić, o jakiej porze codziennie pozbywają się jedzenia, którego już nie mogą sprzedać, bo przecież chcemy je dorwać, póki jest świeże. Trzeba iść na tyły sklepu tak, jakby się miało do tego prawo, szybko i pewnie. Nie czaić się i nie guzdrać. Zawsze wypatruję mocnych, nawoskowanych kartonów z wygodnymi rączkami, chwytam taki jeden i wskakuję do pojemnika. Nachylenie się nad nim i dźganie to tu, to tam jest stratą czasu. Nie marnuję czasu na żaden produkt niskiej jakości. Fakt, że jada się ze śmieć, nie oznacza, że trzeba jeść śmieci. Przelatuję błyskiem przez produkty, odrzucając wszystko, co jest zepsute albo niskiej jakości. Jeśli widzę skrzynkę zgniłych jabłek, jest szansa, że znajdę w niej trzy idealne owoce, i te wrzucam do swojego kartonu. W pudełku ze zgniecionymi melonami często można znaleźć jeden nienaruszony, a czasami można też znaleźć całe pudło winogron, które wyrzucono, bo oderwały się od gałązki. I mięso! Przyniosłem do domu dziesiątki steków z polędwicy, wszystkie opakowane elegancko w plastik, wyrzucone, bo były przeterminowane o jeden dzień. Prawie zawsze potrafię znaleźć całe palety wypełnione jogurtami - uwielbiam jogurt - w doskonałym stanie, wyrzucone z tego samego powodu. Czy to nie grzech marnować takie rzeczy? Przypominam sobie to, co powiedział mi Lonnie Carlton, mój stary sąsiad z Appalachów: «Kiedyś starczało nam do życia mniej, niż teraz ci ludzie wyrzucają.»

Pewnego razu w Boone, kiedy Eustace buszował sobie

spokojnie w pojemniku, doszło do słynnego incydentu. Znalazł wcześniej specjalny karton i robił szybkie postępy, zbierając „najlepszy zestaw owoców i warzyw, jakie w życiu widzieliście”, kiedy usłyszał podjeżdżającego pick-upa. A potem kroki. Cholera! Skulił się w kącie. A wtedy jakiś mężczyzna, sympatycznie wyglądający starszy pan, porządnie ubrany, zajrzał do środka i zaczął macać tu i tam. Kolega nurek! Eustace wstrzymał oddech. Mężczyzna go nie zauważył, ale wkrótce dostrzegł jego solidny błyszczący karton, wypełniony pierwszorzędnym towarem.

- Hmm - mruknął gość z zadowoleniem.

Sięgnął po pudło i odszedł z nim. Eustace usłyszał dźwięk zapalnego silnika i siedział bez ruchu, skurczony jak szczur w kącie, zastanawiając się, co robić. Czy powinien tu tkwić, dopóki ten samochód nie odjedzie? Nie ryzykować? Zacząć poszukiwania od nowa? Ale chwileczkę. Ten człowiek kradł jego towar! Znalezienie tych produktów zajęło mu dobry kwadrans, a poza tym był to jego najlepszy prowiant na ten dzień. Nie można pozwalać, żeby ktoś wyciągał ci jedzenie z ust! Wyskoczył z pojemnika jak na sprężynach i ruszył za pick-upem, wymachując rękoma i wrzeszcząc. Obcy zatrzymał się, zbladł jak ściana na widok dzikusa, który wyłonił się z trzewi supermarketu i biegł za nim.

- Dobry wieczór panu - zaczął Eustace, obdarzając go jednym ze swoich najbardziej czarujących uśmiechów. - Muszę panu powiedzieć, że zabrał pan moje owoce i warzywa.

Obcy wpatrywał się w niego wytrzeszczonymi oczyma. Chyba się zastanawiał, czy nie grozi mu atak serca.

- Tak, przyjacielu, zebrałem to całe jedzenie i zajęło mi to sporo czasu. Bardzo chętnie się z tobą podzielę, ale nie mogę dać

ci wszystkiego. Poczekaj tutaj, a ja znajdę drugi karton i podzielimy towar między siebie.

Po czym Eustace pobiegł z powrotem i znalazł drugi mocny błyszczący karton. Wrócił biegiem do pick-upa, wskoczył na jego skrzynię i szybko podzielił towar na dwie równe części. Chwycił swoje pudło, zeskoczył z samochodu i podszedł do okna kierowcy. Mężczyzna gapił się na niego ogłupiały. Eustace znów wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- W porządku. Ma pan teraz karton z prowiantem i ja mam.

Obcy ani drgnął.

- Może już pan jechać - uspokoił go Eustace. - I życzę miłego dnia.

Mężczyzna odjechał powoli. Do końca nie wydusił ani jednego słowa.

I tyle. Podczas pobytu każdego praktykanta na Żółtwej Wyspie przychodzi chwila, gdy wprowadza się przedmiot obejmujący umiejętność nurkowania w śmietnikach. Większości to się bardzo podoba, bo jest możliwość wyprawy do miasta i dania kolejnego prztyczka w nos społeczeństwu. Nazywają te wyprawy „odwiedziny w magazynie odpadków” i kiedy przez cztery kolejne tygodnie żywią się papką z dyni, ten zakazany owoc z marketu w mieście staje się bardzo kuszący. Wyjaśnia to dziwną różnorodność produktów spożywczych, jakie jadałam na Żółtwej Wyspie. Owszem, pięką tam świetne pierniki i podają posmarowane domowej roboty masą brzoskwiniową. Jest też wyśmienity szpinak wprost z ogródka. Jadałam tam jednak również takie zupełnie nieapalaskie potrawy, jak ananasy, orzechy kokosowe, babeczki z budyniem czekoladowym, a nawet przy jednej pamiętnej okazji

coś, co znalazłam w styropianowym opakowaniu z etykietką „białe i delikatne różki z kremem”.

„Przez te wszystkie miesiące, kiedy tam mieszkałam - powiedziała mi praktykantka Candice - nie udało mi się pojąć, jakim cudem udaje nam się przetrwać. Naprawdę nie wiem, jak tam żyjemy. Wiadomo, że nurkowanie w śmietnikach nie zaspokoi wszystkich potrzeb, i dlatego zimą głodujemy. Czasami ludzie przywożą nam żywność, co jest wspaniałe, bo my nie możemy niczego kupować. Przez większość mojego pobytu byłam odpowiedzialna za kuchnię i tylko dwukrotnie wydałam pieniądze Eustace'a na podstawowe produkty żywnościowe, takie jak mąka kukurydziana, olej czy pieprz. A poza tym tylko kombinujemy”.

Spytałam kiedyś Candice, czego używa do wypieku swojego wyciemnionego chleba. „Mąki razowej - odparła. - Oraz - dodała, przesypując między palcami drobne ziarenka, które trzymała w starej puszcze po kawie - odrobiny tego czegoś, co biorę ze stajni, z końskiego żłobu. Nie wiem, co to takiego, ale w chlebie się tego nie wyczuwa, a dzięki temu mąki starcza na dłużej”.

Innego popołudnia towarzyszyłam Candice w kuchni na otwartym powietrzu i pomagałam jej w gotowaniu, kiedy przyszedł Jason.

- Hej, Jason - zawołała. - Możesz zabrać stąd Stajenną Kicię?

Stajenną Kicia była najwspanialszym myszołapem Żółtawej Wyspy, ciężko pracującą kotką, którą zazwyczaj można było spotkać w spichrzu albo na najwyższych półkach kuchni. Uświadomiłam sobie, że już od jakiegoś czasu jej nie widziałam.

- A gdzie jest? - spytał Jason.

- No właśnie - zainteresowałam się. - Gdzie?

- Pod korytem z wodą - odparła Candice. - Psy ciągle się w niej tarzają, a ona okropnie cuchnie.

Zajrzałam pod koryto. Och, to dlatego jej nie widziałam od jakiegoś czasu. Bo była teraz tylko bezkształtnym, pozbawionym kończyn, cuchnącym truchłem. Candice wyjaśniła, że kilka tygodni temu dopadł ją nocą ryś. Od tamtej pory resztki kotki pojawiały się coraz to w innym miejscu Żółtwej Wyspy, przeciągane przez różne stworzenia. Jason wziął szczątki na kij i rzucił na blaszany dach kuchni, gdzie słońce je wysuszy, a psy nie dosięgną.

- Dzięki, Jasonie - powiedziała Candice i dodała szeptem: - Jejku, nie wiem, dlaczego po prostu nie zjedliśmy tej starej kotki. Przecież Eustace każe nam jeść wszystko, co tutaj zdechnie.

Pewnego dnia podsłuchałam rozmowę telefoniczną Eustace'a z jakimś młodym człowiekiem, który zadzwonił z Teksasu, ponieważ chciał zostać praktykantem na Żółtwej Wyspie. Robił obiecujące wrażenie. Nazywał się Shannon Nunn. Wychował się na ranchu i twierdził, że przez całe życie pracował fizycznie w gospodarstwie. Potrafił też naprawiać silniki samochodowe. I był wybitnym sportowcem o ogromnej osobistej dyscyplinie. Eustace stara się nie robić sobie wielkich nadziei w związku z ludźmi, ale tych kilka faktów czyniło Shannona Nunna dużo bardziej obiecującym kandydatem od dziesiątków idealistycznych, romantycznych i niezdarnych studenciaków, którzy często nawet nie wiedzą, jak „otworzyć drzwi samochodu”. Shannon powiedział, że czytał o Eustacie w magazynie „Life”, i dzwoni, bo szuka dla siebie nowego wyzwania. Jeśli nauczy się, jak żyć z tego, co daje ziemia, to

może uda mu się uciec od egzystencji w płytkiej współczesnej amerykańskiej kulturze, gdzie „wszyscy pogrążeni są w samoza-dowoleniu”.

Na razie brzmiało to nieźle.

Mimo to Eustace poświęcił godzinę na wyjaśnianie Shannonowi, czego może się spodziewać na Żółtwej Wyspie. Była to klarowna i uczciwa przemowa.

- Nie jestem zwyczajną osobą, Shannonie - zaczął. - Wielu odkrywa, że nie jest łatwo ze mną współżyć i dla mnie pracować. Mam duże wymagania, nieczęsto chwalebę swoich pracowników. Ludzie przychodzą tu czasem przekonani, że mają mnóstwo cennych umiejętności, ale rzadko zdarza im się zrobić na mnie wrażenie. Jeśli przyjedziesz, będziesz musiał pracować. Żółtwa Wyspa to nie szkoła. Nie ma tu lekcji. Nie ma kursu przetrwania. Nie zabiorę cię do lasu na określoną liczbę godzin dziennie, żeby uczyć przydatnych w głębszy umiejętności według wcześniej zaplanowanego programu. Jeśli potrzebujesz czegoś takiego, nie przyjeżdżaj. Jest mnóstwo miejsc, gdzie to znajdziesz, i tam na pierwszym miejscu postawią twoje potrzeby i pragnienia. Do tego celu dobre jest Outward Bound, podobnie jak National Outdoor Leadership School. Ty im płacisz; oni cię uczą. U mnie nie o to chodzi. Ja nigdy nie postawię na pierwszym planie twoich potrzeb ani pragnień. Zawsze na pierwszym miejscu są potrzeby tej farmy. Wyznaczę ci mnóstwo monottonnych i nudnych zajęć i zapewne odniesiesz wrażenie, że niczego się nie uczysz. Mogę ci jednak obiecać, że jeśli spędzisz w ramach tego programu co najmniej dwa lata i jeśli będziesz wykonywał moje polecenia, zdobędziesz konkretne umiejętności, które dadzą ci taki stopień samowystarczalności, jaki w naszej kulturze jest niemal nieznan. Jeśli zobaczę,

że jesteś chętny do nauki i zdolny do pracy, z upływem miesięcy poświęcę ci indywidualnie więcej czasu. Będzie to jednak następowało bardzo powoli i zawsze to ja będę miał pełnię władzy.

Mówię ci o tym wszystkim - ciągnął Eustace - bo jestem już znużony. Znużony ludźmi, którzy przychodzą tutaj z założeniami całkiem odmiennymi od tego, co ci właśnie wyjaśniałem, po czym odchodzą rozczarowani. Nie mam czasu na takie rzeczy, dlatego mówię wszystko jasno. Będę od ciebie wymagał więcej, niż ty kiedykolwiek sam wymagałeś od siebie. I jeśli nie jesteś gotów ciężko pracować i robić dokładnie tego, co mówię, to proszę, zostań w domu.

- Rozumiem. Chcę tam być - oznajmił Shannon.

Pojawił się miesiąc po tej rozmowie, gotowy do pracy. Bardzoj podekscytowany, powiedział, niż kiedykolwiek przedtem, w jakiejkolwiek sytuacji. Był młodym człowiekiem, poszukującym w lasach pełni duchowej i wierzył, że znalazł swojego nauczyciela. Pragnął, jak oświadczył, „napić się z tej wody, po której, jeśli już się ją znajdzie, nigdy więcej nie odczuje się pragnienia”.

Siedem dni później spakował swoje rzeczy i opuścił Żółtą Wyspę, rozgniewany, zraniony i rozczarowany.

„Pojechałem tam - powiedział mi Shannon po roku - ponieważ myślałem, że rozumiem naszą umowę. Eustace obiecał mi, że jeśli będę dla niego pracować, nauczy mnie, jak żyć z darów ziemi. Myślałem, że nauczy mnie umiejętności przetrwania, rozumiesz? Takich jak polowanie i zbieractwo. Jak budowanie schronienia w dzikiej głuszy i rozpalanie ognia... wszystkiego, co wie. Poświęciłem dużo, żeby pojechać na Żółtą Wyspę. Było to nieco przerażające, bo zostawiłem wszystko - dom, rodzinę, szkołę - żeby

on mnie czegoś nauczył. A on dawał mi do wykonania bezmyślną pracę fizyczną! Nie nauczył mnie niczego, co wiąże się z życiem z tego, co daje ziemia. Kazał mi stawiać ogrodzenia i kopać rowy. Więc mu powiedziałem: «Człowieku, rowy to mogłem kopać u siebie i jeszcze dostać za to zapłatę. Nie potrzebuję czegoś takiego»,...

Shannon był tak rozczarowany, że po tygodniu od przyjazdu poszedł do Eustace'a, żeby przedyskutować problem swojego programu praktykanckiego. Eustace go wysłuchał. I powiedział: „Jak ci się tutaj nie podoba, odejdz”. I poszedł sobie. Shannon wściekł się aż do łez. Chwileczkę! Dlaczego Eustace tak po prostu odwrócił się i poszedł? Nie widział, jaki on jest zdenerwowany? Nie mogli o tym porozmawiać? Czegoś wspólnie wymyślić?

Jednak Eustace powiedział mu już wcześniej wszystko, co miał do powiedzenia, i nie miał nic do dodania. Przez lata odbył wiele takich rozmów z wieloma różnymi Shannonami Nunnami i nie było już o czym mówić. Poszedł sobie, ponieważ był znużony i ponieważ musiał wracać do pracy.

Eustace sypia tylko kilka godzin na dobę.

Czasem śni mu się Gwatemala, gdzie widział trzyletnie dzieci sprawnie posługujące się maczetami. Czasem śni o porządnym gospodarstwach i spokojnych cichych rodzinach menonitów. Czasem śni o porzuceniu swoich planów zbawienia ludzkości i jak napisał w swoim dzienniku, „o przeobrazeniu Żółtej Wyspy w rezerwat dla siebie samego, gdzie mógłbym przetrwać niedorzeczną rzeczywistość dzisiejszego świata”.

A potem śni o swoim dziadku, który kiedyś napisał: „Trwalsze od wieżowców, mostów, katedr i innych symboli ludzkich

osiągnąć są niewidoczne ukryte pomniki mądrości, natchnienia i przykładu, wzniesione w sercach i umysłach ludzi. Jeśli staniesz zdecydowanie po stronie dobra, prawdy i piękna, twoje życie stanie się nieskończenie wspaniałe”.

I śni o ojcu. Zastanawia się, jak ogromny, okupiony straszonym wysiłkiem sukces musi osiągnąć, nim zasłuży na jedno słowo pochwały z jego ust.

A potem się budzi.

Codziennie rano doświadcza tego samego narodowego kryzysu. Widzi bezsilny naród niszczący wszystko, co spotka na swojej drodze. Zastanawia się, czy istnieje sposób naprawy tego stanu. Nie wie, dlaczego rzucił swoje życie w tę wyrwę, by ratować życie wszystkich innych. Dlaczego pozwala, by jego świętą ziemię zadeptywali niezdarni głupcy, którzy traktują ją tak brutalnie. Nie rozumie, jak to się stało, że chociaż zawsze chciał być jedynie miłośnikiem przyrody, stał się jej alfonsem. Próbuje pojąć różnicę pomiędzy tym, co zobowiązany jest zrobić ze swoim życiem, a tym, co mu wolno. Gdyby tylko mógł robić to, czego naprawdę pragnie, sprzedałby to wielkie brzemie, jakim jest Żółwia Wyspa, a za uzyskane pieniądze kupiłby kawał ziemi w samym środku Nowej Zelandii. Tam żyłby w spokoju, kompletnie sam. Eustace uwielbia Nową Zelandię. Cóż za malownicza kraina! Wolna od wszelkich jadowitych stworzeń, zamieszкана z rzadka, ale przez uczciwych i godnych zaufania ludzi, czysta i odizolowana. Do diabła z Ameryką, myśli Eustace. Może powinien przestać się tak wysilać i pozostawić swoich rodaków własnemu losowi.

To cudowne marzenie, jednak Eustace zastanawia się, czy będzie miał dość determinacji, by je spełnić. Może kiedy marzy o przeniesieniu się do Nowej Zelandii, przypomina jednego z tych

wielkomijskich maklerów, którzy mieliby ochotę rzucić wszystko i wynieść się do Vermontu, żeby tam otworzyć sklep z artykułami żelaznymi. Może tak jak ci maklerzy zbyt zaangażował się w to, co robi, by się kiedykolwiek zmienić.

„Może spóźniłem się z moim przesłaniem - mówi. - A może jest ono przedwczesne. Wiem jedno, temu krajowi zagraża śmiertelne niebezpieczeństwo. Uważam, że to koszmar i że będziemy straceni, jeśli się nie zmienimy. I nie mam pojęcia, co jeszcze mógłbym dodać. Jestem zmęczony słuchaniem samego siebie”.

ROZDZIAŁ IX

Jesteśmy wielcy i gwałtownie - miałem ochotę powiedzieć, przerażająco - wzrastamy!

John Caldwell Calhoun, 1817

Czasami upijam się z Eustace'em Conwayem. To jedna z tych rzeczy, które najbardziej lubię z nim robić. No dobrze, lubię to robić niemal z każdym, jednak szczególną przyjemność sprawia mi picie z Eustace'em. Bo alkohol go wycisza - to te znakomite właściwości uspokajające - i wtedy przygasa jego wewnętrzny ogień. Alkohol pomaga wyłączyć na chwilę jego wewnętrzne piece, co pozwala zbliżyć się do niego i nie poparzyć płomieniami jego ambicji ani nie przypalić żarem niepokojów, przekonań i determinacji. Niewielka ilość whisky studzi Eustace'a, zmienia go w kogoś mniej zasadniczego, w sympatycznego kompana... wtedy staje się podobny do swojego brata Judsona.

Szklaneczka whisky pozwala wyciągnąć od niego najlepsze opowieści, na których przypomnienie podskakuje z radości. Potrafi naśladować każdy akcent i opowiadać niestworzone historie. Śmieje się z moich najdurniejszych dowcipów. Kiedy Eustace Conway pije, dla żartu szpikuje dialog zdecydowanie nie-Eustace'owymi odzywkami, które przyswoił sobie przez lata, takimi jak „Jesteś bomba” czy „Za to mi właśnie płacą taką kasę”.

„Wędruję więc któregoś lata wokół Glacier National Park -

zacznie mówić wkrótce po otwarciu butelki, a ja uśmiecham się i wychylam do przodu, gotowa do słuchania. - Jestem wysoko, powyżej linii drzew, w krainie śniegu. Nawet nie idę szlakiem; jak daleko sięgnąć wzrokiem, widać pokryty śniegiem i lodem górski grzbiet i strome zbocza po obu jego stronach. Oczywiście nie mam ze sobą żadnego przyzwoitego wyposażenia; kręcę się tam po prostu bez celu. Idę więc sobie, kiedy nagle tracę równowagę. A jest tam tak cholernie stromo, że zaczynam się ześlizgiwać po zboczu, szorując plecami po gładkim lodzie. Większość wędrujących tamtędy ludzi miałaby ze sobą czekan, ale ja go nie mam, więc zjeżdżam dalej. Jedyne, co mogę zrobić, to wciskać cały swój ciężar w plecak, żeby choć trochę zwolnić, ale to nic nie daje. Wbijam obcasy w lód, ale to też nie działa! Potem śnieg i lód przechodzą w żwir i luźne kamienie, a ja nadal sunę w dół, objając się *tup-tup-tup* o głazy. Lecę i lecę i myślę sobie: Tym razem to już mój koniec! I wtedy nagle... ŁUBUDU. Walę w coś i zatrzymuję się w miejscu. Co jest, do diabła? Podnoszę głowę i widzę, że wpadłem w martwego muła. Przysięgam na Boga! Martwy muł! To zamrożone na kość, zmumifikowane ścierwo powstrzymało mój upadek. Wstaję powoli, oglądam zwierzę i widzę, że po drugiej jego stronie zaczyna się przepaść, głęboka na jakieś siedemset metrów, sięgająca w sam środek parku. Zaczynam się śmiać i nie mogę przestać, mam ochotę uściskać tego muła. Człowieku, to martwe zwierzę to mój bohater. Gdybym się stoczył, nikt nawet nie znalazłby tam mojego ciała! Może za tysiąc lat jacyś wędrowcy natknęliby się na nie i napisali o mnie jakiś cholerny artykuł w «National Geographic»!"

Kilka kolejnych łyków i Eustace gotów jest mówić o Dorothy Hamilton, czarnoskórej kobiecie, która wybiegła z fast foodu w

wiejskich okolicach Georgii, kiedy przejeżdżali tamtędy Konni Długodystansowcy i łopocząc fartuchem, wyczuwała młodych Conwayów i dorwała się do mikrofonu ich magnetofonu. Wiedziała, że jadą do Kalifornii - widziała ich w telewizji - i miała przesłanie dla Zachodniego Wybrzeża: „Halllooo wszystkie surferzy tam w Kalifornii!” Eustace stara się odtworzyć radosny głos tej kobiety. „To wielkie cześć od waszej przyjaciółki, Dorothy Hamilton, dziewczyny z KURCZAKOWEGO baru!!!” Pewnego wieczoru szliśmy z Eustace'em zaśnieżoną kotłinią, żeby odwiedzić jego ulubionych appalaskich przyjaciół, Willa i Betty Jo Hicksów. Will i Eustace zaczęli rozmawiać o jakiejś dwulufowej strzelbie, którą kiedyś miał Will. Usiłowałam podsłuchiwać, ale uświadomiłam sobie, jak zresztą przy okazji każdej wizyty u Hicksów, że z tego, co mówi Will, rozumiem piąte przez dziesiąte. Kiedy tak międlili słowa w bezzębnych ustach, przeciągając je i używając miejscowych wyrażań, jego mowa pozostaje dla mnie tajemnicą.

- Za nic nie mogę zrozumieć tej przeklętej appalaskiej wymowy. Jak ty jesteś w stanie dogadać się z Willem? Pewnie powinnam pouczyć się trochę tego appa-języka - poskarżyłam się, kiedy wróciliśmy z Eustace'em do jego chaty i usiedliśmy przy butelce whisky.

- Kobieto! Musisz po prostu uważniej appa-słuchać!

- No nie wiem. Wydaje mi się, że trwałoby mi to appa-długo, zanim bym zrozumiała takiego gościa jak Will Hicks.

- Ależ nie! Po prostu ten stary farmer chciał ci dać appa-lekcję!

- Chyba możemy pogadać o tym appa-później - powiedziałam, chichocząc.

- Chyba się nie appa-wyśmiewasz ze starego Willa Hicksa, co? - spytał Eustace.

W tym momencie oboje już się appa-zaśmiewaliśmy jak idioci. Eustace był w znakomitym nastroju, w świetle kominka widziałam jego szeroki uśmiech i takiego właśnie go lubiłam. Żałowałam, że nie mam kolejnych dziesięciu butelek i tyle samo godzin, żeby móc siedzieć w jego ciepłej chacie i przynajmniej raz poobserwować, jak Eustace Conway appa-zapomina na chwilę o swoim napiętym programie.

- Tak dobrze można się z tobą bawić. Powinieneś częściej pokazywać się ludziom z tej strony - powiedziałam.

- Wiem, wiem. Patience mi to wciąż powtarzała. Mówiła, że praktykanci nie baliby się mnie przez cały czas, gdybym pokazał się im z tej spontanicznej i zabawowej strony. Nawet się zastanawiałem, jak to zrobić. Może każdego ranka przed pracą powinienem ćwiczyć pięć minut spontaniczną zabawę.

- Pięć minut spontanicznej zabawy, Eustace? Dokładnie pięć minut? Nie cztery? Nie sześć?

- Aaaa... - Ujął głowę w dłonie i zaczął się kiwać w przód i w tył. - Wiem, wiem, wiem... to szaleństwo. Widzisz, jak to jest ze mną? Widzisz, co jest w moim mózgu?

- Hej, Eustasie Conway'u - powiedziałam - życie nie jest lekkie, prawda?

Zmusił się do uśmiechu i pociągnął kolejny łyk whisky.

- Aha, rzeczywiście, nie jest - odparł.

Wciąż tli się w nim ambicja. Jeszcze nie skończył. Kiedy był całkiem młody i chodził wokół Żółtwej Wyspy ze swoją dziewczyną, Valarie, pokazywał jej, zupełnie jakby odczytywał gotowy plan, co zrobi ze swoim królestwem. Tutaj domy, tam mosty, kuchnia,

łąka, pastwisko. I tak właśnie zrobił. Na całej jego ziemi widać namacalny dowód tego, co Eustace pierwotnie widział tylko w swoim umyśle. Domy, mosty, ta kuchnia... wszystko na swoim miejscu.

Pamiętam, jak podczas pierwszej wizyty na Żółtwej Wyspie stałam z Eustace'em na skraju prawie już do końca wykarczowanego na pastwisko terenu. Było tam tylko błoto i pieńki, ale mój gospodarz oświadczył: „Kiedy przyjedziesz tutaj następnym razem, w środku tego pastwiska będzie stała ogromna stajnia. Potrafisz to sobie wyobrazić? Widzisz tę rosnącą trawę, zieloną i zdrową, i te konie stojące tak ślicznie wszędzie wokół?” Kiedy następnym razem tam przyjechałam, jakby za sprawą czarodziejskiej różdżki środek pastwiska zajmowała wielka piękna stajnia i rosła zielona i zdrowa trawa, wszędzie wokół ślicznie stały konie. Eustace zaprowadził mnie na wzgórze, żebym miała lepszy widok na całość, rozejrzał się i powiedział: „Kiedyś dokładnie w tym miejscu będzie sad”.

Znam go na tyle dobrze, by wiedzieć, że tak właśnie będzie.

Zatem nie, on jeszcze nie skończył z Żółtwią Wyspą. Chce wybudować bibliotekę i zamierza kupić tartak, żeby produkować własne drewno. I jest jeszcze ten dom marzeń, miejsce, w którym zamieszka. Ponieważ po całym tym czasie - po ponad dwudziestu latach mieszkania w lesie, po harówce aż do odrętwienia, żeby kupić te tysiąc akrów ziemi, po postawieniu na niej kilkunastu budynków - Eustace wciąż nie ma własnego domu. Przez siedemnaście lat mieszkał w tipi. Przez dwa lata na stryżku szopy na narzędzia. A ostatnio przeniósł się do małej wiejskiej chaty, którą nazywa Domkiem Gościnnym i która jest ogólnie dostępna, ponieważ zimą, kiedy kuchnia na otwartym powietrzu jest zamknięta,

zbierają się tutaj dwa razy dziennie na posiłki wszyscy praktykan-
ci i goście. Człowiek, który utrzymuje, że najbardziej pragnie
odosobnienia, na Żółtwej Wyspie nigdy nie wydzielił dla siebie
całkowicie prywatnej przestrzeni. Najpierw muszą mieć dach nad
głową wszyscy i wszystko inne, od świń poczynając, poprzez
praktykantów i narzędzia, a na książkach kończąc.

Istnieje jednak dom, który od bardzo dawna projektuje w swo-
jej głowie. I dlatego możemy być pewni, że pewnego dnia po-
wstanie. Pierwsze jego rysunki wykonał, kiedy był na Alasce,
odcięty od świata na małej wyspie, czekając, aż burzliwe morze
uspokoi się na tyle, żeby mógł bezpiecznie przepłynąć kajakiem
na ląd. I kiedy pewnego popołudnia poprosiłam, by mi go opisał w
szczegółach, zgodził się bez wahania.

„Fundamentalna filozofia leżąca u podstaw domu moich ma-
rzeń - zaczął - jest podobna do uczuć, jakimi darzę moje konie... z
miłości do piękna idziesz dalej, niż jest to konieczne. Ten dom jest
dość okazały, ale dla niczego nie zamierzam poświęcić jakości.
Jeśli chcę mieć płytki łupkowe na dachu, będę je miał. To samo
dotyczy fazowanego szkła, elementów miedzianych, ręcznie kute-
go żelaza... wszystkiego, co zechcę. Dom powstanie z szerokich
drewnianych bali, część z nich już wybrałem spośród drzew ro-
snących w lasach dookoła. Duże bale i mnóstwo kamienia, a
wszystko wytrzymałe i długowieczne.

Kiedy otworzę drzwi frontowe, zobaczę spływający z wysoko-
ści trzydziestu stóp wodospad, a na dole wyłożony kamieniami
stawek. Wodospad będzie napędzany energią słoneczną, a także
podgrzewany, żeby przyczyniał się do ogrzania samego domu.
Podłoga będzie kamienna albo kafelkowa, z czegoś przyjemnego
dla oka i dla stóp. Główny pokój będzie miał strop na wysokości

czterdziestu stóp, jak w katedrze, wpuszczone w podłogę kamienne palenisko otoczone kamiennymi ławami. Będę tam rozpałał ogień, a przyjaciele przyjdą w zimowe wieczory grzać się na tych ciepłych kamieniach. Drzwi po lewej stronie tego wielkiego pokoju będą prowadzić do mojego warsztatu, dwadzieścia stóp na dwadzieścia. Jego zewnętrzną ścianę będą tak naprawdę tworzyć masywne drzwi o skrzydłach na długich zawiasach, otwieranych na zewnątrz, tak żebym pracując latem, miał tam powietrze i słońce i słyszał śpiew ptaków.

Obok dużego pokoju będą dwa przeszklone pomieszczenia. Jedno to cieplarnia, żebym przez cały rok miał dostatek świeżej zieleniny i jarzyn. Drugi to jadalnia, prosta i doskonała. Wszystko będzie tam miało swoje miejsce, jak na statku. Duży drewniany stół, ławy i narożna sofa. I wszędzie okna, żebym mógł spoglądać na dolinę, gdzie będę widział stajnię, pastwiska i ogród. Za drzwiami do jadalni będą drzwi do kuchni. Marmurowe blaty, ręcznie robione szafki z uchwytyami z poroży, półki, kuchenka na drewno... ale również kuchenka gazowa. Bieżąca zimna i ciepła woda, wszystko za sprawą energii słonecznej, oraz różnego rodzaju ręcznie wykonane i ręcznie kute drobiazgi i odlewane naczynia kuchenne. I kolejne drzwi, prowadzące do kuchni na powietrzu, gdzie będę gotował i jadł posiłki latem, z osłoniętym tarasem, ze stołem i zlewami z bieżącą wodą, i z półkami, i kuchenkami, tak żeby nie trzeba było ciągle chodzić po coś do środka. Z tarasu będzie widok na piękną kotlinę i prawdopodobnie założę tam oświetlenie gazowe, z butli.

Na górze będą dwie małe mansardowe sypialnie - można to będzie zobaczyć z dużego pokoju - i balkon przy największej

sypialni. Ta główna sypialnia będzie miała rozmiary warsztatu na parterze, ale nie zagrączę jej meblami. Dużo wolnej przestrzeni, czystej i pięknej. W głębi korytarza toaleta połączona z kompostownią, sauna i te dwie mansardowe sypialnie. Nie zabraknie nadającej się do spania werandy, z łóżkiem, ale gdybym musiał spać wewnątrz domu, to będę miał podwójne łóżko, a nad nim świetlik, żebym mógł sobie w nocy patrzeć na gwiazdy. I oczywiście przepastne garderoby.

W moim domu wszędzie będzie widać sztukę. Z balkonów zwisną dywany Nawahów. Trochę w stylu Santa Fe, który obecnie tak wszyscy lubią, ale to będzie prawdziwa i cenna sztuka... nie te podróbki, jakie ludzie zbierają, bo się na tym nie znają. Ten dom, pełen sztuki, światła i przestrzeni, zapewni spokój i bezpieczeństwo. Z trzech stron osadzony głęboko w ziemi, będzie użyteczny i piękny. Mówię ci, „Architectural Digest” będzie chciał go dostać w swoje łapy. I wiem, że potrafiłbym wybudować go samodzielnie, ale nie wbiję nawet łopaty w ziemię, dopóki nie będę miał żony, bo niech mnie wszyscy diabli, jeśli zamierzam wybudować ten dom, nie mając u boku właściwej kobiety”.

Zamilkł. Rozsiadł się wygodnie i uśmiechnął.

Zamurowało mnie.

Nie chodzi o to, że zastanawiałam się, skąd, u diabła, Eustace wziął sobie egzemplarz „Architectural Digest”. Nie byłam nawet szczególnie wstrząśnięta tym, że Eustace, który przez całe lata nauczał, jak niewiele do szczęścia nam potrzeba, jeśli chodzi o otoczenie materialne, opisał swoje pragnienie wybudowania rezydencji w stylu rustykalnym, odpowiadającej gustom emerytowanego milionera nafciarza. Nie zaskoczyło mnie, że Eustace

przypomni  mi nagle Thomasa Jeffersona, tego nastawionego obywatelsko, ale samotnego idealistę, odkładającego chwilowo na bok swoje obowiązki wobec Republiki, by rzucić się w wir dekadencjonalnych marzeń mających postać projektowania idealnego domu z dala od reszty społeczeństwa. Nie chodziło nawet o to, że nie miałam pojęcia, gdzie te trzynaścioro dzieci, które Eustace planuje spłodzić, będzie spało w domu mającym tylko dwie małe dodatkowe sypialnie. Z tym wszystkim byłam w stanie sobie poradzić. Ani trochę nie zbiło mnie to z pantałyku.

Zareagowałam szokiem na du o bardziej przyjemn  sprawę.

Po tylu latach znajomości z tym niezwykle skomplikowanym, współczesnym traperem byłam przygotowana na najbardziej zaskakujące pomysły, ale tym razem n i e m o g ła m u w i e r z y ć , że właśnie usłyszałam, jak Eustace Conway używa od niechcienia zwrotu „przepastne garderoby”.

Eustace Conway zbli a się do czterdziestki. Je li wierzy  w statystyki firm ubezpieczeniowych, w aśnie minęła mu po owa  ycia. Wiele osi gn ł. Widzia  wi kszy kawa   wiata ni  wi kszo  z nas pozna z lektur. Siedemdziesi t pi c razy do roku robi  rzeczy, których, jak przekonywali go ludzie, nie da się zrobi . Kupi  i obj  ochron  ziemi, kt rej zawsze pragn ł. Zwraca  piln  uwag  na prawa przyrody i dzi ki temu zyska  bieg o  w osza amiaj co wielu specjalno ciach. Za o y  organizacj  zajmuj c  si  nauczaniem i propagowaniem jego przekona . Sta  si  znan  i znaczc  osob  publiczn . Ludzie go szanuj  i boj  si  go. Jest najwy szym arbitrem w swojej dziedzinie. Nawet nazywa sam siebie traperem pierwszego rodzaju, bo rzeczywi cie sta  si  m żem opatrno ciowym w boju, najbardziej publicznym pustelnikiem  wiata, dyrektorem generalnym las w.

Istnieją wszakże pewne pęknięcia. A on czuje ten wiatr, który przez nie dmucha. Wydaje się, że tak jak wtedy, kiedy miał lat trzydzieści, tak i teraz jego relacje z innymi ludźmi nie są takie jak należy. Ci, którzy pracują z nim na Żółtwej Wyspie, albo są stale wściekli, albo go nie rozumieją. Prawie każdy praktykant, którego tam spotkałam, opuszczał Eustace'a na długo przed umówionym terminem, przeważnie ze łzami w oczach. Nawet Candice, która nie miała najmniejszego zamiaru zostać jeszcze jednym zawiedzionym byłym wyspiarzem, opuściła górę nagle jako ZBW, rozgoryczona odmową Eustace'a, kiedy poprosiła go o przyznanie jej większych praw do zajmowania się ogrodem.

Nie lepiej wychodzi Eustace'owi z rodziną. Na czoło wysuwa się oczywiście ten lekceważący, pogardliwy ojciec... nieustannie mający gdzieś na horyzoncie, krytyczny, zde gustowany i gniewny. W życiu Eustace'a było tak zawsze, że kiedy oczekiwał od ojca miłości i akceptacji, to prawie dostawał ślepoty śnieżnej od tej białej pustki, na jaką napotykał.

Choć akurat w tym roku wydarzyło się coś dziwnego.

Eustace zadzwonił do mnie w swoje trzydzieste dziewięte urodziny. Przeprowadziliśmy normalną, trwającą godzinę rozmowę o sprawach dotyczących Żółtwej Wyspy i o ploteczkach. Opowiedział mi o swoich nowych praktykantach, o pracy przy stajni i o narodzinach pięknego żrebaka o imieniu Luna. A potem dziwnym głosem oświadczył:

- Aha, jest coś jeszcze. Dostałem w tym tygodniu kartkę urodzinową.

- O, tak? - spytałam. - Od kogo?

- Od ojca.

Zapadło dłuższe milczenie. Odstawiłam herbatę, którą piłam, i usiadłam.

- Opowiedz mi. Opowiedz mi wszystko.
- Właśnie trzymam tę kartkę w ręku.
- Przeczytaj mi ją.
- Wiesz, jest dość interesująca. Tata... hm... sam ją narysował. Są na niej trzy ulatujące w niebo baloniki. Narysował je czerwonym pisakiem, a łuk wokół sznurków balonów zielonym. Niebieskim napisał treść.

- Jaką treść?

Eustace Conway odchrząknął i zaczął czytać:

- „Trudno uwierzyć, że minęło trzydzieści dziewięć lat od chwili, w której się urodziłeś i zapoczątkowałeś naszą rodzinę. Dziękujemy za te wszystkie dobrodziejstwa, którymi przez te lata nas obdarzyłeś. Cieszymy się na myśl o kolejnych. Ucałowania, tata”.

Kolejna długa chwila milczenia.

- Przeczytaj mi to jeszcze raz - poprosiłam i Eustace przeczytał jeszcze raz.

I znowu zamilkliśmy. Po chwili Eustace powiedział, że dostał tę kartkę przed dwoma dniami.

- Przeczytałem ją raz, złożyłem i wsadziłem z powrotem do koperty. Byłem tak zdenerwowany, że ręce mi się trzęsły. To pierwsze miłe słowa, jakie ojciec do mnie skierował. Nikt nie jest w stanie sobie wyobrazić, co teraz czuję. Aż do tej chwili nie zerknąłem na nią powtórnie. Wiesz, bałem się nawet jej dotknąć. Nie byłem pewien, że jest prawdziwa. Myślałem, że może mi się to przyśniło.

- Dobrze się czujesz?

- Nie wiem. Och, mój Boże, nie wiem, jak mam otworzyć swoje zaleźnione serce, by w ogóle o tym pomyśleć. O co tu, do

diabła, chodzi? Co to oznacza, tato? Co, do jasnej cholery, kombinujesz?

- Może w ogóle niczego nie kombinuje.
- Chyba schowam tę kartkę na jakiś czas.
- Jasne. A może przeczytasz znowu jutro.
- Może.

Eustace rozłączył się.

Ta maleńka, ale zaskakująca odwilż pomiędzy dwoma Eustace'ami przypomniła mi rzadko spotykane słowo, jakie ostatnio poznałam. Odkryłam je pewnego dnia, kiedy pod wpływem kaprysu wertowałam słownik, żeby znaleźć imię Eustace'a i sprawdzić jego pochodzenie. W moim słowniku nie było hasła „Eustace”, odkryłam natomiast rzeczownik „eustazja”, oznaczający: „wahania poziomu morza na całej kuli ziemskiej, zachodzące w ciągu tysiącleci, wywołane m.in. zmianami lodowcowymi”.

Innymi słowy, powolne topnienie na wielką skalę. Bo takie, jak przypuszczam, byłoby konieczne, żeby choć minimalnie zmienić poziom oceanu.

Jeśli chodzi o innych członków rodziny Conwayów, to relacje Eustace'a z nimi też są wciąż rozchwiane. Uwielbia swoją matkę, ale tak bardzo boleje nad jej smutnym i trudnym małżeńskim życiem, że niszczy to jego własną zdolność poszukiwania szczęścia. Żywi ciepłe uczucia do swojego najmłodszego brata, Judsona, ale łatwo można zauważyć, że niestety bracia nie są sobie już tak bliscy jak kiedyś. Zostało tak od czasu wyprawy Konnych Długodystansowców. Judson mieszka teraz blisko Eustace'a; po drugiej stronie kotliny za Żółwią Wyspą, w małym domku z bali, który sam wybudował i który dzieli obecnie ze swoją czupurną,

energiczną narzeczoną (twardą, niezależną dziewczyną, która poluje z łukiem na jelenie, pracuje jako drwal i ma na imię - zważcie tylko! - Eunice). Judson mógłby bez trudu codziennie odwiedzać Eustace'a konno, gdyby tylko miał ochotę, ale jej nie ma. Bracia rzadko się widują. Eustace chciałby spotykać Judsona częściej, lecz młodszy brat w sposób przyjazny i delikatny trzyma go na dystans.

„Zrozumiałem to, kiedy jechaliśmy przez Amerykę - powiedział mi kiedyś Judson. - Eustace jest jak tata. Trudno być blisko niego, bo jest ciągle tak cholernie spięty i trudny do zniesienia. On i tata szcycą się tym, że tak wspaniale dogadują się z ludźmi. Uważają, że porozumiewają się z nimi na wyższym poziomie intelektualnym niż większość z nas. Eustace przynajmniej stara się słuchać ludzi i zachowuje uprzejmie, nie wywyższa, ale w sumie wychodzi na jedno, jego zawsze musi być na wierzchu i nikt go nie przekona, że mogłoby być inaczej. Kocham swojego brata, naprawdę, ale nie mam pojęcia, jak sobie z tym poradzić. Dlatego trzymam się na dystans. Nie mam wyboru. I bardzo mnie to zasnuca”.

Walton, średni brat, też mieszka niedaleko, niecałą godzinę drogi od Żółwiej Wyspy. Powściągliwy, wybitnie zdolny poliglota mieszka w wygodnym nowoczesnym domu, którego biblioteka pełna jest dzieł Nabokowa i Dickensa. Walton uczy angielskiego i pisuje spokojną literaturę. Prowadzi też własny interes, zajmując się importem z Rosji oraz sprzedażą wykonywanych ręcznie wyrobów rzemieślniczych. Jego żona jest wielkoduszną i pełną życia kobietą. Ma dwie córki z poprzedniego małżeństwa i jedną z obecnym mężem. Życie Waltona toczy się teraz spokojnie, w młodości jednak odbył kilka trudnych podróży. Wtedy pisał listy

do starszego brata, Eustace'a, którego bardzo podziwiał i którego szacunku tak wyraźnie pragnął.

„Nie chcę się chwalić - napisał do Eustace'a w 1987 roku, po dłuższym pobycie na farmie w Niemczech, gdzie znalazł sobie pracę - ale pewnie byłbyś ze mnie dumny. Kiedy pracowałem, ręce miałem całkiem czarne, a teraz odkrywam odciski w miejscach, w których poprzednio ich nie zauważyłem”.

Albo ten list z Rosji z 1992 roku: „W ubiegły weekend miałem sporą odmianę, kopiąc grządki pod ogórki daleko za miastem. Cały dzień machania łopata. Myślałem o Tobie i o Tołstoj, i o tym lecie, kiedy pracowałeś przy budowie - niwelowaniu? - tam w skwarnej jak piekło Alabamie. (Bo widzisz, ja przeżywałem wszystkie Twoje przygody pośrednio, oglądając je przez małe judasze). Jednak ogólnie rzecz biorąc, zupełnie by Ci się tutaj w Moskwie nie podobało. Otacza mnie wszechobecny brud. Aż żal bierze, kiedy się ogląda to miasto i widzi, co ludzie zgotowali sobie i innym. Nie wyobrażam sobie Ciebie tutaj. Marzę o Żółtwej Wyspie”.

Jednak teraz, kiedy Walton mieszka tak blisko Żółtwej Wyspy, prawie w ogóle nie odwiedza brata. Eustace bardzo nad tym boleje i jest dotknięty tym, że brat nie chce odgrywać w jego życiu większej roli.

„To jego «ja» trzyma mnie na odległość - wyjaśniał Walton. - Nie mogę tego wytrzymać. Czasami budzę się rano i myślę sobie: Boże, czy nie byłoby wspaniale mieć brata ze wszystkimi umiejętnościami i zainteresowaniami Eustace'a, ale który miałby przy tym odrobinę pokory? Byłbym szczęśliwy, mogąc spędzać czas z kimś takim, uczyć się od niego. Chciałbym kiedyś wyruszyć z Eustace'em na spokojną wędrowkę, jednak naprawdę trudno jest

obejść to «ja» Eustace'a. Zawsze mam ochotę go spytać: «Potrafisz sobie wyobrazić, że pewnego dnia udałbyś się na konną wyprawę i nie powiedział nikomu o tym słowa? Czy każda chwila twojego życia musi być publicznym przedstawieniem?»,

A jeśli chodzi o jedyną siostrę Eustace'a, Marthę? Cóż, uważam ją za najbardziej nieodgadnioną osobę spośród wszystkich Conwayów. Jej świat jest tak daleki od śmiałego i pełnego przygód świata braci, że łatwo jest zapomnieć o jej istnieniu. W rodzinie Conwayów żartują sobie, że pewnie ją podmieniono po urodzeniu, bo niby „skąd się taka wzięła”. Mieszka z mężem i dwiema córkami na porządnym podmiejskim osiedlu, a jej dom jest tak czysty i sterylny, że mógłby posłużyć za blok operacyjny.

„Wiesz, jak to większość ludzi chowa kruche przedmioty przed dziećmi, żeby ich nie potłukły? - spytał mnie Judson, kiedy próbowałam opisać siostrę. - No cóż, w jej domu jest inaczej. Zostawia łatwo tłukące się przedmioty na miejscu i mówi córeczkom, że nie należy ich dotykać. I wierz mi na słowo, nie dotykają”.

Martha jest gorliwą chrześcijanką, o wiele bardziej religijną od obojga rodziców. Jest także bardzo inteligentną kobietą, z dyplomem MBA z Duke University. Jestem pewna, że gdyby tylko chciała, mogłaby zarządzać General Motors, wykorzystując jednak swoją inteligencję i zdolności organizacyjne do tego, by być idealną panią domu, wymagającą matką i aktywnym członkiem swojego Kościoła. Nie znam dobrze Marthy; spędziłam z nią tylko jedno popołudnie. Ale mi się spodobała. Stwierdziłam, że jest zdecydowanie łagodniejsza, niż się spodziewałam po tym, co usłyszałam od jej braci o jej słynnej surowości. Byłam wzruszona, że zaprosiła mnie do swojego domu, zważywszy na fakt, jak

święte jest to dla niej miejsce. W jej oczach widziałam, jak trudna to była decyzja. Dostrzegałam ten bolesny dylemat, w którym głębokie poczucie chrześcijańskiej gościnności stykało się z poczuciem bezcennej prywatności.

Kiedy poprosiłam Marthę, by sama się określiła, oświadczyła: „Najważniejsze w moim życiu jest kroczyć razem z Jezusem Chrystusem. Wpływa to na wszystko, co robię... jak wychowuję dzieci, jak dotrzymuję zobowiązań małżeńskich, jak walczę o to, by nie stawiać siebie na pierwszym miejscu, jak staram się opanować swoje emocje i głos. Każdy wybór, którego dokonuję, zasada się na mojej wierze. Z powodu wiary uczę dzieci w domu. Nie chcę, by uczęszczały do szkół publicznych. Czuję, że od czasu, kiedy wycofali modlitwę, czai się tam wiele zła. Chcę, by dzieci wychowywały się w prawdziwej wierze, a to mogą otrzymać jedynie tutaj, w domu. Tam, w szerokim świecie, wszystko opiera się na relatywizmie, a ja nie chcę, by moje dzieci się tego uczyły. Tam, na zewnątrz, nie ma już żadnych absolutów. A ja nadal w nie wierzę. Wierzę, że istnieje absolutnie właściwy i niewłaściwy sposób życia i mogę przekazać to swoim dzieciom, tutaj, w domu”.

Inny dowcip w rodzinie Conwayów jest o tym, jak bardzo Eustace i Martha się różnią. „Poczekaj, aż zobaczysz jak ona mieszka - ostrzeżono mnie. - Nie uwierzysz, że ona i Eustace są spokrewnieni!” Z całym szacunkiem, nie zgadzam się z tym. Gdy tylko weszłam do salonu Marthy, pomyślałam sobie: Przykro mi, moi drodzy. Ci dwoje są dokładnie tacy sami. Oboje, Eustace i Martha, odkryli, że świat „tam, na zewnątrz” jest zdemoralizowany i odrażający, wobec czego oboje stworzyli własne światy, tak szczelnie odizolowane od społeczeństwa, że równie dobrze mogliby żyć

pod szklanym kloszem. Mają nad tymi swoimi światami bezwątkową władzę, nie zaznają bólu pójścia na kompromis. Tak się złożyło, że świat Eustace'a ma tysiąc akrów, a Marthy jest nieporównywalnie mniejszy, ale oboje panują nad nimi kierowani tym samym impulsem. Absolutyzmem.

A absolutyzm jest doskonały, jeśli chodzi o to, by praca została wykonana, natomiast kiedy dochodzi do kolizji absolutyzmów, rezultatem jest głośna i zgubna katastrofa. Dlatego właśnie Eustace'owi i jego siostrze nigdy nie udało się do siebie zbliżyć. Bardzo to przykre, ponieważ obojgu zależy na dobrych relacjach. W rzeczywistości jedynie się nawzajem irytują. Eustace uważa, że bardzo się stara szanować wartości Marthy i nie zakłócać jej uporządkowanego życia, uprzedzając odpowiednio wcześniej o swoich odwiedzinach, czytając jej dzieciom biblijne opowieści i starając się zachować porządek w jej domowym sanktuarium. Ale ona i tak uważa go za nieokrzesanego egoistę, co rani go bardzo, szczególnie dlatego, że Martha, mimo wielokrotnie powtarzanych zaproszeń, tylko dwukrotnie pojawiła się z rodziną na Żółtwej Wyspie, co dowodzi, że wcale nie interesuje się jego życiem. Martha natomiast widzi w nim apodyktycznego brata, który spodziewa się, że świat wstrzyma oddech się i wszyscy rzucą mu się do stóp pełni uwielbienia, za każdym razem, kiedy się pojawi. Z powodu dumy i przyzwyczajenia Martha nie zamierza bić pokłonów.

Zatem nie, stosunki Eustace'a z rodziną nie są dobre. Na każdym froncie. Pod żadnym względem. Nie potrafi nic z tym zrobić. A jeszcze bardziej martwi go to, że wciąż nie założył własnej rodziny. Teraz, podobnie jak wtedy, kiedy miał trzydzieści lat, przygląda się swojemu imperium i z konsternacją stwierdza, że choć

tak wiele osiągnął samą siłą woli, wciąż nie ma żony i dzieci. Powinien mieć już rodzinę - swoje oparcie i opokę. W którym miejscu popełnił błąd? Nie potrafi znaleźć odpowiedzi na to pytanie.

Pewnego dnia pojechałam z Eustace'em odwiedzić Hoya Moretza. Spędziliśmy miłe popołudnie w jego kuchni z nim i jego żoną, Berthą. Jedliśmy chleb kukurydziany i słuchaliśmy szalonych, zmyślonych opowieści Hoya, przeglądając albumy ze zdjęciami, na których były wyłącznie muły, byki i konie. Hoy jest zabawny i przebiegły. (Kiedy spotkałam go pierwszy raz, powiedziałam: „Jak się pan miewa?”, a on odparł: „Tłusto i leniwie. A pani?”) Nie jest człowiekiem czytany - ojciec kazał mu powozić zaprzęgiem bawołów dla tartaku, kiedy miał sześć lat - ale można powiedzieć, że jest genialnym farmerem. Jego trzysta akrów ziemi to najporządniejsze pola i pastwiska, jakie można sobie wyobrazić. Hoy nie ma dzieci, więc zdarzyło się, że Eustace zapytał go przy tym kuchennym stole, co się stanie z jego wspólną ziemią po tym, jak on i Bertha odejdą z tego świata. Hoy odparł, że nie bardzo wie, ale przypuszcza, że „rząd weźmie ją i sprzeda tym deweloperom, co to właśnie postawili dziewięćset domów po drugiej stronie góry”.

Później w samochodzie spytałam Eustace'a, czy chciałby ziemię Hoya. Znakomita farma Moretzów znajduje się zaledwie w odległości czterdziestu pięciu minut od Żółtwej Wyspy i jest cudowna. Eustace powiedział, że oczywiście, chciałby ją mieć i byłoby mu bardzo przykro, gdyby zamienili ją w cmentarz lub postawili tam dziesiątki domów.

- Ale tak wygląda ten świat - mówił dalej. - Najpierw pojawiają się drogi, potem farmy, a potem farmerzy sprzedają ziemię deweloperom, którzy ją szatkują i niszczą, i budują kolejne drogi,

aż wszystko kompletnie rozdrobnią. Nie jestem w stanie ochronić każdego akra w Karolinie Północnej. Nie mam na to dość siły.

- Ale co byś zrobił z posiadłością Hoya, gdybyś ją dostał? - spytałam, myśląc, że może miałby tam łąki na siano albo pastwiska dla wciąż rosnącej liczby koni.

- Zachowałbym ją taką, jaka jest, a potem oddał jednemu ze swoich synów, kiedy byłby na tyle dorosły, żeby zrobić z niej tradycyjną, przekazywaną z pokolenia na pokolenie farmę - odparł Eustace.

Zdanie to zawisło niezręcznie w powietrzu na dłuższą chwilę. Musiałoby się spełnić kilka warunków: że kiedyś Eustace będzie miał gromadkę dzieci; że będą wśród nich chłopcy; że choć jednemu z nich będzie zależało na rodzinnej farmie; że dla Eustace'a jego synowie nie okażą się tak ogromnym rozczarowaniem („anty-tezą tego, czego oczekiwałem!”) jak dla jego dziadka i ojca ich synowie; że za dwadzieścia pięć lat jego ziemia wciąż będzie tutaj. Chyba Eustace'owi również przyszły do głowy te wątpliwości.

- Jednemu z synów - powtórzył w końcu takim głosem, jakby poczuł odrazę do siebie. - Co ja wygaduję. Niby skąd mam ich wziąć?

Faktycznie, skąd? I kto miałby być ich matką? To nurtuje nie tylko jego samego, ale wszystkich, którzy go znają, do tego stopnia, że zastanawianie się kogo, jeśli w ogóle, Eustace poślubi, stało się popularną formą rozrywki. W ciągu kilku ubiegłych lat każdy z członków jego rodziny w jakimś momencie wziął mnie na bok, by wyrazić swoje skryte pragnienie, by Eustace nigdy się nie ożenił i żeby przypadkiem nie miał dzieci, ponieważ byłby, jak wyraziła to Martha, „budzącym zbyt wielki strach ojcem”.

Jednak Eustace ma też takich przyjaciół, którzy nieustannie

próbują skojarzyć go z jakąś wspinającą się po górach, miłującą pokój i przyrodę dziewczyną o śniadej cerze. Niektórzy uważają, że powinien pojechać do Gwatemali i poślubić najładniejszą i najspokojniejszą czternastoletnią dziewczynkę Majów, jaką mu się uda znaleźć. Inni znów twierdzą, że jemu potrzebna jest najtwardsza i najbardziej nowoczesna herod-baba, która by mu dopieprzyła na tej Żółtwej Wyspie. Natomiast jedna z bliskich znajomych Eustace'a, artystka, mówi mu wprost: „Hej, Eustace. Czemu nie przyznasz, że tak naprawdę to nie lubisz dzieci? Kiedy tylko znajdziesz się z nimi w jednym pokoju, zmywasz się jak najszybciej”.

Jak też mam własne zdanie na temat uczuciowego życia Eustace'a. Wydaje mi się, że tak naprawdę potrzebna mu jest kobieta zarówno silna, jak i uległa. Może się to wydawać sprzecznością, jednak nie zawsze tak było. Przez stulecia siła połączona z uległością była u kobiet regułą, szczególnie na amerykańskim pograniczu. Pomyślmy raz jeszcze o żonie Davy'ego Crocketta, której nadzwyczajna zdolność radzenia sobie w głuszy dorównywała jedynie umiejętności podporządkowania się mężowi. Tego właśnie potrzebuje Eustace. Ale tamto działo się w osiemnastym wieku. Czasy, co bez wątpienia zauważyliśmy, zmieniły się. I dlatego w mojej osobistej opinii jest mało prawdopodobne, by Eustace Conway znalazł sobie żonę (czy, jak sam to czasami określa, „partnerkę”). Któryś z jego wielkomięjskich przyjaciół zauważył kiedyś z żalem, że „jedno stulecie tego przekłętego feminizmu zmarnowało wszystkie oblubienice!”

Podobnie jak wielu mężów opatrznosciowych przed nim, tylko w tej najbardziej delikatnej materii intymnego partnerstwa Eustace nie odnosi sukcesu. Jego wszystkie talenty wydają się wobec niej

bezsilne. Jak napisał nieszczęśliwy Meriwether Lewis do swojego drogiego przyjaciela Williama Clarka kilka lat po tym, jak w celach badawczych przewędrowali cały kontynent, „Jeśli chodzi o miłość, to jestem teraz wdowcem doskonałym... czuję całą tę nerwowość, niepokój, to szczególne uczucie wspólne starym kawalerom, niedające się opisać, a jak sądzę, pochodzące z owej pustki w naszych sercach, która mogłaby, czy raczej powinna być wypełniona. Dlaczego tak się dzieje, nie mam pojęcia, ale wiem, że nigdy nie czułem się mniej bohaterem niż obecnie. Bóg tylko wie, jaka może być moja następna przygoda, na tę jednak jestem zdecydowany, znaleźć sobie żonę”.

Nie chodzi o to, że Eustace nie ma z czego wybierać. Robi ogromne wrażenie na kobietach i choć żyje w odizolowanym świecie, kobiety zawsze kręcą się wokół niego. Przez Żółtą Wyspę przepływa niekończący się strumień pięknych i zauroczonych nim marzycielek, które są tam obozowniczkami, praktykantkami i jednodniowymi gośćmi i wiele z nich chętnie pofiglowałoby na ściółce leśnej z prawdziwym traperem. Gdyby Eustace'owi kiedykolwiek zależało tylko na zaspokojeniu seksualnym, mógłby wybierać sobie kochanki, jak zrywa się co dorodniejsze jagody. Trzeba mu jednak przyznać, że nigdy nie uważał Żółtej Wyspy za osobistą utopię wolnej miłości. Nie wykorzystywał tego mrowia ślicznotek dla krótkotrwałej seksualnej przyjemności. Wręcz przeciwnie, celowo odsuwa się młodych dziewcząt, które wzdychają do tego ideału nieugiętego twardziela, ponieważ uważa, że nie wolno mu wykorzystywać ich uwielbienia. Wciąż liczy na stworzenie nierozzerwalnego i świętego monogamicznego związku, imponującego swoją doskonałością. Jest to poszukiwanie

świadome i inspirowane koncepcją romantycznej miłości, a pozostaje uparcie - wręcz boleśnie i niewiarygodnie, i niemal buńczucznie - naiwne.

„Poznanie Ciebie było przeżyciem niezwykle intrygującym - napisał w liście do jednej z kobiet, która nigdy nie kręciła się przy nim na tyle długo, by zostać oficjalnie uznaną za jego dziewczynę. - Nie bardzo wiem, co sobie o mnie myślisz, ale mam nadzieję, że będzie jeszcze szansa, byśmy się bliżej poznali. Szukam partnerki; osoba energiczna, inteligentna, lubiąca przygody i taka jak ty naprawdę mnie pociąga. Pragnąłbym przeżyć w rzeczywistości moje fantazje o świętym związku, który byłby przepełniony dozą miłością, troską i zrozumieniem. Chcę tego «doskonałego» i przepełnionego miłością związku z «baśniowego» amerykańskiego marzenia, że tak pozwolę sobie to określić. Nie zadowolę się czymś skromniejszym (...) od dziesięciu lat myślę o małżeństwie. Ciągłe szukam, ale nie natrafiłem na tę «właściwą». (...) Jeśli potrafisz patrzeć szerzej i głębiej, znajdziesz we mnie zdolność troszczenia się o inną osobę i odkryjesz, że mogę zaoferować Ci więcej, niż kiedykolwiek marzyłaś, w dziedzinie znaczącego partnerstwa w podróży przez życie, tego «człowieczego eksperymentu». To Ci oferuję. Proszę, potraktuj mnie poważnie i nie pozwól, by jakiś mechanizm obronny powstrzymał Cię przed dostrzeżeniem we mnie tego, czego tak naprawdę pragnie Twoje serce. Na tyle, na ile potrafię, ofiarowuję Ci moją miłość i pozostaję szczerze oddany, Eustace”.

To podejście w stylu „stań w tunelu aerodynamicznym mojej miłości” też się nie sprawdziło. Niemożność założenia idealnej rodziny, która wymazałaby koszmar jego dzieciństwa, jest dla Eustace'a bardzo bolesna. Doskonale zdaje sobie sprawę z tego, że

czasu jest coraz mniej. Całkiem niedawno związał się z Ashley, dwudziestoczteroletnią piękną hipiską. To ciepła i kochająca osoba. Eustace poznał ją sześć lat temu, na przyjęciu, i nie mógł oderwać od niej wzroku przez cały wieczór, obserwował, jak rozmawia z innymi, myśląc sobie: Jak jest pełna życia i miłości i taka urzekająca, niczym rozlewający się na cały pokój wodospad wraz z otaczającą go mgiełką. To ta. Muszę poślubić tę dziewczynę.

Ashley, w tamtym czasie osiemnastka, już miała ukochanego. Właśnie chciała opuścić miasto, gotowa wkroczyć w świat szalonych podróży i przygód, i nie miała najmniejszej ochoty zostać kobietą Eustace'a Conwaya. Wróciła jednak niedawno do Boone i jest sama. Eustace ponownie się w niej zakochał, tym razem z wzajemnością.

Eustace uważa Ashley za anioła i nietrudno zrozumieć dlaczego. Dziewczyna emanuje życzliwością i dobrocią. Pewnego popołudnia wiozła mnie samochodem przez Boone, kiedy na czerwonym świetle podszedł do auta jakiś bezdomny i poprosił o wsparcie. Ashley, która latami żywiła się tym, co miała z kartek żywnościowych, i nadzieją, zaczęła szukać drobnych, ale znalazła jedynie kilka dziesięciocentówek.

- Niewiele ci mogę dać - tłumaczyła się - ale obiecuję, że poświęcę ci wszystkie modlitwy.

- Dziękuję - powiedział mężczyzna, jakby dostał studolarowy banknot. - Wierzę ci.

Ashley ma wystarczająco wielkie serce, żeby bez trudu pomieścić całą miłość Eustace'a i wszystkie jego potrzeby i tęsknoty, jakimi ją zarzuca. Ale ma pewien feler. Gdzieś w trakcie tych swoich podróży zdążyła dochować się trójki dzieci... pięcioletniego chłopca i młodszych dziewczynek, bliźniaczek.

Kiedy o tym usłyszałam, powiedziałam do Eustace'a:

- Zawsze chciałeś mieć trzynaścioro dzieci. Wygląda mi na to, że tutaj masz dobry początek, kolego. Trójka już jest, zostało dziesięcioro.

- Tyle że koncepcja trzynaściora dzieciaków to coś zupełnie innego niż rzeczywista trójka - roześmiał się.

Ashley jest spokojna, czuła, zabawna, troskliwa i stateczna. Wnosi w atmosferę Żółwiej Wyspy tak bardzo tam potrzebny spokój i gościnność. I bez trudu daje sobie radę z tamtejszym stylem życia. Kilka lat spędziła w nędznej wspólnocie Rainbow Gathering, przy której Żółwia Wyspa to istny Hilton. To kobieta, która przeszła dwie ciąży, nie oglądając lekarza („Wiesz, kiedy jesteś zdrowa - wyjaśnia - nie potrzebujesz wtedy nikogo, tylko po to, by ci powiedział, że wszystko jest w porządku”). To kobieta, która urodziła bliźniaczki w środku nocy, na twardej ziemi Kolorado, ledwie osłonięta brezentem. Ta kobieta bez trudu znieśie życie, w którym jest szlachtowanie świń i nurkowanie w pojemnikach na śmieci.

Eustace zaklina się, że w każdej chwili wzięłby ślub z Ashley, gdyby nie miała już rodziny. Odczuwa opór przed wychowywaniem dzieci jakiegoś beztroskiego mężczyzny, szczególnie że tamten jest hipisem, na dodatek wciąż obecnym w życiu tych dzieci. Eustace nie chciałby, by ktoś taki swoim brakiem dyscypliny dawał przykład dzieciom, które być może on sam będzie kiedyś miał. Trzeba powiedzieć, że jest przestraszony nie bliźniaczkami Ashley, ale jej pełnym energią i upartym synkiem.

- Jak mógłbym adoptować chłopca, którego formowanie już się rozpoczęło? Widział zbyt wiele demoralizujących rzeczy i tego nie zmienię. Moje relacje z ojcem były jak najgorsze i jeśli mam

mieć syna, muszę być pewien, że nasze stosunki będą idealne od pierwszej chwili. Nie chciałbym, żeby choć przez chwilę rozdzielał nas gniew lub jakieś inne problemy. Z tego, co wiem, to mógłbym spędzić dziesięć lat na pokazywaniu synowi Ashley właściwej drogi, a kiedy on by skończył czternaście lat, odwróciłby się do mnie i oświadczył: Pieprzyć to wszystko, tato. Idę się naćpać”.

- Eustacie - powiedziałam - nikt ci nie obieca, że twoje własne dzieci nie powiedzą kiedyś czegoś takiego. Prawdę mówiąc, jestem pewna, że to zrobią. Wiesz o tym, czyż nie?

- Jednak w przypadku własnych dzieci miałbym większe szanse, bo byłbym z nimi od samego początku, żeby uczyć je różnicy pomiędzy akceptowanym a nieakceptowanym zachowaniem. Z dziećmi Ashley nie wygląda to tak dobrze. One już są niezdyscyplinowane. Ashley to wspaniała matka, ale jej dzieci manipulują nią i wywołują zamęt. Naprawdę trudno wytrzymać z jej dziećmi, bo nie są wychowane. Wszędzie ich pełno i wymagają jej stałej uwagi. Ona je tutaj przyprawia, a ja robię z nimi różne rzeczy, takie jak konne przejażdżki, ale niewiele w tym przyjemności. Dla nich owszem, ale nie dla mnie.

Eustace nie potrafi zrezygnować z Ashley, ponieważ jest taka piękna i dobra, i ponieważ darzy go tą upojnie bezwarunkową miłością, za którą tak tęsknił. Ale nie może jej też mieć przy sobie, ponieważ ona wprowadza zbyt wiele zatrzważających zmiennych w jego wymagający i uporządkowany świat. Starał się pomóc wnieść więcej ładu i dyscypliny do jej rodziny; pożyczał książki ze swojej biblioteki, napisane przez amiszów, o tym jak właściwie „wyćwiczyć” dziecko, bardzo podobnie do tego jak ćwiczy się konia. Ashley, którą dzieci rzeczywiście zamęczają, pilnie i chętnie studiowała te książki i wiele z zawartych w nich rad wzięła sobie

do serca. Przekazała nawet te staroświeckie rady dotyczące wychowania dzieci swoim przyjaciółkom hipiskom, żeby pomóc im zaprowadzić jakiś porządek w ich ogarniętych chaosem rodzinach. Jej starania nie były daremne. Korzystając z surowego systemu amiszów, Ashley zdołała zdyscyplinować swoje dzieci na tyle, że znacznie rzadziej dostają napadów złości i mniej się mazgają. Oczywiście wciąż są z nimi kłopoty. Ponieważ jest ich troje i są dziećmi.

Tak więc Eustace nie wie, co zrobić w związku z Ashley. Ostatecznie jego decyzja niemal na pewno będzie rezultatem rozgrywki pomiędzy tym, czego najbardziej pragnie: miłością absolutną i absolutną kontrolą. Nie będzie to łatwe. Historycznie rzecz biorąc, miłość zawsze była groźnym współzawodnikiem, jednak niektórym ludziom na świecie potrzeba czegoś więcej niż tylko miłość. Eustace'owi zdarzało się już żyć bez miłości; zna to uczucie. Natomiast ani przez chwilę swojego dorosłego życia nie był pozbawiony kontroli.

Pozostaje zatem nieżonaty i samotny. I nurtują go pytania o to, jakiej kobiety powinien szukać. Po wszystkich tych latach doszedł do wniosku, że powinien być ostrożniejszy przy wyborze obiektu miłości. Może jego wybory były zbyt przypadkowe; może dlatego nigdy mu się nie udaje. Stawiając czoło temu wyzwaniu, tak jak stawałby czoło każdemu organizacyjnemu zadaniu, Eustace ostatnio usiadł i spisał porządnie wszystkie wymagania, jakie stawia swojej idealnej kobiecie. Gdyby mógł dokonać oceny potencjalnej kandydatki w każdej z kategorii, dokonałby mądrego wyboru i na pewno nigdy nie zostałby zraniony i nie cierpiał po raz kolejny w samotności.

Bardzo zdrowa (tak zaczyna się jego lista, spisana bez żadnego konkretnego porządku). Dalej:

Zdolna do wielkiej zażyłości.

Piękna.

Nieskrępowana i żarliwa w sprawach seksu.

Mająca duchową wiarę/ukierunkowanie.

Entuzjastycznie nastawiona do tego, by przeżyć każdy dzień w pełni i z poczuciem wdzięczności.

Pomocna, pełna poświęcenia, troskliwa, mająca tradycyjne cechy kobiecej osobowości.

Ceni wartości, a nie materialistyczny styl życia.

Uczuciowa, pewna siebie, skoncentrowana, energiczna, zawsze wspierająca, komunikatywna.

Niezależna, zdolna do zawiązania nierozzerwalnego węzła w świętym związku małżeńskim.

Zna języki.

Uprawia sztukę albo się nią interesuje - taniec, teatr, literatura, sztuki wizualne itd.

Stawia rodzinę na pierwszym miejscu.

Ceni rozsądne zarządzanie pieniędzmi.

Lubi kierować pracami w gospodarstwie, przy uprawie ziemi, w ogrodzie itp.

Lista ta ciągnie się bez końca. Zatem widzicie, w czym problem. Sam Bóg może tylko pokręcić głową, kiedy dostanie takie zamówienie, i powiedzieć: Przykro mi, kolego, tego nie mamy na składzie. Eustace ma jednak więcej optymizmu niż Bóg. I jest o wiele bardziej od Niego samotny.

Kiedy pokazał mi pierwszy raz tę miłosną listę, oddałam mu ją i oświadczyłam:

- Naprawdę, bardzo mi przykro, przyjacielu, ale miłość nie działa w taki sposób.

- Nie mam pojęcia, jak inaczej się do tego zabrać - powiedział, a w jego głosie pierwszy raz usłyszałam bezsilność.

To prawda, że lista ta jest dowodem na to, jak bardzo kiepsko Eustace Conway jest wyposażony, kiedy przychodzi do radzenia sobie z prawdziwą bliskością. Wszyscy szukamy pewnych cech u ukochanej osoby, ta lista jednak zrobiła na mnie wrażenie ściągki na egzamin z przedmiotu, którego większość z nas w ogóle nie musi się uczyć. Nie musimy porównywać cech ludzi z wydrukiem inwentaryzacyjnym; wiemy, kiedy jesteśmy zakochani. Natomiast Eustace nie jest tego pewny. Ma zbyt mało podstawowych umiejętności, by stawić czoła górcom i dolinom, i nieprzewidywalnym zmianom aury charakteryzującym prawdziwą miłość pomiędzy mającymi skazy, a jednocześnie cudownymi osobami. Jak sam przyznaje, jest zbyt poobijany i zbyt wrażliwy, a ja uważam, że wykazuje zadziwiająco odwagę, kiedy wciąż się stara otworzyć serce przed innymi.

Nie wiem, czy winę za te kłopoty należy przypisywać prze-
możnej sile męskiej ikonografii, którą przejął z amerykańskiej kultury, czy jest to trująca pozostałość po traumie dzieciństwa. Kiedy jednak widzę, jak Eustace Conway kieruje się ku głębszy zażyłości, ściskając w dłoni ten swój spis, przypomina mi gościa z przedmieścia, który właśnie kupił na weekendową wyprawę myśliwską wszystko, co było w katalogu, ma za dużo bagażu, za mało wiedzy i jest śmiertelnie przerażony.

Jeden ze swoich corocznych występów Eustace'a dał na Merlefest, znanym festiwalu folkowej muzyki i sztuki, odbywającym się każdego lata w Karolinie Północnej. Eustace nie podróżuje już

i nie przemawia tyle co kiedyś; woli przebywać w domu, na Żółtym Wypie, z dala od tłumów. Jednak na Merlefest pracuje co roku, ustawia swoje tipi na festiwalowym terenie i mówi ludziom o życiu w zgodzie z naturą. To dobre zajęcie. Jest dobrze płatne i ściąga tłum zainteresowanych, poza tym Eustace spędza weekend na słuchaniu muzyki folkowej w wykonaniu swoich appalaskich bohaterów, takich jak Doc Watson i Gillian Welch.

Pojechałam z Eustace'em na Merlefest latem 2000 roku i dostrzegłam w jego zachowaniu podczas kontaktu z publicznością większe zmęczenie życiem niż kiedykolwiek przedtem. Brakowało mu animuszu, jaki pamiętałam z przeszłości. I nie było szczególnie trudno w trakcie tego weekendu zorientować się, dlaczego człowiek może stracić werwę, stając wobec rzeczywistości.

Już znacznie wcześniej powiedziano mi, że wystąpi na tej samej scenie co inny człowiek będący atrakcją festiwalu, „autentyczny indiański wódz z Everglades”, niejaki Jim Billy. Od tygodni Eustace denerwował się, myśląc o tym spotkaniu.

„Znam mnóstwo rdzennych Amerykanów i zazwyczaj witają mnie przyjaźnie - wyjaśniał. - Czasami jednak Indianie źle reagują na moją obecność, pytając, na przykład: Kogo udaje ten biały człowiek w tipi? Szczególnie jeśli są upolitycznieni, w pierwszej chwili uważają, że dopuszczam się obrazy. Oczywiście, rozumiem ich nieufność i jestem zawsze ostrożny; staram się okazywać jak największy szacunek”.

W tym przypadku nie miał się czego obawiać. Wódz Jim Billy okazał się odzianym w dżinsy, zwalistym, przyjaźnie nastawionym gościem, z szerokim uśmiechem i mocnym uściskiem dłoni

urodzonego komiwojażera. Jego plemieniu trafiła się niespodziewana gratka w postaci zysków z gier hazardowych i wódz zachowywał się z lekkością człowieka, któremu świetnie się powodzi. Jego występ, który obecnie, kiedy nie potrzebował już pieniędzy, dawał jedynie dla zabawy, polegał na wyjściu na scenę i zaśpiewaniu „zainspirowanych rock'n'rollem piosenek dla dzieci” o fajnych i przerażających zwierzętach, które żyją na bagnistych terenach Everglades.

- Hej, rodzice! - ostrzegał pomiędzy piosenkami. - Nie pozwólcie dzieciom chodzić samym do lasu, bo tam jest gadzina, co może uzreć! Uzreć? Co ja gadam, tam, w Everglades, ona was pożre!

Kiedy wódz Jim Billy skończył swój występ, zasiadł na widowni i słuchał przykuwającej uwagę i poważnej prelekcji Eustace'a o tym, jak żyć w harmonii z przyrodą. Eustace pokazał widowni, jak spleść powróż z trawy i własnych włosów, i zaprezentował kosze oraz odzież własnej roboty, wykonane z naturalnych materiałów. Po występie wódz Jim Billy podszedł do niego, będąc pod ogromnym wrażeniem tego, co oglądał.

- Coś ci powiem, człowieku - powiedział, ściskając Eustace'a - jesteś wspaniały. A te rzeczy, które potrafisz robić? Wspaniałe. Musisz przyjechać na Florydę i nauczyć tego wszystkiego mój lud, bo nikt z nas nie potrafi już tego robić. Jesteś bardziej indiański niż większość z nas! Do diabła, jedyne, co ludzie z mojego plemienia potrafią robić, to polecieć samolotem do Miami i się poopalać! Żartuję, kolego. Ale mówiąc poważnie, mógłbyś odwiedzić nas w rezerwacie. Dobrze nam się teraz powodzi. Organizujemy turystom małe safari, którego trasa prowadzi prosto przez bagna, i ci turyści byliby tobą zachwyceni. Mógłbyś być

prawdziwą atrakcją, ponieważ ci ludzie szukają czegoś autentycznego, nieudawanego, a ty właśnie tym dysponujesz. Na tej wyprawie przez bagna staramy się dostarczyć im próbkę autentyzmu, ale sami też chcielibyśmy mieć trochę zabawy. Mamy gościa, który przebiera się w kudłaty kostium i biegnie równoległe do łądźi, po czym wyskakuje nagle na turystów. Mówię ci, człowieku, byłbyś tym zachwycony jak wszyscy diabli. Kiedy tylko przyjdzie ci ochota nas odwiedzić, zadzwoń do mnie. Zajmę się tobą, potraktuję jak króla. Masz tam u siebie w lasach telefon, Tarzanie? Świetnie. Zadzwoń. Mówię poważnie. Zabiorę cię swoim samolotem na weekend. Mam własny odrzutowiec, bardzo ładny G-4. Jest w nim nawet wychodek! Spodoba ci się! - Potem wódz Jim Billy ponownie uściskał Eustace'a i płynnym gestem wręczył mu swoją wizytówkę. - Na tej kartce jest o mnie wszystko, co może ci być potrzebne - dodał towarzyski wódz Seminólów. - Telefon stacjonarny, komórkowy, pager, wszystko. Dzwoń, kiedy zechcesz. Jesteś niesamowity.

W milczeniu wracaliśmy z Eustace'em do jego pokazowego tipi, ustawionego naprzeciwko sklepików z napojami i pamiątkami. Kiedy tam dotarliśmy, zastaliśmy w środku dwóch bawiących się chłopców. Ich ubłocone rowery stały obok otworu wejściowego, a chłopcy z miejsca naparli na Eustace'a.

- Słyszeliśmy, że możesz nauczyć nas rozpalać ogień! - zagadnął jeden z nich. Był ciemnowłosy i drobny. Drugi był blondynem, miał sporą nadwagę i nosił T-shirt z napisem **DZIEN ZIEMI**.

- Drzewa zawierają w sobie ogień - powiedział Eustace, biorąc dwa patyki. - Otrzymują go od słońca. W każdym z drzew jest odrobina słońca, którą możemy uwolnić naszą własną energią. -

Eustace pocierał patykami tak długo, aż uzyskał małeńki rozjarzony węgielek, który umieścił w środku małego gniazda z suchej hubki trzymanej w garści. - Mamy tu węgielek niemowlę, nowo narodzoną cząstkę ognia. Jeśli nie potraktujemy jej właściwie i nie nakarmimy tlenem, umrze.

Zachęcił ciemnowłosego chłopca, by podmuchał delikatnie w węgielek, i jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki buchnął płomień. Chłopcy wydali okrzyk radości. Po czym w tipi rozległ się głośny elektroniczny trzask. Korpulentny chłopiec wyjął z tylnej kieszeni spodni walkie-talkie.

- Co? - krzyknął z irytacją w odbiornik.
- Gdzie jesteś, Justinie? Odbiór - rozległ się kobiecy głos.
- Jestem w tipi, mamó! - wrzasnął w odpowiedzi Justin. -

Odbiór!

- Nie słyszę cię, Justinie. Gdzie jesteś? - powtórzyło walkie-talkie. - Odbiór.

Justin wyrócił oczyma.

- Powiedziałem, że jestem w t i p i , mamó! - ryknął. - Odbiór! T i p i ? Tipi, mamó. Rozumiesz, mamó?

Odbiór!

Wysłałam na zewnątrz, z dala od tego wrzasku, myśląc o tym, ile pracy ma przed sobą Eustace, jeśli rzeczywiście chce uratować ten świat. Przed tipi zobaczyłam mężczyznę w średnim wieku z zainteresowaniem oglądającego konstrukcję. Zaczęliśmy rozmawiać.

- Mam na imię Dan - powiedział. - Co roku przyjeżdżam na Merlefest z Michigan i zawsze staram się odnaleźć Eustace'a. Lubię posłuchać, jak opowiada o swoim życiu. Trafia to do mnie, choć jestem nieco zazdrosny. Bóg mi świadkiem, że w każdej chwili przeniósłbym się do lasu, gdybym tylko mógl. Ale nie

mogę. Muszę utrzymywać piątkę uczących się dzieci. Mam dobrą pracę w korporacji Sarah Lee, płacę alimenty i nie bardzo widzę, jak mógłbym zrezygnować z bezpieczeństwa finansowego i ubezpieczenia zdrowotnego i żyć jak Eustace, ale bardzo bym tego chciał. Myślę o tym co roku, kiedy tu przyjeżdżam i go widzę. Jest bardzo przekonujący. I popatrz, jaki jest zdrowy, prowadząc taki naturalny tryb życia. Nie tak jak my wszyscy. - Uśmiechnął się z zażenowaniem i poklepał po wydatnym brzuchu. - Eustace powtarza zawsze - ciągnął mężczyzna - „możesz to zrobić, możesz to zrobić”. Ale ja jakoś nie widzę, jak mógłbym to zrobić. Wiesz, właśnie wybudowaliśmy duży dom. Jest w nim tyle tych cholernych rzeczy, że nawet nie mam pojęcia, skąd się tam wzięły. Jak Boga kocham, nie wiem, jak to się stało, że mamy tyle tego. Czasami spoglądam na swój dom i mam ochotę puścić go z dymem, rzucić to wszystko, zacząć od nowa gdzieś indziej, nie mając nic. Wiesz proste życie w lesie, z dala od świata. Rozumiesz to uczucie? Pragnęłaś kiedyś czegoś takiego? Masz czasem ochotę zniknąć z powierzchni ziemi?

- Oczywiście - powiedziałam. - Każdy miewa to pragnienie.
- Założę się, że nie dotyczy to Eustace'a Conwaya.
- Nie stawiaj tylko na to pieniędzy, Dan.

Eustace, zbliżając się do czterdziestki, musi przyznać, że nie udało mu się zapoczątkować przemiany naszego świata, na co miał nadzieję, kiedy był młodszy. (Przemiany, której, prawdę mówiąc, był pewny). Nie pojawiły się tłumy obywateli podążających za nim gorliwie do lasu, czego się spodziewał, mając dwadzieścia lat. Świat pozostał taki, jaki był, może nawet jest jeszcze gorszy.

Z perspektywy tych dwóch dziesięcioleci powiedział mi: „Szczerze wierzyłem, że potrafię dokonać zmian. Czułem coś w stylu: Dajcie mi Amerykę; niech ją tylko wezmę; sam ją naprawię! Sądziłem, że wystarczy pełne przekonanie i ciężka praca, a wiedziałem, że potrafię pracować ciężiej niż ktokolwiek. Nie myślałem, że cały kraj wróci do bardziej naturalnego sposobu życia, ale sądziłem, że jakieś sześćdziesiąt albo sto osób rocznie przyjedzie na Żółwią Wyspę, po czym zabiorą to, czego się nauczyli, do swoich społeczności i to przesłanie rozejdzie się niczym fale po stawie, a jego efekt będzie ciągle się rozszerzał. Teraz rozumiem, jak trudno jest dokonać jakiegokolwiek zmiany, jeśli nie jest się prezydentem albo ważnym senatorem i jeśli nie ma się innych zasobów prócz własnej energii. Jak jedna osoba może cokolwiek zmienić? To niemożliwe i nieprawdopodobne, a przede wszystkim cholernie męczące”.

A amerykańskie obsesyjne zagarnianie ziemi wciąż trwa, jeszcze bardziej przyspiesza i staje się skuteczniejsze niż kiedyś. Eustace'a cieszy świadomość ekologiczna, koncepcja kiedyś marginalna i uważana za radykalną, a obecnie będąca „totalnie super-hiper”. Mimo to nie uważa, by chwilową gorączkę recyklingu dało się przeciwstawić żarłoczności rozpędzonego przemysłu, przeludnieniu i rozpasanej konsumpcji, które charakteryzują naszą kulturę. Możliwe, że za sto lat Żółwia Wyspa będzie taka, jak to kiedyś wyobraził sobie Eustace: „Małeńka niecka w ziemi, nietknięta i naturalna, otoczona chodnikiem i autostradami. Ludzie będą się wspinać na grzbiety otaczających Żółwią Wyspę gór i zaglądać do środka, żeby zobaczyć nieskazitelny i zielony przykład tego, jak kiedyś wyglądał świat .

Może to prawda. Może to, co robi Eustace, ratując ten niewielki spłacheć appalaskiego lasu, jest tym, co robili średniowieczni mnisi, kopiując starożytne teksty. W mrocznych czasach, kiedy nie ceni się wiedzy, on konsekwentnie i wytrwale zachowuje coś małego i drogiego, z nadzieją, że jakieś bardziej oświecone przyszłe pokolenie będzie za to wdzięczne. Może to wszystko, co jest w stanie zrobić.

Ludzie mawiali do Eustace'a: „Jeśli wpłyniesz na jedno życie, to wpłyniesz na cały świat!” Jednak jemu to nie wystarczało. Jego zamiarem było zmienić samo przeznaczenie, los ludzkości, a nie zadowolić się wpływaniem od czasu do czasu na los przypadkowego pojedynczego człowieka. Zdarza mu się obecnie spotykać ludzi, którzy mówią: „Jesteś Eustace Conway! Pamiętam cię! Piętnaście lat temu miałeś prelekcję w mojej szkole! Byłeś niesamowity! Odmieniłeś moje życie!”

Eustace ogromnie się ożywia, dopóki nie usłyszy bliższego wyjaśnienia: „No tak, od tamtej pory nie pozwalam, żeby woda lała się z kranu przez cały ten czas, kiedy myję zęby. Oszczędzam zasoby naturalne”.

Eustace się śmieje, zaśmiając rękoma twarz i kręcąc głową. „Zrozum mnie dobrze - mówi do mnie. - Mam ochotę powiedzieć tym ludziom, hej, cieszę się, że nie pozwalacie wodzie lać się z kranu przez cały ten czas, kiedy szczotkujecie zęby. Naprawdę się cieszę. To bardzo dobry sposób, by oszczędzać wodę, i to mnie raduje. Ale wiecie co? Miałem w stosunku do was trochę większe plany”.

Eustace stracił też swoje młodzieńcze przekonanie, że potrafi nauczyć życia w lesie absolutnie każdego. Kiedy był młodszy, w ogóle nie brał pod uwagę możliwości odmówienia komuś przyjęcia na Żółtą Wyspę. Nie wierzył, by znalazł się w tym kraju

ktoś, kto po krótkim szkoleniu nie potrafiłby opanować bardziej naturalnego sposobu życia. Teraz jest ostrożniejszy i przebiera w kandydatach na praktykantów. Nie przyjmuje automatycznie, bez rozważenia indywidualnego przypadku, byłych więźniów, leczących się z uzależnienia narkomanów i zbuntowanych nastoletnich uciekinierów z rodzinnych domów, ponieważ obecność takich ludzi osłabia system działania Żółtwej Wyspy.

Odkrył też, że użyteczny jest bardziej sformalizowany program praktyk. Przedtem był on dość przypadkowy, przypieczętowany uściskiem dłoni, różnił się szczegółami zależnie od osoby i ulegał corocznym zmianom. W zasadzie wystarczyło, by chłopak lub dziewczyna pojawili się na Żółtwej Wyspie i wyrazili gotowość, a Eustace ich przyjmował, prosząc jedynie, by obiecali ciężko pracować i przez cały swój pobyt mieli do wszystkiego pozytywne nastawienie. Natomiast obecnie wybiera praktykantów spośród wszystkich kandydatów za pomocą całkiem rygorystycznego procesu aplikacyjnego, który obejmuje życiorys, referencje, informacje o rodzinie oraz napisanie wypracowania. Poza tym, zmęczony już skutkiem odgięciowego urazu kręgosłupa szyjnego, który znacznie obniżył morale jego siły roboczej, wręcza teraz każdemu zgłaszającemu się ten okólnik (zatytułowany po prostu „Dot. stosunków z Eustace'em”):

„Proszę, nie licz na nawiązanie bliskiej przyjaźni z Eustace'em i niech Cię nie rozczarowuje, że otrzymasz jedynie przyjaźń szefa, przywódcy i dyrektora. Ludzi przyciąga jego serdeczność i wielkoduszność i często chcieliby większego osobistego kontaktu, niż jest to możliwe lub na ile, bez uszczerbku dla siebie, Eustace może pozwolić. Praktykanci bywali rozczarowani, kiedy nie mieli dość

towarzyskiego kontaktu z Eustace'em. Eustace jest przygotowany, by poświęcać Wam tyle czasu, ile potrzeba, na wzajemnie uzgodnionym poziomie. Takie są ściśle określone relacje pomiędzy przywódcą a tymi, którzy przyswajają sobie obowiązki, metody działania i wszystko to, czego potrzeba na farmie i w ośrodku edukacyjnym”.

W ostatnim okresie Eustace doznał tyłu druzgocących rozczarowań ze strony swoich pracowników, że rozważy rezygnację z programu praktykanckiego. Tej wiosny odeszło dwóch praktykantów, odsłużywszy zaledwie sześć miesięcy z dwuletniego kontraktu; opuścili Żółtą Wyspę z typowymi narzekaniami, że praca zbyt ciężka, że mieli kłopoty z przywództwem Eustace'a, że rzeczywistość była inna niż to, czego się spodziewali, i że „muszą podążać za szczęściem”, nawet jeśli oznacza to niedotrzymywanie zobowiązań.

„Czy podpisanie umowy już nic dla nikogo nie znaczy? - dziwił się Eustace. - Czy przemawia przede mną staroświecka naiwność, jeśli uważam, że ludzie powinni robić to, co obiecali? Jak te dzieciaki mogą odchodzić po sześciu miesiącach, mimo że zobowiązały się pracować tutaj przez rok? W ogóle nie rozumieją sytuacji, w jakiej mnie stawiają, ani nie biorą pod uwagę tego, że na podstawie umowy z nimi mogłem poczynić jakieś plany. Dali drapakę wcześniej i zostawili mnie na lodzie. I czemu to się nieustannie powtarza?”

Całe to wydarzenie przebiegło zgodnie z tak dobrze znaną Eustace'owi trajektorią (pełne entuzjazmu nadzieje zastąpione gorzkim rozczarowaniem), ale najgorsze było to, że odeszła kompetentna i godna zaufania Jennifer, która była, w opinii Eustace'a, zapewne najlepszym pracownikiem, jakiego kiedykolwiek miał.

Swoim potencjałem dorównywała niezapomnianemu Christianowi Kaltriderowi. Bystra, oddana i cierpliwa, poważnie zaangażowała się w naukę tradycyjnych metod uprawy roli. Wychowała się w górach i przyniosła ze sobą na Żółwią Wyspę umiejętności, których nie posiadał nawet Eustace. Zaufał Jennifer do tego stopnia, że powierzył jej zarządzanie ogrodem Żółwiej Wyspy (co było z jego strony dość bolesnym aktem wiary i w dużym stopniu eksperymentem na samym sobie, którego celem było sprawdzenie, czy potrafi znieść utratę nad czymś kontroli). I Jennifer doprowadziła ogród do rozkwitu, mimo że w tym czasie uczyła się opieki nad końmi i sztuki stawiania budynków. Była perfekcjonistką i Eustace nauczył się ją szanować i na niej polegać. A teraz po prostu sobie poszła.

„Jeśli natrafisz w słowniku na hasło «załamany», zobaczysz obok niego mój wizerunek - powiedział mi przez telefon tydzień po odejściu Jennifer. - Byłem tak przygnębiony, że przez dwa dni nie wstawałem z łóżka. Jeśli ktoś taki jak Jennifer nie jest w stanie wytrzymać tutaj przez cały rok, to kto? Kogo ja oszukuję? Dlaczego zawracam sobie głowę? Po co w ogóle Żółwia Wyspa, jeśli zawsze tak ma się to kończyć? Jest coś, w co wkładam całe swoje serce dla dobra innych, ale to nie działa i ludzie, dla których to robię, wciąż odchodzą i ponoszą porażkę. Jeszcze nigdy nie byłem taki bliski rezygnacji. Zacząłem nawet fantazjować o tym, jak to powieszę na bramie tabliczkę z napisem: «Żółwia Wyspa zamknięta. Odejdźcie». Oczywiście nie zrobię tego. A może jednak. Naprawdę już nie wiem...”

I dzieje się tak, że z konieczności z wiekiem Eustace zawęża swoją wizję, odsiewając niektóre młodzieńcze idee, rezygnując z niektórych najśmielszych marzeń. Jego najświeższe aspiracje są

uderzająco skromne. W tej chwili nie przyjmuje żadnych nowych praktykantów, koncentrując swoją energię na świeżo wprowadzonym programie jazdy konnej. Zamieszczał ogłoszenia w gazetach Boone, zapraszając ludzi na jednodniowe przejażdżki po swoich lasach. Ma nadzieję, że pieniądze, jakie zarobi na tym przedsięwzięciu, pomogą mu utrzymać te jego wszystkie piękne konie. Poza tym jest to odświeżająco prosta relacja - klient płaci, Eustace dostarcza prostą usługę, nie próbuje nikogo przekonywać, żeby wprowadził się z nim do lasu, i na koniec każdy wraca do domu zadowolony.

OK, myśli sobie teraz, możliwe, że nie potrafię zmienić świata. Może wpływ Eustace'a będzie skromniejszy, będzie to wpływ na mniejsze grupy i pojedyncze osoby... na ludzi takich, jak ci kierowcy, których pozdrowiał z siodła podczas wyprawy Konnych Długodystansowców, przedszkolacy, których zakopał po szyje w lesie, dilerzy narkotykowi z Tompkins Square Park, którzy rozważali dziwny dla nich fakt, że człowiek może zrobić sobie ubranie z materiałów, jakich dostarcza mu przyroda...

Albo weźmy takich młodych biwakowiczów, którzy pewnego dnia eksplorowali Żółwią Wyspę i odkryli zbudowaną przez bobry tamę i których instruktorzy zachęcili, by wpłynęli podwodnym wejściem do komory żeremi... cieplej, suchej, dobrze ukrytej. Ilu chłopców w tym stuleciu było wewnątrz bobrowych żeremi? To wydarzenie musiało zostawić niedający się zmierzyć i trwałe ślad w świadomości tamtych chłopców. Eustace'owi Conwayowi, z jego wspaniałą architektoniczną wizją przeobrażonej Ameryki, może się to nie wydawać niczym wielkim. Jednak w tej epoce coraz bardziej bezmyślnego konformizmu nawet najdelikatniejsza podpowiedź, że przez jedną króciutką chwilę świat można oglądać

z innego punktu widzenia, jest czymś wielkim. I nawet jeśli Eustace'a to nie zadowala, być może nic więcej nie uzyska. Ostatecznie jest nauczycielem. Może jak wszyscy nauczyciele będzie musiał pogodzić się z tym, że tylko niektóre lekcje na przestrzeni kilku dziesięcioleci wywrą wpływ na garstkę jego uczniów - taka jest przecież rzeczywistość.

Był kiedyś pewien chłopiec, Dave Reckford.

Wychował się na przedmieściach Chicago. Ojciec był lekarzem, a matka, dając wyraz swoim mgliście hipisowskim sympatiom, posłała syna do szkoły prowadzonej przez kwaków i karmiła go zdrową żywnością. Kiedy koncern Caterpillar Tractor zamknął swój zakład w Illinois, dzielnica Dave'a całkowicie podupadła i jego rodzice przeprowadzili się do Karoliny Północnej, gdzie chłopca posłano do drogiej szkoły prywatnej, w której uczyły się dzieci pochodzące z najstarszych rodzin Południa. A potem jego życie przewróciło się do góry nogami. Ojciec zakochał się w innej kobiecie i odszedł. Rodzina została boleśnie okaleczona. Po kilku trudnych latach matka się podźwignęła i poślubiła zamożnego i dobrego człowieka, jednak o chłopcu jakoś w tym wszystkim zapomniano. Miał trzynaście lat i przeżył wielki wstrząs. Ogarnął go wielki smutek. I czegoś poszukiwał.

Kilka lat później niejaki Eustace Conway, współczesny traper, pojawił się w szkole Dave'a z lekcją na temat przyrody. „Cały ubrany był w jelenie skóry - wspomina Dave - i nie pachniał zbyt pięknie. Zaczął mówić tym swoim spokojnym głosem o tipi i o dmuchawce, i o życiu w leśnej głuszy. Byłem jak urzeczoney. Mówił też o załatwianiu się w lesie. Zboczył z głównego tematu i powiedział nam, że kucanie to naturalna pozycja przy wypróżnianiu się i że siedzenie na sedesie niewłaściwie napręża narządy

służące trawieniu, a my byliśmy wstrząśnięci... ta cała sala nastolatków należących do elity Południa. Nigdy nie słyszeliśmy niczego podobnego. A potem powiedział: «Prawdę mówiąc, jeśli muszę iść za potrzebą w miejscu, gdzie są toalety, wskakuję po prostu na sedes i kucam na nim w ten sposób...» i wskoczył na stolik i ukucnął, żeby nam pokazać. Śmiał się przy tym i my się śmialiśmy, a zrobił to jakoś tak naturalnie, że wszystko było OK i bardzo ciekawe i nikomu nie odbiła szajba”.

Później Eustace zaczął rozmawiać z Dave'em i wyczuwszy jak bardzo chłopiec poddał się beznadziei, zaprosił go, by odwiedził Żółwią Wyspę. Dave natychmiast się zgodził i przyjechał swoim „mercedesem coupé bogatego chłoptasia” na trwającą cały weekend wizytę. Było to jeszcze w pierwszych latach. Na Żółwiej Wyspie nie było prawie nic poza tipi Eustace'a. Nie wykarczował jeszcze wtedy ani kawałka lasu i nie miał żadnych zwierząt. Wciąż panował pełen prymityw. Kiedy zjawił się Dave, Eustace siedział przed swoim tipi i rozmawiał z naprawdę piękną kobietą. „Spytał, czy mógłbym zostawić ich na pół godzinki - wspomina Dave - po czym zniknęli w tipi, żeby - co było całkiem oczywiste - uprawiać seks. Byłem zdumiony tą jego otwartością w sprawach seksu. Kiedy wyszli z tipi, dziewczyna odjechała, a on zaczął mnie uczyć. Pierwsze, co mi pokazał, to rozżarzone węgle w ognisku. Wyjaśnił, że jeśli przez cały czas utrzymuje się w głębi ciepłej węgielki, to zawsze ma się pod ręką gotowy ogień i nie trzeba od nowa go rozpalać”.

Potem zatrudnił Dave'a przy odbudowywaniu paleniska w kuźni. A potem zaczęli kopać ziemię pod fundamenty szopy na narzędzia, którą Eustace budował. Nauczył Davy'ego, jak robić kamienne płytki dachowe, co było „naprawdę ciężką pracą, przy

użyciu dużego młota”. I tak to szło, dzień za dniem, mozolna fizyczna praca dla chłopca, który nigdy wcześniej nie doświadczył niczego podobnego.

„Nie tego się spodziewałem - powiedział mi Dave - po tym spokojnym głosicielu własnych idei, przemawiającym łagodnie mistrzu zen, za którym, jak mi się zdawało, udałem się na tę górę. On jednak okazał się prawdziwym poganiaczem niewolników, bezwzględny, z obsesją na punkcie dokładności. Harowałem od świtu do nocy, często nie mogąc powstrzymać łez. Codziennie mi się zdawało, że kolejnego dnia nie przeżyję. Mimo to każdej nocy zapadałem w spokojny sen obok Eustace'a w jego tipi, na zwierzęcych skórach, przy ciepłym ogniu. Czułem się tak bezpieczny jak nigdy od dzieciństwa. Robił mi wspaniałe jedzenie i słuchał, jak opowiadałem o swojej rodzinie. Nie sądzę, by ktokolwiek miał teraz taki dostęp do Eustace'a, ale to działało jeszcze w czasach, zanim miał praktykantów i obozowiczów i te wszystkie obowiązki publiczne. On miał dwadzieścia siedem lat, a ja byłem dzieckiem bez ojca i możliwość spędzania czasu z dorosłym mężczyzną, który chciał ze mną rozmawiać i uczyć mnie różnych rzeczy, była niezwykle pożytecznym doświadczeniem”.

Eustace wykorzystywał czas poświęcony Dave'owi na przekazanie mu istoty swojej filozofii, która koncentrowała się na uwadze. Nie ma możliwości, mówił mi Eustace, żebyś wiódł prawdziwe życie mężczyzny, jeśli nie jesteś przytomny i świadomy każdej chwili. Wykaż się własnym życiem, mówił. Nie spędzaj dni w otępieniu, z zadowoleniem przetykając wszelkie wodniste idee, jakimi karmi cię współczesne społeczeństwo za pośrednictwem mediów, i nie daj się wprowadzić w śpiączkę wywołaną natychmiastowym zaspokajaniem życzeń. Najbardziej niezwykłym

darem, jaki otrzymałeś, jest twoje człowieczeństwo, a ono oznacza świadomość, zatem strzeż tej świadomości.

Szanuj swoje zmysły: nie uszkadzaj ich narkotykami, depresją, szukaniem zapomnienia. Staraj się każdego dnia zauważać coś nowego, radził Eustace. Zwracaj uwagę nawet na te najskromniejsze szczegóły. Nawet jeśli nie jesteś w lesie, nie przegap niczego. Smakuj jedzenie; poczuj zapach unoszący się z regału z detergentami w supermarkecie i sprawdź, jak te ostre chemiczne zapachy działają na twoje zmysły; zauważ, jak to jest chodzić na bosaka; każdego dnia zwracaj uwagę na istotne drobiazgi wokół siebie. I nie zaniedbuj niczego... swojego ciała, swojego intelektu, swojego ducha, swoich sąsiadów i naszej planety. Nie zanieczyszczaj sobie duszy apatią i nie niszcź zdrowia byle jakim jedzeniem, bo to tak, jakbyś celowo zatruewał czystą rzekę ściekami przemysłowymi. Nigdy nie staniesz się prawdziwym mężczyzną, jeśli będziesz miał bez troskie i destrukcyjne podejście, mówił Eustace, natomiast dojrzałość nastąpi po całej tej uwadze, jaką obdarzasz świat, tak jak dzień następuje po nocy.

Eustace opowiadał Dave'owi tragikomiczne historie niektórych nastoletnich amerykańskich chłopców, którzy odwiedzili Żółtą Wyspę i byli tak nieświadomi środowiska, w jakim się znaleźli, że nie przychodziło im do głowy, by chować się przed deszczem. Podczas burzy stali na ulewie ogłupiali niczym stado przerasowanych owiec, niezdolni poszukać osłoniętego miejsca. Eustace widział też chłopca, który wdepnął w gniazdo os, a potem stał bez ruchu, kompletnie dezorientowany, podczas gdy rój go otaczał. Ten chłopiec tkwił tam zmartwiały, dopóki Eustace nie krzyknął do niego: „B i e g n i j!”

Nie przysypiaj, mówił Eustace (śmiejąc się z prostoty tej rady),

a odniesiesz w tym świecie sukces. Kiedy pada, znajdź schronienie! Kiedy żądłą cię osy, uciekaj! Jedynie nieustannie skupiony staniesz się niezależny. Jedynie przez niezależność poznasz samego siebie. A znając siebie, będziesz mógł zadać najważniejsze dla swojego życia pytania: Co mam osiągnąć i jak do tego doprowadzić?

Natomiast najlepiej z tamtego tygodnia Dave zapamiętał przeobrażające, niemal religijne przeżycie, które mu towarzyszyło, kiedy obserwował, jak Eustace stawia ogrodzenie.

„Budowa ogrodzenia na tej wysokości i w skalistej glebie to ciężka praca. Najpierw trzeba wbić w ziemię metalowy drąg; walisz weń młotem, żeby zrobić otwór na słupek z czarnej akacji. Kiedyś o mało nie odrąbałem sobie nogi, próbując to zrobić. Potem wsadzasz słupek w powstałą dziurę i tym ciężkim młotem wbijasz go coraz głębiej. Wbiłem sześć takich, jeden po drugim, i klnę się na Boga, że omal nie umarłem. Nie potrafię opisać, jaka to ciężka robota. Padłem na ziemię i myślałem, że mi serce eksploduje. Eustace przejął pracę i w tym czasie, kiedy ja starałem się odzyskać oddech, on, nie robiąc przerwy, wbił kolejne dwadzieścia słupków i nawet się przy tym nie zasapał.

Przyglądałem mu się pilnie, kiedy pracował. Jak był w stanie tego dokonać? Nie jest taki duży i muskularny jak ja. Uprawiam triathlon i jestem rośły, a nie mogłem tego zrobić. On ma szczupłe ramiona. Jak to działa? Kiedy jednak go obserwowałem, uświadomiłem sobie, że jego relacje z narzędziami mają bliski fizyczny charakter. Kiedy on zamachnął się młotem, to nie używał tylko swoich ramion; wykonywał zamach jednym idealnie oszczędnym ruchem, wykorzystując do tego całe ciało. Biodra pomagały mu unieść młot, po czym wychylał się do tyłu i wkładał w to uderzenie

cały impet. To było piękne. Pełna koncentracja na jednym zadaniu. Wyglądało to jak taniec. Taniec pracy fizycznej. I już wiedziałem, że dlatego Eustace potrafi zrobić wszystko szybciej i lepiej od innych, właśnie dzięki powadze i doskonałemu skupieniu”.

Dave pamięta, jak przy innej okazji przyglądał się Eustace'owi wbijającemu gwoździe - szybko, rytmicznie i perfekcyjnie.

- Jak to się dzieje, że zawsze trafiasz w gwoźdź? - zapytał.

- Bo już dawno temu postanowiłem nigdy nie chybiać - odparł Eustace. - Więc trafiam.

Ostatecznie wysiłek związany z tempem pracy na Żółtwej Wysepie był dla ciała Dave'a zbyt dużym wstrząsem. Jedenastogodzinny dzień pracy wywołał krańcowe fizyczne wycieńczenie. Widząc to, Eustace przerwał prace i zawiózł Dave'a na dół, do miasta. „Przejedźmy się dla rozrywki”, rzucił od niechcenia. Zabrał go do baru i postawił mu piwo... pierwsze w życiu. Śmiał się i żartował z barmanem i ani słowem nie wspomniął o przerwanej robocie. W drodze powrotnej Dave się załamał i powiedział Eustace'owi, że nie sądzi, by mógł z nim zostać.

„Powiedziałem mu, że chcę wracać do domu. Chyba płakałem. Jestem pewien, że tęskniłem za domem, przecież byłem ledwie dzieckiem. Eustace był spokojny i zamyślony. Siedzieliśmy w pick-upie, a on mówił o życiu i o tym, co decyduje, że stajemy się mężczyznami. Przekazywał mi mądrość i dobroć, traktując mnie poważnie, mimo że byłem w wieku, kiedy jeszcze nikt tak mnie nie traktował. Powiedział, że jednym z powodów, dla których ludzie są tacy nieszczęśliwi, jest to, że nie rozmawiają sami ze sobą. Powiedział, że przez całe życie należy ze sobą rozmawiać,

by wiedzieć, jak nam idzie, nie tracić koncentracji i pozostawać przyjacielem samego siebie. Powiedział, że rozmawia ze sobą przez cały czas i że pomaga mu to z każdym dniem stawać się silniejszym i lepszym. Polecił mi lekturę kilku książek. Potem mnie przytulił”.

Piętnaście lat później Dave Reckford wciąż nie potrafił opowiedzieć tej części historii bez łez w oczach.

„Posłuchaj - powiedział - obejmował mnie naprawdę długo i mocno. Był to niedźwiedzi uścisk. Pierwszy raz w życiu uściśnął mnie mężczyzna i odniosłem wrażenie, że uzdrowiło to w moim wnętrzu coś, co tkwiło tam samotne i boleśnie zranione. Powiedział, że mogę wracać do domu, i życzył mi szczęścia. Ale dodał też, że kiedy tylko zechcę, mogę wrócić na Żółtą Wyspę, ponieważ wykonałem dobrą robotę i ponieważ jestem dobrą osobą. I pojechałem do domu, ale kiedy się tam znalazłem, odkryłem, że coś się we mnie zmieniło. W rezultacie zmieniło się całe moje życie”.

W rodzinie Dave'a Reckforda wszyscy mężczyźni są prawnikami, lekarzami, biznesmenami albo dyplomatami. Tego się po nich oczekuje, tak już w tej rodzinie jest. Okazuje się jednak, że nie dotyczy to Dave'a, który, ma obecnie trzydzieści lat i cały czas szukał dla siebie miejsca. Studiował historię i poszedł na studia muzyczne. Próbował sił w pisaniu. Pojechał na Kubę i do Europy, przemierzył Amerykę, a potem wstąpił do wojska, wciąż próbując znaleźć sobie miejsce na ten krótki czas pobytu na ziemi.

Niedawno wreszcie zakończył poszukiwania. Rozwiązał problem. Poprosił kobietę, która opiekuje się ogrodem jego rodziców, by przyjęła go na praktykanta. Zgodziła się. Dave Reckford został tym, kim, jak wierzy, miał zostać: ogrodnikiem. Opiekuje się roślinami. Spędza całe dni, myśląc o glebie i świetle, i wzroście.

To prosta relacja, ale dla niego jest źródłem ogromnej satysfakcji. Stara się zrozumieć, czego roślinom potrzeba i jak im pomóc. W poszanowaniu tej pracy stara się, by każdy jego ruch był ostrożny i precyzyjny. Przez cały czas ze sobą rozmawia, skoncentrowany na własnym wnętrzu. I każdego dnia myśli o doskonałości płynącej ze skupienia i o niezwykłym darze, jakim jest praca fizyczna.

Co oznacza, że każdego dnia swojego życia myśli o Eustasie Conwayu.

EPILOG

Nie da się tego poprawić. Nie da się spowodować, by zniknęło. Nie wiem, co z tym zrobicie, ale wiem, co ja zrobię. Zamierzam po prostu stąd odejść. Może jakaś częśćka tego umrze, kiedy mnie nie będzie i przestanę to karmić.

Lew Welch

Historia Eustace'a Conwaya to historia postępu człowieka na kontynencie północnoamerykańskim.

Najpierw spał na ziemi i nosił skóry. Rozpalał ogień patykami i jadł to, co mógł upolować lub zebrać. Kiedy był głodny, ciskał kamieniami w ptaki, dmuchał strzałkami w króliki, wykopywał korzonki z ziemi i w ten sposób był w stanie przetrwać. W swoim królestwie wyplatał koszyki z łyka. Był nomadą; poruszał się pieszo. Potem wprowadził się do tipi i stał się bardziej wyrafinowanym myśliwym. Rozpalał ogień za pomocą krzemienia i stali. Kiedy to opanował, zaczął używać zapalek. I zaczął ubierać się w wełnę. Wyprowadził się z tipi do prostej drewnianej chaty. Został rolnikiem, karczował las pod pola i uprawiał ogród. Kupił żywy inwentarz. Wycinał w lesie ścieżki, które stawały się szlakami, a następnie drogami. Udoskonalał te drogi, stawiając mosty. Ubierał się w drelich.

Najpierw był Indianinem, potem odkrywcą, a potem pionierem. Zbudował sobie drewniany dom i został prawdziwym osadnikiem. Jako człowiek z utopijną wizją żyje obecnie nadzieją, że ludzie myślący podobnie jak on wykupią działki wokół Żółtwej Wyspy i założą rodziny, tak jak on kiedyś założy swoją. Sąsiedzi będą uprawiać ziemię maszynami ciągniętymi przez zwierzęta i

pomagać sobie, a dla rozrywki spotykać się na tańcach. Będą też przyjeżdżać jeden do drugiego i wymieniać towary.

Kiedy to wszystko się wydarzy, Eustace zostanie mieszkańcem osady. Tego właśnie chce... stworzyć osadę. A kiedy już wszystko będzie na swoim miejscu, zbuduje dom marzeń. Wyprowadzi się z drewnianego domku do okazałego i wystawnego domu, z wielkimi garderobami i różnymi urządzeniami wraz z rodziną i r z e c z a - m i . I wtedy wreszcie dogoni swoje czasy. W tym momencie Eustace Conway zostanie modelowym współczesnym Amerykaninem.

Ewoluuje na naszych oczach. Nieustannie się doskonalą i poszerza możliwości, ponieważ jest taki inteligentny i przedsiębiorczy, że nic na to nie może poradzić. Nie kusi go, by zadowolony się tym, co już potrafi; bez przerwy musi rwać do przodu. Nie sposób go powstrzymać. I nas również nie sposób powstrzymać. Wszyscy podążamy naprzód, jak zauważył de Tocqueville, „niczym ludzki potop, wznosząca się nieuchronnie fala, codziennie pchana do przodu ręką Boga”. Wyczerpujemy siebie i wszystkich innych. I wyczerpujemy nasze zasoby - zarówno naturalne, jak i te wewnętrzne - a Eustace jest jedynie najbardziej jaskrawym przykładem naszego gorączkowego pędu.

Pamiętam, jak jechałam z nim pewnego wieczoru na Żółtą Wyspę, po wizycie w Obozie Sekwoja, imperium jego dziadka. Byliśmy już prawie na miejscu, przejeżdżaliśmy właśnie przez Boone i zatrzymaliśmy się na skrzyżowaniu.

- Czy ten budynek tu stał, kiedy dwa dni temu wyjeżdżaliśmy do Asheville? - zapytał nagle Eustace.

Wskazał ręką szkielec małego biurowca. Nie, nie zauważyłam

go dwa dni wcześniej. A wyglądał na prawie skończony. Wystarczyło wstawić okna. Brygada robotników kończyła dzień pracy i schodziła z placu budowy.

- To niemożliwe - powiedział Eustace. - Czy oni rzeczywiście potrafią tak szybko postawić budynek?

- Nie wiem - odparłam, myśląc, że kto jak kto, ale on to powinien wiedzieć. - Pewnie potrafią.

- Ten kraj... - powiedział z westchnieniem.

A przecież to Eustace Conway jest tym krajem. A skoro tak, co pozostaje? Co pozostaje po całym tym działaniu? To pytanie, które kiedyś zadał Walt Whitman. Przyglądał się galopującemu tempu amerykańskiego życia, wzrostowi produkcji przemysłowej, zaciekłemu pędowi ambicji rodaków i zastanawiał się: „Kiedy już wyczerpiecie wszystko to, co jest w interesach, w polityce, w życiu towarzyskim i tak dalej - stwierdzicie, że ostatecznie nic z tego nie daje satysfakcji albo wręcz nuży - co pozostanie?”

I jak zawsze drogi, poczciwy Walt udzielił odpowiedzi: „Pozostanie przyroda”.

To właśnie ma Eustace. Chociaż podobnie jak nam wszystkim (i w tym tkwi największa ironia), brakuje mu czasu, by cieszyć się przyrodą.

Jak powiedział mi przez telefon pewnej zimy: „W tym tygodniu mieliśmy na Żółtwej Wyspie burzę śnieżną. Przyjaciel, który mnie odwiedził, zagadnął: «Hej, Eustace, za ciężko pracujesz. Powinieneś zrobić sobie przerwę i ulepić bałwana. Przyszło ci to kiedyś do głowy?» No cóż, do diabła, jasne, że o tym pomyślałem. Wystarczyło przecież zrobić dwa kroki za drzwi, żeby stwierdzić, że ten śnieg jest idealny do lepienia bałwana. Już sobie wyobraziłem, jakiego ulepię, jeśli w ogóle się do tego wezmę. Szybko przeanalizowałem konsystencję śniegu i ustaliłem, gdzie

najlepiej bałwan będzie się prezentował, jaki ma być duży i gdzie w kuźni znajdę węgielki na jego oczy. Wyobraziłem sobie każdy szczegół, włącznie z nosem z marchewki, o czym zresztą musiałem przez króciutką chwilę pomyśleć: Czy mamy dość marchwi, żeby jedną zużyć na nos dla bałwana? A kiedy już bałwan się roztopi, czy będzie można wziąć tę marchew i pokroić do gulaszu, żeby się nie zmarnowała? Czy może jakieś zwierzę dopadnie ją przede mną? Pomyślałem o tym wszystkim w ciągu niecałych pięciu sekund, oszacowałem, ile czasu z mojego wypełnionego pracą dnia zabierze mi ulepienie bałwana, zważyłem to oraz przyjemność, jaką przyniosłoby mi to zajęcie... i zrezygnowałem z pomysłu”.

Wielka szkoda, bo on naprawdę uwielbia być na otwartym powietrzu i zapewne miałby więcej przyjemności z tego bałwana, niż był w stanie logicznie wykalkulować. On naprawdę kocha przyrodę, niezależnie od swoich wszelkich zobowiązań. Kocha ją całą... przepastne lasy; promienie słońca przesączające się przez naturalny baldachim zieleni; urok słów takich, jak robinia, brzoza i tulipanowiec... więcej nawet niż kocha, on jej potrzebuje. Jak napisał jego dziadek: „Kiedy umysł jest zmęczony lub dusza zaniepokojona, pójdźmy do lasu i napełnijmy płuca opłukanym deszczem i oczyszczonym słońcem powietrzem, a serca wypełnijmy pięknem drzew, kwiatów, tych kryształów i klejnotów”.

Najlepszym człowiekiem staje się wtedy, kiedy znajdzie się w głębi lasu. Dlatego przy każdej wizycie wyciągam go z biura i każę prowadzić się na spacer. Choć na ogół nie ma na to czasu, zmuszam go, ponieważ nie zdążymy jeszcze dać dziesięciu kroków w głąb lasu, a on już zaczyna mówić: „To jest pysznogłówka szkarłatna. Można zrobić słomkę z jej pustej łydźki i spijać

wilgoć z kamyków w strumieniu w miejscach zbyt płytkich, by dało się napić inaczej”.

Albo: „To roślina ślazowata, której kwiat bardzo przypomina lilię tygrysią, tyle że ta jest bardziej egzotyczna. Wyjątkowa rzadkość. Wątpię, by było ich więcej niż pięć na tysiącach akrów Żółtej Wyspy”.

Kiedy narzekam na swędzącą wysypkę po dotknięciu sumaka jadowitego, zabiera mnie nad rzekę i mówi: „Chodźmy do mojej apteki”. Zrywa kilka niecierpków, rozkłada je i przykłada do mojego nadgarstka, i od razu czuję ulgę.

Przepadam za Eustace'em w lesie i on przepada za sobą. Takie to proste. Dlatego właśnie pewnego dnia, podczas spaceru, powiedziała do niego ni z gruszki, ni z pietruszki:

- Czy wolno mi przedstawić całkiem nowy rewolucyjny pomysł?

- Udzielam zgody - oświadczył, śmiejąc się.

- Zastanawiałaś się kiedyś - spytałam - czy nie przyniosłbyś większej korzyści światu, wiodąc takie życie, o jakim ciągle mówisz? To znaczy, czy nie po to tu właśnie wszyscy jesteśmy? Czy nie oczekuje się od nas, że będziemy żyli najmądrzej i najuczciwiej jak potrafimy? A kiedy nasze działania stoją w sprzeczności z naszymi wartościami, to czy wszystkiego jeszcze bardziej nie rozpieprzamy? - Przerwałam i czekałam na ostrą reakcję. Jednak Eustace milczał. Wobec tego brnęłam dalej: - Zawsze nam powtarzasz, jacy bylibyśmy szczęśliwi, gdybyśmy mieszkali w lesie. Ale kiedy ludzie tu przyjeżdżają, żeby z tobą zamieszkać, widzą tylko twój stres i frustrację wywołaną obecnością tak wielu osób i przygniatającymi cię obowiązkami. W takiej sytuacji nie mogą opowiadać lekcji. Słyszą twoje przesłanie, ale nie są w stanie go

poczuć, i dlatego to nie działa. Czy czasem się nad tym zastanawiasz?

- Nieustannie! - wybuchnął Eustace. - Jestem tego świadomy jak jasna cholera! Zawsze, kiedy idę do szkół uczyć, mówię: „Słuchajcie, nie jestem jedyną osobą w kraju, która chce żyć w sposób naturalny, w lesie, tylko tych innych facetów nigdy nie spotkacie, bo oni po prostu nie są d o s t ę p n i”. Cóż, ja jestem dostępny. Na tym polega różnica. Zawsze starałem się być dostępny, nawet jeśli jest to wbrew trybowi życia, jaki chcę prowadzić. Kiedy idę do ludzi, staram się, żeby widzieli we mnie tego dzikusa, który właśnie zszedł z gór, i jestem świadomy, że w dużej części to tylko gra. Wiem, że jestem showmanem. Wiem, że przedstawiam ludziom obraz tego, jak c h c i a ł b y m żyć. Ale coż innego mógłbym robić? Muszę grać dla dobra tych ludzi.

- Nie jestem taka pewna, że przynosi nam to korzyść - zauważyłam.

- Ale gdybym wiódł takie spokojne i proste życie, o jakim marzę, kto wtedy byłby tego świadkiem? Kogo zainspirowałbym do zmian? Widzieliby mnie jedynie sąsiedzi. Wpłynąłbym na mniej więcej czterdzieści osób, a przecież chcę wpłynąć na czterysta tysięcy. Dostrzegasz ten dylemat? Widzisz moje starania? Co mam robić?

- A może wreszcie spróbować żyć w spokoju?

- A co to z n a c z y? - Eustace wybuchnął gromkim śmiechem, kompletnie nie chwytając, w czym rzecz. - Co to, do cholery, z n a c z y?

Oczywiście nie znam odpowiedzi na to pytanie. Mogę tylko powiedzieć, kiedy ten mężczyzna zdaje się być w największej harmonii z samym sobą. Nie wtedy, kiedy wyrzuca praktykantów

lub spędza sześć godzin przy telefonie, handrycząc się z prawnikami od podatków, dyrektorami szkół, dziennikarzami i firmami ubezpieczeniowymi. Najspokojniejszy wydaje się wtedy, kiedy doświadcza najściślejszego i osobistego kontaktu z głąszą. Jest najbliższy szczęściu, kiedy znajduje się wewnątrz tego oszałamiającego spektaklu, jakim jest przyroda. Kiedy żyje - na tyle, na ile pozwala nasza współczesność - w ścisłej więzi z tym, co pozostało z pogranicza, szczęście do niego dociera.

Czasami w najmniej prawdopodobnych momentach dane mi jest ujrzeć to, co u Eustace'a Conwaya najlepsze. Czasami taka chwila sama go odnajduje. Jak tamtego wieczoru, kiedy wracaliśmy z Asheville. Eustace był spokojny i słuchaliśmy starej appalańskiej muzyki, wczuwając się w smętne nosowe głosy tamtejszych twardzieli, którzy utracili swoje farmy, i twardych kobiet, których mężowie poszli do kopalń, by nigdy z nich nie wrócić. Mżył drobny kapuśniaczek, ale kiedy zjechaliśmy z wielopasmowej autostrady na zwykłą szosę, potem na drogę z nawierzchnią tłuczniową i wreszcie na drogę gruntową, niebo się przejaśniło, a słońce już schowało się za horyzontem. Podskakując na wybojach, jechaliśmy powoli w górę między stromymi, zarośniętymi zboczami.

Nagle na drogę przed samochodem wyskoczyła z lasu rodzina jeleni. Eustace nacisnął mocno na hamulce. Łania i jelonki umknęły w mrok, natomiast jelen został na miejscu wpatrzony w światła reflektorów. Eustace nacisnął klakson. Zwierzę ani drgnęło. Eustace wyskoczył z szoferki i wydał głośny okrzyk, by przegnać zwierzę do lasu, ale jelen stał jak przymurowany.

- Jesteś piękny, bracie! - zawołał do niego Eustace.

Jelen mu się przypatrywał. Eustace wybuchnął śmiechem.

Złożył dłonie w pięści, uniósł je i zaczął wymachiwać. Pokrzykiwał i wył jak dzikie zwierzę. Potem zawołał ponownie:

- Jesteś piękny! Rządzisz, stary! Jesteś super!

Eustace się śmiał. Jeleń ani myślał uciekać.

I wtedy Eustace też zastygł w bezruchu... jak zaczarowany w bladej poświacie reflektorów. Przez długą chwilę tkwił tak w milczeniu, wpatrując się w jelenia. Żaden nie ustępował i wydawało mi się, że jakby przestali oddychać. I w końcu to Eustace się poddał, wyrzucając ponownie w górę pięści i krzycząc z całych sił w mrok nocy:

- Kocham cię! Jesteś piękny. Kocham cię! Kocham cię! Kocham cię!

Podziękowania

Pragnę podziękować niezwyklej rodzinie Conwayów za ich otwartość i okazaną mi gościnność, a szczególnie Eustace'owi Conwayowi za odwagę, jaką wykazał, pozwalając mi prowadzić moją pracę w sposób nieskrępowany. Poznanie Was wszystkich było dla mnie zaszczytem i starałam się Was uhonorować na stronach mojej książki.

W życiu Eustace'a było i jest wielu ludzi, którzy wielkodusznie poświęcili mi swój czas, pomagając mi wyrazić poglądy leżące u podstaw tej książki. Za wyrozumiałość podczas niezliczonych rozmów dziękuję Donnie Henry, Christianowi Kaltriderowi, Shannonowi Nunnowi, Valarie Spratlin, CuChullaine'owi O'Reilly'emu, Lorraine Johnson, Randy'emu Cable'owi, Stevebwi Frenchowi, Carolyn Hauck, Carli Gover, Barbarze Locklear, Hoyowi Moretzowi, Nathanowi i Holly Roarke, rodzinie Hicksów, Jackowi Bibbo, Donowi Brutonowi, Mattowi Niemasowi, Siegal Kiewe, Warrenowi Kimseyowi, Alanowi Stoutowi, Edowi Bumannowi, Popowi Hollingsworthowi, Patience Harrison, Dave'owi Reckfordowi, Scottowi Taylorowi, Ashley Clutter i Candice Covington. Szczególne podziękowanie należy się Kathleen i Prestonowi Robertsom, którzy nie tylko są uroczymi i uprzejmymi ludźmi, ale

też wykazali ogromną wyrozumiałość, pozwalając Eustace'owi i mnie przesiedzieć przez całą noc na ich werandzie, popijając piwo i palić ze strzelb. („Nigdy wcześniej nie strzelałem po pijanemu”, powiedział Eustace, a Preston zawołał: „I ty uważasz się za p o ł u d n i o w c a ?”)

Jestem wdzięczna autorom wielu prac, które przysłużyły się mojej książce. Szczególnie zainspirowało mnie kilka biografii: biografia Daniela Boone'a pióra Johna Macka Faraghera, Kita Carsona napisana przez Davida Robertsa, Davy'ego Crocketta autorstwa Jamesa Atkina Shatforda, przedstawione przez Davida McCullougha lata młodości Teddy'ego Roosevelta, a także analiza leśnych bitników dokonana przez Roda Phillipsa i frapujący opis podróży Lewisa i Clarka do wybrzeża Pacyfiku stworzony przez Stephena Ambrose'a.

Zainteresowani amerykańskimi utopiami powinni sięgnąć do encyklopedycznej pracy Timothy'ego Millera, *The 60s Communes; Hippies and Beyond*, a każdy, kto chciałby przeczytać zaskakująco zabawną książkę o amerykańskich utopiach, powinien zapolować na błyskotliwą pracę Marka Hallowaya, *Heavens on Earth: Utopian Communities in America, 1680-1880*. Statystyka przytaczana w rozdziale siódmym, dotycząca upadku rodzaju męskiego, pochodzi z *The Decline of Males*, pióra Lionela Tigera. R.W.B. Lewisowi należą się wielkie podziękowania za jego mądre studium *The American Man*, a Richardowi Slotkinowi za jego równie mądre *The Fatal Environment*. Jestem bezgranicznie wdzięczna darzonemu przeze mnie podziwem Dougowi Brinkleyowi, „chodzącej bibliotece”, bo to on właśnie polecił mi te wszystkie lektury.

Wielkie dzięki należą się Księgarni Powella w Portlandzie w

stanie Oregon za to, że kiedy szukałam książek dotyczących wrażeń dziewiętnastowiecznych Europejczyków z ich pobytu w Ameryce, pokazano mi całą półkę oznaczoną napisem: „Wrażenia dziewiętnastowiecznych Europejczyków z ich pobytu w Ameryce”. Nie ma lepszej księgarni w Ameryce, a powyższy przykład jest tego dowodem.

Mam szczęście posiadać wspaniałych przyjaciół, którzy są także wspaniałymi czytelnikami i redaktorami. Za ich pomoc i cenne wsparcie przy redagowaniu różnych wersji tej książki jestem winna podziękowania Davidowi Cashionowi, Reggie'emu Ollenowi, Andrew Corsello, Johnowi Morse'owi, Johnowi Gilbertowi, Susan Bowen (mistrzyni szybkiego czytania, chlubie Georgii) i Johnowi Hodgmanowi (który specjalnie dla mnie wymyślił skrót redaktorski WPWSWR, oznaczający „wyrzucić pieprzenie w stylu Willa Rogersa”). Dziękuję Johnowi Platterowi, który znalazł w sobie dość sił, by przeczytać pierwszy szkic tej książki w ostatnich dniach swojego życia i którego brak strasznie odczuwam za każdym razem, kiedy idę do skrzynki pocztowej i uświadamiam sobie, że już nigdy nie dostanę od niego listu.

Dziękuję Kassie Evashevski, Sarah Chalfant, Paulowi Slovakowi i niezwyklej Frances Apt za ich nieocenione wskazówki. Jestem wdzięczna Artowi Cooperowi z „GQ” za to, że mi uwierzył, kiedy cztery lata temu powiedziałam: „Zaufaj mi... pozwól, że przedstawię sylwetkę tego faceta”. Dziękuję Michaelowi Cooperowi za to, że dawno temu, kiedy miałam wątpliwości, czy pisać tę książkę, powiedział: „Czy nie lepiej, żebyś raczej popełniła błąd, r o b i ą c coś, niż popełniła błąd, czegoś n i e robiąc?” Po raz kolejny dziękuję swojej starszej siostrze Catherine, która jest

geniuszem w sprawach dotyczących amerykańskiej historii, za nieustanne wsparcie. I po raz kolejny dziękuję swojej drogiej przyjaciółce Deborah za to, że była gotowa przez dwadzieścia cztery godziny na dobę dzielić się ze mną swoją wiedzą i mądrością w sprawach ludzkiej psychiki. Bez inspiracji tych dwóch niesamowitych kobiet książka ta byłaby niemal pozbawiona głębszych idei.

Trudno znaleźć słowa wdzięczności dla Ucross Foundation za udzielenie mi dwudziestu dwóch tysięcy akrów prywatności w samym środku stanu Wyoming - ten czas zapamiętam jako najważniejsze trzydzieści dni mojego życia.

I na koniec nie ma na świecie dość sposobów, bym mogła wyrazić, co następuje:

Uwielbiam was.